

Wojna obudziła demony nie tylko w ludziach

PAS ILMARINENA

MARCIN MORTKA

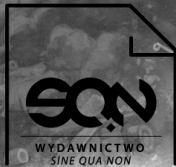


SON
imaginatio

Spis treści

Strona tytułowa
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Epilog
Posłowie
Strona redakcyjna

PAS
ILMARINENA



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

PAS

ILMARINENA

M A R C I N M O R T K A

Kraków 2023

PROLOG

28 listopada 1939 roku

Starszy lejtnant Siergiej Muchalew z obojętną miną spoglądał na więźniów, wypędzanych z paki pracującej na jałowym biegu ciężarówki. Czerwonoarmiści przydzieleni do eskorty nie szczędzili im kopniaków oraz uderzeń kolbami, przez co jeden z nich, z trudem zeskoczywszy na śnieg, zachwiał się i padł. Któryś z żołnierzy z rozpędu kopnął go w bok. Więzień zaparł się dłońmi i próbował podnieść, co pewnie by się udało, ale odurzony własną agresją żołnierz dostrzegał tylko to, że człowiek nadal leży. Kolejne kopnięcie ciężkiego kamasza trafiło go w udo z taką siłą, że więzień niemalże przewrócił się na plecy.

– Wstawaj! – darł się czerwony na twarzy żołnierz. – Wstawaj, świnio!

Uniósł kolbę do kolejnego ciosu. Na twarzy Muchalewa pojawiła się niechęć.

– Aleksandrze Michałowiczu, proszę zatrzymać tego żołnierza – polecił cicho.

– Dość! – huknął starszyna Aleksander Wlekw.

Jego potężny głos przebił się do świadomości oszołomionego adrenaliną żołnierza, który odwrócił głowę i natychmiast spotulniał. Mimo chłodu zarówno Muchalew, jak i Wlekw mieli bowiem na głowach charakterystyczne niebieskie czapki z daszkiem i czerwonym otokiem, sugerujące przynależność do NKWD, a to wystarczało, by w sercu nawet najbutniejszego obywatela ZSRR pojawił się błąd, zwierzęcy strach.

Czerwonoarmista wyprostował się jak struna, zsalutował, a potem zarzucił karabin na ramię i nachylił się, by podnieść więźnia. Podźwignął go brutalnym

szarpnięciem i poprowadził ku innym, którzy zamarli, czekając w nierównym szeregu. Więzień był wynędzniały i słaniał się na nogach, ale Muchalew zauważył, że w jego zapadłych oczach wciąż błyszczy coś dzikiego, niepokornego. Choć sił starczało mu ledwie na to, by iść, zdołał jednym szarpnięciem uwolnić rękaw więziennego drelichu z dłoni czerwonoarmisty i przejść ostatnie kroki samodzielnie. Dołączył do wycieńczonych, przemarzniętych towarzyszy niedoli, którzy drżeli z zimna, bojąc się nawet przytupywać. Ze wszystkich stron celowały w nich mosiny żołnierzy.

– Towarzyszu starszy lejtnancie – odezwał się młody dowódca drużyny, zapalem usiłując zamaskować drzenie głosu. – Zgodnie z waszym rozkazem dostarczyłem sześciu brutalnych wrogów ludu, osobiście wytypowanych przez kapitana Stiepana Worodyłowa, komendanta pobliskiego łagru. Ten tutaj – z pogardą wskazał brodą pobitego przed chwilą więźnia – to prowodyr z kułackiej rodziny.

Przeniósł wzrok na kolejnego jeńca i skrzywił się z niechęcią.

– Tu mamy zaplutego trockistę, który do tego spędził pół życia w żalosnej Francji – oznajmił, niemal wypluwając ostatnie słowo. – A ten to jebany złodziej...

– Dość tego, towarzyszu – przerwał mu Muchalew. Mówił cichym, ale nieprzyjemnie nosowym głosem, który krył w sobie moc, zdolną przeciąć każdy gwar. – Ci ludzie właśnie zyskują szansę, by przysłużyć się świetlanej przyszłości naszego narodu, a więc nie wypada ich lżyć. Aleksandrze Michałowiczu?

Starszyna pochylił się i podniósł ze śniegu torbę, w której coś brzęknęło. Bez słowa podał ją dowódcy drużyny, który przyjął ją ze zdziwieniem i zerknął na starszego lejtnanta NKWD.

– To chleb – wyjaśnił Muchalew. Mówił uprzejmym tonem, ale mimo to jego głos był lodowaty. – Oraz trochę wódki. Proszę rozdzielić to wszystko między więźniów.

Czerwonoarmista spojrział na torbę z konsternacją, po czym przekazał ją jednemu ze swoich podwładnych.

– Wiesz, co masz zrobić? – warknął.

Tamten zasalutował, wsunął do środka zaczerwienioną z zimna rękę i wyciągnął wielki bochen czerstwego chleba. Następnie zaczął odłamywać wielkie kawały i wręczać kolejno więźniom, a ci ujmowali je drżącymi, związanymi rękami i zjadali z ogromną łapczywością.

Muchalew przyglądał się ich zarośniętym twarzom, brudnym dłoniom i zapadłym policzkom, omiatał spojrzeniami ich łachmany, które wcale nie chroniły przez zimnem, i będące w jeszcze gorszym stanie obuwie, a przez jego obojętną, zaróżowioną twarz przemknął grymas obrzydzenia. Wtedy zauważył,

że jeden z więźniów – ten sam, który przed chwilą oberwał od strażnika – demonstracyjnie upuścił swą porcję w śnieg. Wbijał przy tym wzrok w oficera, jakby rzucał mu wyzwanie, ale ten pokręcił jedynie głową z obojętnością przemieszana z rozbawieniem. Odczekał jeszcze, aż każdy z więźniów wypije pół kubka wódki, a potem powiedział cichym głosem:

– Zbłądziliście, towarzysze, ale nasza ojczyzna wybacza swym dzieciom. Nie zapomni waszych przewin, ale pozwoli wam żyć i pracować na jej chwałę, jeśli okażecie teraz posłuszeństwo.

Nieco pokrzepieni i odurzeni alkoholem więźniowie spoglądali na enkawudzistę z przestachem, ale i nadzieją.

– Udacie się tam. – Starszy lejtnant wskazał wznoszące się kilkanaście kroków dalej ogrodzenie, zbite z sosnowych bali. – I wejdziecie przez bramę, która zostanie za wami zamknięta. Tam zaś...

Rozległo się wściekłe przekleństwo, a potem cichy chrzęst, z jakim emaliowany kubek zagłębił się w śnieg. Któryś z czerwonoarmistów spojrzął na swój płaszcz, mokry od wytrąconej mu z ręki wódki, i uniósł pięść, chcąc zdzielić niepokornego więźnia.

– Nie chciał pić, towarzyszu starszy lejtnancie! – poskarżył się żołnierz. – I wódkę rozlał.

Muchalew przez chwilę przewiercał czerwonoarmistę spojrzeniem, aż ten opuścił pięść, cofnął się i wymamrotał jakieś przeprosiny, następnie uśmiechnął się bez wesołości do pobitego więźnia. Jego wściekłość, choć na dobrą sprawę uzasadniona, do niczego nie prowadziła, była niczym kąsanie przyciśniętego do ziemi psa, i on, Muchalew, nie miał zamiaru się nią przejmować.

Ostatecznie przybył tu, na mroźną radziecką północ, w zupełnie innym i o wiele ważniejszym celu.

– Tam zaś znajdziecie noże – podjął. – Dość ostre noże. Macie je wziąć i skierować się w stronę słupa, w białego pośrodku odgrodzonego terenu. Przywiązano do niego pewnego starego człowieka. Macie go zabić.

Urwał na moment, patrząc na ich wynędzniałe, oszołomione twarze.

– Ten z was, który tego dokona, otrzyma sto rubli, flaszkę wódki i jeszcze więcej chleba, a o jego aktach zapomnimy – ciągnął starszy lejtnant i opanował lekki uśmiech, wywołany głupią nadzieją, która rozbłysła w oczach więźniów. – Ten z was zaś, który będzie się sprzeciwiał, zostanie zastrzelony – dodał, spoglądając na buntownika. – Aleksandrze Michałowiczu, proszę zaprowadzić więźniów na miejsce – powiedział do starszyny, po czym się odwrócił i ruszył w stronę wieży, wznoszącej się nieopodal ogrodzenia.

Kształtem przypominała nieco ambonę myśliwską, ale była o wiele od niej masywniejsza, a na górze mogło się swobodnie pomieścić kilkanaście osób.

Muchalew wspiął się po drabinie, a potem wyprostował, zdjął czapkę z daszkiem i założył ciepłą, futrzaną uszanke. Podszedł do zbitych z nieheblowanych desek parapetów i skinieniem głowy przyjął salut czuwających tam dwóch strzelców wyborowych, a następnie wyjrzał na zewnątrz.

Z tej wysokości widać było wyraźnie, że ponaddwumetrowe ogrodzenie rozciąga się na kształt nieregularnego czworoboku. Dwóch czerwononoarmistów z nie małym wysiłkiem odsuwało właśnie wrota bramy, a pozostali eskortowali snujących się powoli i potykających się więźniów. Pośrodku ogrodzonego obszaru w istocie wyrastał słup, do którego przywiązano samotnego starca. Muchalew dostrzegł, jak ten unosi głowę, i znów się uśmiechnął.

Zapowiadało się widowisko, które mogło zadecydować o przyszłości jego wydziału, i lejtnant, wbrew swemu wychowaniu i zasadom, poczuł, jak serce bije mu nieco szybciej.

Niebo, jeszcze przed chwilą błękitne, różowiało teraz, gdy słońce kończyło swą wędrówkę, jakże krótką tutaj, zaledwie czterdzieści kilometrów od Murmańska. Z oddali niosło się stłumione pogwizdywanie lokomotywy. Wiatr, silniejszy o tej porze dnia, trącał korony drzew pobliskiego lasu, osypując z nich świeży, śnieżny pył. Wlekw, który wreszcie wdrapał się na górę, zaklął pod nosem.

Muchalew się odwrócił. Starszyna, za przykładem swego dowódcy, chciał zmienić czapkę na cieplejszą, ale ostre spojrzenie starszego lejtnanta wybiło mu ten zamysł z głowy. Skarcony bez słowa niczym ogar, który ośmielił się zlekceważyć wolę myśliwego, stanął na baczność przy drzwiach, a Muchalew popatrzył na ostatnią z osób obecnych na wieży obserwacyjnej.

Była to krępa kobieta, ubrana w długi, sięgający kostek, futrzany płaszcz. Jej twarz zasłaniał szeroki kaptur, spod którego wylaniały się kosmyki czarnych włosów, ale gdy zapaliła papierosa, rozbłysk zapalniczki na moment oświetlił jej rysy, srogie, lecz urzekająco piękne. Kobieta zaciągnęła się i podała papierosa oficerowi, który podziękował jej skinieniem głowy. Wówczas wsunęła mu rękę pod ramię ze zmysłowością zauważalną nawet mimo grubego płaszcza o niezgrabnym kroju.

Nic nie mówiła, co być może usprawiedliwiała jej pozycja.

Starszy lejtnant Muchalew zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym w zimne powietrze, a następnie spojrzał na kobietę:

– Ciekawe – mruknął tak cicho, by tylko ona usłyszała. – Ciekawe, czy się nie pomyliłaś.

Nie odpowiedziała, a oficer znów spojrzał na ogrodzenie. Przyglądał się zamykanej przez strażników bramie, po czym przeniósł spojrzenie na postać przywiązaną do słupa. Stary człowiek wpatrywał się uważnie w więźniów, którzy

rozglądali się przez chwilę, dopóki nie odkryli leżących w śniegu noży. Poderwali je i wrzeszcząc co sił w płucach, rzucili się na skrepowanego jeńca. W tej samej chwili ogrodzony teren wypełniła rozszalała burza śnieżna.

ROZDZIAŁ 1

1 grudnia 1939 roku

– Pańska gazeta, sir – powiedział lokaj.

Cedric de Woort zamrugnął i uniósł głowę, otrząsając się z zadumy. Odłożył wygasłą już fajkę, wyprostował się w fotelu i mimowolnie poprawił marynarkę, a następnie przeniósł spojrzenie na podawaną mu gazetę.

– Dobry Boże, toż to już ta godzina? – wymamrotał, odruchowo zerkając na wysoki zegar ścienny z wahadłem. – Tak się zamyśliłem, że całkiem straciłem kontakt z rzeczywistością. Dziękuję ci, Tom, mój dobry człowieku.

Lokaj ukłonił się lekko i obdarzył Cedrika bladym uśmiechem człowieka, który pracował w klubie dla dżentelmenów od dziesięciu lat i kwitował w ten sam sposób każde kolejne dziwactwo, a potem odszedł. De Woort zaś rozejrzał się w poszukiwaniu swoich okularów do czytania. Dopił herbatę i z nieświadomym trzepnięciem rozłożył przed sobą arkusz pierwszej strony.

I wtedy jego idealnie wyregulowany świat zadygotał w posadach. Wszystko, co go otaczało – mahoniowe regały z oprawionymi w skórę księgami, obrazy z bukolicznymi sielankami, ogromne, wychodzące na Pall Mall okna i obite aksamitem kanapy – znikło, przesłonięte ogromnymi, złowieszczyymi literami nagłówka.

Cedric wiedział, że w tym wieku nie powinien ulegać silnym emocjom. Był też świadom, że jego wstrząs jest nie na miejscu, bo przecież od dawna przeczuwał, na co się zanosi, albo przynajmniej liczył się z taką ewentualnością. Nabrał więc

głęboko tchu i wpatrywał się w nagłówek do czasu, gdy jego serce przestało walić jak szalone. Następnie przeczytał artykuł.

Po chwili zrobił to jeszcze raz, a potem ponownie, a gdy był już pewien, że zapoznał się z każdym, najdrobniejszym nawet szczegółem, starannie zwinął gazetę i spojrzął na siedzącego przy sąsiednim stoliku Bulkeleya, który polerował monokl jedwabną chusteczką.

– James, widziałeś dzisiaj może Astleya? – spytał, a w jego głowie dojrzewała już decyzja.

– Co takiego? – Bulkeley, który podczas Wielkiej Wojny dowodził pułkiem artylerii, słabo słyszał na prawe ucho, a na lewe prawie wcale. – Chodzi ci o Astleya? Jasne, przyjacielu, pół godziny temu wchodził do gabinetu Kenworthy’ego. Słyszałeś może, że jego wnuk właśnie wrócił z Cejlonu? Astleya wnuk, nie Kenworthy’ego, rzecz jasna. Wątpię, czy ta stara ropucha w ogóle ma... Cedric?

W głosie Bulkeleya pojawiło się zdumienie, gdy de Woort podniósł się niespodziewanie, nieświadomym ruchem poprawił marynarkę i ruszył przed siebie szybkim krokiem, mijając inne stoliki z goszczącymi w klubie dżentelmenami. Zauważył jednak, że Cedric kieruje się w stronę korytarza z toaletami, pokiwał więc ze zrozumieniem głową i powrócił do polerowania monoklu.

*

Gabinet Astleya z jakiegoś powodu zawsze wydawał się ciemniejszy od pozostałych, które klub dżentelmenów zwany Biblioteką oferował swym najbardziej zasłużonym członkom – nawet pomimo ognia, nieustannie płonącego w kominku. Cedric de Woort nie wiedział, czy przyczyną była waga spraw, które tu rozstrzygano, wielkie krzyże z taśmy papierowej, które wzmacniały okna i nieustannie przypominały o toczącej się na zewnątrz wojnie, czy może napięcie, które towarzyszyło mu od dawna, a teraz powoli przeistaczało się w przygnębienie.

– Nie mów, że się tego nie spodziewałeś. – Astley wydał lekko usta, co przez obcego człowieka mogłoby zostać uznane za przejaw arogancji lub nawet wzgardy, ale de Woort znał starego arystokratę jeszcze z pól bitew Wielkiej Wojny i wiedział, że podobny grymas jest u niego reakcją na zdziwienie. Gdy Astley chciał okazać komuś niechęć, czynił to z absolutnie obojętną twarzą.

– Wszyscy się spodziewaliśmy – Cedric usiadł przy stole i powoli położył przed sobą złożony na pół egzemplarz „Timesa” – lub przynajmniej to rozważaliśmy, ale w głębi duszy chyba każdy z nas miał nadzieję, że to jedynie

potrząsanie bolszewicką szabelką, a mimo to... Pomyślcie tylko. Oni naprawdę to zrobili. Ale teraz? Na progu zimy?

Pożałował tego rozpaczliwego odwołania się do logiki, jakby ta miała magiczną moc zmieniania losów świata, następnie pokręcił głową i raz jeszcze zerknął na czarne litery nagłówka, układające się w napis: „Komuniści zaatakowali Finlandię!”. Przypominały mu ostre zęby, zaciskające się na szyi.

– Czasem mam wrażenie, że przywódcy światowi to niemoty, głupcy albo szaleńcy – rzekł Astley i nachylił się nad barkiem, z którego wyciągnął butelkę szkockiej whisky i dwie szklanki. – Stalin ewidentnie należy do tej trzeciej kategorii, a główny problem z szaleńcami, zwłaszcza zaś z tymi, którzy dorwali się do władzy, polega na tym, że nikt nie wytłumaczy im popełnianych błędów. Nikt, Cedriku.

Zaczął nalewać whisky, ale zawahał się, spoglądając na przyjaciela.

– Twój lekarz nie ma nic przeciwko? – spytał.

– Mój le... Nie, nie. – De Woort pokręcił głową. – A zresztą jakie to ma znaczenie. Szlag by go trafił.

Astley pokiwał głową z ponurą miną i nalał whisky do obu szklanek. Cedric de Woort ujął swoją i wychylił zawartość jednym haustem, a potem odwrócił głowę i wbił wzrok w płomień, liżące bierwiona w wielkim, marmurowym kominku. Astley bez przerwy utrzymywał, że jest mu zimno, i służba nie rozpałała ognia jedynie w najcieplejsze miesiące w roku. Tymczasem był już pierwszy grudnia.

– Sowiecki atak na Finlandię był tylko kwestią czasu, Cedriku – powtórzył Astley. – Dokładnie to ci powiedziałem pięć dni temu, gdy dowiedzieliśmy się o tej prowokacji granicznej.

Cedric de Woort pokiwał głową, wciąż smakując alkohol. Dokładnie pamiętał raport o ostrzeleniu leżącej na radzieckim terytorium wioski Mainila, gdzie miało rzekomo zginąć kilku czerwonarmistów. Minister spraw zagranicznych Władimir Mołotow z furią zrzucił winę na stronę fińską, która zapewniała o swej niewinności. Całość na kilometr cuchnęła prostacką prowokacją, co oznaczało, że ZSRR prze do wojny. Serce Cedrika załała wówczas czarna rozpacz, ale wciąż trzymał się wątej nadziei, że może wszystko ułoży się inaczej.

Resztką tej nadziei opuściła go dopiero przed chwilą.

Odwrócił się, by spojrzeć na starego przyjaciela, i naraz tknęło go, jak znużony wydawał się Astley. Zawsze, mimo wieku, trzymał się prosto jak struna i starannie zaczesywał włosy, siwe, ale mocne i gęste. Poruszał się żwawo, a gdy mówił, gestykulował obficie, jakby usiłował zawładnąć uwagą wszystkich obecnych. Od jakiegoś czasu owej energii okazywał jednak coraz mniej, a na jego twarzy pojawiła się obca, złowroga zawziętość. De Woort doskonale

wiedział, jaką odpowiedzialność dźwiga na sobie Astley, i nagle pożałował, że przyszedł do niego z problemem tak osobistym.

Tak drobnym.

– Tak, wiem – powiedział nieprzytomnie i odkaszlnął, by spróbować zdobyć się na ton bardziej rzeczowy. – Dobrze pamiętam. Radziłeś mi wówczas, bym jak najszybciej nawiązała kontakt z Penelopą, ale... Cóż, nie udało mi się to.

– Nie? – spytał powoli Astley, wpatrując się w Cedrika.

– Ona zaszyła się na karelskim odludziu, gdzie śnieg pada już od października, a linie telefoniczne to pieśń przyszłości – wyjaśnił de Woort, zaskoczony tym, że z taką łatwością mówi o sprawie tak dla siebie bolesnej.

– Ale próbowałeś nawiązać z nią kontakt? – Astley odwrócił się na chwilę, by znów nalać whisky, ale de Woort przypuszczał, że po prostu przez chwilę chciał unikać jego wzroku.

– Napisałem list – prychnął Cedric. – I Bóg jeden raczy wiedzieć, co się z nim stało. Od niej ostatni list otrzymałem w połowie listopada. Obiecywała w nim, że na początku grudnia wróci do Helsinek, a stamtąd uda się prosto do Sztokholmu, by spędzić ze mną święta. – Mówił powoli, wyraźnie artykułując każde słowo, by zdusić wszelkie emocje.

– Może jej się to uda – rzekł pojednawczo Astley i aż podskoczył, gdy de Woort niespodziewanie uderzył dłonią w leżącą przed nim gazetę.

– Och, przestań! – syknął. – Sowieckie bombowce zbombardowały dziś Helsinki, Viipuri i jeszcze parę miast! Cholerna Armia Czerwona przedziera się przez Przesmyk Karelski. Mało tego! Stalin popchnął dywizje pancerne dosłownie wszędzie! Sowieci naruszyli granicę fińską w kilku miejscach, nawet na lapońskiej północy!

– A dużo tych dywizji? – Do rozmowy dołączył niespodziewanie trzeci głos.

Zarówno Astley, jak i de Woort odwrócili głowy w stronę obitego skórą fotela, na którym siedział Frederick Kenworthy, człowiek tak drobny i wychudły, że gdyby nie oczy, wielkie i żywe, można by go wziąć za odzianą w drogi garnitur kukłę. Miał pożółkłą skórę, obwisłe policzki i łysinę upstrzoną plamami, a wysuszone dłonie, spoczywające na podłokietnikach fotela, wydawały się należeć do trupa.

– Za dużo – prychnął de Woort. – Sześć pełnych armii. Dziesiątki tysięcy ludzi, działa, czołgi, lotnictwo. W głowie mi się to nie mieści.

– A Finowie? – spytał Kenworthy, nie odrywając wzroku od ognia. – Co o nich wiemy?

– Niewiele – przyznał Astley. – Mają paru zdolnych dowódców, szkolonych jeszcze w armii niemieckiej, trochę broni maszynowej i...

– Przestań! – warknął Cedric. – Dajmy sobie spokój ze strategicznymi rozważaniami. Moja córka utknęła na linii frontu, prowadząc badania dla Biblioteki, i na tym powinniśmy się skupić! Wyłącznie na tym. Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak wielką odpowiedzialność dźwigasz teraz na swoich barkach – spojrzał na Astleya, a potem mimochodem zerknął na uporządkowany stos dokumentów na jego biurku – i nie będę dokładać ci trosk. Chcę tylko prosić cię o pewne wsparcie.

Jedyną reakcją Astleya była wyżej uniesiona brew. Kenworthy, który wydawał się pogrążony we śnie, nawet nie drgnął. Na jego twarz padał blask płomieni z kominka.

– Tylko nie mów mi – powiedział powoli Astley – że sam chcesz się wybrać na front? Jesteś nieco młodszy ode mnie, ale...

– Nie. – De Woort zdecydowanie pokręcił głową. – Nie żartuj, Astley. Moje dni w terenie już dawno się zakończyły, ale znam kogoś, kto mnie godnie zastąpi.

Wstał i podszedł do wielkiej mapy Europy oprawionej w pozłacane ramy i zawieszanej obok kominka. Przez moment wpatrywał się w granicę między Finlandią a Związkiem Radzieckim, która wybiegała od Morza Bałtyckiego, zataczała łuk, przecinała w połowie jezioro Ładoga i mknęła ku północy, przez Karelię i Laponię, by dotrzeć do Morza Białego.

– Tam – powiedział cicho – rozpęta się pandemonium równie przerażające jak to, którego byliśmy świadkami podczas Wielkiej Wojny, Astley. Dlatego należy tam posłać człowieka, którego pociąga mrok i zniszczenie. Człowieka, który tak często tańczył ze śmiercią, że utracił przed nią respekt. Człowieka, który wskoczyłby do samego piekła tuż po tym, jak ostatni z diabłów uciekłyby z niego ze strachu.

De Woort przez chwilę oddychał miarowo, wyprostowany, podbudowany nowo odnalezioną energią. Szok i rozpacz, z którymi wkroczył do gabinetu Astleya, znikły bez śladu. W przymrużonych oczach Cedrika de Woorta lśniło zdecydowanie, z jakim wydawał polecenia pod Mons, Basrą i Ar-Ramadi. Znów spojrzał na Astleya.

– Potrzebuję od ciebie tylko kilku rzeczy. Nie chodzi o pieniądze, broń cię Boże. Tych na szczęście mam dość. Potrzeba mi kilka listów, z pewnością znasz kogoś godnego uwagi w naszym poselstwie w Sztokholmie i Helsinkach, przyda się też jeden nowy paszport i być może jakieś namiary na nasze działania na północy. Powiedziałaś, że oprócz tego, czym zajmuje się Penelopa, Biblioteka nie prowadzi żadnej operacji w Finlandii, ale zdaje się, że po szwedzkiej stronie nadal mieszka stary Vittnes, prawda? – Przy tych słowach skrzywił się lekko, jakby naszło go nieprzyjemne skojarzenie.

– Być może będzie to dobra okazja, by sprawdzić, co u Vittensa słyhać – zauważył Astley, zamyślony. – Coś długo się drań nie odzywa.

– Przydałby mi się też ktoś, kto mówi po fińsku albo przynajmniej po szwedzku – podjął de Woort. – Nie masz może jakiegoś bezrobotnego agenta?

Astley uśmiechnął się krzywo.

– Wszyscy, których mogłem powołać do służby, ścigają się teraz z SS, Ahnenerbe, OVRA i paroma innymi cholernymi sektami, ale... Cóż, może uda mi się kogoś znaleźć.

Zamilkł. Przymykał oczy, jakby już układał w głowie listę telefonów, które musi wykonać jeszcze tego popołudnia, a potem zwrócił się do de Woorta:

– Cedriku, zrobię wszystko, o co mnie prosisz. Operacja prowadzona przez Penelopę jest jedną z najważniejszych, jakimi zajmuje się Biblioteka, ale należy ją natychmiast przerwać. To twoja córka i powinna się znaleźć na Wyspach.

De Woort podziękował mu skinieniem głowy.

– Nigdy ci tego nie zapomnę – rzekł.

Astley machnął niecierpliwie dłonią.

– Znamy się nie od dziś – powiedział ostro, niemalże z przyganą. – Jestem, do licha, twoim dłużnikiem, de Woort. Podaj mi tylko nazwisko człowieka, dla którego mam załatwić paszport. Przyznam, że ciekaw jestem, kto byłby gotów wskoczyć do piekła po ucieczce ostatniego z diabłów.

Cedric nabrał tchu i wypuścił go ze świstem.

– To Michael Tayne.

Astley znów nieładnie wydał usta.

– Ten sam Tayne? Były mąż Penelopy?

– Tenże.

– Sporo dla nas swego czasu zrobił – przyznał Astley po chwili milczenia. – No i ma chłopak talent, nie da się ukryć. Ale... Cóż, jesteś pewien, że...

– Tak – rzekł de Woort i wstał. – Jestem absolutnie pewien. Pozwól, że po niego pojedę. Chcę wysłać go w drogę najszybciej jak się da, ale najpierw muszę go wyciągnąć z pewnego miejsca.

– Skąd? – zaciekawiał się Astley.

– Z Bethlem – rzucił jakby od niechcienia Cedric i wstał. – Dziękuję ci raz jeszcze – dodał. – Dziś przyślę kogoś po dokumenty podrózne, jeśli nie masz nic przeciwko.

Po tym, jak zamknęły się za nim drzwi, w gabinecie długo panowała cisza. Wreszcie przerwał ją grobowy głos Kenworthy'ego:

– Dobrze usłyszałem? Chodziło mu o Bethlem? Ten szpital psychiatryczny?

– Tak, Frederiku – mruknął zamyślony Astley.

– Cóż, a więc nasz drogi Cedric dokonał właściwego wyboru. Tylko szalenciec mógłby z własnej woli udać się w sam środek tej rzezi, którą Sowietci właśnie fundują Finom.

– Zatem zgadzasz się z de Woortem? – zainteresował się Astley. – Nazwał ten konflikt pandemonium.

– Małe narody atakowane przez większego, silniejszego sąsiada czasami stawiają naprawdę zaciekły opór – rzekł starzec. Wpatrywał się w płomienie, a gdy podjął wątek, brzmiał, jakby mówił do siebie: – Pamiętasz, co opowiadano o Abisyńczykach? Jak pod Aksum sprawili Włochom wręcz popisową rzeź? A wcześniej, podczas wojny o Taranaki? Na własne oczy widziałem, jak dzicy Maorysi hańbili nasze wojska. A teraz? Stalin wpycha dywizje pancerne w sam środek zamarznętej puszczy. Czeka ich, drogi Williamie, jatka, a w piekle niebawem zrobi się tłoczno. Żaden diabeł nie będzie stamtąd uciekał.

– To dobrze, bo przynajmniej człowiek de Woorta zajmie się sprawami Biblioteki na ziemi – spróbował zażartować Astley. – Cedric jest naprawdę przywiązany do córki, a jej dotychczasowe odkrycia... Dobry Boże, jeśli ów Tayne zdoła ją wydostać, wsuniemy do rękawa nie lada asa. Przyda się, i to bardzo, bo Hitler najwyraźniej łatwo nie odpuści.

Kenworthy jednakże już nie słuchał, wpatrzony w płomienie. W jego mętnych oczach odbijały się echa konfliktów z dawnych dziejów.

*

Cedric de Woort spieszył się, jakby całe zło tego świata deptało mu po piętach. Szybkim krokiem szedł w kierunku zamówionego przed chwilą w portierni klubowego samochodu, który czekał na niego przy krawężniku. Przypominający o nadciągającej zimie, wściekły listopadowy wiatr targał połami jego płaszcza, ale stary dżentelmen nawet nie zwrócił na to uwagi. Przytrzymując lewą ręką melonik, prawą otworzył sobie drzwi i usiadł na obitym skórą tylnym siedzeniu rolls-royce'a.

– Dzień dobry, panie de Woort – odezwał się Jeff, jeden z lokajów klubu, pełniący również funkcję kierowcy.

– Dzień dobry – wymamrotał Cedric. – Jeff, mój dobry człowieku, zabierz mnie do Bethlem.

– Do Bethlem, sir? – Szofer uniósł lekko brwi. – Tego wariatkowi w Croydon?

– Otóż to – prychnął de Woort. – Na twoim miejscu wcale bym się nie dziwił. W nadchodzących czasach będzie to dość popularny kierunek twoich kursów.

– Robi się, sir – mruknął Jeff i wrzucił pierwszy bieg.

Jeszcze wczoraj de Woort zadałby sobie pytanie, jak to możliwe, że Jeff, człowiek młody i sprawny, uniknął poboru, a klub, mimo wprowadzonych reglamentacji, nadal dysponuje przynajmniej jednym samochodem. Podczas podróży przez Londyn spoglądałby zaś przez okno i z ponurą miną patrzył na kopane w parkach schrony, rozstawiane działa przeciwlotnicze, sterty worków z piaskiem i dzieci uganiające się w maskach przeciwgazowych. Teraz jednak wszystko to wydało mu się równie obojętne jak dokuczliwy wiatr.

Człowiek ranny w ramię zapomina o bólu zęba, pomyślał i odruchowo wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki noszony tam prawie od miesiąca list. Rozłożył go na kolanie i raz jeszcze spojrzął na rzędy zdań wypisanych eleganckim charakterem pisma. Znał je niemalże na pamięć, ale ich widok przynosił mu pokrzepienie, tym bardziej że za każdym razem, gdy je czytał, w jego głowie odzywał się głos Penelopy.

*Tato,
wybacz, że odzywam się do ciebie tak rzadko. Powody są prozaiczne. Finlandia to cudowny kraj, ale cywilizacja dociera tu opornie i samo wysłanie listu nastrecza sporych trudności. By tego dokonać, muszę porzucić me badania na co najmniej kilka dni, co czynię niechętnie. Nawet tu, na zapomnianą, cichą prowincję docierają bowiem niepokoje wielkiego świata. Ludzie mówią, że ponoć ma się na wojnę, i ze strachem spoglądają na wschód. Modłę się, by do sowieckiej napaści nie doszło, ale mimo to udziela mi się ów niepokój i tym sumienniej angażuję się w badania. Nie możemy wykluczyć czarnego scenariusza, a chcę do tego czasu osiągnąć jak najwięcej.*

Zima zawitała tu już kilka dni temu i przyznam ci, że nigdy jeszcze nie widziałam tyle śniegu. Jednocześnie dni stają się coraz krótsze, a nocami temperatura spada do kilkunastu stopni poniżej zera. Trudno mi wyobrazić sobie, jak wobec tego będzie tu w grudniu czy w styczniu, ale przypuszczam, że moje badania dopiero wtedy wejdą w decydującą fazę. Z tego, co osiągnęłam do tej pory, wynika, że moje wcześniejsze domysły były słuszne, ale nie spocznę, dopóki nie doprowadzę sprawy do końca...

Cedric oderwał wzrok od listu i uśmiechnął się do siebie.

Sprytna jest, pomyślał po raz nie wiadomo który. Wie, że list może wpaść w niepowołane ręce i pisze ogólnikami.

Powrócił do lektury.

Aktualnie skupiam się na poznawaniu miejscowej mowy i kultury, co jest fascynującym zajęciem. Przeklinam te czasy i przeklinam ludzi, którzy je kształtują, bo tym właśnie, drogi Tato, mogłabym się zajmować aż do końca mych dni. Dopiero teraz, pośród tych niezwykłych, tajemniczych ludzi i w samym środku ich trudnego, acz cichego życia, czuję się niebywale szczęśliwa, tym bardziej że pozyskanie ich zaufania kosztowało mnie mnóstwo czasu.

Biedactwo, pomyślał Cedric z bólem serca. Nie do pomyślenia jest to, że musiałaś pojechać aż na koniec świata, by odnaleźć spokój.

Mimowolnie zacisnął pięść.

– Daleko jeszcze? – spytał szofera nieco ochrypłym głosem.

– Parę minut, sir – mruknął Jeff. Dodał gazu, by wyprzedzić wojskową ciężarówkę, i zatrał na kilku cyklistów.

De Woort westchnął ciężko i spojrzął na ostatni akapit listu:

Tak czy owak, zamierzam niebawem wrócić do Anglii. Mam nieprzyjemne przeczucie, że ludzie, wśród których mieszkam, mogą szybko utracić do mnie zaufanie, jeśli moja nieobecność się przedłuży, ale muszę podjąć to ryzyko. Tęsknię za Tobą i za domem, a poza tym chyba już czas, bym złożyła szczegółowy raport z tego, czym się zajmuję. Na początku grudnia wrócę do Helsinek, skąd przez Sztokholm udam się do Londynu. Mam wielką nadzieję, że spędzimy razem święta.

*Kocham Cię, Tato,
Penelopa*

Cedric złożył list i trzymając go w dłoniach, ponownie pogрузzył się w zadumie.

Na początku grudnia, pomyślał. Na stemplu widnieje data osiemnasty listopada. Istnieje więc szansa, że Penelopa zdała sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa już kilka dni po wysłaniu listu. Jeśli tak, z pewnością zdążyła wrócić do Helsinek i być może jest już w drodze do domu, ale... ale dlaczego nie zadzwoniła? Przecież w stołecznych hotelach na pewno są telefony.

Ogarnięty nową falą przygnębienia, przyglądał się przez chwilę szarzyźnie mijanych dzielnic robotniczych.

Trzeba założyć, że nie oceniła należycie zagrożenia, przeszło mu przez myśl. Że pogрузzyła się w badania i została zaskoczona przez wojnę, a w tej sytuacji... Chryste, gdzie ona może teraz być? Wciąż po fińskiej stronie czy może już radzieckiej?

Istniało jeszcze jedno rozwiązanie, okrutne i brutalne, ale o tym Cedric de Woort wolał nawet nie myśleć. Świadomość, że być może naprawdę się spóźnił, sprawiła, że pochylił się ku kierowcy i syknął:

– Jeff, na litość boską, nie możesz się pospieszyć?

– Nie mogę, sir! – jęknął szofer i dłonią w rękawiczce wskazał snującą się przed nimi furmankę. Przeciwny pas zajmowały jadące powoli ciężarówki wojskowe. – Proszę tylko spojrzeć! – I wymamrotał jeszcze pod nosem coś, co brzmiało trochę jak: „Jeszcze nigdy nie słyszałem, by komuś spieszyło się do wariatkowa”.

– Żebyś wiedział – mruknął Cedric de Woort i wsunął list z powrotem do kieszeni. Natrafił przy tym palcem na płaskie, skórzane etui, ozdobione kilkoma frędzelkami. Natychmiast przeszył go dreszcz i ze wszystkich sił opanował pokusę, by wyciągnąć je i otworzyć. I podjąć kolejne ryzyko.

Nie, napomniał się w myślach. Absolutnie nie. Może później. Teraz muszę się przygotować do rozmowy z Tayne'em, co też łatwe nie będzie.

*

Cedric de Woort wszedł do budynku Royal Hospital Bethlem zdecydowanym, żołnierskim krokiem, a nagabnięta na korytarzu pielęgniarka bez wahania skierowała go do gabinetu doktora Augustusa Tennysona, który właśnie wrócił z obiadu. Błogie zadowolenie psychiatry przygasło, gdy ujrzał hardą minę swego gościa, a całkiem się ulotniło, gdy usłyszał jego żądanie.

– To nie takie proste. – Medyk rozłożył pulchne dłonie. – Nie może pan po prostu wtargnąć tu z ulicy i wyciągnąć pacjenta bez konsultacji z lekarzem. Zapewne zdaje sobie pan sprawę z tego, że wielu naszych pacjentów wymaga stałej opieki, a niektórzy zagrażają sobie i otoczeniu? Pacjent, o którego pan pyta, należy do szczególnie agresywnych, a dziś rano wdał się w bójkę z dwoma sanitariuszami...

De Woort wyminął biurko Tennysona i podszedł do okna, które lekko uchylił. Do środka wdarło się zimne powietrze, które poruszyło stosem papierów na biurku psychiatry.

– Proszę wybaczyć, ale nie znoszę zapachu środków czyszczących – oświadczył Cedric.

– Bethlem Royal Hospital to szanująca się instytucja, gdzie troska o higienę stanowi... – zaczął Tennyson, ale de Woort przerwał mu machnięciem ręką.

– W pełni rozumiem – odparł, rozsiadając się na krześle. – I nie chcę, by ludzie tacy jak Tayne przeszkadzali wam w trosce o higienę. Tym bardziej że bije

sanitariuszy. Doktorze – wychylił się z krzesła, aż skrzypnęło, i wbił w lekarza spojrzenie bladoniebieskich, nieustępliwych oczu – ja nie mam czasu.

Augustus Tennyson poczerwieniał na twarzy i zatarł dłonie, ewidentnie spocone. Najwyraźniej na co dzień miał do czynienia z ludźmi uległymi i pokornymi, do których mógł przemawiać z wyżyn swego autorytetu, okraszając każde zdanie pełnym pobłażania uśmiechem. Energiczny starszy mężczyzna, który kruszył jego przewagę od chwili wejścia do gabinetu, a odebrał mu ją całkowicie otwarciem okna, był dlań zaskakującym wyzwaniem. Postanowił się więc uciec do ostatniej, niezawodnej jak dotąd linii obrony.

– To zrozumiałem – powiedział z udawanym współczuciem. – Ja jednak mam w obowiązku przypomnieć panu, że działanie instytucji takich jak nasza opiera się na ściśle wytyczonych procedurach, których łamanie może pociągnąć prawne konsekwencje.

– Rozumiem. – Cedric pokiwał głową. Przez chwilę z uwagą nabijał fajkę, usiłując ignorować potępieńcze wrzaski pacjentów, które rozbrzmiewały na korytarzach. – Łapówki, jak rozumiem, również te procedury łamią, tak?

Tennyson poczerwieniał aż po koniuszki odstających uszu.

– Szanowny panie – odezwał się głosem wyższym o oktawę. – Nie chce mi pan chyba zaproponować pieniędzy w zamian za przysługę?

Cedric przerwał nabijanie fajki i zmiażdżył psychiatrę spojrzeniem pełnym wzgardy, a potem pokręcił głową, jakby nie mógł się nadziwić jego głupocie.

– Michael Tayne, którego chcę odebrać, nie jest psychicznie chory – rzekł i odpalił zapałkę. Rozniecił żar w fajce i pyknął parokrotnie, dzięki czemu zapach dymu tytoniowego na moment przytłumił wszechobecny smród lizolu. – Wręcz przeciwnie. Świadomie podjął decyzję o dołączeniu do grona pacjentów waszej szlachetnej instytucji, w czym pomogły mu dwie łapówki. Pierwszą wręczył swemu lekarzowi, a drugą któremuś z pracowników Bethlem. Nie wiem któremu, ale przy odrobinie wysiłku będzie to można ustalić.

Pyknął raz jeszcze. Kłęby wonnego dymu uchodziły ku uchylonemu oknu. Z twarzy Tennysona schodziła purpura.

– Pytanie, które zapewne właśnie pana męczy, doktorze, brzmi: dlaczego Michael Tayne postanowił tu trafić? – De Woort zrobił dramatyczną przerwę, którą wypełnił przeraźliwy, ochrypły kobiecy ryk. – Czyżby popełnił jakieś przestępstwo? – spytał, unosząc brew. – Nie, to byłoby okropne. Oznaczałoby, że szanująca się instytucja w zamian za korzyści finansowe udzieliła schronienia przestępcom. Sprawa nie do pomyślenia, prawda?

Odczekał chwilę, wpatrzony w Tennysona, który stawał się coraz bledszy. Doktor otwierał i zamykał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa. De Woort wstał więc i ruszył ku drzwiom.

– Chcę widzieć Tayne’a za pięć minut przy głównym wyjściu – rzucił przez ramię. – W ubraniu, w którym się tu zameldował.

– Pan Tayne jest pod wpływem niewielkich dawek leków uśmierzających! – zaprotestował Tennyson. – Ich gwałtowne odstawienie będzie szokiem dla jego organizmu! Proszę się spodziewać drgawek, wzmożonego apetytu, bezsenności...

– Da sobie radę.

– A pan będzie musiał podpisać... – Lekarz z rozpaczą walczył o odzyskanie resztek autorytetu.

– Nie. – Cedric pokręcił głową. – Jedyne, co muszę, to się spieszyć.

I wyszedł.

ROZDZIAŁ 2

1 grudnia 1939 roku

Po kilku tygodniach spędzonych w salach i korytarzach Bethlem, wypełnionych mdłym, brudnym światłem, nawet listopadowe niebo wydawało się oszałamiająco jasne. Michael Tayne zmrużył oczy, a gdy uderzył w niego podmuch wiatru, cofnął się ku drzwiom. Odruchowo otoczył się cienkim, letnim paltem i przytrzymał kapelusz, a potem rozejrzał dookoła, próbując zrozumieć, co się właściwie dzieje.

– Idź – warknął pielęgniarz, który przed paroma minutami złapał go mocno za ramię, wywlókł ze świetlicy i kazał się przebrać w rzeczy, w których Michael zgłosił się do placówki na początku lata. – Idź już. Robotę mam.

Michael się odwrócił i spojrzał półprzytomnie na pielęgniarza. Otworzył usta, by zadać mu jakieś pytanie, ale ten szarpnął za klamkę i drzwi zatrzasnęły się głucho. Było w tym dźwięku coś ostatecznego i do lekko odurzonego umysłu Tayne'a dotarło, że świat, w którym spędził kilka miesięcy, został mu odebrany.

Rozległ się ostry dźwięk klaksonu. Przez zmrużone oczy Michael ujrzał piękny, brązowo-czarny samochód czekający na podjeździe przed szpitalem. Od razu zwrócił uwagę na koło zapasowe, przymocowane do boku pojazdu, obok drzwi kierowcy, i ta część umysłu, której aktywność usiłował wytłumić przez ostatnie kilkanaście tygodni, odpowiedziała mu, że to rolls-royce phantom III.

Pokręcił głową. Nie potrzebował tej wiedzy. Nie chciał wracać do świata, w którym te informacje na cokolwiek się przydawały, a siwowłosa mężczyzna

w czarnym palcie, trzymający klamkę tylnych drzwi, budził w nim niechęć.

– Tayne! – zawołał. – Długo tam jeszcze będziesz stał?

Michael Tayne poczuł, że coś w nim pęka. Odwrócił się i zaczął się szarpać z zatrzaśniętymi przez pielęgniarza drzwiami, a po chwili obejrzał się z narastającym lękiem i uświadomił sobie, że mężczyzna, który dopiero co zawołał go po imieniu, podbiega do niego. Mimo wieku poruszał się z wielką żwawością i przesadzał dwa, trzy stopnie naraz. Złapał go za ramię w momencie, gdy drzwi wreszcie ustąpiły.

– Chcesz tam wracać? – wycharczał ze złością starzec i szarpnął Michaela ku sobie, a ten, zaskoczony, zatoczył się.

Tayne w mig odzyskał równowagę, wyrwał się dzentelmanowi w płaszczu i skoczył ku drzwiom, ale ten znów wykazał się nie lada refleksem. Złapał Michaela za płaszcz, pociągnął ku sobie i grzmotnął go pięścią w bok. Ten stęknął i runął na drewnianą barierkę okalającą rozchodzące się na boki schody, gdzie zwisał, bezskutecznie próbując nabrać tchu.

– Wybacz, Tayne – wysapał siwowłosy mężczyzna. – Dość już tego umartwiania się. Wracamy do prawdziwego życia. Pójdiesz sam czy mam ci wykopać te barbiturany z dupy?

– Ale ja nie chcę... – wyrzęził Michael.

– Wcale ci się nie dziwię. Jeff, mój dobry człowieku – zwrócił się starzec do kierowcy – zechcesz mi może pomóc? Należy tego pana wprowadzić do samochodu.

Oszołomiony Tayne podjął jeszcze jedną próbę wyrwania się, ale przyzwany na pomoc szofer okazał się równie zdecydowany jak mężczyzna w palcie i o wiele od niego silniejszy. Wspólnie sprowadzili Michaela po schodach i wepchnęli na tylne siedzenie rolls-royce'a. Dzentelman zatrzasnął za nim drzwi, a sam, popędziwszy szofera, usiadł z drugiej strony. Wnet silnik limuzyny zawarczał, a jej koła zabuksowały na żwirze.

Oszołomiony Michael patrzył, jak ceglany gmach z rzędami białych okien i frontem porośniętym do połowy wysokości bukszpanem zaczyna się oddalać. Dopiero gdy budynek zniknął za drzewami parku, uświadomił sobie, że starszy dzentelman coś do niego mówi.

– Co takiego? – wymamrotał Tayne.

– Pytałem, kto ci tak gębę obił – powtórzył jego towarzysz, skupiony na strzepywaniu pyłków z kapelusza, który ułożył sobie na kolanach.

– Don i ten drugi. Timmy chyba. Pieprzone bydlaki. – Michael mówił coraz szybciej i wyraźniej. – Dziś rano zabrali staremu Ronaldowi kolorowanekę, aż biedak się popłakał, a potem rozsypali Elisabeth piżamę, żeby wszyscy widzieli jej... No. Każdy by się wściekł. Pieprzeni durnie.

– To było dla ciebie ważne? – spytał dżentelmen, na moment przestając iskać kapelusz. Wpatrywał się teraz w rozmówcę, któremu wyraźnie to nie odpowiadało.

Michael wzruszył ramionami i odwrócił głowę, patrząc na zabudowania Croydon, o wiele większe i bardziej rozległe, niż to sobie zapamiętał.

– Było – mruknął. – Donowi już parokrotnie spuściłem łomot, ale ostatnio zrobił się śmielszy... Nie... nie powinien. – Emocje, rozbudzone poranną bójką, znów przygaśły i Michael na powrót zaczął mamrotać.

– No dobra. – Westchnienie starszego mężczyzny zdawało się napływać z oddali. – Zaczniemy od początku. Wiesz, kim jestem?

Tayne wiedział to dobrze, a właściwie czuł, że w każdej chwili, gdyby tylko chciał, mógłby sobie to przypomnieć. Sęk w tym, że nie chciał. Był szczęśliwszy bez tej wiedzy.

– Wiem – wymruczał, zaciskając powieki. – Wiem, ale...

– Nazywam się Cedric de Woort – powiedział dżentelmen. – Jestem ojcem Penelopy. Twojej żony. Pamiętasz Penelopę?

Michael miał wrażenie, że ktoś chlusnął mu w twarz miską wypełnioną płonąca benzyna. W jego umyśle buchnęły płomienie i w okamgnieniu strawiły odgradzające go od świata barykady, które z takim trudem wznosił. Zacisnął mocniej powieki, desperacko przywołując ciemność, ale nie na wiele się to zdało, bo nagle mrok przesłoniły wspomnienia.

Ujrzał twarz Penelopy, drobną, nieco pucułowatą, z chłopięcą grzywką zaczesaną na bok i przyciętymi krótko włosami, poskręcany od ustawicznego zakładania za uszy. Ujrzał jej krzywy, łobuzerski uśmiech, potem uniesioną w górę brew, drobne, uroczo wydęte usta, mały pieprzyk pod prawym okiem i... i prawie się rozpromienił, ale w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że wszystkie te wspomnienia kryją się za mętną mgłą.

Jakby były dla niego niedostępne. Zakazane.

Wiązało się z nimi coś niedobrego. Mrocznego. Bardzo bolesnego. Coś, czego Michael na pewno nie chciał być świadomym.

– Pamiętam Penelopę – powiedział suchym, zduszonym głosem. – Jeśli wywlekł mnie pan ze szpitala po to, by czynić mi żale z powodu rozstania z pańską córką – w nagłym przypływie zadziorności uniósł głowę i spojrzął na de Woorta – to trochę się pan spóźnił. O jakieś dwa lata, sir.

Cedric uśmiechnął się lekko, co trochę rozczarowało Tayne'a. Miał ochotę podsycić świeżo rozbudzoną złość. Miał ochotę kłócić się i wrzeszczeć, co być może pomogłoby mu odpędzić mroczne wspomnienia, wciąż krążące na skraju jego świadomości.

– Owszem – powiedział de Woort. – Na żale w istocie za późno. Przybyłem w innej sprawie, Michael. Penelopa zaginęła.

Do wciąż odurzonego barbituranami umysłu Tayne’a pełne znaczenie tych słów dotarło dopiero po chwili.

– Jak to? Co to ma znaczyć, że zaginęła? – wybełkotał, spoglądając z oszołomieniem na teścia.

De Woort odetchnął.

– Zacznijmy od początku – powiedział powoli. – Czy ty w ogóle wiesz, co się dzieje na świecie?

– Nie.

– Nic? – Cedric spojrział na rozmówcę z niedowierzaniem. – Nie słyszałeś o Hitlerze? O tym, co się stało w Polsce?

– Wiem, kim jest Hitler. Wiem, że zagarnął Austrię, a potem Czechy, ale... Nie. – Michael znów pokręcił głową. – Trzymałem się z daleka od wieści ze świata. Mieliliśmy tam radio, ale uciekałem, gdy słyszałem spikera. Bywało, że ktoś zostawił gazetę, ale nie spoglądałem na nią. Ja udałem się do Bethlem, by zapomnieć, sir. Nie pozwalałem, by cokolwiek się do mnie przedostało. Nie i koniec.

Mina Cedrika de Woorta zdradzała niedowierzenie i dezaprobatę.

– Brawo – powiedział z ledwie skrywaną naganą. – A ja, widzisz, postanowiłem zachować pełną świadomość tego, co się dzieje. Choćby po to, by w pewnym momencie znów wrócić do walki. Nie mam bynajmniej na myśli walki z karabinem w rękę, bo te marzenia odebrała mi już podagra, ale istnieje wiele innych sposobów, by ratować ten świat.

– O tym, co robi Biblioteka – rzekł Tayne – też próbuję zapomnieć.

– Przestań już miauczeć – warknął de Woort. – Z chwilą, gdy wyciągnąłem cię z tego wariatkova, twoje intelektualne wakacje dobiegły końca. Od tej pory, na dobre i na złe, należysz do tego świata, jego problemy są również twoimi, a spośród nich wszystkich na pierwszy plan wysuwa się Penelopa.

– Co się z nią stało? – Michael przytknął oczy.

– Mam nadzieję, że nic. Nadal mieszkasz na Falcon Road w Battersea?

– Chyba tak – wymamrotał Tayne. – Zapłaciłem właścicielowi za pół roku z góry, ale...

– Jeff, mój dobry człowieku! – Cedric pochylił się nieco do przodu. – Zawieź nas do Battersea. Muszę porozmawiać z moim zięciem, ale nie zrobię tego, póki się nie wykąpie i przebierze.

Kilkoma energicznymi ruchami opuścił szybę i do wnętrza limuzyny wdarło się zimne powietrze jesieni.

– Co się stało z Penelopą? – spytał ponownie Tayne.

– Później. – De Woort przymknął oczy. – Tak cuchniesz lizolem, Michael, że myśli nie mogę zebrać.

*

Rolls-royce ostrożnie wjechał na chodnik Falcon Road i znieruchomiał z włączonym silnikiem.

– Jeff, mój dobry człowieku. – Cedric de Woort pochylił się ku obitemu skórą fotelowi kierowcy. – Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Udaj się, proszę, pod ten adres i sprawdź, czy sporządzono dla pana Tayne’a...

Michael nie słuchał. Pchnął drzwi i wysiadł na zewnątrz, gdzie znów owionął go zimny wiatr. Uniósł głowę i spojrzał na chmury, gęste i skłębione, sunące tuż nad dachami. Gdzieś wysoko frunęło stado spłoszonych gołębi. W oddali, gdzie obłoki się rozdzielały, wisiało pękate cielsko balonu zaporowego.

Zapomniał, jak wielki jest świat.

Opuścił głowę i rozejrzał się dookoła. Podmuchy wiatru toczyły po chodniku starą, zmiętą gazetę i inne papierowe śmieci. Z pobliskiej apteki wyszedł gruby jegomość w lichej marynarce, ściskając pod pachą koszyk, ze znajdującej się tuż obok pralni dobiegały odgłosy kłótni. Przed witryną sklepu z tapetami stała młoda para i rozmawiała o czymś szeptem. Woźnica przejeżdżającej furmanki zaklął w cockneyu, mijający go cyklista w wełnianej czapce pozdrowił starszą panią w oknie, ale jego słowa zagłuszył rozregulowany silnik przejeżdżającego obok motocykla, ciągnącego przyczepkę reklamującą usługi cyruliczne.

Przez moment Michaelowi wydawało się, że wszystko wyglądało dokładnie tak, jak sobie to zapamiętał. O wojnie przypominał mu tylko ów balon zaporowy, ale gdy ponownie uniósł głowę, okazało się, że już go nie widać. Niemalże się uśmiechnął, ale wtedy ujrzał de Woorta, który przeszedł obok limuzyny, ruszającej wśród obłoków spalin.

Widok teścia na powrót wlał chłód w jego serce.

Starszy dżentelmen rozejrzał się wymownie. W jego przymrużonych oczach błysnęła dezaprobata i być może miał ochotę skrytykować okolicę, ale nie powiedział ani słowa.

– Prowadź – oznajmił z udawaną swobodą.

– Chce pan pójść ze mną do mieszkania? – upewnił się Michael.

– Nie, nie chcę. – De Woort się skrzywił. – Ale niestety nie mam wyboru. Nikt bowiem nie da mi gwarancji, że nie czmychniesz przez okno i nie zaszyjesz się tym razem, dla przykładu, wśród chińskich opiumistów na East Endzie.

– Byłem już wśród opiumistów – mruknął Tayne. – Bite trzy miesiące.

– I jak było?

– Na tyle dobrze, że w pewnym momencie zapomniałem już, że są Azjatami. I na tyle źle, że w końcu ich zostawiłem.

Znów powiał wiatr, który przeniknął tkaninę cienkiego płaszcza Tayne'a. Mężczyzna się wzdrygnął i wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni okrycia, gdzie wymacał klucze do swego mieszkania. Nie czekając na de Woorta, włożył większy z kluczy do zamka zardzewiałej furty zagrządzającej wejście na podwórze, która, co powitał niemalże z sentymentem, zawsze na początku stawiała opór. Następnie ruszył po wąskich, ciemnych i cuchnących szczytnami schodach na drugie piętro. Wyczuwał złowieszczą obecność podążającego za nim Cedrika.

– Kiedyś było tu inaczej – powiedział Michael nieco przeprasającym tonem, zupełnie wbrew sobie. – Wie pan, kiedy...

– Nie interesuje mnie przeszłość – burknął de Woort. – Przeszkadza mi natomiast to, że ta klatka schodowa cuchnie jeszcze bardziej od ciebie. No, otwieraj te drzwi.

Tayne wymamrotał coś pod nosem i po kilku nieudanych próbach wsunął klucz do zamka. Ten stawiał opór, jak to bywało wcześniej, ale w końcu poddał się z głośnym zgrzytnięciem i odrapane, nieco wypaczone drzwi stanęły otworem. Michael przestąpił próg i wkroczył w ciemny, szary świat, przed którym z przerwami próbował się chronić od dwóch lat.

Pokój, skąpany w szarym świetle listopadowego popołudnia, wyglądał mniej więcej tak, jak w chwili, gdy go opuścił. Wspomnienia miał mętne, ale wydawało mu się, że w dniu, w którym zdecydował się uciec do Bethlem, niebo również było szare i nieprzyjazne. Okno wychodzące na zaniedbane podwórko z lichą trawą wydawało się jeszcze bardziej brudne niż wówczas, przez co zasłony przypominały teraz żółtawe wodorosty, a wyliniały dywan – splachetek wyschniętego mchu. Z pozostawionej na stole popielniczki nadal sterczał samotny niedopałek, w zlewie aneksu kuchennego wciąż tkwiła szklanka po taniej whisky, a pościel leżała rozgrzebana tak, jak ją zostawił.

Nic się nie zmieniło. Zupełnie nic. A mimo to Michael odruchowo spojrzął na niewielką półkę obok starego radia, gdzie stały dwa zdjęcia w ramkach. Z ulgą powitał fakt, że oba nadal były przewrócone.

– Co za nora – warknął de Woort, który zamknął drzwi.

– Kiedyś tu było inaczej – powtórzył Tayne.

– Jasne. – De Woort przeszedł przez pokój. Jego eleganckie, wypastowane buty ze skóry stwarzały osobliwy kontrast z dziurawym dywanem. – Oczywiście, że tak. Nie sądzę, by ona zgadzała się na życie w... czymś takim.

Zdecydowanym ruchem uniósł większe ze zdjęć i je postawił. Z wnętrza białej ramki spoglądała na niego uśmiechnięta tajemniczo Penelopa. Jej blask zdawał

się wypełniać pokój i Tayne odruchowo odwrócił spojrzenie. Zdołał jednak zauważyć, że starszy mężczyzna chciał podnieść również drugie zdjęcie, mniejsze, ale cofnął dłoń, a następnie włączył radio. Wśród szumów rozległ się głos spikera.

Cedric de Woort odwrócił się od półki i spojrzał na Michaela.

– Wyszoruj się – polecił mu. – Gruntownie. A potem spakuj najpotrzebniejsze rzeczy. Sugeruję ciepłą odzież. Bardzo ciepłą.

– Ciepłą. – Tayne oderwał wreszcie wzrok od przewróconego zdjęcia. – Nie powiedział mi pan jeszcze nic o tym, czego pan oczekuje. Pan – przechylił lekko głowę – czy ta cholerna Biblioteka?

W oczach de Woorta pojawił się lodowaty błysk.

– I pospiesz się – syknął, ignorując zaczepkę. – Wystarczająco czasu już zmarnowaliśmy.

Michael, wciąż nieco odurzony, chciał zaprotestować. Chciał zadawać kolejne pytania, słuchać odpowiedzi i znów protestować, ale nie zdołał. Nie znalazł w sobie zadziorności, z której słynął i za którą go przeklinano w poprzednim życiu. Przyjmowane leki dość skutecznie słamsiły jego osobowość, która odżywała rzadko na krótkie, wypełnione agresją chwile.

Bo w tym stanie było mu dobrze. Nie musiał wówczas myśleć czy analizować. Wspomnienia nachodziły go rzadko, a nieliczne koszmary i tak rozmywały się wśród pokrzykiwań personelu. Nagle zapragnął wrócić do tych zimnych sal i rozbrzmiewających echem korytarzy, po których snuli się odurzeni pensjonariusze, pogrążeni we własnych wizjach. Z nienawiścią spojrzał na człowieka, który go wyrwał z tego bezpiecznego świata, ale de Woort, dotąd zimny i oschły, teraz spoglądał na Michaela z czymś przypominającym współczucie. Tego zaś Tayne ze wszystkich rzeczy na świecie nie znosił najbardziej. Odwrócił się więc i bez słowa wszedł do zimnej łazienki, gdzie czekały na niego samotna żarówka pod sufitem, pożółkła wanna ze skrzypiącym kurkiem i brudne lustro, a także tysiące, tysiące coraz wyraźniejszych wspomnień.

*

Michael Tayne nie miał pojęcia, że ze wszystkich potraw, które przyrządzał kucharz klubu dla dżentelmenów zwanego Biblioteką, sola z Dover uchodziła za największy rarytas. Po miesiącach na wikcie Bethlem Royal Hospital wszystko, co nie było mdłym kleikiem, stanowiło dla niego królewską ucztę. Jadł więc łapczywie, jakby lada moment ktoś miał się tu pojawić i wyszarpnąć mu talerz,

a de Woort spoglądał na niego z mieszaniną niedowierzania i pobłażliwości, jakby w głębi duszy żałował, że zamówił dla swego gościa najdroższą potrawę.

Cedric od czasu do czasu skubał swą porcję bądź upijał łyk wina, ale widać było, że nie ma apetytu. Co chwila zerkał na zegarek na łańcuszku wyciągany z kieszeni marynarki i z niecierpliwością zerkał na drzwi, po czym znów wbijał wzrok w Tayne'a.

Ten zaś skupił się na kieliszku przy talerzu de Woorta.

– Mogę? – spytał, po czym, nie czekając na zgodę, wyciągnął rękę.

De Woort z oburzoną miną złapał kieliszek i go uniósł. Wino się rozkołysało, a jedna kropelka padła na biały obrus.

– Absolutnie nie – warknął starszy mężczyzna. Chciał dodać uzasadnienie, ale Tayne odwrócił się już w stronę kelnera, obsługującego stoliki innych członków klubu.

– Kolego – wychrypiał. – Mógłbyś mi podać kufelek piwa? Muszę czymś popić, bo...

– Jacob, mój dobry człowieku, mojemu gościowi wystarczy woda – oznajmił kategorycznym tonem de Woort, a kelner, który z wprawą zamaskował konsternację, ukłonił się i ruszył do kuchni.

Mijała już szósta godzina od chwili opuszczenia szpitala i Michael Tayne zaczynał dostrzegać, że jego organizm protestuje przeciwko odstawieniu barbituranów. Wiedział, że podawano mu niewielkie dawki, ale mimo to nie przypominał sobie, by jego dłonie kiedykolwiek tak drżały. Jednocześnie odżywały w nim te cechy charakteru, o których zdążył już dawno zapomnieć, i w spojrzeniu, którym obrzucił de Woorta, pulsowała z trudem maskowana złość.

– Nie jest pan moją niańką – prychnął, zaciskając widelec w pięści.

– Cóż, wygląda na to, że chyba jednak jestem – mruknął de Woort i skinął łysemu, korpulentnemu dżentelmanowi, który z zainteresowaniem przyglądał się interakcji. Ten odpowiedział tym samym i wrócił do posiłku, a Cedric na powrót skupił uwagę na rozmówcy.

– Nie odpowiada mi to w tym samym stopniu, co tobie, a więc po prostu rób, co ci każe.

Współczucie, które Michael przechwycił w jego spojrzeniu w swym mieszkaniu, znikło już jakiś czas temu i teraz, gdy Tayne spoglądał w zimne, obojętne oczy starszego dżentelmena, zastanawiał się, czy nie uległ wówczas złudzeniu. Mimo to nie miał zamiaru łatwo się poddawać.

– Chodziło tylko o kufel piwa – warknął. – Jeden jedyny kufel piwa. Czyżby budżet Biblioteki nie mógł tego znieść?

– Nie wiem, jak silne były leki, które ci podawano, ale wolę przyjąć, że w czaszce masz teraz mieszaninę zaprawy murarskiej z kozim gównem –

oświadczył Cedric. – Pojęcia nie mam, jak zareagujesz na alkohol, Michael, a nie mamy czasu na eksperymenty.

– Aha. – Tayne się skrzywił.

Pochylił się nad talerzem, nadział na widelec posypanego koperkiem ziemniaka, zjadł go ze smakiem, a potem odłożył sztućce i wytarł palce w białą serwetkę. I szybko schował dłonie pod obrusem, by jego gospodarz nie dostrzegł, jak drżą. – Czyli, jak rozumiem, zbliżamy się do momentu, w którym wyjaśni mi pan, dlaczego wyrwał mnie z dokładnie takiego życia, jakie dla siebie wybrałem?

Cedric de Woort raz jeszcze zerknął na zegarek i westchnął ciężko.

– W sumie rzeczywiście nie ma co zwlekać – oświadczył. – Oto, jak się ma sytuacja, Michael. Wczoraj Związek Radziecki zaatakował neutralną Finlandię wzdłuż całej granicy, od wybrzeży Bałtyku aż po Petsamo na północy. Sprawa nie dotyczyłaby ciebie i mnie bezpośrednio, gdyby nie Penelopa. Twoja żona, a moja córka przebywa gdzieś w Karelii, przypuszczalnie na północ od jeziora Ładoga, gdzie prowadzi badania etnograficzne. Nie mam z nią kontaktu od pewnego czasu, więc muszę założyć, że utknęła gdzieś na linii frontu. Chcę, byś ją odnalazł.

Michael Tayne wpatrywał się w rozmówcę przez długą chwilę.

– Z całym szacunkiem, sir, ale jeszcze kilka godzin temu byłem pacjentem zakładu psychiatrycznego i gdyby nie pańska interwencja, stałbym właśnie w kolejce po wieczorny kubeczek z lekami, gdzieś między tym śmierdzącym Walijczykiem Oswaldem a garbatym Joshem, który uważa się za słonia.

– Dość szybko jednak doszedłeś do siebie – zauważył Cedric i upił łyk wina. – Budujesz długie zdania, posługujesz się sarkazmem, wyostrzyła ci się percepcja. Jak tak dalej pójdzie, gdzieś za dwie godziny będziesz znów tym samym człowiekiem, któremu oddałem Penelopę za żonę.

Michael się skrzywił. Spojrzał na de Woorta z przekąsem i już miał otworzyć usta, ale przy ich stoliku pojawił się Jacob z karafką wody w ręce. Tayne wyrócił oczami, czekając, aż kelner napełni szklanę, a następnie ujął ją i wbił niechętnie spojrzenie w teścia.

– Czyli jakim człowiekiem? – spytał i upił łyk.

– Śmiałym – powiedział bez wahania de Woort. – Przebojowym. Ba, niezniszczalnym. Twoje raporty z misji w sułtanacie Zanzibaru oraz na północy Irlandii wzbudziły moje niedowierzanie, ale to, co zrobiłeś w Melili w samym środku hiszpańskiej wojny domowej, zakrawało na cud. Zrobiłeś wszystko, czego Biblioteka od ciebie zażądała, a do tego niepostrzeżenie uciekłeś. Do tej pory nikt nas nie powiązał z żadną z tych akcji, ani Ahnenerbe, ani żaden z liczących się, konwencjonalnych wywiadów europejskich. Byłeś gołodupcem z mundurem i naszywkami sierżanta Royal Marines w szafie, kilkoma bliznami i serią długów

karcianych, ale mimo to ci zaufałem. Uznałem, że taki mężczyzna zasługuje na moją córkę.

Michael wyprostował się na krześle i upił jeszcze trochę wody. Przez chwilę wsłuchiwał się w muzykę orkiestry Glenna Millera, dobiegającą z niewidzialnego głośnika w restauracji klubu, ze wszystkich sił odpychając od siebie wspomnienia o Penelopie. Potem znów skierował spojrzenie na swego rozmówcę. Połyskiwała w nim ironia.

– Co oznacza, że kiepsko się pan zna na ludziach, sir – rzekł.

– Czyżby? – Cedric de Woort uniósł brew.

– Służył pan w armii podczas Wielkiej Wojny, prawda? – spytał Michael, bawiąc się szklanką. – Royal Norfolk Regiment? Bitwa pod Mons, a później kampania mezopotamska?

– Zgadza się – przytaknął sztywno starszy dżentelmen. – Do czego zmierzasz?

– Ano do tego, że jako oficer powinien pan wiedzieć, że najdzielniejsi na polu walki najgłośniej drą się w szpitalach. A później, gdy opada kurz po bitwie i nie ma już do kogo strzelać, nie mogą się uspokoić. Wojna wciąż bije w ich sercach. Nie śpią, ulegają halucynacjom, wybuchają nieuzasadnioną wściekłością, popadają w rozpacz, dręczy ich depresja – opowiadał Michael, przyglądając się refleksom światła lamp, odbijającym się od obracanej w palcach szklanki. – A to tylko początek. Ów stan kończy się bowiem agresją wobec najbliższych. – Spojrzał wyzywająco w stronę rozmówcy.

– Czy to właśnie miało między wami miejsce? – spytał suchym głosem de Woort. – To chcesz mi powiedzieć?

– Nie. – Michael pokręcił głową. – Na szczęście nie. Doszło między nami do paru nieprzyjemnych sytuacji, ale nigdy nie podniosłem ręki na pańską córkę. Nie leży to w mojej naturze.

– To po co mi to mówisz? – W głosie de Woorta pojawiło się rozdrażnienie.

– By dać panu do zrozumienia, że nie zastanawiał się pan nad tym, komu oddaje córkę za żonę. Albo, co wydaje się bardziej prawdopodobne, dobrze pan o tym wiedział, ale miał nadzieję, że jakoś się poukłada, a teraz próbuje uspić moją czujność komplementami. Zbytecznymi, pragnę zauważyć. Dobrze wiem, kim jestem.

– A więc kim? – Starszy mężczyzna skinął na kelnera, by ten zabrał talerze, po czym zaczął nabijać fajkę. – Kim jesteś?

– Człowiekiem dręczonym bólem – odparł Tayne. – Straszliwym bólem. Mówią, że czas leczy wszelkie rany, ale ta... – Urwał i pokręcił głową, a następnie zacisnął zęby, jakby mogło to odpędzić wspomnienia, zewsząd pchające się do jego umysłu. Znów zacisnął pięści.

De Woort odłożył fajkę i odetchnął ciężko. Drgnął, jakby chciał wyciągnąć rękę i poklepać Michaela po dłoni, ale się rozmyślił.

– Wiem o wszystkim – powiedział suchym głosem. – Wiem, co się z tobą działo po owym... owym wydarzeniu. Wiem, że spędziłeś jakiś czas wśród opiumistów. Wiem o bokserskiej sławie, jaką zdobyłeś w dokach. Wiem o twojej odsiadce w więzieniu w Wandsworth, o harówce wśród orkadzkich rybaków i o sześciu miesiącach w tureckim kamieniołomie. Mamy więc – de Woort zaczął odliczać na palcach – narkotyki, ból, niewolę i harówkę, a na koniec jeszcze wariatkowo. Wygląda na to, że marnowałeś swój czas. Nic ci to nie dało. Nic nie przegnało twego cierpienia, a więc może najwyższy czas się z nim pogodzić?

– Jeśli najdzie mnie ochota na terapię, bez wątpienia się do pana zgłoszę, sir – odparł Michael, nawet nie kryjąc kąśliwości. – A teraz, jeśli pan wybaczy...

– Źle zrozumiałeś moje słowa – wycodził de Woort.

Jednym haustem dopił resztę wina i pochylił się nad swą niedojedzoną potrawą, wpatrzony w Tayne'a, jakby lada moment miał odrzucić stół na bok i skoczyć na niego. Michael zauważył, że zaciśnięte pięści starego dżentelmena lekko drżały, ale sam nawet nie drgnął.

– Ja nie próbuję cię pokrzepić na duchu, młody człowieku – mówił cicho Cedric. – Nie zależy mi na tym, byś poczuł się lepiej, ani też nie będę ci pomagał wrócić do normalności. Ja też jestem żołnierzem. Ja również widziałem w życiu straszne rzeczy i przeżywałem osobiste tragedie, ale po każdej z nich stanąłem na nogi, co prowadzi mnie do wniosku, że tobie też powinno się to udać.

Wpatrzony w drżące, wykrzywione w pogardzie usta, Tayne poczuł, że jego również zaczyna ogarniać wściekłość.

– Wygląda na to, że ponosisz klęskę. – De Woort mówił teraz ciszej, najwyraźniej świadom tego, że ludzie przy sąsiednich stołach słyszą każde słowo. – Widać uznałeś, że nie podołasz i cierpienie stanowi dla ciebie najlepsze rozwiązanie. W porządku, młody człowieku, nie będę ci w tym przeszkadzał. Możesz wrócić do swego starannie wyreżyserowanego piekielka, ba, sam cię odwiozę do pieprzonego Bethlem, ale dopiero po tym, jak zrobisz coś dla innych. Nie wolno ci – wymierzył w stronę Michaela drżący, krzywy palec – odwrócić się od tych, którzy kiedyś stanowili część twego życia.

Tayne walczył z ochotą, by pochwycić teścia za palec i złamać mu go z głośnym trzaskiem.

– Odmawiam ci prawa do tchórzostwa – zakończył de Woort i odetchnął ciężko, jakby tyrada zbyt wiele go kosztowała, a potem skinął na udającego obojętność Jacoba, by ten znów napełnił jego kieliszek winem. – Ze wszystkich sił – podjął jeszcze cichszym, łagodniejszym głosem – bronię się przed tym, co już dawno zrobiłby każdy ojciec. Wzbraniam się przed ocenianiem, Michael.

Wiem, co zakończyło wasze wspólne życie, i współczuję wam z powodu tragedii, którą sam również opłakałem. – Jego głos zadrżał ledwie zauważalnie, ale zaraz na powrót nabrał mocy. – Niemniej nigdy cię nie oceniałem. Nigdy nie zadałem sobie pytania, czy słusznie postąpiłem, oddając ci Penelopę za żonę. Nigdy nie wnikałem w wasze życie i nie próbowałem dociekać, czy moja córka jest z tobą szczęśliwa.

– Zbytek łaski – prychnął Michael.

– Nie – odparł chłodno Cedric. – Znam dobrze Penelopę. Wiem, że ma rogatą duszę i żelazną wolę, więc nie miałem wątpliwości, że odejdzie od ciebie w chwili, gdy uzna, że nie jesteś jej godzien. Ale zmierzam przez cały czas do czegoś innego, młody człowieku. – Znów się pochylił ku Tayne'owi. – Oddałem ci córkę i zaufałem, że będziesz dla niej dobrym mężem. Los sprawił, że wam nie wyszło, ale nie zmienia to faktu, że Penelopa wciąż jest twoją żoną. Wciąż jesteś jej winien wszystko, co możesz jej dać, młody człowieku, a więc niniejszym wracasz na żołąd Biblioteki.

W duszy Michaela nadal kotłowały się zaskoczenie oraz złość, ale obie emocje powoli przygasały i ustępowały miejsca tkliwości, której nie zaznał od dawna. Milczał więc, zaskoczony swą reakcją, a de Woort mówił dalej, nie dbając o to, czy ktoś go słucha, czy nie.

– Nie obchodzi mnie to, jak tego dokonasz, ale masz odnaleźć moją córkę i wrócić z nią do Londynu. To twój obowiązek, młody człowieku. Święty obowiązek wobec niej i siebie, a potem... – Znów spojrzął na zegarek. – Potem możesz sobie cierpieć do woli – dodał. – Choć sama wojna w Finlandii powinna ci wystarczyć. Mróz, czołgi i komuniści, pomyśl tylko.

Nagle Michaelowi zakręciło się w głowie, jakby zbyt długo wstrzymywał oddech. Jakaś zbłąkana myśl podpowiedziała mu, że chyba jednak dobrze zrobił, nie sięgając po alkohol. Odkaslnął w zwiniętą dłoń, oparł się łokciami o blat stołu i przez chwilę tarł czoło, dopóki chaos w jego myślach nie przygasł. A wtedy, ku jemu zdumieniu, uświadomił sobie, że podjął decyzję.

– Ta Finlandia – wychrypiał, przenosząc wzrok na de Woorta – to właściwie gdzie jest?

*

Michael Tayne siedział na skraju prostego łóżka, opierając łokcie o kolana, i patrzył przed siebie.

Usiłował skupić się na konkretnych szczegółach misji, które przed momentem usłyszał od de Woorta, ale te co rusz się rozmazywały i mu umykały. W jego sercu zaś w dalszym ciągu rozlewała się ta ciepła tkliwość, którą odkrył podczas

kolacji, z każdą chwilą coraz silniejsza. Nie umiał jej z niczym powiązać, kiedy nagle, wiedziony odruchem, nachylił się ku plecakowi i wyjął z niego zdjęcie Penelopy.

Nie miał pojęcia, jak się znalazło w jego bagażu – może wrzucił je tam sam de Woort? – ale poczuł ulgę. Wpatrywał się w tajemniczy, nieco figlarny uśmiech żony i miał świadomość, że odpowiada jej tym samym.

– Chciałem o tobie zapomnieć, wiesz? – powiedział do zdjęcia.

Nie, poprawił się zaraz w myślach. Nie o tobie. Chciałem zapomnieć o naszym wspólnym życiu. O tym, co je zakończyło.

Od dwóch lat dusił w sobie wszelkie wspomnienia, lecz te uparcie powracały. Przebijały się przez narkotyczne odurzenie, nawiedzały go tuż przed tym, jak wyczerpanie kazało mu zapaść w czarny sen, nieproszone rozświetlały chwile zagubienia. Ani na moment nie przestawał z nimi walczyć – wypierał je ze wszystkich sił, wyrzekał się ich – ale nie zdołał ich uśmiercić. Najwidoczniej były zbyt silne.

Najwidoczniej nadal kochał.

Dzika, namiętna, chaotyczna miłość, którą obdarzał Penelopę, niespodziewanie powróciła i wypełniła całe jego serce. Zalała je jak uwolniona fala rozciągająca władzę nad wyschniętym polem.

Zdradliwa, całkiem niepotrzebna łza rozmazała kontury zdjęcia, przez co uwieczniona na nim twarz zdawała się poruszać i obracać ku niemu. Jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Głos dobiegający ze szpitalnego korytarza w niczym nie przypominał tych, które Tayne słyszał od kilku dni. Uwijające się pielęgniarki odzywały się bez entuzjazmu, a ich rozmowy jedynie z rzadka przerywały wybuchy niechętnego śmiechu. Głos, który słyszał teraz, tętnił świeżością i taką energią, że Michael odruchowo pozazdrościł temu, którego kobieta miała zaszczycić swą wizytą. W myślach ujrzał wysoką, czarnowłosą damę w kapelusiku i modnym palcie, której rodzinne bogactwo pozwalało na dystans i pogodę ducha.

– Tayne? – spytała któraś z pielęgniarek znudzonym głosem. – Tam. Pokój numer siedem.

– Dziękuję! – odparł energiczny głosik.

Michael zamrugał, zaskoczony, i w tej samej chwili drzwi do pokoju szpitalnego, którego dzięki dyskretnej uprzejmości Biblioteki nie musiał z nikim dzielić, stanęły otworem. Do środka zajrzała nieco pucułowata buzia otoczona jasnymi, niesfornymi lokami.

– Michael Tayne? – spytała dziewczyna i nie czekając na odpowiedź, wtargnęła do środka.

Była niewysoka, nieco korpulentna i w niczym nie przypominała piękności, którą sobie przed chwilą wyobraził, ale emanowała energią, która unieważniała wszelkie mankamenty. Miała na sobie skromną letnią sukienkę i sweterek zasłaniający ramiona, a pod pachą ścisnęła wiklinowy koszyk.

– Aleś ty wygadany – oświadczyła, stawiając kosz w nogach jego łóżka. – Ojciec mówił, że pochłastał cię jakiś irlandzki kot. Nie uwierzyłam, bo chyba nie ma kotów, które groziłyby twardej wojakom Jego Królewskiej Mości, ale najwyraźniej z szoku po walce do dziś nie wyszedłeś.

– Ja... – wybełkotał. – Ja wcale nie...

– Pewnie, że nie. – Dziewczyna wskazała koszyk dłonią. – Ojciec kazał ci przekazać trochę papierów. Jakiś raport masz spisać i coś tam przeczytać. Nie znam się na tym.

Podeszła do okna i stając na palcach, wyjrzała na zewnątrz. Sukienka podsunęła się do wysokości kolan.

– Muszę zmykać, zanim jakiś gnojek ukradnie mój rower. Za pół godziny mam zajęcia – rzuciła i skierowała się ku drzwiom. – Miłej zabawy!

– Hej! – zawołał w ślad za nią. – Jak masz na imię?

– Penelopa! – dobiegł z korytarza jej głos.

Michael westchnął i odłożył zdjęcie, a potem, nie przebierając się, wyciągnął się na łóżku i zgasił lampę, by spróbować zapaść w pierwszy od miesiący, wolny od leków sen. Nie udało mu się to, a przynajmniej nie tak szybko. Przez kilka godzin miotał się po łóżku, dręczony bezsennością, a gdy wreszcie zdołał zasnąć, nawiedziły go duszne majaki, w których ze wszystkich kierunków nadjeżdżały złowieszcze, ryczące głośno autobusy, gotowe miażdżyć i rozgniatać.

Za oknem wirowały pierwsze płatki śniegu.

ROZDZIAŁ 3

2 grudnia 1939 roku

Cedric de Woort odsunął firany, by wpuścić do pomieszczenia jak najwięcej światła. Poranek, jak zwykle o tej porze roku, był szary i ponury. Wielkie chmury niemalże ocierały się podbrzuszkami o widoczne w oddali kominy fabryczne i zasypywały ulice miasta mokrym śniegiem. Stary dżentelmen westchnął ciężko i pokręcił głową.

– O wiele bardziej wolałbym słoneczny poranek – mruknął.

Odwrócił się od okna i wytarł spocone dłonie o spodnie. Parokrotnie odetchnął, by jakoś odegnać napięcie, ale niewiele to dało. Zaburczało mu w brzuchu, czemu nie mógł się dziwić, bo podczas śniadania mało co zdołał przełknąć.

– Dobra – powiedział lekko drżącym głosem. – Miejmy to już z głowy.

Usiadł przy zwykłym biurku w niewielkim, ciasnym pokoju, który zajmował w klubie dżentelmenów za każdym razem, kiedy nie mógł albo nie chciał wracać na noc do swego domu w Kingston upon Thames. Nie lubił go, ale w tej konkretnej sytuacji nie miał wyboru.

Tego, czym się zaraz miał zająć, w domu robić nie chciał.

Doskonale zdawał sobie sprawę z ryzyka i najchętniej w ogóle zapomniałby o tej możliwości. Astley, do którego zadzwonił wczoraj wieczorem, by przedstawić swój pomysł, najpierw długo milczał, a potem wyraził niechętną zgodę, po czym parokrotnie zaapelował do zdrowego rozsądku przyjaciela.

Całe szczęście, że Maurice nie uzależnił decyzji od słów Kensworthy'ego czy Huntera, pomyślał Cedric. Na pewno by się nie zgodzili. Zwłaszcza ten ostatni.

De Woort ponownie westchnął ciężko, wsunął dłoń do kieszeni marynarki, objął znajdujące się tam skórzane etui i wyjął je tak ostrożnie, jakby parzyło, po czym ułożył na biurku przed sobą, usiadł na krześle i wbił w nie wzrok.

Etui było prostokątne i nieduże, a na skórze, z której je wykonano, widać było liczne przetarcia i zadrapania. Stary dżentelmen przełknął ślinę i musnął palcem szew z cienkiego rzemyka, a następnie rozsunął grubszy, którym przewiązано pokrowiec. Szybkim gestem otworzył go, a na stół wysypały się karty.

Były stare, mocno wytarte, pozaginane na rogach, przetłuszczone i brudne, ale...

Ale kryły w sobie moc, a wyrysowane na nich symbole Małych i Wielkich Arkanów wprost niepokoiły swoją wyrazistością. Nie chcąc na nie patrzeć, de Woort pospiesznie przetasował talię, ułożył ją na stole i nakrył dłonią.

Talia, wykonana przez tajemniczego Włocha Tagelianiego, z całą pewnością nie była owiana taką sławą jak talie Viscontich-Sforzów czy Mategny, ale to właśnie na nią zwrócili uwagę archiwiści Biblioteki. Listy i memuary, spisywane od końca piętnastego wieku w rejonie Morza Śródziemnego, wyraźnie wskazywały na to, że talię Tagelianiego cechują niezwykle właściwości. Rzekomo wizje, które podsyłała, okazywały się zaskakująco celne, przez co stała się obiektem pożądania wielu wróżbitów i alchemików. Astley, który dokładnie zapoznał się z raportem na jej temat, bezzwłocznie zlecił de Woortowi zadanie odnalezienia kart, a ten po kilkutygodniowym śledztwie doszedł do wniosku, że najbardziej prawdopodobnym miejscem ukrycia talii Tagelianiego jest hiszpańskie miasto Melila na północnym wybrzeżu Afryki. Wysłany tam Tayne odnalazł karty w ciągu sześciu dni.

Tylko sześciu dni.

Cedric de Woort skupił swe myśli na Michaelu. Wyobraził go sobie, jak śpi w innym z klubowych pokoi, jak wstaje i przeczesuje włosy, jak zapala papierosa i pije kawę. Przypomniawszy sobie jego krzywy uśmiech i błysk niebieskich oczu, wreszcie wolnych od wpływu leków odurzających, oraz cięte riposty, poprzedzone długimi chwilami zawziętego milczenia. Potem wyobraził sobie Penelopę, z wesołym uśmiechem przymierzającą wełnianą czapkę, którą kupił jej przed wyprawą do Finlandii. Pomyślał o jej pełnych zadumy oczach, o pasji, z jaką rozprawiała o fińskiej poezji, o jej perlistym, słonecznym śmiechu i niepokoju, który wyczuwał w niej w chwilach, gdy sądziła, że nikt nie zwraca na nią uwagi.

Penelopa i Michael przypominali dwa ogniwa łańcucha rozrąbanego uderzeniem topora trzymanego przez los.

I wtedy, gdy de Woort nabrał pewności, że jego skupienie sięgnęło zenitu, śmiało wyciągnął trzy karty i ułożył je przed sobą.

Pierwszą, co nie zdziwiło go wcale, okazali się odwrócenie Kochankowie, symbol kojarzący się z rozpadem związku. Druga, Pięć Pucharów, poruszyła go o wiele bardziej – była to jedna z najsmutniejszych kart w talii, symbolizująca stratę czegoś niezwykle cennego i desperackie próby ukrycia żalu. Cedric pokiwał głową ze zrozumieniem i odsłonił trzecią.

Odwrócony Diabeł.

Stary dżentelmen wyprostował się, jakby ktoś chlusnął mu lodowatą wodą w twarz. Diabeł był jedną z najmroczniejszych kart – ostrzeżeniem przed nieczystymi intencjami i złą wolą innych, często z najbliższego otoczenia – a w pozycji odwróconej oznaczał wydarzenia, w których zabraknie moralnych granic, i ostrzegał przed ludźmi zdolnymi do czynienia czystego zła i niemającymi szacunku wobec żadnych świętości. Oczywiście istniało jeszcze kilka interpretacji, ale wszystkie orbitowały wokół tej głównej, a de Woort nie miał wątpliwości, że odczytał ją tak jak należy. Wszak talia, oprócz mętnych wizji przyszłości, podsyłała wróżącemu również najlepsze sposoby ich odczytania.

– Piekło i szatani – zaklął cicho de Woort. – Penelopa i Michael będą mieli przeciwnika. Bezwzględny, bezlitosny przeciwnik.

W jego głowie zawirowały kolejne myśli. Siedział nieruchomo, analizując to, co właśnie wyjawiała mu talia. Otrząsnął się dopiero po kilku minutach. Pospiesznie schował karty do etui, a to wepchnął do kieszeni. Rozejrzał się dookoła.

Spóźnił się. W jednym z kątów pokoju już zgęstniała lepka ciemność. Zaszło mu w ustach. Wpatrywał się w nią ze zgrozą, aż wreszcie, po niewyobrażalnie długiej chwili oczekiwania, ta zaczęła się rozpraszać.

– Nigdy więcej – obiecał sobie szeptem.

Wiedział, że kłamie.

*

Michael Tayne wstał na długo przed tym, jak Cedric de Woort zamknął się w swoim pokoju. Nie miał pojęcia, że ojciec Penelopy przebywa na terenie klubu, i cieszył się, że nie będzie musiał się z nim widzieć. Ich rozmowa przy kolacji okazała się dla niego wstrząsem, który wolał przepracować w samotności i ciszy. Śniadanie zjadł w pokoju, a milczącemu portierowi, który na odchodnym wręczył mu grubą kopertę od de Woorta, podziękował niewyraźnym mruknięciem. Szofer, który wiozł go zabłoconymi ulicami Londynu w stronę Waterloo Station, na szczęście również nic nie mówił.

W skrytości ducha Tayne się cieszył, że wyjeżdża.

Był przypuszczalnie jedynym względnie przytomnym na umyśle Brytyjczykiem, który do wczoraj nie miał pojęcia o toczącej się wojnie. Z tego, co zdążył się dowiedzieć, działania wojenne zatrzymały się niedługo po tym, jak armia niemiecka skruszyła opór Polaków i zajęła większość ich kraju – od tej pory nigdzie nie weszły w prawdziwie dramatyczną fazę. Nie zmieniało to jednak faktu, że wojna zdążyła już wnikać w duszę miasta. Londyn zawsze był hałaśliwy i zatłoczony, a zarazem beztroski i wolny od napięcia. Teraz Michael wszędzie widział barykady z worków z piaskiem, zaklejone taśmami lub zasłonięte deskami okna. Co prawda drzwi do sklepów i firm wciąż się otwierały i zamykały, a wielkie litery szyldów wzywały klientów, ale Tayne dostrzegał w tym desperacką próbę zaklinalnia rzeczywistości. Wiedział, że latarnie uliczne, górujące nad głowami przechodniów, nie zapalają się w nocy z powodu wprowadzonego zaciemnienia. Zauważył, że samochodów jest mniej niż zwykle, czego przyczyną był państwowy program oszczędzania paliwa. Poza tym dosłownie na każdym kroku spotykał wojsko.

Wojna, choć odległa i w zasadzie umowna, zatruła już jego miasto i Tayne'owi ciężko było na to patrzeć. Przegapił jej początek i teraz nie mógł się do niej przyzwyczaić. Liczył na to, że w odległej Finlandii, gdzie starcia dopiero się rozpoczęły, w pełni pojmie jej naturę. Z tego, co dowiedział się z gazet, dochodziło tam do krwawych masakr. Ale tych się nie bał. Wiedział, czym są huk karabinów maszynowych i eksplozje granatów. Przywykł do bólu i cierpienia, a lęk przed śmiercią oswoił już dawno. Do tego stopnia, że podczas wojny umiał się odnaleźć lepiej niż w zwykłym życiu.

Poza tym gdzieś w tym zamieszaniu zaginęła Penelopa.

Wyjął kopertę, którą wręczył mu portier, obejrzał dokładnie i otworzył ją szarpnięciem. Ze środka wypadły dwa bilety oraz kartka, na której widniało kilka zdań skreślonych śmiałym charakterem pisma Cedrika de Woorta:

Wybacz, że nie udało mi się dziś z tobą spotkać, ale miałem na głowie kilka spraw związanych z twoim wyjazdem. Udasz się teraz do Huntingdon, gdzie odnajdziesz lotnisko RAF-u. Resztę dokumentów przekaze ci kurier, który będzie czekał na ciebie przy bramce prowadzącej na peron 5. Powodzenia. C.

Wkrótce samochód zatrzymał się przed Victory Arch, głównym wejściem na dworzec Waterloo. Tayne upewnił się, że koperta nadal znajduje się w jego kieszeni, po czym złapał swój plecak, pożegnał kierowcę kolejnym mruknięciem i wysiadł w zimną aurę Londynu. Temperatura oscylowała w okolicach zera, a na

dachach nadal zalegała cienka warstwa śniegu, ale nad miastem wciąż wisiały ciężkie chmury, przez co jego biel bardziej przywodziła na myśl szarość. Powietrze cuchnęło dymem i spalinami, a zabłocony chodnik pełen był kałuż. Michael odruchowo postawił kołnierz płaszcza, zarzucił plecak na ramię i pospiesznym krokiem przeszedł pod zegarem wiszącym na Victory Arch, który wskazywał kilka minut po ósmej.

W środku dworcowego budynku również wszystko przypominało o wojnie. Mijał plakaty reklamujące zakup obligacji wojennych oraz akcję wywożenia dzieci na prowincję, przeszedł obok grupy żołnierzy, którzy siedzieli pod ścianą i grali w karty bądź drzemali, dostrzegł bladą ze zdenerwowania kobietę, która ciągnęła za sobą dwie dziewczynki w eleganckich płaszczykach. Jej mąż usiłował nadążyć za nimi, taszcząc dwie walizki. Miał zaczerwienione oczy, jakby przed chwilą płakał.

Tayne wbił dłonie w kieszenie płaszcza i pochylił głowę, chcąc się jakoś odgrodzić od kłębiących się w powietrzu emocji. Nie potrafił jednak zignorować zamieszania wojennego, ponieważ im bliżej się znajdował zakratowanych bramek zagradzających wejście na peron, tym bardziej tłum gęstniał. Cywile mieszały się z wojskowymi, wszędzie piętrzyły się walizki, kufry, plecaki oraz tysiące rzeczy, z którymi uciekający z miasta ludzie nie chcieli się rozstać – wózki dziecięce, rowery, klatki z ptakami, a nawet akordeony. Jakiś otyły mężczyzna wyklócał się z konduktorem, kilkoro małych dzieci chichotało, uganiając się wokół sterty bagaży, gdzieś rozdierająco płakało inne. W pewnej chwili gwar przeciął odległy gwizd oraz syk pary ruszającej powoli lokomotywy.

Michael Tayne zacisnął powieki. Zapomniał o tym, jak wielki, zatłoczony, a przede wszystkim głośny był świat, którego się wyrzekł. Przez moment walczył z odruchem, by zawrócić i czmychnąć, ale chwilę później, gdy minął tablice z rozkładami jazdy, dostrzegł ogromny kiosk „W.H. Smith & Son Strand House” z ladą zawaloną stosami gazet. Z boku, gdzie sklepikarz ułożył książki grzbietami do góry, stał młody człowiek w czarnym płaszczu, który z papierosem w ustach kartkował jakiś tom. Emanował typową dla arystokracji obojętnością na cały świat, zupełnie jakby pośpiech i nerwowość dworca kolejowego w czwartym miesiącu trwania wojny w żadnym stopniu go nie dotyczyły. Tayne poczuł mieszaninę irytacji z zazdrością i w tej właśnie chwili młody mężczyzna uniósł głowę, dostrzegł Michaela i pomachał dłonią w rękawiczce, a potem odłożył książkę i ruszył ku niemu.

– Michael Tayne, jak rozumiem? – odezwał się z akcentem z wyższych sfer, po czym, nie czekając na odpowiedź, wyciągnął ku niemu rękę. – Theodore Augustus Astley – przedstawił się. – Miło mi pana poznać. Mam dla pana przesyłkę od Cedrika de Woorta.

Tayne spojrział na wyciągniętą dłoń i uścisnął ją niechętnie.

– Przesyłkę od de Woorta, tak?

– Oczywiście! – Theodore się rozpromienił i sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza z kaszmiru. – Proszę bardzo.

– Po co to wszystko?

– Ta przesyłka? – Młody człowiek uniósł lekko brew. – Cóż, założyłem, że będzie pan wiedział. Ustalaliście, jak rozumiem, z panem de Woortem jakieś szczegóły, a teraz...

– Nie to mam na myśli – przerwał Astleyowi Michael, przyglądając się mu i wychwytyjąc coraz to nowsze irytujące szczegóły. Guziki z masy perłowej. Silny zapach wody kolońskiej. Włosy przygładzone brylantyną. Złoty zegarek wystający spod rękawa płaszcza. Nie przepadał za ostentacją wyższych klas, która w tym miejscu, przepełnionym niepokojem i niepewnością, wydawała mu się szczególnie nie na miejscu. – Po co to przedstawianie się? – warknął i niemalże wyszarpnął młodzieńcowi kopertę z ręki. – Po co szastanie nazwiskami?

– Dziadek oraz pan de Woort nic nie wspominali o tym, że nie można się przedstawić. – Astley stracił nieco rezon.

– Aha – mruknął Tayne, chowając kopertę do plecaka. – A więc w sumie czemu by nie wspomnieć o tym spotkaniu w kronice towarzyskiej?

Zrobił krok naprzód, ale zawahał się i raz jeszcze spojrzął na młodzieńca.

– Dziadek? – spytał z grymasem. – Stary Astley? Szef tej cholernej Biblioteki?

– Lord Maurice Benedict Astley – wycedził młody człowiek z dumą, prostując się odruchowo. – Ten sam. Przywykłem do tego, że o najwybitniejszych członkach mojej rodziny inni wypowiadają się z szacunkiem, a...

– Ja zaś przywykłem do tego, że kurier przekazuje przesyłkę i znika – odparł Tayne. – I nie przedstawia ani siebie, ani swojej rodziny.

Odwrócił się i ruszył ku bramce, za którą znajdował się niemożliwie zatłoczony peron.

– Zaczekaj! – zawołał Theodore. – Ja nie jestem żadnym kurierem! Ja też jadę tym pociągiem!

Tayne kątem oka dostrzegł, że młody rusza za nim biegiem, ale naraz przypomina sobie, że jego walizka wciąż stoi pod ladą kiosku. Zawrócił po nią, a wówczas Michael skorzystał z sytuacji, przyspieszył kroku i błyskawicznie znikł w tłumie oczekujących.

– Tayne! Tayne! – wołał za nim Astley, ale jego głos nikał wśród gwaru pokrzykiwań, śmiechów i płaczu.

W tej samej chwili tłum zgromadzony na peronie zafalował. Z jego głębi nadjeżdżała lokomotywa, otoczona kłębami pary. Pociąg wytracał prędkość,

a ludzie chwyтали walizki i wymieniali ostatnie pożegnania, nagle przecięte ostrym świstem maszyny. Tayne prześlizgiwał się między pasażerami i co rusz oglądał za siebie, ale młodego Astleya na szczęście nigdzie już nie widział. Gdy ogromna, dysząca parą lokomotywa zatrzymała się z głośnym sapnięciem, jako jeden z pierwszych wepchnął się do wagonu.

– Powoli, ludzie, powoli! – huknął konduktor z sumiastymi wąsami, ale nawet on musiał się cofnąć przed naporem masy ludzi z bagażami.

Wzdłuż wagonu ciągnęły się dwa rzędy podwójnych, zwróconych ku sobie siedzeń i Tayne w pierwszej chwili chciał usiąść przy oknie, ale przepuścił przodem bladą, młodą kobietę z dwójką wystraszonych chłopców. W tej samej chwili na upatrzonym przez Michaela siedzeniu klapnął skwapliwie brzuchaty jegomość z poczerwieniałym obliczem i przekrwionymi oczyma. Wszystkie pozostałe siedzenia zostały w okamgnieniu zajęte, równie szybko wypełniło się przejście między nimi. Ktoś zażądał przesunięcia walizki i poparł to wściekłym przekleństwem, ktoś wołał coś z okna, lecz jego słowa zagłuszył syk maszyny, konduktor wyklócał się z jakimś człowiekiem na peronie. Wnętrze wagonu szybko wypełnił zapach wilgotnych ubrań.

Tayne stłumił ciężkie westchnienie. Próbował sobie przypomnieć, ile trwa podróż do Huntingdon, a potem skonstatował, że przecież jest wojna i można się spodziewać opóźnień wywołanych przez transporty wojskowe. Wbrew sobie uśmiechnął się lekko. Nie lubił ścisku, ale w porównaniu z tym, przez co przechodził w ostatnich miesiącach, podróż w zatłoczonym, dusznym pociągu wydawała się niemalże relaksująca. Zsunął plecak z ramienia, ustawił go sobie między nogami, przeprosił skinieniem głowy grubasa, którego niechcący trącił w kolano, po czym napotkał wzrok jednego z chłopców.

Mały, który mógł mieć nie więcej niż pięć lat, wpatrywał się w niego szeroko otwartymi, błękitnymi oczami, w których ciekawość łączyła się z przestachem. Jak na dziecko był śmiertelnie poważny, co podkreślał wielki beret na głowie, przypuszczalnie wręczony na odchodnym przez powołanego do wojska ojca. Michael wytrzymał spojrzenie dziecka przez krótką chwilę i odwrócił głowę.

Znów zawładnęła nim niechęć do całego świata.

Planował, że w drodze do Huntingdon zdoła się zdrzemnąć i zapoznać z materiałami od de Woorta, ale nie udało mu się to nawet wówczas, gdyby znalazł wolne miejsce. Chłopiec zapewne odwrócił już spojrzenie, ale Tayne nadal czuł na sobie jego intensywność i wiedział, że długo o nim nie zapomni. Że długo nie zdoła się na niczym skupić.

Konduktor zagwizdał. Lokomotywa sapnęła raz jeszcze i powoli, mozolnie zaczęła się toczyć przed siebie. Tłum podróżnych rozkołysał się, gdy ktoś zaczął

przez niego przechodzić, ale Michael podniósł głowę dopiero, gdy usłyszał znajomy głos.

– Przepraszam! Gdyby była pani uprzejma... O właśnie, tyle właśnie miejsca wystarczy... Jest pani bardzo uprzejma. O, proszę wybaczyć, nie chciałem...

Za ramieniem niskiego wychudłego mężczyzny o zmęczonych oczach pracownika banku zamajaczył Theodore Augustus Astley, który przedzierał się przejściem między siedzeniami, wlekąc za sobą walizkę i przepaszając wszystkich naokoło. Ludzie reagowali gniewnymi pomrukami i niechętnie odsuwali się od siebie, ale młody arystokrata nie zwalniał. Gdy zauważył Tayne'a, rozpromienił się szeroko.

– Wiedziałem, że pana znajdę! – oznajmił wesoło, przyciągając spojrzenia obu chłopców, a następnie uniósł walizkę i wsunął ją na półkę nad głowami siedzących. – Czy mogłaby się pani nieco przesunąć...? O, idealnie. Starczy miejsca dla nas wszystkich. Pięknie dziękuję. Uff! – westchnął, na powrót odwracając się ku Michaelowi. – Wielka szkoda, że się rozdzieliliśmy na peronie – mówił, najwyraźniej nie dostrzegając chłodnej niechęci na obliczu Tayne'a. – Może udałoby się nam znaleźć jakieś miejsca obok siebie i porozmawiać...

– Mam wrażenie – wycedził Tayne, który nie cierpiał zabierać głosu w większym towarzystwie – że już powiedzieliśmy sobie wszystko, co trzeba.

– A mi się wydaje, że nawet nie zaczęliśmy! – Młodzieniec się roześmiał. Zapach jego wody kolońskiej mieszał się z duszną wonią wagonu i Tayne poczuł, jak śniadanie podchodzi mu do gardła.

– Cześć, chłopaki! – Astley nachylił się nad dwoma chłopcami, którzy siedzieli tuż obok, a potem posłał promienny uśmiech ich matce, która co prawda odpowiedziała uśmiechem, ale bladym i nieprzekonującym. – Wynosicie się z miasta, co? Słusznie, słusznie, wcale się nie dziwię. Miasto jest brudne i głośnie!

– Nasz tata jest w marynarce! – oświadczył młodszy z chłopców. – Na Greenhoundzie!

– Greyhoundzie! – poprawił go starszy brat.

– Nie zwracajcie panu głowy – wyszeptała ich matka, odruchowo strzepując niewidzialny pyłek z palta siedzącego bliżej niej syna.

– Ależ skąd! – Theodore wyprostował się z urażoną miną. – Chłopcy właśnie dali mi do zrozumienia, że są dumni z własnego ojca! Jak coś takiego można nazwać zwracaniem głowy? Brawo!

Trącił każdego z chłopaków po łobuzersku w ramię, a ci uśmiechnęli się najpierw do siebie, a potem do niego, wyraźnie podniesieni na duchu.

– Zawsze uważałem, że Royal Navy to najwaleczniejsze chłopaki na świecie – ciągnął Astley i uniósł ręce, najwidoczniej dopiero się rozkręcając, ale niespodziewanie przerwał mu czyjś ostry głos:

– I do nich, jak rozumiem, masz zamiar, chłopcze, dołączyć?

Pytanie padło z ust opasłego jegomościa siedzącego naprzeciwko matki chłopców. Tayne zapamiętał, że ten zaraz po zajęciu miejsca pochylił głowę i cicho zachrapał, ale głośne słowa Astleya najwyraźniej wyrwały go z drzemki, bo spoglądał teraz na młodzieńca z niechęcią w mętnych, przekrwionych oczach.

– Ja? – zdziwił się Astley.

– Tak, ty – prychnął grubas. – A któż by inny! Bo jak zapewne już wiesz, trwa właśnie wojna i każdy, kto ma w sobie choć odrobinę przyzwoitości, zastanawia się, jak pomóc krajowi. Pełno takich fircyków jak ty trafiło do RAF-u, ale tobie, jak widać, Royal Navy bardziej pasuje?

– Nie – odparł Theodore z urażoną miną. – Akurat nie.

W wagonie ktoś parsknął pogardliwie, ktoś inny roześmiał się krótko. Wszyscy słuchali z zainteresowaniem, a głosy obu mężczyzn przebijały się przez łoskot kół na szynach.

– Mam inne plany – oświadczył młodzieniec. – Choć również z wojną związane. A skoro już o przyzwoitości mowa... – Przechylił lekko głowę, świdrując rozmówcę wzrokiem. – Wypowiada się pan dość kategorycznym tonem, co oznacza, że o swoim udziale w wojnie już pan zdecydował. Ciekawym co!

Grubas poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Swoje dla kraju zrobiłem pod Ypres! – warknął wściekle. – A młodszy byłem od ciebie, chłystku!

– Wciąż się pan może przysłużyć! – odparł Astley i ukucnął przy młodszym chłopcu, po czym szepnął mu do ucha tak, by wszyscy usłyszeli: – Słyszałem, że nad Londynem przyda się kolejny balon zaporowy!

Obaj chłopcy zachichotali głośno, a ich matka przygryzła wargę, by nie wybuchnąć śmiechem. W wagonie na moment zrobiło się wesoło, gdyż inni podróżni nie krygowali się tak bardzo i nawet sam Tayne uśmiechnął się lekko. Następne słowa Theodore'a zmroziły go jednak tak bardzo, że natychmiast zapomniał o wesołości.

– Ja, drogi panie – podjął młodzieniec, wpatrując się w otyłego pasażera – jestem człowiekiem niecierpliwym. Nie mam zamiaru czekać, aż któryś z wrogów demokracji zbliży się na tyle do linii Maginota, by móc go kropnąć. Czym prędzej ruszam na wschód, by stanąć u boku Finów, którzy walczą z nawałą komunistów!

Spojrzał przy tym wyzywająco na Tayne'a i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz? Naprawdę dobrze byłoby usiąść gdzieś razem i porozmawiać”.

*

Przez trwającą kilka godzin jazdę do Huntingdon Theodore Augustus Astley niezmiernie zabawiał podróżnych najrozmaitszymi historyjkami. Podróż ciągnęła się w nieskończoność – na jednej ze stacji pociąg czekał ponad czterdzieści minut, aż się zwolni magistrala, zablokowana przez transporty wojskowe – a w zatłoczonym wagonie unosiła się duszna aura, ale młody arystokrata najwyraźniej nic sobie z tego nie robił i ani na moment nie przestawał gadać. Najpierw opowiedział obu najwyraźniej zafascynowanym chłopcom kilka bajek, następnie przeniósł spojrzenie na ich matkę i spytał, do którego parku zabiera synów na spacer. Okazało się, że projektantem ich ulubionego zieleńca był jego odległy krewny, człowiek oczywiście tak ekscentryczny, że posłużył jako bohater kilkunastu dyktoryjek. Potem Astley płynnie przeszedł do polityki i uraczył towarzystwo paroma anegdotami o Chamberlainie i członkach jego rządu, rzucił kilka słów o przewadze spitfire'a nad jakimkolwiek innym samolotem, zażartował z dziwnej wojny, a następnie, w odpowiedzi na czyjeś pytanie, skomentował wojenną drożynę oraz obowiązek zaciemnienia, co z kolei okraślił mało wybrednym erotycznym żarcikiem, który jednak rozbawił większość podróżnych. Theodore nie narzucał nikomu własnych poglądów, nie flirtował i nie wywyższał się, chętnie też nawiązywał rozmowę z każdym, kto tylko się do niego zwrócił, i wnet nawet grubas-weteran spod Ypres zapomniał o urazie i słuchał go z zaciekawieniem.

Tayne, który przez całą podróż stał zwrócony do Astleya, był przypuszczalnie jedynym człowiekiem w całym wagonie, który modlił się w duchu, by młody człowiek wreszcie się przytknął, i zawzięcie ignorował wszelkie próby nawiązania rozmowy. Usiłował się jakoś od niego odsunąć, co w zatłoczonej przestrzeni graniczyło z niemożliwością, a także go zignorować, co okazało się jeszcze trudniejsze, bo Astley, gdy wreszcie skupił na sobie uwagę wszystkich obecnych, uraczył ich opowieścią o okropnościach trwającej właśnie wojny zimowej.

On rzeczywiście się tam wybiera, pomyślał ze zgrozą Michael. Mam nadzieję, że stary de Woort w przeblysku geniuszu nie wyznaczył go na mojego towarzysza. Muszę zgubić tego pierdołę, i to jak najszybciej.

Tayne od zawsze był samotnikiem i w kontakcie z ludźmi popadał w zawzięte, ponure milczenie. Podczas służby w Royal Marines dorobił się przyzwiska Borsuk i nie wyniósł z niej żadnych typowo wojskowych, zażyłych przyjaźni, nie licząc paru cichych znajomości opartych na wzajemnym szacunku. Teraz, po wielu miesiącach poszukiwań spokoju w najsurowszych i najdziwniejszych miejscach na świecie, jego niechęć do integracji tylko się wzmożła. Gdy cały

wagon wybuchał śmiechem, Michael marzył tylko o tym, by przerwać potok elokwencji Astleya uderzeniem łokcia prosto w jego szczękę.

Wreszcie w zaparowanych oknach pojawiły się pierwsze zabudowania Huntingdon, a pociąg zaczął zwalniać. Tayne bez słowa złapał plecak i ruszył w stronę wyjścia, ignorując protesty i przekleństwa podróżnych, a na peron wyskoczył jako jeden z pierwszych. Nie zdziwił się wcale, gdy już po kilku krokach usłyszał za sobą rzeński okrzyk Astleya:

– Tayne! Niech pan zaczeka!

Czyli jednak chce się za mną wlec, pomyślał Michael. Niedoczekanie jego wielkie...

Zatrzymał się i odwrócił z obojętną miną. Młody arystokrata biegł ku niemu, trzymając walizkę w jednej ręce, a drugą pospiesznie dopinając guziki płaszcza.

– Do widzenia! – rzucił do dwóch starszych współpodróżnych, którzy życzyli mu odwagi w walce z komunistami. – Niech was Bóg prowadzi! Tayne!

Zatrzymał się przy Michaelu. Emanował młodzieńczą energią i niezmordowanym zapalem, a Tayne nie miał pojęcia, która z tych dwóch rzeczy irytowała go bardziej.

– Już myślałem, że chce pan się ulotnić, zanim porozmawiamy – wysapał Theodore i uśmiechnął się promiennie, a potem rozejrzał dookoła i dodał cichszym głosem:

– Muszę przyznać panu rację. Nasze działania powinny pozostać w sferze tajemnic i...

– Nasze? – przerwał mu oschle Tayne. Poprawił plecak, zwisający mu na jednym ramieniu, i wsunął do ust papierosa.

– Tak, nasze! – potwierdził Astley z entuzjazmem. – Nie chciałem mówić tego na głos przy wszystkich tych zacnych ludziach, ale mój dziadek poprosił mnie, bym wziął udział w pańskiej ekspedycji. Dziadek oraz pan de Woort wiele razem przeszli i najwyraźniej mają wobec siebie dług. Ja zaś...

– Ty tu jesteś walutą? – odezwał się Michael, wydmuchując dym. – Formą spłaty długu?

– Wyczuwam u pana pewną niechęć. – Astley wyprostował się, nieco urażony.

– Nie sędzę, by była uzasadniona. Zdaje się, że słyszał pan już nazwę Biblioteka?

– znów ściszył głos. Przemawiał teraz tonem tak konspiracyjnym, że ten wydawał się wręcz teatralny. – To organizacja czy raczej związek...

– Wiem, czym jest Biblioteka.

– Nie dojdziemy do niczego, jeśli będzie mi pan przerywał. Otóż Biblioteka zajmuje się...

– Jesteś głodny? – Tayne wydmuchnął ostatni kłęb dymu i przydeptał papierosa, następnie machnął ręką w stronę brudnej witryny dworcowej

restauracji. – Założę się, że mają tam jajka na bekonie oraz kawę. Zabiłbym za filiżankę kawy.

Kątem oka zauważył, że Astley mierzy przybytek krytycznym spojrzeniem, jakby się zastanawiał, czy jest gotów upaść tak nisko, by spożyć tam posiłek. Michael ruszył w stronę drzwi, nie oglądając się za siebie. Wkrótce usłyszał za sobą ostentacyjne westchnienie oraz kroki usiłującego nadążyć arystokraty. Uśmiechnął się paskudnie pod nosem.

Otworzył drzwi restauracji i wkroczył do sieni, w której zapach dymu papierosowego i smażonego boczku mieszał się z ostrą wonią środków czystości – Po prawej stronie znajdowały się drzwi do toalet. Wejście do sali dla gości przegradzała gruba kotara.

– Mam nadzieję, że ta speluna ma swoje ukryte walory – rzekł Astley, który wszedł za nim. – Bo na pierwszy rzut oka...

Michael odczekał, aż młody zamknie drzwi, a potem odwrócił się błyskawicznie i z całej siły grzmotnął go w brzuch. Zaskoczony Theodore zwinął się w pól, a wówczas Tayne rąbnął go pięścią w skroń. Zręcznie złapał walizkę, wysuwając się z drętwiejącej dłoni arystokraty, postawił ją na ziemi i jednocześnie złapał jego osuwające się ciało. Stęknął głucho pod jego ciężarem, ale zdołał się wyprostować i otworzyć drzwi do toalety. Posadził półprzytomnego Astleya na brudnym klozecie.

– Wybacz, chłopcze – mruknął Michael, wyciągając z plecaka linę. – Naprawdę za dużo gadasz.

Skrepował go sprawnie, przywiązał do najsolidniej wyglądającej rury i zakneblował jego własną chustką, następnie postawił obok walizkę Theodore'a i zatrzaskał drzwi ubikacji.

Chwilę później szedł już różnym krokiem wzdłuż ulicy owiewanej zimnym wiatrem. Musiał znaleźć taksówkę, która zabierze go do Abbots Ripton, bazy lotnictwa bombowego Royal Air Force.

*

Przed przejściem do NKWD Siergiej Muchalew służył jako politruk w 139. dywizji pancерnej Armii Czerwonej i tam właśnie opanował do perfekcji sztukę odpowiedniego dobierania słów. Musiał się przecież wysławiać tak, by wierchuszka nie miała wątpliwości, że święcie wierzy w cele partii i ideały komunizmu. Równie ważna okazała się dla niego umiejętność milczenia w każdej sytuacji, w której odzywanie się nie było absolutnie konieczne, co pomogło mu najpierw przeżyć wielką czystkę, a potem uzyskać stopień starszego lejtnanta bezpieczeństwa państwowego. Dla czwartego syna ubogiej rodziny

kamczackich hodowców łososi było to spełnienie wszelkich marzeń, więc Muchalew chciał zrobić wszystko, by móc swą pozycję utrzymać i wzmocnić. Milczenie zaś było jego najtwardszą tarczą.

Ci, którzy przebywali w otoczeniu lejtnanta, płynnie dopasowywali się do jego zwyczajów. Wystarczyło więc, by wszedł do obscurnego pokoju hotelowego – rzekomo najlepszego w całej Kandałakszy – i z hukiem zatrzęsął za sobą drzwi, a Esmeralda poderwała się znad kart, uśmiechnęła tajemniczo i ruszyła ku niemu. Muchalew zdjął ciężki od śniegu płaszcz i cisnął go na łóżko, a kobieta zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała prosto w zimne usta. Oficer wiedział, że kieruje nią wyrachowanie – chciała się dowiedzieć, w jakim on jest nastroju – ale traktował to też jako wyraz przywiązania. W końcu Esmeralda była niemalże dzikim stworzeniem, ledwie oswojoną wilczycą w ludzkiej skórze, a on... Cóż, w sercu oficera szalała furia podsyczona bezsilnością, a w takich chwilach stać go było jedynie na zwierzęce odruchy.

Złapał Cygankę za długie, gęste włosy i szarpnął za nie, by oderwać ją od siebie, a potem, nadal zaciskając dłoń na jej włosach, obrócił ją wokół własnej osi i pchnął na stół. Kobieta zatoczyła się i padła z impetem na blat, przewracając jakąś szklanekę, a Muchalew zaczął rozpinąć spodnie. Złapał kobietę za kark i przycisnął ją do blatu, a następnie zadarł jej suknię. Esmeralda gorączkowo ściągnęła kalessony i majtki.

Wszedł w nią ostro, bez pardonu, tak, jak lubił. Tak, jak potrzebował. Stół z szurnięciem przesunął się po podłodze, jakaś butelka się zakołysała i spadła na podłogę, a Muchalew zaklął wściekle, puścił szyję Cyganki i złapał ją za blade, nagie uda. Pchnął ponownie. I raz jeszcze, aż z ust kobiety wyrwał się ochryply jęk rozkoszy. Nigdy nie wiedział, czy udawała, czy też naprawdę lubiła brutalny seks, ale nie obchodziło go to. Grunt, że jemu taki właśnie pomagał.

Nie padło ani jedno słowo.

Doszedł w kilkunastu pchnięciach i cofnął się, zdyszany, nagle znużony. Przełknął ślinę i zapiął spodnie, a kobieta podniosła się powoli, rozczochrana i oszołomiona. Złapała wisiorek z czarnym kamieniem, który wysunął się z jej dekoltu, i wsunęła go z powrotem na miejsce, po czym poszła do ubikacji. Muchalew podniósł paczkę papierosów, która spadła na dywan podczas ich kopulacji, i zapalając jednego, podszedł do okna.

Patrzył na zaśnieżoną ulicę, którą teraz przemierzał rząd ciężarówek. Światła ich reflektorów przebijały zamieć. Lejtnant był pewien, że po wyjeździe z Kandałakszy skręca na wschód, ku stojącej w ogniu granicy fińsko-radzieckiej. Ba, czasami wydawało mu się, że słyszy głucho dudnienie artylerii zasypującej wrogie pozycje, ale nie myślał o starciach, które tam się toczyły.

Jego rozważania sięgały znacznie, znacznie dalej. Dumał o swej świetlanej przyszłości, która nagle zaczęła się oddalać z powodu uporu pewnego sędziwego karelskiego szamana, którego celę właśnie opuścił.

Trzasnęły cicho drzwi prowadzące do ubikacji. Muchalew śledził w szybie niewyraźne odbicie Esmeraldy, która ukucnęła przy stojącym w kącie piecyku i dorzuciła kilka drewnianych szczap. Nadal nosiła grube, wełniane skarpety, choć nie wciągnęła jeszcze kalesonów ani majtek. Lejtnant odwrócił głowę i zaczął przyglądać się jej udom, krępy i mocny, a po chwili spojrzał na twarz, wąską, rumianą, okoloną czarnymi lokami. Z jakiegoś powodu zawsze wydawała mu się niebezpieczna i drapieżna, co osobliwie go fascynowało. Chyba właśnie dlatego poświęcił jej tyle czasu podczas nużących przesłuchań, prowadzonych w gułagu z ramienia Zarządu Nauk Tradycyjnych NKWD, co doprowadziło do odkrycia jej daru.

Otóż Cyganka, która kazała się nazywać Esmeraldą, posiadała unikalną umiejętność wykrywania niecodziennych talentów.

Z początku jej nie uwierzył. Sądził, że próbuje go oszukać i skłonić, by oddał jej wolność, ale postanowił zaufać intuicji i kazał jej towarzyszyć sobie podczas kolejnych przesłuchań. Kilka dni później, gdy dwóch brutalnych wartowników wprowadziło do izby przesłuchań dumnego, starego Karela o hardym spojrzeniu, Esmeralda aż podskoczyła. Muchalew zarejestrował ruch kątem oka i instynktownie sięgnął po broń, ale Cyganka pochwyciła go za ramię i wyszeptała mu do ucha słowa, których miał już nigdy nie zapomnieć:

– To jeden z nich! To szaman! Oni... oni potrafią zmuszać żywoły do posłuszeństwa!

Podczas przesłuchania jeniec nie powiedział ani słowa. Przez cały czas wpatrywał się w Muchalewa z drwiącym uśmiechem człowieka, który nie boi się śmierci. W przeciwieństwie do innych przesłuchiwanym emanował wewnętrzną siłą i niewzruszonym spokojem. Zaintrygowany lejtnant postanowił zaufać Esmeraldzie. Kilka tygodni później urządził eksperyment z udziałem szamana.

Udało się.

Stary Karel w istocie władał niezwykłą mocą. Postawiony w obliczu rychłej śmierci, w okamgnieniu wezwał straszliwą mroźną zimę, ale na tym kończyła się jego ochota do współdziałania. Jak do tej pory demonstracja jego mocy za drewnianym ogrodzeniem, gdzie zginęło kilku innych więźniów, była ostatnią. Ani Muchalew, ani starszyna Wlekov, jego specjalista od brutalnych przesłuchań, nie wyciągnęli z szamana żadnych tajników mocy, o deklaracji współpracy nie wspominając. Karel wykazywał niespotykaną wręcz odporność na ból i nawet podczas ogromnych cierpień nie przestawał obdarzać swych ciemiężców pogardliwym uśmieszkiem.

Innymi słowy, Muchalew miał w ręku potworną broń, ale na razie nie umiał z niej skorzystać.

Przeniósł wzrok na Cygankę, a ta, choć nie patrzyła na niego, najwyraźniej wyczuła jego spojrzenie, bo uśmiechnęła się lekko, nadal wpatrzona w płomienie. Te buchnęły żywiej, a ich blask na moment upodobił jej oblicze do diabelskiego. Lejtnant patrzył, jak wstaje, bezszelestnie podchodzi i staje obok niego, zachowując dystans. Dobrze wiedziała, że nie znosił przesadnej intymności.

Znów spojrział na jadący ulicą konwój. Ostatnia ciężarówka przejeżdżała wśród zamieci, która wkrótce pochłoneła jej kształty.

– Pojedziemy za nimi? Na front? – spytała Esmeralda. Nawet jej rosyjski krył w sobie coś obcego i drapieżnego.

– Tak – odpowiedział po chwili. – Ale jeszcze nie dziś. Nie wiemy, gdzie szukać. Ten przeklęty dzikus nie pisnął ani słowa. Jego talent...

Naraz złapał się na tym, że chce mówić. Esmeralda wywierała na niego dziwny wpływ – ekscytowała go i pobudzała, ale jednocześnie sprawiała, że niektóre z jego surowych zasad ulegały poluznieniu. Nie wykluczał, że doskwierała mu konieczność utrzymywania tajemnicy, której był posłuszny od lat, i jak ryba, od czasu do czasu podpływająca do powierzchni, by zaczerpnąć tchu, on również niekiedy musiał powiedzieć coś więcej.

A Esmeralda, trzeba było jej przyznać, umiała słuchać.

– Jego talent to wielkie odkrycie – stwierdził i pogłaskał kobietę po policzku. Ta wyszczerzyła zęby, jak pies myśliwski łasy kolejnych pieszczoł. – Ale nie umiemy z niego skorzystać. Co więcej, jeden szaman to za mało. Kierownictwo Zarządu będzie domagać się większych sukcesów – ciągnął. – Potrzeba nam kolejnych jemu podobnych. Wielu! Jestem przekonany, że skoro znaleźliśmy jednego, musimy natrafić na innych.

– Takie talenty często są dziedziczone – mruknęła Cyganka. – Może jego dzieci też to umieją. Może ktoś z dalszej rodziny?

Muchalew wzruszył szerokimi ramionami.

– Musielibyśmy wiedzieć, skąd on pochodzi, tymczasem akta są puste. Został złapany przez pograniczników podczas polowania po naszej stronie granicy i aresztowany za szpiegostwo, ale to wszystko, co wiemy. Jasna cholera! – Zaciśnął pięść i z trudem powstrzymał w sobie ochotę uderzenia nią w parapet.

– Musimy więc pojmać jego bliskich – powiedziała Esmeralda.

Muchalew czuł na sobie jej gorący, intensywny wzrok.

– Musimy. – Lejtnant zgrzytnął zębami. – To, czego stary dokonał w zagrodzie, zrobiło na mnie wrażenie, ale zabicie paru bandziorów to dopiero początek. Nam potrzeba talentu, który będzie mógł zatrzymać wrogi batalion. Na

widok lufy przytkniętej do czoła córki czy żony stary na pewno da z siebie więcej. – Zaśmiał się sucho i pokręcił głową, jakby widywał już podobne sytuacje i wiedział, że metoda zadziała. – Przesłuchanie prowadzi Aleksander Michałowicz – ciągnął. – To dobry enkawudzista, ofiarny i lojalny, ale nie ma w sobie odpowiedniej dozy subtelności. A wojna – spojrzął na śnieżną ćmę, gdzie przed chwilą znikła wojskowa ciężarówka – już trwa. Być może zdążyła wtargnąć na tereny, z których wywodzi się jeniec. Musimy się spieszyć, Esmeraldo.

Patrzył teraz na nią. Cyganka pochyliła głowę, ale jednocześnie nie odrywała od niego spojrzenia. Przygryzła usta, pokazując zęby, które zawsze wydawały mu się ostrzejsze niż u innych ludzi.

– Wiesz, czego od ciebie chcę – dodał. – Masz jeszcze jeden talent.

Esmeralda na moment umknęła spojrzeniem w bok.

– Pamiętam doskonale, co mi wyznałaś podczas przesłuchań – ciągnął oficer. – Potrafisz odkrywać w ludziach ich talenty, ale potrafisz również...

– Nie – wychrypiała Cyganka, na co enkawudzista uniósł lekko brwi.

– Nie potrafisz?

– Nie chcę – wyszeptwała. – Tak, mam drugi talent, ale jest niebezpieczny. Groźny dla mnie! – Jej głos drżał i nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć. Przypominała teraz dzikiego psa, któremu nagle złamano charakter.

– Tak – przerwał jej. Jego wzrok pomroczył. – Groźny, powiadasz...

Muchalew ostrym gestem złapał kobietę za podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy. Doskonale wiedział, że ujrzy w nich drewniane, nieheblowane deski pryczy, rojący się od robactwa siennik, poobijane miski z obrzydliwym jedzeniem i pożądliwe spojrzenia strażników gułagu. Zmusił ją do patrzenia na siebie na tyle długo, by przypomniawszy sobie dotyk ich chropowatych, brudnych łapsk, pogardliwe śmiechy, a być może również świst bicia.

Następnie odepchnął ją i podszedł do porzuconych na podłodze kalesonów. Uniósł je i rzucił kobiecie bez słowa. Potem podniósł swój płaszcz, leżący w kałuży utworzonej z topniejącego śniegu.

– Zastanów się, co naprawdę jest dla ciebie groźne – warknął. – Ubieraj się. Idziemy do naszego szamana. Teraz ty przy nim popracujesz.

ROZDZIAŁ 4

3 grudnia 1939 roku

Leśna droga zakreśliła po raz kolejny i znużony monotonią jazdy Siergiej Muchalew dopiero w ostatniej chwili zauważył wielką ciężarówkę wojskową, która blokowała niemalże całą jej szerokość. Czerwonoarmista siedzący za kierownicą również dał się zaskoczyć: gwałtownie wcisnął pedał hamulca i ich własny pojazd – także ciężarówka – zatrzymał się z poślizgiem, podskakując na wybojach nierównej drogi. Oficer cudem uniknął uderzenia czołem w przednią szybę, a z paki dobiegły wściekłe przekleństwa stłoczonych tam żołnierzy.

– Proszę o wybaczenie, towarzyszu starszy lejtnancie – bąknął żołnierz nieśmiało, widząc wściekłość na obliczu przełożonego. – Ale niech pan tylko spojrzy na tych durniów. – Wymruczał kilka obelżywych słów i parokrotnie nacisnął klakson, na co żołnierze, zgromadzeni wokół unieruchomionej ciężarówki, zaprotestowali głośnymi okrzykami i obelgami. Muchalew zauważył, że wyglądali na stosunkowo rozluźnionych – kręcili się wokół samochodu bez wyraźnego celu lub siedzieli na pace, któryś nawet leżał. Paru paliło papierosy, a ich mosiny stały niedbale oparte o bok ciężarówki.

Po chwili kilku podeszło bliżej, wpatrując się w nowo przybyły pojazd z mieszaniną ciekawości i niechęci. Szofer znów nacisnął klakson, a potem otworzył okno i wychylił głowę.

– Hej, wy tam! – zawołał, przekrzykując warkot silnika. – Zepchnijcie tego grata na bok!

– A po co? – zawołał któryś z szeregowców. – I niby jak, co?

– I gdzie niby mielibyśmy go zepchnąć, co? – zawołał drugi i zakreślił łuk dłonią w rękawiczce.

Kierowca zacisnął usta i spojrzał niepewnie na Muchalewa. Leśny dukt, którym jechali od dwóch godzin, w istocie był wąską przecinką. Na tej trasie trudno było o miejsca, gdzie dwie zwaliste ciężarówki mogłyby się swobodnie wyminąć. Zaledwie krok czy dwa od zamarzniętych kolein rosły pierwsze drzewa, między którymi zalegała warstwa śniegu.

Lejtnant zaklął i wypuścił powietrze z płuc, aż we wnętrzu nieogrzewanej kabiny zatańczył kłęb pary. Szofer odebrał to jako sygnał nadciągającego wybuchu furii i czym prędzej ponownie wychylił głowę przez okno, by sięgnąć po argument, który jak dotąd rozwiązywał wszelkie problemy.

– Jesteśmy z NKWD – warknął. – A więc lepiej usuńcie tego pieprzonego grata, żeby przez przypadek ktoś zaraz nie uznał waszych działań za sabotaż, towarzysze!

Czerwonoarmiści, którzy podchodzili bliżej, zaintrygowani wymianą zdań, zamarli. Na ich nieogolonych, zaczerwienionych od mrozu obliczach pojawiły się niepewność, a nawet lęk. Któryś zrobił krok do tyłu, a inny zmierzył ciężarówkę takim wzrokiem, jakby naprawdę rozważał próbę usunięcia jej z traktu.

– Na co jeszcze czekacie?! – wrzasnął kierowca, który z każdą chwilą nabierał większej pewności siebie. – Zepchnijcie to gówno albo naprawcie je, do ciężkiej cholery! Wykonujemy ważne zadanie dla NKWD, wy durne pały!

– Ale... – zawahał się pierwszy z żołnierzy. – Ale nic się nie zepsuło. Maszyna jest na chodzie, tylko...

– A więc na co czekasz?! – rozdarł się szofer i spojrzał na oficera, szukając aprobaty. – Widzi pan tych nierobów, towarzyszu starszy lejtnancie? Ja bym ich wszystkich...

– Cicho bądź, Oleg – mruknął Muchalew. – Cicho bądź.

Droga przed nimi zakręcała i z fotela pasażera oficer dostrzegł między drzewami kolejną ciężarówkę, stojącą kilka kroków przed pierwszą, a dalej jeszcze jedną, holującą armatę. Czerwieniejące światło zachodzącego słońca, przenikające przez roślinność, odbijało się od brudnych szyb pojazdów. Muchalew ciężko odetchnął i pchnął drzwi, które otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem. Zeskoczył na śnieg i wolnym krokiem podszedł do grupki żołnierzy.

– Kto tu dowodzi? – spytał ponurym głosem.

– Ja, towarzyszu starszy lejtnancie! – odezwał się młody mundurowy z lekko skośnymi oczami i zasalutował zamaszycie. – Dowódca drużyny Kirył

Achmatow z dwunastej kompanii kwatermistrzowskiej. Wieziemy zaopatrzenie dla 163. dywizji...

– Co tu się dzieje? Dlaczego kolumna stoi?

– Nie wiemy, towarzyszu starszy lejtnancie. Strzały jakieś się rozległy! Godzinę temu! – tłumaczył pospiesznie Achmatow.

Muchalew uniósł brwi. Słyszać było jedynie warkot silnika pojazdu, którym przyjechał, oraz dobiegające z oddali niewyraźne rozmowy żołnierzy otaczających kolejne samochody.

– Strzały? Z broni maszynowej? Z dział? – pytał.

– Nie, towarzyszu starszy lejtnancie. – Młody Azjata na przemian bladł i czerwieniał. – Z broni... z broni ręcznej! Tak nam przynajmniej powiedziano! Ostrzelano czoło kolumny i...

– Stanęła – dokończył oficer z udawanym zrozumieniem. – I tak stoi... Jak długo?

– Dwie godziny – bąknął niepewnie młody żołnierz. – Noo, może dwie i pół, towarzyszu starszy lejtnancie.

Czyli zapewne ponad trzy, pomyślał Muchalew, ale przez jego surowe oblicze przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Niech no poukładam fakty – powiedział powoli, wręcz niechętnie. – Ktoś ostrzelał czoło waszej kolumny z broni ręcznej i to wystarczyło, byście się zatrzymali na kilka godzin? Jak barany w środku lasu?

– Nasz dowódca, towarzysz porucznik Igor Witalenko, czeka na rozkazy ze sztabu pułku! – wyrecytował służbiście Achmatow.

Oficer pokiwał głową, bezbłędnie rozpoznając popularną w Armii Czerwonej taktykę, polegającą na odepchnięciu odpowiedzialności możliwie najdalej od siebie.

– A towarzysz porucznik Witalenko nie przekazał wam przypadkiem rozkazów zachowania szczególnej ostrożności? – rzucił od niechcienia. – Na wypadek, gdyby w pobliżu znalazł się wrogi snajper?

– N-n-nie, towarzyszu starszy lejtnancie! – Żołnierz się wyprostował.

Toczone nieopodal rozmowy ucichły. Muchalew kątem oka widział, jak czerwonoarmiści, którzy doskonale usłyszeli jego słowa, teraz dyskretnie podnosili karabiny i rozstawiali się wokół samochodu. Wpatrywali się w las z udawaną czujnością, a w ich oczach migotał lęk.

Oficer przeniósł spojrzenie na ciężarówkę.

– A co wieziecie? – zaciekawiał się.

– Narty, towarzyszu starszy lejtnancie! – zameldował dowódca drużyny. – I takie książeczki... Z instrukcją!

– Rozumiem. – Muchalew skinął głową z powagą. – Sztab wyraża nadzieję, że dzielny żołnierz Armii Czerwonej przeczyta zasady jeżdżenia na nartach, przypnie je i pomknie do boju. Sensowne, prawda?

– Tak jest, towarzyszu starszy lejtnancie! – Achmatow, jak zdecydowana większość żołnierzy Armii Czerwonej, był absolutnie odporny na sarkazm i niezdolny do jego wykrywania.

Muchalew skrzywił się lekko. Zaistniała sytuacja powinna go w zasadzie zirytować – natrafił bowiem na ewidentny dowód nieporadności rodzimej armii – ale naraz odkrył, że jedynie go rozbawiła.

Potykanie się o własne nogi jak najwcześniej, pomyślał o kombrigach i komkorach dowodzących wojskami ZSRR. Popęlniajcie błędy, gińcie, róbcie z siebie idiotów. Być może dzięki waszej głupocie to, czego sam szukam, okaże się dla towarzysza Stalina jeszcze cenniejsze.

Nie rozwiązywało to jednak jego problemu. Przygryzł wargę, usiłując się skupić, kiedy usłyszał kroki za plecami.

– Co tu się dzieje, towarzyszu starszy lejtnancie? – warknął niskim głosem Wlekw, który kierował drugą ciężarówką ich niewielkiego konwoju.

– Nic, czego w zasadzie nie można by się spodziewać, Aleksandrze Michałowiczu. – Oficer NKWD odwrócił się powoli i zatarł dłonie w skórzanych rękawiczkach, a potem, wyminąwszy starszynę, podszedł do kierowcy. – Podaj mapę – rozkazał.

Ten natychmiast opuścił okno i podał mu zgięty na pół arkusz papieru. Muchalew przez moment wpatrywał się w mapę pogranicza radziecko-fińskiego, przedstawiającą mozaikę lasów i jezior, z rzadka przeciętych drogami, po czym dotknął jednego miejsca.

– Jesteśmy tu – powiedział do starszyny, który zdążył już podejść. – Kilka kilometrów od granicy fińskiej.

Tak blisko, a jednocześnie tak daleko, pomyślał oficer, wpatrując się w linię wyznaczającą granicę między państwami.

– Musimy zaś dostać się tu. – Palec w skórzanej rękawiczce zatoczył krąg na północ od miasteczka Suomussalmi. – I to jak najszybciej. A droga, która tam prowadzi, właśnie została zablokowana.

– Jest jeszcze jedna, na południu – zauważył starszyna.

– Zapewne zapchana w tym samym stopniu co ta – odparł zniecierpliwiony lejtnant. – Nasz sztab w swej mądrości posłał tędy całą dywizję pancerną, Aleksandrze Michałowiczu. Nie przepchniemy się do Finlandii, nawet gdyby jechał przed nami towarzysz Beria.

Wlekw się zafrasował.

– To co nam pozostaje?

Oficer obrzucił rozmówcę spojrzeniem przeznaczonym dla skrajnych idiotów, po czym złożył mapę i wepchnął mu ją do rąk.

– Ruszamy pieszo, Aleksandrze Michałowiczu. Proszę kazać ludziom, by wzięli ze sobą żywność, koce, benzynę oraz amunicję. Żadnego alkoholu.

– Tak jest, towarzyszu starszy lejtnancie! – Starszyna zasalutował zamasyście i odwrócił się w stronę obu ciężarówek. – Wysiadać! – huknął. – Ruszamy w drogę pieszo! Szybko, szybko! Nie ma czasu! Misza, wybierz najmniejsze kanki z benzyną, Anton, bierzesz kaem! Oleg, zbieraj koce! Nie ociągać się!

Lejtnant przeszedł między zeskakującymi z paki żołnierzami, którzy skwapliwie usuwali mu się z drogi, i dotarł do drugiej ciężarówki. W szoferce, obok kierującego pojazdem Wlekowa, siedziała Esmeralda, która teraz, widząc zamieszanie, nakładała uszatą czapkę na głowę i szykowała się do wyjścia.

Wydawała się wyczerpana. Przesłuchiwanie jeńca, do którego zmusił ją podczas pobytu w Kandałakszy, przeszło w wielogodzinne pojedynki na siłę woli, które jak dotąd nie przyniosły żadnych konkretnych wyników – starzec dalej milczał, ale najwyraźniej znajdował się u kresu sił. Wtedy Muchalew zarządził wymarsz. Przewidywał, że opór szamana w końcu się złamie, a on wolał zyskać na czasie i znaleźć się już w drodze.

Esmeralda pchnęła drzwi i wyskoczyła na śnieg.

– Co się dzieje? – spytała, rozglądając się.

Na jej policzkach natychmiast pojawiły się rumieńce zimna. Mimo znużenia w ciemnych oczach kobiety nadal połyskiwała ta zwierzęca dzikość, która tak pociągała Muchalewa.

– Droga zatarasowana – odpowiedział krótko, siląc się na oschłość, podczas gdy w rzeczywistości miał wielką ochotę złapać ją za poły ciężkiego płaszcza, przyciągnąć do siebie i zmiążdżyć jej usta w dzikim, brutalnym pocałunku. – Porzucamy ciężarówkę.

Esmeralda poprzestała na skinieniu głową, co również go zachwyciło. Nie chcąc, by wyczytała z jego wzroku za wiele, przeniósł spojrzenie dalej, tam, gdzie żołnierze z drugiej ciężarówki właśnie wyprowadzali z paki jeńca.

Muchalew zerknął na zakneblowanego Karela. Wysoki, chudy starzec w wyliniałym kożuchu zatoczył się, jakby zakręciło mu się w głowie. Był blady, twarz pokrywały mu siniaki i gojące się skaleczenia, a gdy spojrzał na lejtnanta, jego oczy, bladoniebieskie i lodowato zimne, zaiskrzyły złowrogo. Spojrzenie, którym obrzucił Rosjanina, było aż nadto wymowne.

Nienawidził go i pragnął go zabić.

Nie uda ci się to, pomyślał oficer. Okiełznałem cię jak dzikie zwierzę i będziesz mi służył, aż twa użyteczność dobiegnie końca.

– Kierujemy się na północ – powiedział. – Chcę dotrzeć w okolice, gdzie stary został złapany przez pograniczników, i tam spróbować odnaleźć kolejne wskazówki.

– Co w zasadzie będzie moją robotą – powiedziała Cyganka ze znużeniem.

– Otóż to – rzekł. – Twoją.

Podszedł do dwóch żołnierzy, przydzielonych do pilnowania jeńca.

– Nie spuszczać drania z oczu – warknął. – Patrzcie zarówno na więzy, jak i na knebel.

Obaj skinęli głowami i zasalutowali. Byli Jakutami z dalekiej Syberii i podobnie jak reszta oddziału zostali starannie dobrani pod kątem wielu umiejętności. Muchalew wiedział, że może polegać zarówno na ich talencie tropicielskim, jak i strzeleckim, ich lojalność nie budziła żadnych wątpliwości, a w puszczy w środku zimy czuli się jak w domu.

Lejtnant skinął obu strażnikom, obrzucił jeńca obojętnym spojrzeniem, wyminął starszynę Wlekowa, wrzaskami organizującego ich grupę do wymarszu, i się zatrzymał. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w otaczający ich las, stary, wręcz sędziwy, zamarznięty w pierwszych tchnieniach zimy. Patrzył na wysokie, sosnowe pnie i na połacie śniegu, zalane blaskiem zachodzącego słońca, a jego umysł jak zwykle skupiał się na przyszłości. Milczał, zadumany, a gdy się ocknął, powrócił do młodego, skośnookiego żołnierza, który nadal prężył się na baczność i ewidentnie zastanawiał się gorączkowo, co zrobić, by nie ściągnąć na siebie nieproszonych konsekwencji.

– Towarzyszu Achmatow – zwrócił się do niego Muchalew. – Proszę wydzielić czternaście par nart z pańskiego zapasu. Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR poczyta to jako wielką uprzejmość z pana strony.

– Tak jest, towarzyszu starszy lejtnancie! – Mundurowy zasalutował z ulgą.

– Aha. – Enkawudzista uniósł dłoń w rękawiczce. – Bez instrukcji obsługi proszę.

*

Ten sam czerwieniejący blask zimowego słońca, który na moment przykuł uwagę starszego lejtnanta Siergieja Muchalewa, omywał oszronione szyby pasażerskiego samolotu de havilland express w barwach Imperial Airways, który podchodził do lądowania w okolicach szwedzkiego miasta Luleå.

Miejmy nadzieję, że to Luleå, pomyślał Michael Tayne i przeciągnął się na fotelu, znużony i ścierpnięty po długiej podróży. Bo zaraz oszaleję w tym warczącym pudle.

Przez chwilę przyglądał się coraz wyraźniejszej zabudowie miasta, ciągnącego się wzdłuż morskich wybrzeży. Dostrzegł port, kilka większych zakładów i strzelistą katedrę, ale żadne z tych odkryć nic mu nie mówiło. Nigdy nie był na północy Szwecji i nie wiedział, czego się spodziewać.

Był jednak przygotowany na niespodzianki.

Nie miał pojęcia, za jakie sznurki pociągnęli Astley i de Woort, ale w momencie wejścia na pokład został wessany w sam środek niewidzialnego nurtu dyplomatycznego, który nieustannie omywał Europę, a od dnia rozpoczęcia wojny tylko przybrał na sile. W samolocie, do którego wpuszczono go jedynie za okazaniem paszportu, podróżowało kilku innych ludzi, wyłącznie starszych mężczyzn z poważnymi minami, pochłoniętych lekturą jakichś dokumentów lub toczących przyciszone rozmowy w języku, z którego Tayne nie rozumiał ani słowa. Jeden z nich trzymał aktówkę, przykutą do nadgarstka mocnym łańcuchem. Inny popijał tęgo z ukrytej w kieszeni płaszcza piersiówki i gdzieś nad Morzem Północnym zapadł w pijacką drzemkę. Kolejny, co chwila nerwowo wycierający okulary w rogowych oprawkach, nie odrywał przerażonego spojrzenia od okna, jakby lada moment spodziewał się ujrzeć myśliwce Luftwaffe. Żaden z nich nie zwracał nawet najmniejszej uwagi na Tayne'a.

Wszyscy pasażerowie poza Michaelem wysiedli na sztokholmskim lotniku Bromma, gdzie załoga de havillanda zatankowała maszynę i poleciała dalej na wschód. Tayne miał więc nadzieję, że lecą do Luleå, ale nie wykluczał, że załoga ma jeszcze inne zadanie po drodze. W zasadzie mu to nie przeszkadzało – mógł drzemać do woli, uspiiony monotonnym buczeniem czterech silników, myśleć, wspominać, wyglądać przez okno na przemykający w dole świat bądź też przeglądać dokumenty od Cedrika de Woorta, przekazane mu przez młodego Astleya.

Tych zaś okazało się zaskakująco niewiele. Oprócz paszportu i biletu kolejowego Michael znalazł w nich turystyczną mapę Finlandii (z niewielkim fragmentem zaznaczonym długopisem), chudy plik banknotów szwedzkich i fińskich oraz krótki list skreślony zamaszystym, wyraźnym pismem de Woorta.

Michael,

Skoro czytasz ten list, zakładam, że poznałeś już uroczego Theodore'a Astleya, który stanie się twoim towarzyszem podróży. Przydzielenie Ci towarzystwa było wspólną decyzją moją i Maurice'a Astleya, jego dziadka zresztą. Bynajmniej nie przemawia przez nas brak zaufania do Ciebie, wręcz przeciwnie. Uważamy, że w towarzystwie masz większe szanse, tym bardziej że Theo to zahartowany, odważny młody

dżentelmen, który do tego płynnie mówi po szwedzku. To język stosunkowo popularny w Finlandii, zwłaszcza wśród ludzi wykształconych. Talent Astleya juniora z pewnością okaże się przydatny. Pod wieloma względami ów młody człowiek stanowi twoje przeciwieństwo, ale jesteśmy przekonani, że się dogadacie.

Samolot Imperial Airways, który startuje o 14.00 z lotniska RAF-u w Abbots Ripton, zabierze was do szwedzkiego portu Luleå, skąd przedostaniecie się do Finlandii. Najszybszym i najbezpieczniejszym sposobem jest droga morska. Szczęśliwie w okolicach mieszka wieloletni współpracownik Biblioteki, niejaki Hjalmar Vittens, który świetnie mówi po angielsku. Wysłałem do niego telegram informujący o Waszym przybyciu. Z pewnością będzie wiedział, jak załatwić kuter, który przetrzuci Was do fińskiego portu Oulu, gdzie będziecie już zdani na własne siły. Powinniście bezzwłocznie wyruszyć na wschód, w stronę obszaru zaznaczonego przeze mnie na mapie. Trudno dokładnie ustalić, gdzie przebywała Penelopa w chwili radzieckiego ataku – wysyłane przez nią listy noszą stempel z miejscowości Suomussalmi, przy czym prawie na pewno mieszkała gdzieś indziej. Prowadziła swe badania w niewielkiej wiosce zamieszkaney przez rdzennych Karelów, ale jestem niemalże pewien, że zwróciła na siebie uwagę wielu ludzi. Znasz ją równie dobrze jak ja i wiesz, że jej obecność trudno jest zignorować. Poza tym każdy zapamięta Angielkę mówiącą kiepsko po fińsku, która z jakiegoś powodu zadomowiła się w fińskiej głuszy.

Pytanie brzmi, czy któryś z Finów będzie w ogóle chciał na jej temat rozmawiać. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, który nakazywałby Sowiecom puścić atak na południe i północ od jeziora Ładoga, ci pchnęli wojska na całej długości granicy. W stronę Suomussalmi idzie potężna dywizja pancerna, a więc niewykluczone, że znajdziesz się w samym środku piekła.

Przykro mi, że nie mogę Ci bardziej pomóc. W Finlandii Biblioteka nie ma żadnych rezydentów ani sojuszników, ale gdy będziesz miał taką możliwość, zawsze możesz zadzwonić do mnie bądź do Maurice'a Astleya. Niewykluczone, że będziemy mogli coś dla Was zorganizować. W razie potrzeby możesz też spróbować skontaktować się z naszym poselstwem w Helsinkach. Załączam numery telefonów i adresy.

Niech Cię Bóg prowadzi, Michael. Wróć do Anglii z moją córką.

Cedric de Woort

Tayne potrząsnął kopertą i znalazł w niej jeszcze osobną kartkę z wypisanym odręcznie adresem Vittensa. Wsadził ją do kieszeni płaszcza, a samą kopertę ukrył w plecaku.

A broń? – pomyślał ze znużeniem. Jadę w sam środek rozpetanego przez ruskich piekła, nie posiadając nawet pistoletu, a za jedyną wskazówkę mam zakreślone kółko na mapie.

Zapaliło się czerwone światełko nad drzwiami prowadzącymi do kokpitu, a świat za oknem przechylił się lekko, co oznaczało, że samolot szykuje się do lądowania. Tayne nie znał się na lataniu, ale miał wielką nadzieję, że piloci wiedzą, co robią. Słońce już prawie zaszło, widoczność stawała się coraz gorsza, zwłaszcza gdy oslepiały rzadziejące promienie. Co gorsza, jak okiem sięgnąć za oknem ciągnęła się śnieżna biel.

To dla pilotów bułka z masłem, powiedział sobie stanowczo w myślach. Jak dla mnie zakładanie butów. Robili to tysiące razy. Nie ma powodów do obaw, zaraz będę szedł po twardej ziemi i szukał tego Vittensa...

Ledwo gdy wybrzmiała ta myśl, jego umysł, który Tayne od kilku miesięcy usiłował wyciszyć, znieczulić lub wręcz zatruć, podesłał mu kojące wspomnienie.

– Nie musisz tego robić – powiedział Michael, siląc się na stanowczość.

Śmiech Penelopy był niczym śpiew ptaków w letni poranek.

– Och, doskonale o tym wiem – odparła i silniej naparła na rączki wózka inwalidzkiego. Jego koła potoczyły się lekko po starannie skoszonym trawniku, a Tayne poczuł zalewający go wstyd.

– Naprawdę – dodał pospiesznie. – Siostra Roberts zaraz tu przyjdzie i...

– A co takiego ma siostra Roberts, czego nie mam ja? – przerwała dziewczyna.

– Wąsa – palnął bez namysłu. – Ma wąsa. Niedużego, ale mogłaby go golić.

Penelopa parsknęła śmiechem, ale natychmiast spoważniała.

– Świnia. Jak każdy żołnierz – oceniła. – Właściwie mogłabym cię tu zostawić i sobie pójść.

Michael zaś, ku swemu zaskoczeniu, pomyślał, że to i tak byłoby więcej, niż się po tym dniu spodziewał. Słońce przygrzewało, w powietrzu unosił się zapach ściętej trawy, jakże przyjemny po mdłych woniach szpitalnych wnętrz, a Penelopa zawiozła go w miejsce,

z którego widać było klomby róż i staw z łyskami. Nie, chyba nie chciał przeżywać tej chwili bez niej.

– Zostań – powiedział niepewnie. – Choćby po to, by mi wyjaśnić, co tu właściwie robisz. Ostatnio spieszyłaś się na zajęcia?

– Dziś mam wolny dzień. Profesor Vittens się rozchorował i przepadły mi zajęcia z gramatyki historycznej.

– Czego? – zdziwił się Michael, na co Penelopa zareagowała westchnieniem udawanego zniecierpliwienia.

– Studiuję języki ugrofińskie, a każdy język, podobnie jak chociażby angielski, ma swą gramatykę, zarówno praktyczną, jak i opisową.

– Pojęcia nie miałem – mruknął Michael. – Wybacz, jeśli to dla ciebie ważne.

– Ważne – odparła dziewczyna po namyśle. – Chociaż nie do końca. Uczenie się języka przypomina nieco oglądanie sukienki przez witrynę sklepową. Po jakimś czasie znasz każdy szew, każdą falbankę, każdy guzik i każdy fiszbin, ale nie poznasz jej naprawdę, dopóki jej nie założysz. Dlatego o niczym nie marzę bardziej niż o tym, by pojechać do Finlandii i zamieszkać wśród tych ludzi.

Porównanie do sukienki zafrapowało Tayne'a do tego stopnia, że przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co Penelopa ma na sobie. Tak zwinnie przejęła jego wózek, że nie zdołał się jej nawet dobrze przyjrzeć, czego bardzo teraz żałował. A nie wypadało się oglądać za siebie, zwłaszcza że jego głowa znajdowała się dokładnie na wysokości jej biustu. Naraz się zorientował, że zapadła cisza.

– A... – Zawahał się. – A po co to wszystko?

– Po co?

– Po co ci ten język? – spytał, czując, że to jednocześnie najlepsze i najgorsze pytanie, jakie mógł jej zadać.

– Bo jest przepiękny – odpowiedziała Penelopa po chwili zastanowienia. – A nie wiem, czym stałby się ten świat, gdybyśmy nie robili rzeczy pięknych.

Wspomnienie umknęło w momencie, gdy samolot uderzył kołami o nawierzchnię pasa startowego, a jego kadłub przeszyło drżenie. Przez ułamek sekundy Tayne był na dobrą sprawę przeświadczony, że piloci stracili kontrolę nad sterami, ale było to tylko złudzenie. Rozległ się pisk hamulców i prawie pusty de havilland express, zwalniając, potoczył się w kierunku nieodległego baraku oświetlonego paroma latarniami. W gęstniejącym mroku Michael ujrzał obrys jeszcze jednego

samolotu, ale na lotnisku nie było żywego ducha, co spotęgowało przeświadczenie, że dotarł na koniec świata.

Samolot wciąż kołował, gdy drzwi do kabiny pilotów się otworzyły i ze środka wyszedł jeden z lotników. Przeciągnął się, zmierzył Tayne'a niechętnym spojrzeniem i mruknął z wyraźnym szkockim akcentem:

– To przez ciebie musieliśmy telepać się tak daleko na północ?

– Tak – odparł Michael, podnosząc się z niemałym trudem. – I nie mam nic przeciwko pretensjom. Zniechęcam do siebie ludzi, nawet gdy tego nie chcę.

Lotnik zaśmiał się krótko.

– To pewnie dlatego wysłano cię do tej dziury – stwierdził. – Na szczęście mają tu niezły bar. Nazywają go Roen czy jakoś tak. Nas, pilotów, trudno zniechęcić, a więc wpadnij i postaw nam po kufelku.

Ostatnie słowa wypowiedział, mocując się z drzwiami. Kiedy ustąpiły, do wnętrza samolotu wpadła fala świeżego, mroźnego powietrza. Tayne podziękował za lot, mało przekonująco obiecał, że bar odwiedzi, a potem zarzucił sobie plecak na ramię i zeskoczył na ziemię.

W jego głowie kołatało teraz tylko jedno słowo.

„Vittens”.

Gdy znalazł się w pobliżu latarni, wyciągnął kopertę otrzymaną od de Woorta i raz jeszcze przejrzał treść listu.

Hjalmar Vittens, pomyślał. Zaraz, przecież to dawny wykładowca Penelopy! Przypadek? Nie wydaje mi się...

Poprawił plecak i szybkim krokiem ruszył w stronę światła miasteczka.

*

Michael ponownie załomotał do drzwi pod wskazanym adresem. Jak poprzednio odpowiedziała mu cisza.

– Jasna cholera – mruknął pod nosem i cofnął się o krok.

Pomimo ciemności widział, że drewniany domek lata świetności ma już za sobą. Farba się łuszczyła, w jednym z okien szybę zastąpiono grubą tekturą, a po kłamce została jedynie dziura. Zakłuczone drzwi jednakże ani drgnęły.

– Wszedł gdzieś czy coś? – mruknął Tayne i zrobił jeszcze kilka kroków w tył, aż stanął przy rozpadającym się, mocno przechylonym płotku.

Numer domu zgadzał się z podanym mu przez de Woorta, ale z komina nie uchodził dym. Temperatura na pewno spadła poniżej zera i Michael pomyślał, że na miejscu lokatora domku nie wygaszałby ognia w piecu, nawet gdyby zdarzyło mu się wyjść na dłużej.

Zaczynał nabierać przekonania, że Hjalmar Vittens, jego jedyny kontakt na północy i jedyny człowiek, który mógł pomóc w odnalezieniu Penelopy, zniknął bez śladu.

– Cholera by to wzięła – warknął Tayne, poprawił plecak na ramieniu i podszedł do najbliższego okna, przesłoniętego cienkimi firankami. Zastukał mocno, aż szyba zadrżała.

– Halo?! – zawołał. – Jest tam kto?!

Ruszył w stronę kolejnego okna. Świeży śnieg chrzęścił pod jego stopami.

– Halo?! Panie Vittens? – spróbował ponownie. – Jest pan tam?!

Nikt nie odpowiadał. Michael stał nieco szronu z okna i zbliżył twarz do szyby, by zajrzeć do środka. Zgodnie z jego przypuszczeniem we wnętrzu chaty panowały całkowite ciemności. Wydawało mu się, że dostrzega stół z krzesłem, ale nic ponadto.

Już miał się poddać i odwrócić, gdy odniósł przemożne wrażenie, że w mroku coś się poruszyło. Skądś wiedział, że nie jest to człowiek ani zwierzę – być może ze względu na absolutną ciszę, która towarzyszyła odczuciu, a być może dzięki swemu niezwykłemu instynktowi, który wiele lat temu zwrócił uwagę de Woorta i zdecydował o jego przyszłym życiu. Nagle po plecach Michaela spłynął zimny dreszcz – co takiego skrywało się w pustym, zimnym domu Hjalmara Vittensa, jeśli nie człowiek lub zwierzę?

Ciemność wydawała się teraz falować niczym rozpędzony gwałtownym ruchem, gęsty dym i Tayne cofnął się o krok. Świadomość, że dzieje się coś niedobrego, z każdą chwilą przybierała na sile, ale mimo to nie mógł oderwać wzroku od tego, co widzi. Niespodziewanie ciemność natarła na okno niczym fala uderzająca o brzeg; przypisałby to zjawisko złudzeniu optycznemu, gdyby nie fakt, że szyba lekko zadrżała.

Serce zabiło mu mocniej. Znów się cofnął, a rozbudzony instynkt nakazał mu się odwrócić. Spojrzał za siebie, na bezlistny, brzozy zagajnik, rosnący tuż przy płocie. Ciemność między pniami wydała mu się nienaturalnie gęsta, wręcz tłusta. Odniósł osobliwe wrażenie, że czerń przelewa się między sztachetami płotu. Umysł usiłował mu wytłumaczyć, że ulega jedynie złudzeniu, ale dwa uderzenia serca później, gdy mrok rozlał się po śniegu, Tayne z trudem oderwał stopę od ziemi.

Czuł się, jakby wdepnął nie w cień, ale w lepłą smołę.

Instynkt nie szeptał już, ale wył, nakłaniając go do jak najszybszej ucieczki. Michael odskoczył w tył, potknął się o jakiś przysypany śniegiem krzaczek, ale natychmiast znów się poderwał i cofnął jeszcze o parę kroków. Czerń zafalowała, jakby straciła wolę, by podążać za nim, i ustępowała, wnikając w naturalny,

niegroźny mrok. Michael zaś stał jeszcze chwilę, oddychając nierówno, i spoglądał w ślad za nią.

Nie miał pewności, z czym właśnie się zmierzył, ale miał już pewną teorię.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że słyszy jakieś wołanie. Odwrócił się i zobaczył rowerzystę w wielkiej, futrzanej czapie, który zatrzymał się nieopodal i wpatrywał w niego z zainteresowaniem. Wołał coś przy tym w melodyjnej mowie, z której Tayne nie rozumiał ani słowa.

Michael odruchowo otrzepał się ze śniegu i rozejrzał raz jeszcze, by mieć pewność, że nienaturalnie gęsty mrok całkiem ustąpił. Znow spojrzał na miejscowego i ruszył ku niemu.

– Dobry wieczór! – zawołał. – Pewnie nie mówi pan po angielsku, co? – spytał z rezygnacją.

– *No English* – oznajmił rowerzysta, rosły mężczyzna z futerałem na plecach, który mógł zawierać zarówno wędkę, jak i sztucer myśliwski, a potem dorzucił kilka słów, machając ręką w stronę domu.

– Szukam pewnego człowieka – ciągnął Tayne. – Nazywa się Vittens. Hjalmar Vittens.

– *Ja, ja!* – przytaknął miejscowy. – *Hjalmar Vittens! Han bor här, men...*

Mówił dalej. Michael zwrócił uwagę na to, że Szwed ma minę wyrażającą dezaprobatę i stuka się palcem w skroń.

– Że co? – Tayne zmarszczył brwi. – Vittensowi odbiło? No tak. Trudno się dziwić. *Crazy*, tak?

– *Crazy!* – Miejscowy się roześmiał i powiedział jeszcze jedno zdanie, następnie wspiął się na siodło i odjechał, całkowicie ignorując to, że ulicę pokrywała warstewka śniegu.

– Odbiło mu – mruknął Tayne. – Cóż, a zatem stajemy się jedną wielką rodziną.

Naraz się zorientował, że zrozumiał jedno słowo z tego, co właśnie usłyszał. „Roen”.

*

Wędrując po Luleå, Tayne doszedł do wniosku, że w przeciwieństwie do Anglików, którzy wznosili domy w swym bezpośrednim sąsiedztwie, Szwedzi cenili sobie przestrzeń i jeden budynek od drugiego dzieliło czasem kilkaset metrów. Przestrzeń między zabudowaniami wypełniały brzoźowe i sosnowe zagajniki, przez co Michael parokrotnie nabrał przekonania, że się zgubił i musi zawracać. Na ludzi natrafiał rzadko, a ci mierzyli go nieufnym wzrokiem i niechętnymi machnięciami dłoni kierowali naprzód.

Tayne powoli tracił cierpliwość. Pobyt w szpitalu źle wpłynął na jego kondycję, ostatnim ciepłym posiłkiem było śniadanie w Bibliotece, a buty niezbyt się nadawały na taką pogodę, przez co miał zziębnięte stopy. Przeklinał wściekle zarówno de Woorta, jak i Vittensa, ale wystarczyło przelotne wspomnienie Penelopy, by protesty w jego duszy przygasły.

Tam, w Finlandii, jest pewnie jeszcze zimniej, przemknęło mu przez głowę. I cholerni Sowieci strzelają jej nad głową.

Wzdrygnął się i przyspieszył kroku.

Miejsce będące celem jego poszukiwań ukazało się chwilę później. Uliczka, którą podążał, doprowadziła go do szerokiej, brukowanej arterii. Sądząc po śladach na śniegu i w błocie, za dnia jeździły nią spore ciężarówki. Po drugiej stronie ulicy Tayne ujrzał dwa samotne dystrybutory paliwowe, a za nimi spory budynek z sosnowych bali z dachem porośniętym zaśnieżoną darnią. Część okien, nad którymi ciągnął się napis „Matbutik och apotek”, była ciemna, ale w pozostałych paliło się światło. Ktoś otworzył drzwi i ze środka wylały się gwar rozmów oraz głośne śmiechy.

– Wreszcie – mruknął Michael. – To chyba to całe Roen.

Nie przepadał za ciasnotą i dusznymi wnętrzami, ale po niepokojących odkryciach w domu Vittensa i długiej wędrówce po przedmieściach Luleå niemalże pragnął ludzkiego towarzystwa. Zatrzymał się jeszcze przy dystrybutorach, na które padało światło jedynej w okolicy latarni ulicznej, i zerknął na zdjęcie dołączone do dokumentów przygotowanych przez de Woorta. Hjalmar Vittens, nieco otyły człowiek w ciemnym garniturze, z mieszaniną profesorskiej pobłażliwości i samozadowolenia lekko wydymał wargi. Okulary zsunął lekko na nos, jakby w trakcie sesji udzielał nagany fotografowi. Mógł mieć zarówno trzydzieści lat, jak i pięćdziesiąt, a powagi dodawały mu gęsta broda i rzedniejące już włosy. Tayne przypuszczał, że człowiek o takim wyglądzie musiał się wyróżniać w tłumie pijących piwo Szwedów.

Schował zdjęcie, nabrał tchu, zerknął na szyld z napisem „Roen” i wkroczył do środka.

Uderzyły go ciepło oraz zaduch, wywołane nie tyle przez stojący w kącie piecyk, ile przez tłum ludzi, głównie mężczyzn, kłębiący się wokół stołów i długiego baru. Czyniony przez nich gwar stanowił ostry kontrast wobec ciszy mroźnej nocy. Bywalcy rozprawiali głośno, wymachiwali pięściami, czasem wybuchali chrapliwym śmiechem i klepali się po plecach. Rośli, o czerwonych obliczach, zarostu, w zmechaconych swetrach bądź starych marynarkach emanowali siłą i pijacką odwagą, ale Tayne miał wrażenie, że krzykami oraz rechotem próbowali zamaskować własny niepokój.

Nie było się czemu dziwić – wszak ich sąsiad za nieodległą granicą toczył zacieklą wojnę. Dla tych pracowitych, prostych ludzi musiało to być wielkim wstrząsem.

Blask wiszących pod belkami lamp odbijał się od szkła kufli i kieliszków. Spocony barman obracał gałkami wielkiego radia, ale gwar zagłuszał wszelkie dźwięki z głośników. Kilku tęgich drabów siedzących w kącie podjęło jakąś pieśń, która wywołała śmiechy innych. Michael, ciesząc się, że przyciągnął jedynie kilka ukradkowych spojrzeń, rozglądał się uważnie.

I wtem go dostrzegł.

W zasadzie poznał Vittensa jedynie po okularach, bo jego tusza znikła gdzieś bez śladu, broda się rozrosła, łysina zagarnęła większość czaszki, a poważną, wzniosłą minę zastąpił wyraz zaszczucia. Ubrany w brudny, marynarski golf siedział samotnie przy niewielkim, chybotliwym stoliku, na którym stała pusta butelka.

W umyśle Tayne'a odezwało się ostrzeżenie, ale mimo to ruszył ku brodaczowi. Michael przyciągnął do siebie jedyne wolne krzesło w pobliżu, usiadł i położył plecak na ziemi, a potem wbił wzrok w twarz Vittensa.

Nie, uświadomił sobie od razu. To nie jest zaszczucie. To... to coś więcej.

Oczy Vittensa szklily się od wypitego alkoholu i były równie puste jak źrenice pensjonariuszy Bethlem. Mężczyzna siedział absolutnie nieruchomo i patrzył przed siebie, a silne emocje zdradzała jedynie prawa dłoń, drgająca tak bardzo, że napełnienie kieliszka wódką zakrawało na cud. Wokół nadgarstka miał owiniętą, co wydawało się dziwne i niepotrzebne, czerwoną chustę.

– Hjalmar Vittens? – odezwał się cicho Tayne, pochylając się ku rozmówcy. – To pan?

Vittens drgnął, jakby przebudził się ze snu, i zamrugał parokrotnie.

– Przybywam z... – zaczął Michael, ale zmienił zdanie. – Przysyła mnie Cedric de Woort. Ponoć wysłał panu telegram.

– Telegram – powtórzył bezwiednie mężczyzna. – De Woort.

Wtem uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Tak, dostałem. Dostałem. Stary, dobry de Woort. Wciąż toczy swoje bitwy, prawda? – spytał Vittens, po czym jedną ręką ujął butelkę, a drugą kieliszek. Obie dłonie trzęsły mu się równie mocno i Tayne, kierując się nie tyle współczuciem, ile świadomością, że musi doprowadzić tę rozmowę do sensownego finału, wyjął mu z rąk zarówno naczynie, jak i flaszkę.

– Pan pozwoli – mruknął.

Vittens patrzył chciwie, jak nalewa, a następnie złapał kieliszek i wychylił zawartość. Kilka kropel wniknęło w brodę.

– De Woort to mądry człowiek – wychrypiał. Jego angielski miał miękki, skandynawski akcent, ale był całkowicie zrozumiały. – Ostrzegał mnie. On i Astley. Mieli rację we wszystkim, co mówili...

– Panie Vittens – przerwał mu Tayne. – Skoro dostał pan telegram, wie pan, po co tu przybyłem.

– Nalej mi jeszcze, chłopcze. – Rozmówca wskazał drżącym palcem butelkę. – To miejscowy *brännvin*, jedyny powód, dla którego ta okolica rości sobie prawo do miana cywilizowanej. Przyznam szczerze, że uśmierza nieco lęki i bóle. Na jakiś czas.

Tayne spełnił prośbę mężczyzny, choć jego cierpliwość powoli zaczynała się wyczerpywać.

– Kuter – powiedział, przysuwając Vittensowi kieliszek, który ten uchwycił w obie dłonie. – Albo łódź. Cokolwiek. Muszę się dostać do Oulu. W Finlandii.

Naczynie stuknęło o blat. Przy sąsiednim stole rozpoczęła się gwałtowna dyskusja. Michael miał wrażenie, że wychwytuje z niej angielskie słowa. Było to osobliwe odkrycie, ale mimo to skupił uwagę na rozmówcy.

– Rozumie mnie pan? – warknął. – Oulu!

– Tam jest wojna. – Vittens pokiwał głową. – Wojna z Sowietami. Jakby ludzkość nie miała wystarczająco wielu problemów. Jesteś ochotnikiem, co? Wielu tu takich przybywa. Przekraczają granicę niedaleko stąd. Idioci.

– Nie jestem ochotnikiem. – Tayne westchnął ze złością. – Nazywam się Michael Tayne i potrzebuję pańskiej pomocy! Miał pan zorganizować łódź!

– Jak mnie tu znalazłeś? – spytał Vittens.

– Byłem u pana w domu i...

– Widziałeś ją. – Mężczyzna wyprostował się nagle, aż krzesło zaprotestowało z głośnym skrzypnięciem. Czerwoną chustą nieświadomie starł dużą kroplę wódki ze stolika. W oczach za grubymi, zatłuszczonymi okularami błysnęła panika. – Rozmawiałeś z nią? To ona cię tu przysłała?

Szybko spojrział w bok, ku oknu, za którym rozlewała się noc, rozjaśniona płamą światła latarni.

– Nie – szepnął, jakby chciał sam sobie dodać odwagi. – Ona... ona boi się światła. Ona tu nie przyjdzie.

Nagle złapał Tayne'a za rękę. Jego uścisk był zaskakująco mocny i nieprzyjemny.

– Nie przyjdzie tu, prawda? – wybełkotał, szukając potwierdzenia w oczach Michaela.

Ten gwałtownie wyszarpnął ramię, potrącając butelkę, która zakołysała się na stole. Miał ochotę zewrzeć pięść i grzmotnąć Vittensa w głowę, ale w Bethlem dowiedział się sporo o ludzkich fobiach i wiedział, że bólem nie da się

wyszarpnąć człowieka ze świata jego własnych wizji. Ba, mógł w ten sposób wpędzić go w jeszcze większy obłąd. Opanował więc narastającą złość i spróbował sięgnąć po inny, ostatni już sposób.

– Szukam Penelopy – wysyczał, pochylając się ku Vittensowi. – Penelopy de Woort. Pamięta ją pan, prawda? Studiowała fiński pod pańskim okiem. Gramatykę... eee... historyczną.

– Penelopa. – Były wykładowca uśmiechnął się lekko. – Tak, pamiętam.

Tayne poczuł odrobinę nadziei.

– Tak! To po nią jadę do Finlandii! Muszę ją znaleźć i ocalić, o ile nie jest za późno, ale do tego potrzebny jest kuter! Łódź, statek, obojętnie co! I to szybko! Może pan mi pomóc? – mówił coraz szybciej. – Miał pan, do cholery, pomóc! De Woort wysłał telegram! Czytał go pan, tak? Gdzie jest ta łódź? Możemy wyruszyć jeszcze dziś?

– Penelopa... – powtórzył Vittens. – Tak, ona też mnie ostrzegała. Taka młoda, a wiedziała więcej ode mnie.

– Przed czym ostrzegała, co? – warknął Michael.

– Przed... – Vittens zachłysnął się. – Przed nią! – Machnął ręką w stronę ciemności za oknem, jakby to stanowiło całe wyjaśnienie.

Tayne zaklął cicho i poderwał się od stołu, ciskając w myślach gromami.

Odbiło mu do końca, pomyślał. De Woort i Astley powinni się chyba dowiedzieć, że współpraca z Biblioteką ewidentnie szkodzi na umysł.

Pochwyciwszy swój plecak, zaczął się przepychać w stronę wyjścia. Był wściekły, głodny i rozczarowany, ale nieszczęśliwie zaskoczony. Spotkanie z żywym mrokiem wstrząsnęło nim głęboko, a wiele wskazywało na to, że Vittens miał z nim kontakt od dawna. Niematerialna istota, która czyhała w okolicach domu byłego wykładowcy, wydawała się zaborcza i wrogo nastawiona, trudno się dziwić, że ten postradał zmysły z przerażenia. Michael poczuł dreszcz lęku. W jego sercu obudziła się odrobina współczucia, ale wiedział, że nie ma czasu roztkliwiać się nad Vittensem, istniało przecież inne, o wiele pilniejsze zadanie.

Musiał się jakoś dostać do portu i samodzielnie zorganizować transport. Marynarze pływali daleko, niektórzy poznawali obce języki, istniała więc szansa, że natrafi na ludzi mówiących po angielsku. Liczył na to, że przyjmą trochę angielskiej waluty, bo miejscowej miał niewiele. Musiał też poszukać innych, lepszych butów, ale najpierw wypadało coś zjeść.

Później udam się do portu, pomyślał, przepychając się w stronę baru. Mam nadzieję, że barman zna angielski.

Roztrąceni Szwedzi obrzucali go zaintrygowanymi spojrzeniami i coś wołali, tymczasem Michael kątem oka dostrzegł pilotów de havillanda, którzy popijali

piwo z jakimś mężczyzną i właśnie mu go pokazywali. Pomachali doń przyjaźnie, ale Tayne udał, że ich nie widzi. Nie miał czasu na towarzyskie pogawędki. Musiał się spieszyć.

Barman zaoferował mu coś, co okazało się kanapką z marynowanym śledziem i smakowało paskudnie. Tayne przełknął ją w drodze do drzwi. Na zewnątrz z ulgą odetchnął zimnym powietrzem. Wyteżył wzrok, próbując ustalić, jak daleko znajduje się port, gdy drzwi za nim trzasnęły ponownie, a na ramieniu Michaela oparła się czyjaś dłoń.

– Hej, kolego!

Słowa padły po angielsku, a wypowiedziano je z silnym, południowoamerykańskim akcentem. Zaskoczony Tayne odwrócił się i ujrzał potężnego, barczystego mężczyznę. Miał zaczerwienioną twarz i gęsty wąs, a drugą ręką wciskał na głowę wielki kapelusz.

– Zaczekaj! – dodał nieznajomy.

Jego głos, ochrypliwy od alkoholu i głośnej rozmowy, znamionował silną, zdecydowaną osobowość i Michael odruchowo się najeżył. Nie przepadał za ludźmi, którzy wdzierali się w jego życie z gracją nosorożca.

– Czego chcesz? – warknął ostrzej, niż zamierzał.

Mężczyzna zaśmiał się jowialnie i wyciągnął ku Tayne'owi wielką mięsistą dłoń.

– Nix Turner, „The Atlanta Journal”! Rozmawiałem właśnie z twoimi kolegami z lotnictwa! – Machnął ręką w stronę Roen, zręcznie tuszując fakt, że Michael nawet nie drgnął, by uścisnąć mu dłoń. – Mówili, że przylecieliście tu z Anglii. Pustym samolotem! Ha, ha!

Tayne wpatrywał się w Amerykanina z niedowierzaniem i narastającą niechęcią.

– Człowieku, dla mnie wszystko jest jasne! – ciągnął Turner. – Siedzę w tym fachu od lat i mam już do pewnych spraw nosa. To ma związek z ruskimi, co?

Michael nabrał tchu, wyprostował się i wbił dłonie w kieszenie. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z gadatliwego dziennikarza.

– No jasne! Po co wasz rząd wysyłałby na to zadupie pojedynczego człowieka, jeśli nie ze specjalną misją dla Jego Królewskiej Mości! – Zaśmiał się krótko, z teatralnym triumfem, i dźgnął Michaela palcem w pierś. – Widziałem, jak rozmawiałeś z tym gościem pod ścianą – ciągnął konspiracyjnym tonem. – Kontakt ci się wysypał, no nie? Słuchaj, pomogę ci. Pomogę ci, w czym będę mógł, bo czuję – dotknął palcem wydatnego nosa – że snuje się za tobą niezła historia. Spoko! – Uniósł obie ręce, jakby się poddawał. – Twoje tajemnice i sekrety króla Jerzego to nie moja sprawa! Wcale mnie nie interesują! Kompletnie! No dobra, chętnie poznam ogólny zarys, ale tylko wtedy, kiedy

będziesz chciał się nim podzielić! Chłopie, każdy ci powie, że Nix Turner to uosobienie dziennikarskiej dyskrecji! Tylko popytaj! No, może nie tu, na tym zadupiu, ale... – znów ściszył głos – ale tej historii, która się za tobą ciągnie, nie odpuszczę. Wiem, że wybierasz się do Finlandii. Wiem, że czeka cię szpiegowskie zadanie pod lufami sowieckich tanków. Wiem to, czuję to – szeptał, chuchając alkoholem. – Chłopie, ty wiesz, ile szefostwo „The Atlanta Journal” może zapłacić za porządną historię wojenną? Proponuję układ! – Turner ponownie wyciągnął dłoń. – Zabiorę się z tobą. Będę ci dyskretnie towarzyszył i spisywał to i owo, w tym również wszystkie refleksje, którymi uznasz za stosowne się podzielić. W zamian namówię starego Slylanda, by odpalił ci sute honorarium! Co? Co ty na to? Chłopie, to życiowa szansa!

Tayne nawet nie drgnął.

– Zdaje się – powiedział powoli i znacznie ciszej od Turnera – że już wszystko masz.

– Co mam? – zdumiał się Amerykanin.

– Temat, głównego bohatera, zarys historii, odpowiednią ilość przymiotników i na tyle wiary w siebie, żeby szefostwo „The Atlanta Journal” kupiło wszystko, co stworzysz – odpowiedział Michael. – Ja tu jestem zbędny. Siadaj i pisz, a mnie daj spokój.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, przekonany, że odmowa, choć nieprzedstawiona wprost, była wystarczająco kategoryczna.

– Hej! – zawołał Turner. – Człowieku, jakże to tak? Zostawisz mnie tu na łodzi? Na łodzi, he, he, fajna gra słów, dobrze by było zapamiętać, idealna pod tytuł... Hej! – wrzasnął głośniejszy, zauważywszy, że Tayne zaczął się oddalać. – Hej, człowieku! Przecież z tego może wyjść coś naprawdę wielkiego! Pomyśl tylko! Seria reportaży, a po niej wywiady, spotkania w radiu, odczyty po obu stronach Atlantyku, książka może nawet... Słuchaj, mam kuzyna w Nashville, który jest agentem literackim i...

Michael zacisnął zęby i brnął dalej, zgarbiony i coraz bardziej wściekły. Usłyszał za sobą wściekłe przekleństwo i już myślał, że Amerykanin się poddał, ale po sekundzie rozległy się szybkie kroki.

– Posłuchaj! – sapnął Turner. – Ja nie chcę wiele. Chodzi mi...

Tayne odwrócił się do niego z ogniem w oczach.

– Ja też nie chcę wiele – wycedził. – Właściwie tylko tego, byś się ode mnie odpieprzył.

– Zrobimy razem... – zaczął Amerykanin, ale Michael nie dał mu dokończyć.

– Niczego razem nie zrobimy! – warknął. – Nie jestem żadnym szpiegiem i wbrew temu, co twierdzisz, nie mam zamiaru tańczyć... Jak to było? Aha, pod

lufami sowieckich tanków. Innymi słowy odpieprz się, pismaku, i szukaj szczęścia gdzieś indziej!

- Ale jedziesz do Finlandii?
- Gównu cię obchodzi, dokąd się wybieram.
- Czyli jednak tak? Na front?

Michael całym sobą poczuł, że długo już tej rozmowy nie zniesie. Natarczywość, z jaką Amerykanin wdzierał się w jego osobistą strefę, obudziła w nim zaciekłość, jakiej od dawna nie pamiętał, i naraz wszelkie zasady społeczne, o które i tak niespecjalnie dbał, rozsypały się w proch.

Tayne zacisnął pięść i z całej siły rąbnął Turnera prosto w szczękę.

Kilka miesięcy doświadczeń podczas walk pięściarskich w dokach Tamizy zrobiły swoje i Amerykanin, choć masywniejszy i wyższy od Michaela, zatoczył się nagle i runął w śnieg. Tayne stanął nad nim, ciężko dysząc, i wycelował weń drżący palec.

– Zbliżysz się do mnie o krok... – wycedził. – Choćby, kurwa, o krok...

Walczył z przemożną ochotą, by przyłożyć mu jeszcze raz, ale przyzwoitość powstrzymywała go przed uderzeniem leżącego, ponadto kątem oka zauważył, że przed Roen pojawiło się kilku gapiów, a do nich dołączali kolejni.

– Człowieku – stęknął Turner, oparłszy się na łokciu. – Po co to było...? Nie mogłeś, kurwa, powiedzieć, że nie masz ochoty na towarzystwo?

Tayne ze świstem wypuścił powietrze z płuc i rozluźnił pięści.

– Powiedziałem – rzekł. – Dotarło, jak widać, dopiero teraz.

Pokręcił głową z niedowierzaniem i już miał się odwrócić i odejść, gdy zobaczył, jak Turner wytrzeszcza oczy i podnosi się gwałtownie.

– Hej... – wymamrotał. – A to co?

Instynkt Anglika odezwał się niemalże w tej samej chwili. Odwrócił się błyskawicznie, prawie tracąc równowagę, i znów ujrzał ciemność.

Mrok między przysypanymi śniegiem świerkami gęstniał i rozlewał się na boki tak szybko, że wnet przesłonił gałęzie. Po krótkiej chwili, co oszołomiony Tayne uświadomił sobie ze zgrozą, ciemność ruszyła ku niemu. Wstrząśnięty, patrzył na absolutnie czarną górę lodową, która sunęła ku niemu powoli i nieubłagalnie, wypuszczając coraz to nowsze odnóża. Dystans się kurczył, a krzyki pospieszających do ucieczki myśli przeszły w dziki skowyt.

Nie rzucił się jednak do biegu. Nie zdążył.

Głośny łoskot krwi w jego skroniach przerwał nieoczekiwany huk, a noc na ułamek sekundy rozjaśnił ogień. Gęsta ciemność zwolniła, a gdy odgłos się powtórzył, zafalowała i się zatrzymała. Po trzecim huku zaczęła się oddalać.

– Tak! – rozdarł się Amerykanin. – Won! Wynoś się!

Raz za razem naciskał spust wielkiego rewolweru, a ściana mroku cofała się coraz bardziej. W końcu rozplynęła się wśród świerków.

– Widziałeś?! – krzyknął Turner z obłąkańczym triumfem w oczach, wymachując bronią nad głową. – Widziałeś, jak mu dałem popalić? Ha, ha! Trzy stówy dałem za tę spluwę, ale warto było! Kurwa, warto było! Nieźle, nie?

Oszołomiony Tayne spojrział na Amerykanina, następnie przeniósł wzrok na tłum tkwiący przed knajpą. Dostrzegł Hjalmara Vittensa, który stał z twarzą bladą jak ściana i poruszał ustami, coś mówiąc, ale jego słowa utonęły wśród pokrzykiwań gapiów, a potem zagłuszyły je coraz głośniejsza syrena i ryk silnika. Na drodze pojawiły się dwa podskakujące snopy świateł, które prześlizgnęły się po nich, całkiem ich oślepiając.

– Hej! – wydarł się Amerykanin. – Jestem z prasy! „The Atlanta Journal”! Gównu mi zrobicie!

Trzasnęło kilkoro samochodowych drzwi, a gdy Tayne otworzył oczy, ujrzał stojącą na poboczu półciężarówkę z napisem „Polis” i paru zdenerwowanych, krzyczących piskliwymi głosami mężczyzn, celujących do nich z broni krótkiej.

*

Siergiej Muchalew wyszedł z dusznej sauny i stał przez chwilę nieruchomo, czując, jak zimno późnego wieczoru wnika w jego nagrzaną skórę. Był odświeżony i pełen energii jak rzadko kiedy, mimo faktu, że w południe porzucił przydzielony mu samochód i ruszył w dalszą drogę na nartach. Nie miał nic przeciwko odpychaniu się kijkami przez kilka kilometrów – nastrój poprawiała mu świadomość, że nie musi się z nikim liczyć i może sam wybrać kierunek i tempo marszu. Na samą myśl o tym, że miałby utknąć w korku i czekać w nieskończoność, aż dowodzący jednostką tępak otrzyma rozkazy z góry, robiło mu się niedobrze.

Był dobrym oficerem i lojalnym enkawudzistą, w pełni oddanym swej misji, ale nienawidził głupoty i służalczości oficerów regularnej armii. Z tego, co widział, ofensywa Armii Czerwonej rozwijała się w ślimaczym tempie i cieszył się z całego serca, że mógł się z tego opieszałego rytmu wyrwać.

Zimno wnikało w jego ciało coraz głębiej i po dłuższej chwili Muchalew naciągnął koszulkę, a po niej sweter.

– Wasza kolej, chłopaki – rzucił niemalże po ojcowsku do dwóch żołnierzy, którzy siedzieli na ławce na zewnątrz sauny.

Ci poderwali się i zasalutowali.

– Dziękujemy, towarzyszu starszy lejtnancie!

– Korzystajcie z gościnności naszych gospodarzy – mruknął i rozejrzał się dookoła.

Wieś składała się raptem z trzech chat i kilku szop, przez co blask ognia, rozpalonego na samym środku osady, docierał wszędzie. Plamy krwi tego durnia, który na powitanie złożył się do strzału ze sztucera myśliwskiego, wydawały się teraz czarne.

Kucający przy ogniu Wlekw poderwał się i odwrócił.

– Dwóch ludzi pilnuje wieśniaków, towarzyszu starszy lejtnancie – zameldował. – Dwóch innych patroluje obrzeża wsi. Wartę zmieniamy za cztery godziny.

W oddechu starszyny Muchalew wyczuwał smród wódki, co oznaczało, że ten złamał rozkaz. Oficer nie skomentował tego.

– W porządku – ocenił i ruszył w stronę chaty, którą wybrał dla siebie i Esmeraldy. – Obudźcie mnie, jakby działo się coś niepokojącego.

– Towarzyszu starszy lejtnancie. – W głosie Wlekw pojawiła się nowa nuta. – Chłopcy pytają, czy nie mogliby tej młodej wziąć na... No, wie pan. W ramach integracji między narodami!

Na jego obliczu, nalany i opromieniony rudym blaskiem ognia, pojawił się obleśny uśmieszek.

– Integracji? – Muchalew uniósł brwi.

– Czytałem o planach towarzysza Stalina! – Starszyna odruchowo stanął na baczność, ale zachwiał się lekko. – W „Komsomolskiej Prawdie”! Mają to wszystko zamienić w Fińsko-Karelską Republikę Ludową. – Szerokim wymachem ramienia wskazał zmarzniętą puszcę dookoła. – Można by więc przyspieszyć bratanie się między narodami!

Czknął głośno, co odebrało Muchalewowi ochotę do dalszej rozmowy.

– Róbcie, co chcecie – mruknął. – Byleby się nie darła.

Następnie odwrócił się i ponownie ruszył w stronę chat, ciekaw tego, czy Esmeraldzie udało się cokolwiek wyciągnąć z jeńca. Stary Karel okazał się doświadczonym narciarzem i nadażał za drużyną NKWD, ale pod koniec dnia opadł z sił i zemdłał. Miał za sobą długie tygodnie niedożywienia, kilka wieczorów tortur, a potem ciągnące się długo sesje przesłuchań z Esmeraldą. Oficer miał nadzieję, że opór szamana wreszcie ustąpi.

Otworzył niewielkie drzwi i nachylił się, by przemknąć pod niską futryną, ale coś – nie potrafił określić co – kazało mu odwrócić głowę.

Ciemność na skraju wsi, drgająca wraz z migotaniem płomieni, zdawała się niespodziewanie gęstnieć i w pewnym momencie lejtnant odniósł wrażenie, że spogląda na idealnie czarną ścianę. Było to osobliwe doznanie, tym bardziej że ta zdawała się przybliżać. Czując na plecach zimny dreszcz, przyglądał się

niecodziennemu zjawisku. Niespotykane gęsta, niemalże żywa ciemność wydawała się spoglądać na niego. Ba, jeden czy dwa razy miał nawet wrażenie, że wyciąga ku niemu ciemną mackę, jakby chciała go dotknąć. Ze wszystkich sił powstrzymał odruch cofnięcia się o krok.

Po chwili mrok się rozplątał i Rosjanin doszedł do wniosku, że chyba jednak coś mu się przywidziało. Wzruszył ramionami i wniknął do środka chaty, gdzie przywitał go zaduch, przesycony zapachem dymu, potu i strachu. W świetle pojedynczej lampy naftowej dostrzegł jeńca, przywiązanego mocno do krzesła, oraz siedzącą naprzeciwko niego Esmeraldę.

Cyganka, blada i skupiona, wydawała się znużona, a jej zmęczona twarz świadczyła o tym, że z największym trudem utrzymuje koncentrację. Mimo to zarejestrowała wejście lejtnanta, a wtedy dyskretnym, ledwie zauważalnym gestem uwolniła wisiorek, na którym zaciskała dłoń, i wepchnęła go sobie za dekolt bluzki. Muchalew widział go już parokrotnie, chociażby wówczas, gdy zdarłszy z Esmeraldy koszulę, brał ją od przodu, ale do tej pory uznawał za idiotyczną, kobiecą ozdóbkę. Wisior przypominał zwykły szary kamyk w taniej siateczce z posrebrzanych drucików, ale wyglądało na to, że miał dla Esmeraldy duże znaczenie i najprawdopodobniej pomagał jej przy telepatycznych przesłuchaniach.

Starszy lejtnant skupił się na obserwacji. Nie ulegało wątpliwości, że Cyganka sięgała po swoje tajemne moce, których jak dotąd nie demonstrowała. Wpatrywała się w jeńca nienaturalnie szeroko otwartymi oczami, a ten, mimo kosztownego wycieńczenia, najwyraźniej zacięcie stawiał jej czoła. Co chwila kręcił bowiem głową, jakby usiłował wytrząsnąć obce myśli z mózgu, a jego usta zastygały w wyrazie pogardy. Oddychał szybko, choć z trudem, a jego lekko skośne oczy były szkliste i przekrwione. Skórę pokrywała warstewka potu.

Muchalew, świadom tego, że przygląda się straszliwemu pojedynekowi na siłę woli, usiadł na wolnym krześle. Jeniec oddychał chrapliwie i miotał się spazmatycznie. Esmeralda przygryzała dolną wargę. Po jej czole spływała kropla potu.

Nagle odetchnęła i się wyprostowała, a szaman zwisł w więzach. Cyganka pochwyciła stojącą obok szklankę z zimną już herbatą i przez chwilę piła chciwie, po czym splunęła fusami na podłogę i spojrzała na oficera z mieszaniną znużenia i triumfu na twarzy.

– Twardy był – wychrypięła z nieopisaną ulgą. – Ale mam go... Złamałam go. Mam to, czego chcesz – dodała. – Wiem, skąd pochodzi. Znam nazwę jego wsi.

Muchalewowi zabiło szybciej serce. Z energią przysunął jej kartkę papieru oraz ołówek.

– Zapisz! – polecił. – Fińskie nazwy to niekończący się bełkot. Nie chcę, byś zapomniała.

– To nie Finowie, tylko Karelowie – mruknęła Cyganka, ale ujęła słabą dłonią ołówek i posłusznie zapisała nazwę.

Lejtnant wyrwał jej kartkę z ręki i przypadł do leżącej na stole mapy.

– Ruohokäärme – wymamrotał, wodząc wzrokiem wśród płataniny szczegółów topograficznych. – Przeklęty psi język. O mam! – zawołał z zadowoleniem. Sięgnął po tępy ołówek i zakreślił kółko. – To zaledwie... zaledwie sześć kilometrów stąd w linii prostej!

– Päivä – szepnęła Esmeralda.

Muchalew uniósł głowę.

– Co?

– To jego imię. – Cyganka machnęła ręką w kierunku jeńca. – Ma na imię Päivä. A jego córki Hämärä i Sumu.

– Córki – syknął Muchalew.

Esmeralda spoglądała na starszego lejtnanta promieniejącym wzrokiem. Chciwie ujęła dłonie oficera i spojrzała mu w oczy. Była zmęczona, ale buchała zwierzęcym magnetyzmem.

– Dwie córki! – powtórzyła. – Jesteście coraz bliżej sukcesu, Siergieju Iwanowiczu!

ROZDZIAŁ 5

4 grudnia 1939 roku

Za leżącą niebezpiecznie blisko granicą szalała straszliwa wojna, a odgłos wystrzałów niósł się daleko. Policja w Luleå miała zapewne mnóstwo pracy z uspokajaniem miejscowych i przekonywaniem ich, że wcale nie doszło do sowieckiej inwazji na ich kraj. Dlatego Michaela nie dziwiło, że posterunek był w zasadzie pusty.

Tayne stał przy kratkach aresztu i przyciskał twarz do prętów, usiłując zajrzeć do głównego pokoju, przeznaczonego dla policjantów. Było sporo po północy, ale rozstawione na odrapanych biurkach telefony nie przestawały dzwonić. Jedyne funkcjonariusz, który pozostawał na służbie, próbował je odbierać, aż w którymś momencie wysłuchał czyjejś wściekłej tyrady, trzasnął słuchawką, złapał za kurtkę i wybiegł. Nie zgasił lampki na biurku, która nadal zalewała żółtawym światłem wypełnione niedopałkami popielniczki, sterty teczek i puste szklanki. Na ścianie wisiały dziesiątki kartek, plakatów i map oraz gablota z kluczami. Na skraju pola widzenia stała ogromna szafa, przypuszczalnie sejf, a obok niej na podłozie leżał jego plecak oraz worek marynarski Turnera.

Mogłyby równie dobrze znajdować się na Księżycu, podobnie jak Sowieci i Penelopa.

Michael wypuścił powietrze przez nos i oparł czoło o kraty.

– Hej – odezwał się ponuro Amerykanin. – Jak myślisz, długo nas tu będą trzymać?

Michael przeniósł zmęczone spojrzenie na dziennikarza. W zaistniałej sytuacji jedynym uśmiechem losu było to, że zamknięto ich w osobnych celach.

– Nie wiem – odparł. – Na szczęście ciebie dłużej niż mnie, bo nie dość, że ty otworzyłeś ogień, to jeszcze przyłożyłeś miejscowemu glinie.

W przenikającym do korytarzyka blasku żółtej lampy widział rozbitą w rewanżu wargę Turnera, a obok sińca na żuchwie, którego sam mu zafundował. Amerykanin prychnął wzgardliwie.

– Człowieku, przecież ja nikomu nic nie zrobiłem! Zobaczysz, wystarczy jeden telefon do naszego poselstwa w Sztokholmie, by naczelnik tej szopki uwolnił mnie i przeprosił za zaistniałą sytuację.

– Skoro masz już odpowiedzi – wycedził Tayne – to po cholere pytasz?

Amerykanin zamilkł i Michael zrozumiał, że zadane przez Turnera pytanie było jedynie wstępem do rozmowy, której poprowadzić nie umiał. Niechęć do dziennikarza, która właśnie osiągnęła szczyt, nieco osłabła.

– Ja nikomu nic nie zrobiłem – powtórzył po chwili Turner. – Nawet tego gliniarza nie rąbnąłem za mocno. Tak tylko, żeby się odpieprzył. A strzelałem, bo... bo się wystraszyłem. Ty... ty widziałeś to coś?

– Widziałem – odpowiedział sucho Tayne.

– Człowieku, co to... – Amerykanin przełknął z trudem ślinę. – Co to właściwie było? Czy ja... Ja zabiłem to coś, prawda? Uciekło! Uciekło od nas, a więc musiałem je zabić! Albo przynajmniej ranić!

Michael nie odpowiedział od razu.

– Na to pytanie, jak słyszę, też już sobie odpowiedziałeś.

– Ty coś wiesz. – Oczy Turnera lśniły gorączką. – Widziałeś już kiedyś podobne rzeczy, co?

Tayne nie odpowiedział. W biurze policyjnym znów odezwał się telefon, ale zamilkł po dwóch dzwonekach.

– Zamknij już gębę – powiedział ze znużeniem Michael, siadając na pryczy. – Jak już tu jestem, przynajmniej się zdrzemnę.

– Odpowiedz mi! – nie poddawał się Amerykanin. – Musisz mi powiedzieć!

– Nic nie muszę – mruknął sennie Tayne. – I przymknij się.

Domyślny sukinsyn.

Przed przybyciem do Szwecji Michael nigdy nie widział owej ciemności, nie wiedział też dokładnie, czym była, ale słyszał o niej co nieco w Bibliotece. Wspomnienie tych plotek wcale nie przyniosło mu pocieszenia. Wręcz przeciwnie, po jego plecach przebiegł zimny, nieprzyjemny dreszcz, gdyż niespodziewanie uświadomił sobie, że wszystkie ostrzeżenia starego Astleya i de Woorta zaczęły mieć sens.

– Powiesz mi, prawda? – szepnął dziennikarz w sąsiedniej celi. – Przecież wiem, że tego chcesz. Człowieku, będzie ci łatwiej, kiedy się podzielisz nieprzyjemnym sekretem. Hej, ja przecież od tego jestem. Nix Turner, człowieku, od dziś twój przyjaciel. Nie ma lepszego powiernika tajemnic ode mnie, ani wśród księży, ani wśród barmanów, ani nawet wśród taksówkarzy!

Zaśmiał się głucho, ale Tayne już go nie słuchał. Zасыpiając, zastanawiał się, czy okna posterunku były należycie mocne i czy mroczna istota, kiedyś nazwana przez Penelopę Czarną Zgrozą, zdołałaby się prześlizgnąć przez nie do środka.

W Bibliotece zapewne znali na to odpowiedź.

Sen, który niebawem nadszedł, przypomniał mu pewne zdarzenie z czasów, gdy sam próbował rozgryźć tajemnicę jakże ważnej dla Cedrika de Woorta instytucji.

Był przepiękny, majowy wieczór i Michael Tayne trochę żałował, że nie założył munduru. Służbę w Royal Marines zakończył rok wcześniej, po czym przeszedł do rezerwy i zachował prawo do publicznego paradowania w mundurze. Miał jednak wrażenie, że Penelopie wojskowy strój nie bardzo odpowiadał – przypominał wszak o rzeczywistości, o której radosna, rozkochana w nauce dziewczyna wolałaby zapomnieć – i zdecydował się na garnitur, kupiony za żołnierskie pobory, a więc tani i kiepsko skrojony. Szli powoli, gdyż Tayne nadal utykał na prawą nogę, zatrzymali się, by nakarmić kaczkę i łabędzie, usiedli na ławce przy kępie pachnącego bzu, by zjeść lody, a Michael uświadamiał sobie z coraz większą konsternacją, że strój wcale nie stanowi przeszkody. O wiele większym problemem było to, że czuł się przy tej kobiecie kompletnie onieśmielony i zupełnie nie umiał prowadzić z nią rozmowy. Penelopa mówiła bez przerwy, lecz Michael zdawał sobie sprawę, że ani jej gadatliwość, ani czar St. James's Park nie uratują tej randki, która skończy się dla obojga bolesnym rozczarowaniem.

– Wiesz może, czym naprawdę zajmuje się twój ojciec? – spytał nagle.

Penelopa spojrzała na niego żywo. Zrozumiał, że wybrał możliwie najgorszy sposób na przejęcie inicjatywy w rozmowie.

– A to dopiero – prychnęła, śledząc wzrokiem łabędzie, sunące wolno wśród unoszących się na wodzie liści. – Spacerujemy sobie pod rękę, podziwiamy przyrodę, cieszymy się własnym towarzystwem, a tobie

przychodzi do głowy pomysł, by porozmawiać akurat o moim ojcu. Ciekawe.

– Wybacz – bąknął, czując, że się rumieni. – To nie na miejscu, wiem.

Miał ochotę odwrócić się i uciec. Z trudem przewyciężył wstyd i dodał:

– Nie chcę, byś mówiła mi coś, czego nie chcesz, bo... bo w sumie nie jest mi to do niczego potrzebne. Ja tylko... Pracuję dla niego od roku, od czasu, gdy przeszedłem do rezerwy i... i jakoś...

– I jakoś co? – Penelopa spoważniała i popatrzyła na niego przenikliwie.

– Nie mogę dojść do tego, o co mu chodzi – przyznał.

– Dobrze ci płaci? – spytała oschle dziewczyna, odwracając spojrzenie jasnoniebieskich oczu.

– Tak, lepiej, niż bym sobie tego życzył – dodał pośpiesznie. – Ale nie wiem, po co mu to wszystko. Wiesz, najpierw zabrał mnie do jakiejś posiadłości w Suffolk, gdzie przez miesiąc poddawał mnie najróżniejszym testom, psychologicznym, zręcznościowym, fizycznym... Kiedyś polecił mi przekraść się przez ogród, po którym błąkał się głodny owczarek niemiecki. Kazał mi wejść do stajni, gdzie po kryjomu otwarto wejście do boksu naprawdę niesfornego konia. Kilkakrotnie czaili się na mnie jacyś goście, by mi sprawić lanie mokrymi ręcznikami.

– I co? – Penelopa znów wpatrywała się w niego, tym razem z mieszaniną niechęci i zaciekawienia.

Michael wzruszył ramionami.

– Koledzy z plutonu mówili, że mam dziwaczny instynkt. Że o sekundę czy dwie wcześniej wiem, że wydarzy się coś złego. Uznali, że przynoszę szczęście, i wszyscy potem za mną łązili, co strasznie mnie wkurzało, bo ja... bo ja tego nie lubię. Testy twego ojca zdałem, bo do stajni nie wszedłem, przed psem zdołałem uciec, a gości z ręcznikami omijałem, choć czasem bezwiednie. Naprawdę dziwnie jednak zrobiło się później, bo twój ojciec najpierw mnie wysłał do Zanzibaru, bym znalazł dla niego jakąś wazę, a potem do Irlandii po zwykły naszyjnik z brązu. Nie znam się na sztuce i dla mnie były to tylko tanie bibeloty, ale... na Zanzibarze o mało mnie nie zastrzelili, a w Irlandii dopadł mnie ten kot i... – Pokręcił głową. – Po co mu to wszystko? – spytał.

– Po co. – Penelopa wpatrywała się w biały front zwieńczonego dziesiątkami wieżyczek pałacu. – Ten kot miał zielone oczy, prawda? I był dwakroć większy od normalnego kota?

Wspomnienie przesłoniło sielankową scenerię parku i Michaela przeszły nieprzyjemny, zimny dreszcz.

– O tym, co się wydarzyło w Zanzibarze, nie wiem nic – ciągnęła Penelopa. – Ale zakładam, że doszło tam do czegoś, co również nie przystaje do naszych realiów. I tak właśnie, Michael, będzie.

Szła dalej w milczeniu, wpatrzona w czubki swoich butów. Wciąż trzymała go pod rękę, ale miał wrażenie, że chciałaby się uwolnić.

– Nie wiem, czym zajmuje się mój ojciec – powiedziała w końcu. – Wiem, że wraz z Astleyem i kilkoma bogatymi dżentelmenami organizuje różne ekspedycje, ale nie przeczytasz o nich w gazetach. Zdobywają jakieś przedmioty, ale nie ujrzysz ich na wystawach. Od wielu lat prowadzą klub dla dżentelmenów nazywany Biblioteką, nie tylko w Londynie, ale także w Kairze, na Malcie i gdzieś jeszcze. Pojawiają się tam dziwni jegomości, na ogół arystokraci, ale także zwykli ludzie. Czasem są to byli żołnierze, czasem byli policjanci, dziennikarze, awanturnicy. Ludzie, których z jakiegoś powodu Biblioteka wybiera i przydziela im jakieś zadania. Ludzie, którzy później wyjeżdżają i czasem nie wracają.

Znów zamilkła. Nieoczekiwanie wysuwała z torebki paczkę papierosów i zapaliła jednego, wpatrując się w niebo.

– Nie wiem, czy mój ojciec jest dobrym człowiekiem, czy złym – powiedziała po chwili cicho. – Nie wiem, czy traktuje was jak pionki na planszy, czy rycerzy zbawiających świat. Nie wiem, czy to, czym się zajmuje, to przestępstwa, czy może herezje, ale wydaje mi się, że jego cele pochłaniają go całkowicie i poświęci dla nich wszystko. Parokrotnie próbowałam się dowiedzieć, czym się naprawdę zajmuje, ale mierzył mnie wówczas spojrzeniem, od którego przeszły mnie ciarki. Zupełnie... zupełnie jakby chciał mnie przed tym ochronić.

– Wobec mnie zachowuje się inaczej – usiłował zażartować Michael.

– Bo być może jednak jesteś narzędziem. Bo wie, że z którejś wyprawy nie wrócisz.

– To dlaczego się spotkaliśmy? – spytał oszołomiony Tayne. Słowa Penelopy wywołały w nim nie tyle lęk, co oszołomienie. – Skąd ta randka? Z litości?

Penelopa prychnęła.

– Powodowała mną przekora – przyznała, zaciągając się. – Ojciec zaangażował się w sprawy Biblioteki niedługo po śmierci matki, jakby potrzebował czegoś, co pozwoli mu zapomnieć o bólu. Wciągnęły go one jednak tak bardzo, że zaczęło mi go brakować. Na różne sposoby

próbowałam mu to okazać, a on na różne sposoby próbował mi to wynagrodzić, ale koniec końców i tak wracał do Biblioteki i swoich niekończących się badań, spotkań, narad i poszukiwań. Niebawem zrozumiałam, że ten świat jest dla niego ważniejszy od życia rodzinnego, a on dał mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru mnie do niego wpuszczać. Wówczas moja tęsknota przeobraziła się właśnie w przekorę. W trakcie jego niekończących się nieobecności zaczęłam robić rzeczy nowe: nauczyłam się prowadzić samochód, zaczęłam uczęszczać na spotkania partii komunistycznej, wstąpiłam na uniwersytet, by uczyć się języków, no i wreszcie zaczęłam interesować się tobą.

– A więc nie z litości, ale z przekory – mruknął Tayne. – Nie brzmi to wiele lepiej.

– Chciałeś odpowiedź, to ją masz – odparła ostro dziewczyna. – A co do pierwszego pytania, Michael, to... to chyba domyślasz się, co robi mój ojciec oraz Biblioteka.

Tak, przyznał w duchu. Masz rację. Chyba to wiem, ale...

– Ode mnie się więcej nie dowiesz. – Penelopa rzuciła niedopałek na chodnik. – Bo albo nie wiem, albo nie chcę powiedzieć. Zadowolony?

Nie, odparł w myślach. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu. Wolałbym, byś wzięła mnie za towarzyskiego niedojdę, niż usłyszeć to wszystko.

– Może pójdziemy jeszcze do jakiejś herbaciarni? – zaproponował nieśmiało, kierując się desperacką nadzieją, że może zdoła uratować sytuację. Penelopa jednak już na niego nie patrzyła. Jej twarz, jeszcze przed momentem wesoła i promienna, ostygła i pojawiło się na niej znużenie.

– Nie – powiedziała oschle. – Odprowadź mnie na taksówkę.

Michaela obudziła rozmowa. Prowadzono ją w obcym języku, ale miał wrażenie, że rozpoznaje głos jednego z mówiących, pełen energii i werwy, często przechodzący w wybuchy śmiechu. Drugi z głosów wydawał się przy nim markotny, wręcz gderliwy. Naraz do rozmowy dołączył brzęk kluczy, który sprawił, że Tayne otworzył szerzej oczy i usiadł na twardej pryczy.

Chyba nadchodził świt, bo przez oszroniałe okna do wnętrza posterunku wnikał blady poblask. Głosy się przybliżały, dźwięk kluczy był coraz wyrazistszy, a po upływie kilku sekund w korytarzu między celami pojawiło się dwóch ludzi. Jeden z przybyłych, barczysty mężczyzna w czapce policyjnej, pociągnął za zwisający z sufitu sznurek i przestrzeń zalało światło pojedynczej

żarówki. W tej samej sekundzie wciąż zaspany, mrugający powiekami Tayne zobaczył, że towarzyszem mundurowego jest Theodore Augustus Astley.

Młody Astley, ubrany w ciepły płaszcz z wielbłądziej wełny i także czapkę zasłaniającą uszy, miał poszarzałą ze znużenia twarz, ale głos, który Michael aż za dobrze poznał w drodze do Huntington, pozostał dźwięczny i radosny. Najwyraźniej Theodore posługiwał się szwedzkim równie biegle jak angielskim, bo perorował z zapalem, gestykulując dłońmi w czarnych rękawiczkach. W odróżnieniu od niego policjant, który bez pośpiechu przeglądał teraz pęk kluczy, odpowiadał głównie burknięciami.

– Astley? – powiedział z niedowierzaniem Tayne. – Co ty tu robisz?

– Utrwalam różnice między nami – odparł zjadliwie młodzieniec. – Ty milczysz, ja mówię. Ty zamykasz drzwi, ja otwieram. Ty skupiasz się na sobie, ja zaś na współpracy.

Tayne zacisnął zęby, przekonany, że wszystko, co teraz powie, będzie niewłaściwe. Przeniósł wzrok na Szweda, który nadal w skupieniu oglądał klucze, aż wreszcie dobrał właściwy, co skwitował ponurym mruknięciem, i podszedł do krat, by wsunąć go do zamka. Wtedy Astley położył dłoń na jego ręce.

– *Vent litt, vennen min* – powiedział do policjanta, zbliżył twarz do krat i zwrócił się do Michaela: – Posłuchaj mnie, Tayne, uważnie. Nie jestem kurierem ani chłopcem na posyłki. Mój ojciec i twój teść wyznaczyli mnie na twego towarzysza, bo od paru lat wykonuję zadania dla Biblioteki i chyba lepiej rozumiem ich doniosłość od ciebie, skoro ty jakoś nie zdołałeś sobie uświadomić, że nie znasz nawet języka kraju, do którego zmierzasz, ani też tego, że wybierasz się w strefę wojny, gdzie przyda ci się każda pomoc. Na przykład pomoc wygadanego arystokraty, który ma niepotrzebne sto funtów w kieszeni na łapówkę dla miejscowej policji. Ostatnie zresztą sto funtów, ale mniejsza o to. Teraz mój nowy przyjaciel Gunnar otworzy ci celę i wyjdiesz stąd razem ze mną, by...

– Astley, przestań! – warknął ostrzegawczo Tayne, ale Theodore, który najwyraźniej uległ długo tłumionej wściekłości, ani myślał milknąć.

– ...by dokładnie omówić sprawę przedostania się do Finlandii. Co może być ciekawym wyzwaniem, bo na Gunnara wydałem większość tego, co zostało mi po opłaceniu błyskawicznego czarteru do Luleå. Nie masz pojęcia, ile ten irlandzki sukinsyn ze mnie zdarł! Pierwszy człowiek od wielu lat, który wydawał się całkowicie odporny na mój urok! Koszmar, powiadam ci! To co, Tayne? Mamy umowę?

Michael, który w czasie tej przemowy zacisnął dłoń na kratkach, oparł teraz o nie czoło. Gdy podniósł głowę, spojrzął na wściekłego Astleya ze znużeniem.

– Skoro już poruszyłeś temat różnic między nami – powiedział cicho – to się obejrzyj.

Nix Turner, który stał przy ścianie własnej celi, wyglądał paskudnie. Z obitą twarzą, zapuchniętymi oczami, niezdrową cerą i rozczochranymi włosami niewiele się różnił od weterana całonocnej libacji, którego szanujący się obywatel obszedłby szerokim łukiem, ale w jego oczach jaśniała niezdrowa fascynacja. Tayne wiedział, że usłyszał każde słowo rozgniewanego arystokraty i wykorzystał je, by uzupełnić szczegóły w historii, którą stworzył sobie wczoraj.

– Bo ja wiem, kiedy trzymać gębę na kłódkę – dodał Michael.

– Nie macie forsy, tak? – odezwał się Turner chrapliwym głosem. – Chcecie się dostać do Finlandii, a nie macie na to forsy?

– A pan to kto? – Astley, bynajmniej nie zakłopotany, odwrócił się do Amerykanina.

– Nix Turner. – Dziennikarz wyciągnął rękę między kratami. – „The Atlanta Journal”. Miło mi cię poznać, człowieku, i zapewniam, że mój wydawca z przyjemnością zwróci wam koszty podróży do Finlandii. A także – jego oczy błysnęły sprytem – koszty porządnego śniadania.

– Nie – jęknął Michael. – Nie, absolutnie nie, Astley. Nawet o tym nie myśl. To beznadziejny pomysł i...

– Śniadania... – powtórzył młody Astley z udawaną zadumą. – I to ma być kiepski pomysł, Tayne?

– Tak! – syknął Anglik. – To dziennikarz! Wścibski i natrętny!

– I nadziany! – dodał z uśmiechem Turner, którego najwyraźniej bardzo trudno było urazić.

– Wybacz, Tayne – rzekł Astley. – Na tym etapie podróży każdy, kto nie wypycha mnie do dworcowego kibla, wydaje mi się niemalże przyjacielem.

Po czym wypowiedział kilka słów do Szweda, który znów mruknął i zabrał się do poszukiwania kolejnego klucza.

*

Niewielki, odrapany kuter rybacki Kallaxön skierował dziób ku ciągnącemu się na wschodzie archipelagowi wysepek, za którymi rozpoczynał się bezmiar wód Zatoki Botnickiej. Mocne podmuchy wiatru rozpędzały smród ryb – który w porcie zdawał się wręcz oblepiać niewielką jednostkę – oraz kołki nieprzyjemne nudności, które nawiedziły Tayne’a, kiedy tylko kuter wypłynął na morze. Michael stał więc na dziobie, kurczowo trzymał się okrężnicy i oddychał miarowo, starając się nie patrzeć na szare fale, unoszące się i opadające w równym rytmie. Okoliczności usypiały instynkt, który wywiódł go z niejednej

opresji – z tego, że ktoś obok niego stanął, zdał sobie sprawę dopiero, gdy do jego nozdrzy doszedł zapach dymu cygarowego. Uniósł głowę i spojrzał z wysiłkiem na młodego Astleya, który, ku jego irytacji, bez trudu utrzymywał równowagę i nie wykazywał najmniejszych nawet oznak choroby morskiej. Zamknął oczy.

– Jeśli masz ochotę mnie przeprosić, Tayne – powiedział Theodore – teraz masz okazję. Możesz też podziękować za wyciągnięcie z miejscowej ciupy, jeśli chcesz. Kolejność nie ma znaczenia.

Michael wciągnął mocno powietrze w płuca i otworzył oczy, czego zaraz pożałował, bo upstrzony wospami horyzont nadal się unosił i opadał.

– Ja nie mam w zwyczaju współpracować – powiedział z trudem. – To moje czwarte zadanie dla Biblioteki i jak dotąd de Woort nikogo ze mną nie posłał.

– Aha. – Młody człowiek, wpatrzony w łańcuch wysp, zaciągnął się cygarem. – Osobliwa forma przeprosin. Nie jestem zaskoczony, bo dziadek mówił, że jesteś dziwny i że powinienem przejść nad tym do porządku dziennego, bo ważniejsza jest misja. Rozumiesz? Mam ignorować ciebie, a skupić się na szukaniu twojej żony. – Zachichotał zdawkowo.

Z góry dobiegły pokrzykiwania mew podążających za kutrem. Tayne odetchnął ponownie, bo niechęć do Theodore'a, która nieco ostygła po tym, jak ten wyciągnął go z aresztu, znów się nasiliła.

– Właśnie – warknął. – Moja żona. Tu chodzi o Penelopę, Astley, a więc nic ci do tego.

Theodore westchnął

– Nie znasz języka. A do tego wyruszasz samopas w strefę wojny. Wiesz, ile Sowietci pchnęli dywizji na ten nieszczęsny kraj?

– Tyle, że twoja obecność niewiele mi da. Zwłaszcza jeśli będziesz tyle gadał.

Tayne z niemałym trudem odwrócił głowę ku niewielkiej sterówce. Za jej brudnymi oknami widział szypra, tyczkowanego, małomównego Szweda, który na swoje nieszczęście znał trochę angielski, oraz Turnera, a ten postanowił zrobić z tego użytek. Terkotanie silnika i chlupot fal zagłuszały wszelkie słowa, ale obfita gestykulacja dziennikarza sugerowała, że uparł się zrobić na starym szyprze mocne wrażenie.

– Wypaplałeś przed tym gnojkiem wszystko, co można było – warknął.

– I co z tego? – Astley wzruszył ramionami. – Postawił nam przejazd i śniadanie.

Na wspomnienie śledzików z czarnym chlebem oraz słodkiej, słabej herbaty Tayne'owi zrobiło się niedobrze. Theodore nie zauważył jego słabości i wypuścił kłąb cygarowego dymu.

– Po dotarciu na miejsce jakoś się go pozbędziemy – dodał. – Chyba że okaże się użyteczny. Cechuje go tępy, prostacki urok, który może się do czegoś przydać, zwłaszcza w połączeniu z moim, jakże olśniewającym.

– Ja... – zaczął Tayne, ale zacisnął usta i z trudem przełknął podchodzącą wysoko żółć.

– Ty nie masz uroku za grosz, a więc się nie wypowiadaj.

– Astley, to moja sprawa! – wycedził Michael. – Wyłącznie moja! Doceniam twoje zaangażowanie, ale nie ma mowy, byś w Oulu zszedł na ląd. Ten szyper...

– Nie. – Głos Theodore'a zabrzmiał niczym strzał z bicia.

– Co znaczy „nie”? – Poblady Tayne odwrócił ku niemu głowę niczym byk rozważający szarżę.

– To nie jest twoja sprawa – warknął Astley i ze złością wyrzucił niedopałek cygara za burtę. – Twierdzisz, że wiesz coś na temat działań Biblioteki, tak? A byłeś może kiedyś w Sali Zegarowej?

– Nie. – Michael spoglądał na młodego arystokratę z zaskoczeniem.

– Szkoda. Ja byłem. Wielokrotnie. Miejsce, wierz mi, robi wrażenie.

Tayne spojrział na Theodore'a. Zimny, wschodni wiatr, który nacierał na dziób i rozrzucał bryzgi fal, zmusił go do zmrużenia oczu, ale i tak dostrzegł w spojrzeniu Astleya coś ciężkiego i dojrzałego. Coś, co zupełnie nie pasowało do młodzieńczej, pozbawionej zarostu twarzy i mimowolnie nakazało spojrzeć na chłopaka inaczej.

– Sala Zegarowa pomogłaby ci nabrać dystansu – dodał młody arystokrata, wpatrując się w szare morze. – I może wyzbyłbyś się tej irytującej, dziecinnej pozy.

*

Sala Zegarowa jak zwykle powitała Cedrika do Woorta zapachem kurzu, starego papieru i jeszcze starszych tajemnic.

Mężczyzna energicznie zgasił trzymaną między palcami zapalną, dyskretnie zamknął za sobą drzwi, a potem poprawił marynarkę i ruszył między regałami w stronę stołu, na którym paliła się pojedyncza świeca. Z niejasnych powodów Astley nigdy nie chciał, by doprowadzono tu prąd. Twierdził, że woli to pomieszczenie utrzymać w tajemnicy, a każda ekipa remontujących je robotników natychmiast by o wszystkim wypaplała. Z kolei de Woort w głębi duszy uważał, że każdy robotnik uznałby Salę Zegarową za nudne archiwum pełne szpargałów. Sądził też, że palenie świec stanowi zagrożenie o wiele większe niż wszystkie ekipy londyńskich elektryków razem wzięte i często

obiecował sobie, że kiedyś porozmawia o tym z Astleyem. Ten moment jednak jak dotąd nie nadszedł i de Woort szczerze wątpił, czy kiedykolwiek nadejdzie.

Zwłaszcza teraz, kiedy świat na nowo stanął w obliczu straszliwej wojny.

Hałaśliwie wysunął krzesło spod stołu i opadł na nie z westchnieniem. Spojrzał na Astleya, który siedział naprzeciwko niego. Przyjaciel zachowywał absolutny bezruch, a żółtawy blask świecy nadawał jego cerze woskowy odcień. Wyglądał, jakby myślami przebywał daleko stąd.

Cedric sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął talię kart w skórzanym etui, po czym położył ją głośno na blacie stołu. Przesunął ją ku Astleyowi.

– Weź to ode mnie – powiedział chrapliwym głosem. – Zabierz je. I schowaj. W przeciwnym razie nie opanuję się i będę po nie sięgał co chwila.

Spodziewał się, że stary przyjaciel zaoponuje. Sądził, że będzie wygłaszał peany pod adresem jego odpowiedzialności i siły woli, tymczasem Astley drgnął i położył na talii suchą, pomarszczoną dłoń. Zacisnął palce na etui z kartami, po czym wstał i zniknął między regałami. Cedric zaś, wsłuchany w jego szurające kroki, w których już od dawna brakowało energii, odniósł wrażenie, że słyszy coś jeszcze.

Był to złowieszczy odgłos, który rozpoznał od razu.

Tykanie zegara.

Po plecach spłynął mu zimny dreszcz. Odwrócił głowę w stronę starego zegara stojącego, zbudowanego ongiś przez praskiego alchemika Radiczkę, i ze zgrozą zauważył, że jego wahadło równomiernie kołysze się na boki. Przeniósł wzrok na tarczę – blask świecy odbijał się od szybki, ale i tak dostrzegł jedyną wskazówkę. Wydawała się trwać w tej samej pozycji co zawsze, co bynajmniej nie uśmierzyło jego niepokoju.

Spojrzał z lękiem na wracającego już bez kart przyjaciela, który, siadając, obdarzył go zrezygnowanym uśmiechem.

– Nie prosz mnie o to, bym cię uspokoił czy wyprowadził z błędu – powiedział suchym, znużonym głosem Astley. – Nie mylisz się. Zegar Radiczki ruszył. Po raz pierwszy, odkąd się tu znalazł. Ba, być może po raz pierwszy, odkąd go zbudowano.

– Co to dla nas oznacza? – spytał de Woort, choć znał odpowiedź.

Astley wzruszył chudymi ramionami.

– Że świat znalazł się w obliczu zagłady o wiele gorszej od tej, którą mają ochotę zafundować mu Hitler, Stalin i kilku pomniejszych szajbusów – odparł.

Zegar tykał powoli, bez litości. Na pierwszy rzut oka wydawał się starym rupieciem, nieco przechylnym, zbudowanym z niedopasowanych, poskręcanych od wilgoci deseczek. Tu i ówdzie odłaziła farba, brakowało jednego z wahadeł,

a ze wskazówek została jedynie minutowa. Ale przecież zegar Radiczki nie miał wskazywać upływu czasu.

Nie, legendarny praski alchemik zbudował go w zupełnie innym celu. Tykanie tego starocia, którego przecież nikt nigdy nie nakręcał, miało być ostrzeżeniem.

– Ile pozostało nam czasu? – Cedric wpatrywał się bezradnie w tykający zegar.

– Kilka dni, może tygodni. Nie wiem.

Astley nigdy jeszcze nie wydawał się tak pozbawiony energii jak w tej chwili. De Woort desperacko szukał w głowie sposobów, by jakoś podnieść starego przyjaciela na duchu, ale w porę oprzytomniał i uzmysłowił sobie, że Astley, były oficer i dżentelmen starej daty, nie będzie sobie życzył, by ktokolwiek zwracał uwagę na jego momenty słabości. Co więcej, Cedric naprawdę nie wiedział, co powiedzieć człowiekowi, który nagle odkrył zbliżający się koniec świata.

Zamiast tego zadał pytanie.

– Czy jest coś... – Urwał i odkaszlnął, by zamaskować drżenie głosu. – Czy jest coś, co możemy zrobić?

– Nie wiem – odparł Astley. – To znaczy wiem, ba!, obaj wiemy, ale żaden z nas nie wie, jak tego dokonać. Rozpoczęła się kolejna wielka wojna, co sprawia, że wszyscy chwycili za broń. Również za tę, która nie ma związku ze współczesną technologią, a to sprawiło, że Czarna Zgroza na powrót zaczyna się nami interesować. Żywiej niż kiedykolwiek.

Spojrzał na tykający zegar, którego wahadło kołysało się powoli, jakby drwiło z lęku dwóch starszych dżentelmenów.

– Myślisz, że to przeze mnie? – De Woort stłumił kolejny dreszcz. – Przez to, że sięgnąłem po te karty?

– Nie. Nie wiem. Pewnie nie. Zakładam, drogi Cedriku, że na świecie jest wielu ludzi, którzy korzystają z podobnych artefaktów o wiele mniej wstrzemięźliwie niż ty. To przez nich bariera oddzielająca nas od Czarnej Zgrozy zaczyna się przecierać, aż w końcu pęknie. Wiesz coś o losach Tayne'a i Penelopy? – zmienił nagle temat.

Uwadze de Woorta nie uszło bynajmniej to, że Astley nie spytał o wnuka. Wszak nie wypadało okazywać przed starym przyjacielem, że się martwi o młodego Theo. Uśmiechnął się lekko.

– Twój wnuk dzwonił do mnie z Huntington – odpowiedział Cedric. – Chyba doszło do jakiejś sprzeczki między nim a Tayne'em, ale nie martwiłbym się o nich.

– Tak. – Astley wpatrywał się w świecę. – Chyba przekroczyłem już punkt, w którym bym się martwił o coś czy o kogoś. Teraz już tylko się boję.

– Tayne i twój wnuk dadzą sobie radę – mruknął de Woort. – Muszą. Ale karty Tagelianiego – spojrzał w mrok między regałami – pokazały mi ciekawą rzecz.

W tę intrygę wpleciony jest jakiś inny człowiek. Ktoś potężny i zdecydowany, kto przypuszczalnie stanie się przeciwnikiem Michaela i Penelopy. Zważywszy na to, czym dotąd zajmowała się Penelopa, zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem tego człowieka również nie intrygują źródła mocy.

– Jeśli masz na myśli pas Ilmarinena – Astley zmarszczył brwi – chyba już ustaliliśmy, że ten artefakt nie istnieje? Wysłaliśmy Penelopę, by go odnalazła. Skoro nie zdołała tego zrobić przez prawie półtora roku, chyba możemy założyć, że przedmiot nie istnieje.

– Moja córka jest naukowcem. – De Woort zacisnął usta. – Badaczką. Nie ma w niej nic ze szpiega ani z tajnej agentki. Przybyła do Karelii, by zgłębiać wiedzę i poznawać kulturę. Fakt, wykonuje dla nas niezwykle ważne zadanie i zna legendy o pasie, ale jeśli ten przedmiot rzeczywiście istnieje, a miejscowi o nim wiedzą, z pewnością go przed nią ukrywają.

Odetchnął ciężko.

– Martwię się o przeciwnika, którego wskazały mi karty – podjął. – Liczę na to, że Tayne i twój wnuk zdołają go prześcignąć lub przechytrzyć.

– Wiesz o nim cokolwiek?

– Nie.

– Popatrz, do czego to doszło. – Astley znów się wpatrywał w tykający cicho zegar. – Gdybym był człowiekiem zgryźliwym, w kilku żołnierskich słowach podsumowałbym szansę dwóch Anglików, szukających zaginionej kobiety w środku zimy podczas zmasowanej inwazji Sowietów.

– Całe szczęście, że nim nie jesteś.

– No właśnie. – Astley się podniósł. – Całe szczęście. Chodźmy na górę, stary przyjacielu, i poszukajmy jakiejś dobrej whisky. Pies trącał to, co gadają lekarze.

*

W czasie, gdy obaj dżentelmeni wyszli z podziemi Biblioteki i skierowali się ku gabinetowi Astleya, a Kallaxön mijał ostatnią z wysp na wschód od Luleå, nad zamarzną fińską puszcza poniósł się głuchy łoskot radzieckiej artylerii.

Lejtnant Siergiej Muchalew rozejrzał po nieruchomych, ośnieżonych zabudowaniach Ruohokäärme i kopnął uchylone drzwi jednej z chat, aż te uderzyły w ścianę.

– Szlag by to trafił! – ryknął z ogniem w oczach. – Kurwa wasza mać!

Klął jeszcze przez moment i groził pięścią niebu.

Starszyzna Wlekw, poruszony wybuchem przełożonego, zamarł w odległości kilku kroków i patrzył na wzburzonego, ciężko dyszącego Muchalewa. Podszedł bliżej dopiero wówczas, gdy ten oparł rękę na framudze i zacisnął zęby.

– Towarzyszu starszy lejtnancie, wieś jest pusta – zameldował.

Muchalew wsłuchiwał się we wściekłą kanonadę dział.

– Możesz mi powiedzieć, do czego oni strzelają? – wycharczał po chwili. – Do pustych chat? Stodół pełnych siana? Czy może jednak, durniom patentowanym, udało się wypatrzyć jakiegoś Fina ze strzelbą i postanowili położyć ogień zaporowy?

Wlekw milczał. Nie miał odpowiedzi na żadne z pytań, a instynkt samozachowawczy podpowiadał mu, że enkawudziście wcale na nich nie zależy. Muchalew zaś wyprostował się, westchnął ciężko i potoczył dookoła wściekłym spojrzeniem. Niskie chaty wydawały się drwić z niego swoim bezruchem.

Kopnięte drzwi nadal się poruszały. Muchalew zatrzymał je dłonią w rękawicze.

– Wieś jest pusta – powtórzył. – Nic dziwnego, skoro te tępaki planują przemieścić ogniem z armat cały ten pieprzony las. Mieszkańcy musieli zbiec kilka dni temu.

I znów zaczął wściekle przeklinać.

Wszyscy wpatrywali się w niego ze zgrozą – Wlekw, szeregowcy, nawet Esmeralda. Muchalew co prawda nigdy nie wyładował swej złości na podwładnych, ale powszechnie było wiadomo, że w Armii Czerwonej wyzywanie się starszych stopniem na podkomendnych stanowiło uświęconą tradycję, a okazja jak najbardziej temu sprzyjała.

Muchalew milczał jednak, wyczerpany własnym napadem emocji. Nie licząc odległego grzmotu dział, otaczała ich teraz absolutna cisza. Przez dobrą minutę nikt nie ośmielił się wypowiedzieć ani słowa, aż niespodziewanie rozległ się chrapliwy, trudny do porównania z czymkolwiek odgłos. Muchalew gwałtownie odwrócił głowę, a w ślad za nim reszta drużyny.

Ich karelski jeńiec zadarł głowę i śmiał się do rozpuku. Wsparty na kijkach, zerkał to na Muchalewa, to znów na Esmeraldę i śmiał się tak, że z jego zmrużonych, lekko skośnych oczu ściekały łzy. Któryś z żołnierzy wzniósł swego mosina i grzmotnął go kolbą w brzuch. Śmiech szamana natychmiast przeszedł w głucho rżenie, a on sam zwał się na udeptany butami czerwonoarmistów śnieg. Oddychając ze świstem, odwrócił głowę i spojrzał na lejtnanta z mieszaniną pogardy i nienawiści, a potem powiedział coś we własnej mowie. W jego ustach widać było wyraźnie krwawe szczyrby po wybitych zębach.

– Oszukałeś nas – powiedział Muchalew martwym głosem, odpinając wiszącą przy pasie skórzaną kaburę. – Oszukałeś nas, a teraz drwiny sobie urządzasz?

Trzymał już w ręku nagana i szedł z nim w stronę jeńca, zimny i bezlitosny, gotów na wszystko. Wycelował lufę w głowę Karela, który co prawda zamilkł, ale nadal wpatrywał się w niego z nienawiścią. Muchalew walczył ze sobą

z całych sił – miał wielką ochotę wpakować kulę w głowę jeńca, ale resztki zdrowego rozsądku ostrzegały go przed powzięciem decyzji pod wpływem emocji. Stary wciąż mógł się jeszcze na coś przydać, lecz...

Lecz lejtnant musiał jakoś wyładować swą wściekłość.

I wtedy dostrzegł Esmeraldę, ubraną podobnie jak reszta w ciepłą kurtę i czapkę uszanke, całkowicie maskujące jej kobiecość.

– Pozwoliłaś, by ten stary szmaciarz wyprowadził cię w pole – warknął i wycełował broń w Cygankę. – Może jednak wcale nie znasz się na przesłuchiowaniu? Może to on cię zmógł, a nie ty jego? – Podszedł krok bliżej. – Może i ty mnie oszukałaś? – wycedził. – Może oszukujesz mnie od samego początku?

Gdzieś na skraju świadomości zdawał sobie sprawę z tego, że jego podwładni wcale nie powinni słyszeć tych słów. Wiedział, że i bez tego szepczą między sobą na temat budzącej grozę Cyganki, którą wyciągnął z gułagu, uczynił swą kochanicą i raz na jakiś czas wykorzystywał do celów, o których żaden z nich nie miał pojęcia. Było mu to jednak obojętne, przynajmniej dopóki pozostawali wobec niego lojalni niczym sfora psów myśliwskich.

– Nnnie – wybełkotała Esmeralda.

Owa drapieżność, która tak bardzo go pociągała, opuściła ją w jednej chwili. W jej miejsce pojawiło się wahanie, a po nim strach. Muchalew patrzył na drżącą, bladą kobietę i czuł, jak niespodziewanie ogarnia go obrzydzenie.

– Ja... ja wyciągnęłam z niego prawdę! Całą prawdę! – zapewniła go Cyganka, składając dłonie w bezkształtnych rękawicach.

Naraz kolana się pod nią ugięły, jakby miała zamiar przypaść mu do stóp i błagać o litość. Zrobiło mu się ciemno przed oczami i zrozumiał, że jeśli kobieta to robi, zastrzeli ją z odrazy. Esmeralda jednakże zdołała zdławić już swój strach lub prawidłowo odebrała nieprzyjemny błysk w jego oczach, bo nagle się wyprostowała i powiedziała wolno:

– Nie da się uciec przed moim talentem. Nie da się, towarzyszu starszy lejtnancie. Wyciągnęłam z tego dziada – wskazała leżącego na śniegu skulonego Karela – wszystko, co wiedział! Jego rodzina mieszkała tu! – Dziabnęła rękawicą powietrze, wskazując w kierunku najbliższej chaty. – Tu albo tam! – Wskazała inny budynek. – W tej wsi! On i jego dwie córki! Hämärä i Sumu! Były tu, ale już ich nie ma!

Muchalewowi zaszumiło w głowie.

Ta przeklęta zdzira nie powinna się tak do mnie odzywać przy ludziach! – pomyślał z mieszaniną wściekłości i niechętnego podziwu.

Lufa rewolweru drżała. Daleko za lasem dudniła artyleria, tak donośnie, że ziemię przechodziły drgania. Karel znów śmiał się chrapliwie. Wpatrzone

w oficera oczy Esmeraldy pały wyzywaniem.

Wtedy zainterweniował los.

– Towarzyszu starszy lejtnancie! – zawołał ktoś.

Muchalew z trudem oderwał wzrok od wściekłej Cyganki, choć nie opuścił broni. Zamrugał parokrotnie i ujrzał dwóch swoich żołnierzy, którzy wlekli ku niemu lamentującego, głośno zalewającego się łzami starca z długą, siwą brodą. Na jego widok Päivä wykrzyknął coś ze zgrozą, próbował się poderwać, ale jeden z czerwonoarmistów grzmotnął go ciężkim butem w bok, a potem przyłożył mu kolbę karabinu w czaszkę. Karel osunął się na kolana, na co starzec wybuchnął jeszcze donośniejszym płaczem.

Obaj żołnierze cisnęli go Muchalewowi do stóp. Jeden z nich trzymał w ręku starą dubeltówkę, przypuszczalnie odebraną staremu.

– Znaleźliśmy go w drewni! – zameldował ten bez dubeltówki, nie kryjąc zadowolenia z siebie. – W trocinach chciał się zagrzebać!

Lejtnant odepchnął emocje na tyle, by móc znów logicznie myśleć.

Mieszka w tej wsi, przeszło mu przez głowę. Bez dwóch zdań. Zna się z jeńcem i być może wie, dokąd uciekła reszta.

Odetchnął ciężko i nie spuszczać wzroku z szamana, wsunął rewolwer do kabury.

– Aleksandrze Michałowiczu – powiedział. – Godzina przerwy. Każ ludziom coś ugotować.

Uniósł głowę. Promienie słońca, czerwone niczym krew, przeciskały się między pniami.

– Niewykluczone, że zostaniemy tu dłużej – dodał i przeniósł wzrok na Esmeraldę. – Zobaczymy, jak tym razem ci pójdzie.

Kobieta nadal wpatrywała się w Muchalewa wyzywająco, ale jej poza z wolna kruszała; wreszcie nerwowo pokiwała głową. Wlekw, który bezbłędnie odnajdywał się we wszelkich starciach między lejtnantem a Cyganką, bez słowa złapał rozszochanego starca za ramię i powłókł go w stronę najbliższej chaty, a Esmeralda podążyła za nim. Muchalew odprowadził ich wzrokiem, a następnie przeniósł spojrzenie na drugiego z jeńców, który, choć odurzony bólem, wydawał się mocno poruszony pochwyceniem starca.

– A ten ma być cały czas na widoku – oznajmił podwładnym. – I łać go, gdy tylko mordę otworzy.

– Towarzyszu starszy lejtnancie – odezwał się ktoś cichym głosem.

Siergiej Muchalew odwrócił się i ujrzał szeregowego Olega Kamieniewa, najstarszego z członków oddziału, którego włączył do drużyny ze względu na to, że wychowywał się na pograniczu karelskim i liznął nieco miejscowego języka. Długie lata wędrówek po bezdrożach puszczy i pogoni za zwierzyną odcisnęły na

nim głębokie piętno – na skutek odmrożeń Kamieniew stracił ucho i kilka palców, a jego twarz znaczyły głębokie bruzdy, przez co wydawał się starszy, niż był w istocie – ale charakteryzowały go dystans, spokój i spostrzegawczość, cechy typowe dla ludzi lasu.

– Może to ważne, a może nie – burknął Kamieniew – ale słyszałem to, co wołał ten stary. Pytał, czy znaleźliśmy pas.

– Pas? – Muchalew zmarszczył brwi. – Jaki pas?

– Nie wiem. – Puszcząński przewodnik wzruszył ramionami. – Ale znam to słowo. Nie znam natomiast tego, które wypowiedział później. „Ilmarinen” czy jakoś tak.

– Ilmarinen – powtórzył lejtnant. – To imię?

– Nie wiem... – Szeregowiec się zawahał. – Może i imię. Pas Ilmarinena. W sumie może to nawet i imię. I jeszcze jedno, towarzyszu starszy lejtnancie. Usłyszałem, że ten tu – wskazał podnoszonego ze śniegu karelskiego jeńca – kazał się staremu zamknąć. Może by tak... – W jego oczach naraz pojawił się lęk. – Może by powiedzieć o tym wiedz... Eee...

Muchalew poczuł falę rozbawienia.

– Dobrze – oznajmił, klepiąc myśliwego po ramieniu. – Przekażę wiedzcie.

*

Mniej więcej po godzinie od rozmowy z Astleyem Michael zwrócił zjedzone w pośpiechu śniadanie, przez co poczuł się zarówno lepiej, jak i gorzej. Przeklinając pod nosem, odwrócił głowę ku brudnym szybom nadbudówki, ale Szwed trzymający koło sterowe patrzył prosto przed siebie, na wciąż skryte za horyzontem brzegi Finlandii. Nie było już przy nim Turnera, a Theodore najprawdopodobniej stał na przeciwległej burcie. Wszystko wskazywało na to, że nikt jego chwili słabości nie widział.

Wiatr uderzył mocniej i smagnał Tayne'a po twarzy słonawymi bryzgami, co go jeszcze bardziej otrzeźwiło. Odruchowo przetarł dłonią zarośnięty policzek i poczuł, jak niespodziewanie nachodzi go wspomnienie z dawnych, beztrudnych jeszcze lat.

Lało jak z cebra. Michael wyłączył radio, znużony audycją o obligacjach rządowych. Wówczas usłyszał, że ktoś na ulicy woła go po imieniu. Zaalarmowany, zbiegł na dół, wyminął kałuże na podwórzu i szarpnął za furtkę, która przez moment jak zwykle stawiała mu zaciekle opór. Wzdłuż krawężników Falcon Road płynęły śmieci

przypominające miniaturowe żaglowce, które naraz utonęły, zalane bryzgami wody spod opon półciężarówki firmy piekarskiej.

Penelopa była przemoczona do suchej nitki. Ulewa rozmazała jej tusz do rzęs oraz szminkę, a ze skręconych włosów ściekały krople deszczu. Mimo to stała nieruchomo, obojętna na chłód.

– Myślałam, że cię nie ma – powiedziała.

Była to jednocześnie najmądrzejsza, jak i najgłupsza rzecz, jaką mógł w takiej sytuacji usłyszeć, i po prostu nie potrafił się nie roześmiać. Penelopa także parsknęła śmiechem. Śmiali się oboje wśród wściekłego plusku ulewy, aż wreszcie Michael się opanował i rzekł:

– Ja też myślałem, że cię nie ma. No wiesz. W moim życiu. Że znikłaś po naszej... No, rozmowie.

– Znikłam – przyznała dziewczyna. – Ale wróciłam. Bo... Wiesz tamta rozmowa zeszła na tematy, których nie lubię. – Wzdrygnęła się niespodziewanie, raczej nie z zimna. – Ale postanowiłam, że dam ci szansę na jeszcze jedną.

Pamiętał, że zadał sobie wówczas pytanie, czy to deszcz rozmazał jej makijaż, czy może łyży. Nie pamiętał natomiast, jak doszło do tego, że chwilę później Penelopa znalazła się w jego mieszkaniu. Zaproszenie jej do środka było oczywistą decyzją – ulewa siekła wszak bez litości – ale nie przypominał sobie swych słów. A może wcale ich nie powiedział? Może Penelopa sama się wprosiła? Przecież nie dotarła na Falcon Road przez przypadek. Musiała mieć plan.

Kwadrans później siedziała na jego kanapie, opatulona kocem, wspierając podbródek na kolanach. W ręku trzymała jego ulubiony kubek z parującą herbatą i znów mówiła, a on słuchał. I tak oto dowiedział się, że to jednak nie deszcz rozmazał jej makijaż.

Tego dnia pokłóciła się z ojcem. Poszło o wyjazd do Finlandii. Nadarzyła się możliwość przeniesienia na uniwersytet w Helsinkach, w czym aktywnie pośredniczył Hjalmar Vittens, ale stary de Woort uznał, że jego córka jest na takie wyjazdy za młoda. Przedstawił jeszcze kilka argumentów, jeden bardziej absurdalny od drugiego, ale Tayne nie potrafił znaleźć w sobie szczerzego współczucia. Za bardzo zachwycała go dziewczyna, która siedziała na jego kanapie i napełniała niewielkie mieszkanko na Falcon Road śpiewnym głosem, perlistym śmiechem, a chwilami szlochem. Nie wyobrażał sobie świata, w którym on miałby mieszkać w Battersea, a ona w Helsinkach.

Tego wieczoru, czego był już absolutnie pewien, pocałowali się po raz pierwszy.

Był to lekki pocałunek, niewinny, trochę niezręczny i jakby wydzielony z przekory, ale co z tego? I tak miał zmienić jego życie.

Tayne westchnął ciężko, odwrócił się od fal i wciągnął w płuca ostry, zimny zapach morza. Następnie przeniósł się za nadbudówkę, by osłonić się od wiatru, a tam z niemałym trudem zapalił papierosa. Uwolnwszy się od torsji, natychmiast zaczął analizować praktyczne aspekty misji, gdy nagle poczuł czyjąś obecność.

Turner ukucnął obok niego i oparł łokcie o kolana. Patrzył ku rufie, za którą rozlewał się białawy kilwater. Zapach jego wody kolońskiej przebijał się nawet przez smród ryb, którym kuter zdawał się oblepiony.

– Nasz szyper to niegłupi gość – oznajmił. – Mają w tej dziurze kino, wyobraź sobie, i widział *Ten cudowny świat* i *Ósmą żonę Sinobrodego*. Świetnie, pomyślałem sobie, bo przecież kiedyś robiłem wywiad z Claudette Colbert. Babka siedziała dosłownie metr ode mnie, waliło od niej alkoholem po imprezie z poprzedniego wieczora, wyobrażasz sobie? Opowiadam mu o tym, a ten kiwa głową i nagle widzę, że gość kompletnie nie słucha. Wyłączył się. Dziwni ci ludzie. – Turner pokręcił głową. – Kompletnie nieprzystępni. Jeśli ci Finowie są tacy sami, niełatwo nam będzie się dogadać.

– Nam? – Michael obrzucił go ciężkim spojrzeniem, zaciągając się papierosem, szybko spalającym się na wietrze.

– Myślałem trochę o tym, co będzie dalej – ciągnął Amerykanin. – Nie mam co prawda żadnych sprecyzowanych planów, ale...

– To tym lepiej dla ciebie – przerwał mu Tayne, nawet na niego nie patrząc. – Bo jeszcze byśmy ci je jakoś pokrzyżowali.

– Nie rozumiem. – Turner spojrzał na Michaela, wysoko unosząc brwi.

– Rozumiesz, i to dobrze. – Tayne westchnął i się podniósł. Zaciągnął się raz jeszcze i wyrzucił niedopałek za burtę, a potem rzekł: – Rozumiesz, ale nie przepadasz za odmowami, a więc brniesz w zaparte. Spróbuję więc wyrazić się najprościej, jak umiem: jesteśmy ci wdzięczni za te parę zielonych, które wcisnąłeś naszemu szyprowi, ale twój wkład finansowy to jedynie rekompensata za wyciągnięcie cię z aresztu, Turner.

– Posłuchaj – zaczął dziennikarz, unosząc ręce, jakby się poddawał. – Nie wiem, co ty i ten młody macie do załatwienia w Finlandii i nie będę się tym interesował. Jednakże – ciągnął, ignorując pogardliwie prychnięcie Tayne'a – nie mam wątpliwości, że zmierzacie na front, a więc tam gdzie ja. Razem mamy większe szanse na przeżycie, bo ja też sroce spod ogona nie wypadłem i...

– Nie.

– ...i potrafię zadbać zarówno o siebie, jak i o moich towarzyszy. Co więcej...

– Nie.

– Wysłuchaj mnie do końca! – Turner patrzył na niego z mieszaniną irytacji i niedowierzania, jak nauczyciel, który ma do czynienia z dzieckiem podważającym zasadność wkuwania tabliczki mnożenia. – Możecie tylko skorzystać...

– Nie, Turner. To ty mnie wysłuchaj. Z chwilą, gdy dotrzemy na ląd, nasza wspólna misja się zakończy. Mamy z Astleyem coś do załatwienia i gównu cię obchodzi, dokąd się w tej sprawie udamy.

– Gówno mnie to obchodzi, tak? – powtórzył powoli Amerykanin.

Wpatrywał się teraz uważnie w Tayne'a, a ten zrozumiał, że popełnił wielki błąd. W szarych, mocno zmrużonych oczach dziennikarza ujrzał bowiem stalową determinację i obsesyjne wprost zainteresowanie. Do Michaela dotarło, że ten człowiek nie cofnie się przed niczym, żeby stworzyć swą wielką historię, a utrzymywanie celów ich misji w tajemnicy tylko roznieca jego ciekawość.

Powinienem był powiedzieć coś banalnego, przeszło mu przez głowę. Coś nudnego. Coś...

– Może i tak – wycedził Turner. – Może w istocie gówno mnie to wszystko obchodzi, ale pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie.

– Zadasz je tak czy owak, bez względu na to, czy pozwolę.

– Cóż, taki właśnie mój urok. Powiedz mi, człowieku... To coś, co przegoniłem... – Obliznął usta i spojrzał w stronę niewidocznego już szwedzkiego brzegu. – To, przed czym cię uratowałem... Co to właściwie było?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz, ale nie przepadasz za szczerością, więc brniesz w zaparte – powiedział dziennikarz z zawziętą miną. – Miałem wrażenie, że doskonale wiesz, co to takiego. Z początku byłem przekonany, że to zwykły cień, ale gdy się zbliżył, widziałem wyraźnie, że jest materialny. Co to było, człowieku, co? Mam kumpla, który od lat tropi Wielką Stopę, ale...

– Cicho bądź – warknął niespodziewanie Tayne i się poderwał.

Coś w nim – być może bystry słuch, a być może instynkt, który kiedyś zwrócił uwagę jego kolegów, później dowódcy, a na samym końcu Cedrika de Woorta – wychwyciło nowy, ledwie wyczuwalny dźwięk, który zakłócił monotonię powolnej żeglugi. Tayne przecisnął się obok Amerykanina i trzymając się mocno okrężnicy, dotarł na dziób. Wyteńczył wzrok.

Nagle spowijające fiński brzeg mgły rozświetlił błysk, a po nim kolejny. Ułamek sekundy później dobiegł ich głuchy grzmot.

– Co to jest? – wyszeptał Astley, który stanął tuż za Tayne'em.

– Okręt wojenny – wymamrotał Michael.

– Fiński czy ruski?

Silnik kutra, dotąd pyrkoczący monotonnie, przyspieszył, a ku szaremu niebu buchnęły kłęby spalin. Jednocześnie brzeg, wciąż rozbłyskujący wybuchami, zaczął się oddalać. Tayne odwrócił głowę ku sterówce i dostrzegł szypra, który gwałtownie zakręcił kołem. Mimo brudnych szyb widać było zgrozę na jego obliczu.

– Dla naszego szypra to chyba bez znaczenia! – mruknął. – Zawraca!

W jednej chwili skoczył ku zardzewiałym schodkom prowadzącym do drzwi sterówki, ale szyper widać zorientował się w sytuacji i sprawnym ruchem przesunął zasuwkę. Michael złapał za klamkę i szarpnął dwukrotnie. Drzwi zadygotały we framudze, ale trzymały mocno.

– Otwieraj! – ryknął. – Otwieraj, do jasnej cholery!

Zerknął przez ramię na zamglony brzeg. Złowrogi, szary cień, skryty wśród kłębow mgły i raz po raz rozbłyskujący ogniem artyleryjskim, znajdował się już daleko na prawej burcie.

– *Det är inte läge för skämt nu!* – wykrzyknął zaniepokojony Astley, który znalazł się tuż za nim. – *Vi måste gå till Finland!* Odsuń się!

Ostatnie zdanie skierowane było do Tayne'a, który spojrzał na młodego arystokratę z zaskoczeniem. Astley bez wahania złapał go za ramię i szarpnął nim do tyłu. Tayne wpadł na reling. Ze zdumieniem patrzył na młodzieńca, który przyłożył obie dłonie do szybki drzwi i mówił coś przyciszonym głosem, wpatrując się w szypra. Ten nie zwracał na niego uwagi, a kuter, pyrkocząc pracowicie, nieprzerwanie zawracał.

– A to co? – Obok Tayne'a wyrósł zataczający się Turner. – Sukinsyn śledziojad uznał, że za mało mu zapłaciłem?

Skryty we mgle okręt wojenny znów wypalił. Michael zauważył, że gdzieś dalej, w samym sercu spowitego mgłami wybrzeża, pojawiły się płomienie.

Dziennikarz prychnął.

– A twój kolega, widzę, postanowił śledziojada zaczarować? – spytał z drwiną. – Czy wyście aby z wariatkova nie zwiali?

– Ja nie uciekałem – warknął Tayne, odpychając się od relingu. – Wyciągnięto mnie stamtąd wbrew mej woli.

Nie miał pojęcia, czym zajmuje się Astley, ale nie miał zamiaru tego roztrząsać. Rozumiał natomiast przestrach szwedzkiego rybaka – port w Oulu najprawdopodobniej znajdował się pod ostrzałem sowieckiego okrętu, a szyper nie miał zamiaru znaleźć się między młotem a kowadłem, nawet za garść dolarów. Istniały jednakże inne miejsca na wybrzeżu, do których mogli przybić – musieli jedynie znaleźć sposobność, by przemówić Szwedowi do rozumu.

Michael przypomniał sobie, że gdzieś przy burcie, na dziobie, widział długi bosak ze szpicem.

Wystarczy jedno pchnięcie, by wybić szybę w drzwiach! – pomyślał i ruszył w tym kierunku, kiedy nagle huk wystrzału rozdarł powietrze.

Nix Turner trzymał w ręku wymierzony w niebo rewolwer. Odczekał chwilę, po czym teatralnym gestem wycelował jego lufę prosto między oczy przerażonego szypra.

– Hej, Astley! – zawołał chrapliwym głosem. – Spytaj no naszego kapitana, czy oglądał może *Cimarron*! Świetna rola Irene Dunne, którą też miałem okazję poznać... Jak nie *Cimarron*, to może być inny western!

Szwed powoli uniósł dłonie. Kuter zaczął się wyprostowywać na kursie.

– Brawo – powiedział cicho Amerykanin. – Jak to dobrze, że mamy do czynienia z kinomanem. A teraz otwórz te pieprzone drzwi! – rozkazał.

Szczęknęła zasuwka. Turner odwrócił głowę i spojrzał na Michaela, który przyglądał się rozwojowi sytuacji z bosakiem w ręku.

– Dochodzę do wniosku, że muszę przebudować moją wcześniejszą propozycję, człowieku – powiedział dziennikarz. – Nie będę już was namawiać, byście się zgodzili na moje uczestnictwo w tym wariactwie. Po prostu ustalmy raz na zawsze, że jestem dla was niezbędny.

ROZDZIAŁ 6

Noc z 4 na 5 grudnia 1939 roku

Największa szopa we wsi Ruohokäärme zapewne służyła jako stajnia bądź obora, o czym świadczyły unosząca się w powietrzu woń obornika i zapach resztek siana, walających się na podłodze. Uciekający wieśniacy zabrali ze sobą wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, i pomieszczenie stało puste. Dla Muchalewa liczyło się jednakże głównie to, że więźba dachowa wspierała się na masywnej kolumnie, do której Wlekow i Kamieniew przywiązywali właśnie chlipiącego żałośnie starca.

Lejtnant odkręcił knot lampy naftowej i wewnątrz izdebki zalał migotliwy blask. Odwiesił latarnię na żelazny hak i usiadł na przewróconym, starym ceberku. Przyglądał się pomarszczonej, czerwonej, drobnej twarzy starca, ale gdy ujrzał lepka od smarków brodę, skrzywił się z odrazą.

Wysuplując papierosa, spojrzął na Esmeraldę, która stała nieruchomo, niczym dzikie zwierzę zastygłe w trakcie łowów, i czekała, aż obaj żołnierze zakończą pracę. Gdy ci kilkoma szarpnięciami upewnili się, że więzy mocno trzymają, odstąpili, a wtedy starzec z błagalnym jękiem zaczął dygotać ze strachu. Obracał mętne, wodniste oczy to na Muchalewa, to na Cygankę, to na któregoś z żołnierzy, pochlipywał i wyrzucał z siebie jakieś bełkotliwe słowa. Wokół jego lewego nozdrza powstał zielonkawy bąbel.

Wtedy Esmeralda wyciągnęła swój wisiołek zza kołnierza koszuli. Zacisnęła na nim dłoń i postąpiła krok ku jeńcowi, a wówczas lejtnant odniósł wrażenie, że

powietrze w stajni na moment stężało. Stary przestał pochlipywać i wytrzeszczył oczy, a Cyganka pochyliła się ku niemu. Jej czoło zatrzymało się kilkanaście centymetrów od pobrużdżonego czoła jeńca.

W stajni zapadła całkowita cisza, przerywana jedynie chrapliwym oddechem staruszka pochwyconego w drewnutni.

Esmeralda przysunęła się jeszcze bliżej jeńca, jakby w ten sposób mogła wedrzeć się głębiej w jego świadomość.

Muchalew przyglądał się temu z fascynacją. Widział już kilkakrotnie, jak jego konkubina wyciągała z kogoś zeznania, i za każdym razem uderzało go to, że jej nadnaturalna metoda przeczyła wszystkim, które stosowało NKWD. Nie było krzyków, krwi, bólu i potu, nie było smrodu odchodów i szorowania podłóg, nie było czekania całymi godzinami na jakikolwiek strzęp informacji, a potem weryfikowania go na podstawie dostępnych źródeł. Nie, Esmeralda, zamiast sięgać po siłę fizyczną, wnikała w umysł przesłuchiwanego człowieka, pokonywała jego opór, w myślach zadawała mu wszelkie pytania, a następnie dzieliła się wszystkim, co usłyszała.

Nie znosiła tego. Bała się tej formy przesłuchiwania i robiła wszystko, by nie musieć z niej korzystać. Tymczasem dla Muchalewa liczyło się tylko to, że Cyganka nigdy dotąd się nie pomyliła.

Teraz wpatrywał się w nią intensywnie. Złapał się na tym, że przygryza wargi. Serce biło mu mocno, a on czuł, jak kotłuje się w nim osobliwa, toksyczna mieszanina niepokoju i ambicji. Zarząd Nauk Tradycyjnych, najmniejszy, najbardziej niedofinansowany i niecieszący się szacunkiem wśród zarządów NKWD, dopiero niedawno wydzielony z Zarządu Głównego Wojsk Pogranicza, nie był dla młodego, ambitnego oficera łatwym początkiem kariery. Działalność ZNT budziła bowiem w najlepszym razie nieufność, a w najgorszym drwiny wierchuszki. Czy poszukiwanie nadnaturalnych metod prowadzenia działań wywiadowczych miało bowiem jakikolwiek sens w świecie nauki i techniki? Czy warto było marnować czas i pieniądze na poszukiwanie ludzi obdarzonych wątpliwymi talentami, skoro można było zamiast tego kształcić inżynierów i budowniczych?

Muchalew, który nie raz spotykał się z kpinami, a nawet szykanami, wiedział, że ma przed sobą dwie ścieżki – musiał w pełni zaangażować się w to, co robi, albo udawać zaangażowanie do chwili, gdy odkryje możliwość przeniesienia do innego zarządu. Z właściwym sobie pragmatyzmem postanowił najpierw wypróbować pierwszą strategię i sprawdzić, do czego go doprowadzi, gotów sięgnąć po drugą w chwili, gdy jego zgorzknienie stanie się nieznośne. Bez słowa skargi przeprowadzał więc tysiące nużących testów wśród ludzi

przetrzymany w gułagach i był już bliski zwątpienia, gdy wartownicy przywlekli Esmeraldę.

Zadał jej serię tych samych pytań, co poprzednim. Najpierw chciał się dowiedzieć, czy nauczyła się w życiu czegoś, czym mogłaby pomóc Krajowi Rad. Cyganka zaczęła mówić coś o szyciu mundurów i łątaniu butów, na co Muchalew, znużony kilkugodzinnym już przesłuchaniem, parsknął głośnym śmiechem i pokręcił głową.

– Nie – powiedział, patrząc jej w oczy. – Chodzi mi o coś, czego nie potrafi nikt inny. O coś, czego sama nie potrafisz wytłumaczyć. O to, czego inni być może się boją.

Podczas przesłuchań natrafiał na takich, którzy po takim dictum zaczynali mamrotać o rzucaniu uroków. Bywali też tacy, którzy chcieli się pochwalić najlepszym samogonem w okolicy, a ten i ów, nie rozumiawszy intencji Muchalewa, zaczynał oskarżać sąsiadów o sympatyzowanie z białymi czy Polakami. Cyganka jednakże wyraźnie się wystraszyła, a w jej spojrzeniu, zanim odwróciła głowę, dostrzegł poczucie winy.

Naraz zrozumiał, że trafił na kogoś z prawdziwym talentem.

– Wyjdiesz stąd! – zawołał, łapiąc ją za przegub. – Wyjdiesz, jeśli mi o wszystkim opowiesz.

Cyganka dysponowała osobliwym talentem, który pozwalał jej wykrywać u innych uzdolnionych nadnaturalne talenty i z grubsza definiować ich umiejętności. Zorientowała się, na czym zależy Muchalewowi, i w ciągu tygodnia pomogła mu wytropić wśród więźniów pierwszego naprawdę zdolnego człowieka, starego Karela, a potem z niedowierzaniem wyznała, że ten przypuszczalnie dysponuje legendarną umiejętnością przywoływania burz śnieżnych. Starzec okazał się niebywale uparty – nie miał najmniejszego zamiaru iść na żadne układy z władzą sowiecką, a tortury znosił z nieludzkim wprost spokojem. W końcu Muchalew musiał zorganizować prowokację z więźniami, by zdobyć dowód na jego rzeczywiste umiejętności.

Eksperyment się udał. Karel w istocie umiał przywoływać morderczą burzę śnieżną. Podobny talent mógł pomóc Armii Czerwonej w jej przyszłych ofensywach, a także pozyskać nieco więcej przychylności Berii oraz Stalina dla działań ZNT. Jak dotąd jednak Muchalew nie wspominał o swoich dotychczasowych osiągnięciach przełożonym. Dar starego Karela, choć stwierdzony, był nadal całkowicie bezużyteczny.

Chcąc go wykorzystać, lejtnant musiał znaleźć jakiś punkt nacisku. Dwie córki jeńca nadawałyby się do tej roli idealnie, a do tego być może również dysponowały podobnymi umiejętnościami. Muchalew musiał więc je odnaleźć.

Musiał też dowiedzieć się czegoś o owym pasie, który dla Karelów najwyraźniej był czymś, o co warto walczyć.

Pas Ilmarinena, zadumał się, wpatrzony w kroplę potu, która wypłynęła spomiędzy loków Cyganki. Kim był Ilmarinen?

Imię kojarzyło mu się z jakimś wojownikiem czy bohaterem z fińskich bajek, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnych konkretów.

Pas Ilmarinena, myślał intensywnie. Lokalna tajemnica. Coś, co miejscowi ze wszystkich sił próbują przed nami ukryć. Co to takiego? Wioskowa świętość? Relikwia? Szamańska ozdoba nakładana na pieprzonego bożka? A może... może coś, w czym kryje się prawdziwa moc?

Od dawna wiedział, że istniały przedmioty, które dawały moc równie wielką jak ta, z którą rodzili się poszukiwani przez niego ludzie. Nie miał wątpliwości, że jedną z takich rzeczy był wisiołek Esmeraldy, którego zazdrośnie strzegła przed strażnikami w gułagu; ale teraz, gdy była wolna, niechętnie po niego sięgała. Tak czy inaczej, bez tego drobiazgu nie potrafiłaby wpływać na ludzkie umysły.

Działaj, kobieto. Przydaj się. Wyciągaj z niego prawdę, szeptał oficer w myślach, patrząc na Cygankę, niemalże stykającą się czołem z jeńcem. Staruszek drżał, jakby jego ciało przenikały impulsy elektryczne. Smarki ściekały mu na usta i mieszały się ze strużkami śliny.

Zmusz go do mówienia. Dowiedz się czegoś o tym pasie. Albo o rodzinie tego upartego szamana.

W tej samej chwili Cyganka się wyprostowała i odetchnęła ciężko. Otarła zwilgotniałe od potu czoło i odwróciła się w stronę Muchalewa.

– Nie wie za dużo – powiedziała. – Wyruszył ze wsi tydzień temu na polowanie, choć krewni namawiali go, by pozostał z nimi. Wszyscy zostali już ostrzeżeni przez fińską armię o zbliżającej się wojnie i pospiesznie szykowali się do ewakuacji. Ten tu jednakże najwyraźniej ostrzeżenia zlekceważył. Mam wrażenie, że to niepokorny duch. – Znów spojrzała na półprzytomnego już staruszka. – Jeden z tych, który nie ma nic przeciwko temu, że inni mają go za przygłupa i...

– O uchodźcach mów! – warknął Muchalew. – Dokąd uciekli ci przekłeci wieśniacy, którzy tu mieszkali?

– Przypuszczalnie do Suomussalmi – odparła kobieta. – A dalej najpewniej do Hyrynsalmi, które leży niemal czterdzieści kilometrów dalej na południowy zachód. To jedyne miejsce ze stacją kolejową w okolicy.

– Co takiego? – Muchalew spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Ze stacją kolejową?

– Wedle jeńca niedawno ukończoną.

Lejtnant zacisnął powieki. Według doniesień wywiadu, z którymi był na bieżąco, w okolicach nie powinno być żadnej stacji kolejowej.

Barany, przeklął ich w myślach z bezsilnością. Durne, tępe barany, które nie mają pojęcia, jak odczytywać zdjęcia lotnicze.

Wtedy przypomniało mu się coś, co usłyszał od Esmeraldy.

– Tydzień temu? – Muchalew zacisnął zęby, z trudem panując nad wściekłością. – Czyli zbierali się do ewakuacji już tydzień temu? Równie dobrze mogą być teraz wszędzie!

– Niekoniecznie – Cyganka pokręciła głową. – Ci ludzie mieszkają w tych lasach od setek lat. Wrosli w nie, jakby sami byli drzewami. Łatwo ich przerazić, ale trudno zmusić, by wyrzekli się jedyne go świata, który znają. Myślę, że nie uciekli daleko.

Oficer myślał intensywnie, trąc dłonią czoło.

– A ten cały pas? – spytał z roztargnieniem. – Ten pas Ilmarinena czy jak to było?

– Ilmarinena – uściśliła kobieta i spojrzała na starca z powątpiewaniem. – Ilmarinen to boski kowal z fińskiej mitologii, któremu przypisuje się wiele magicznych przedmiotów, w tym i ów pas, który znajduje się we wsi od stuleci. Zdaniem jeńca wygląda on jak zwykły skórzany pas ze złotą sprzączką. Ponoć wpleciono w niego włosy Ilmarinena, które przekazały mu wielką moc, i od tej pory każdy, kto ma przed sobą wielkie zadanie, może go pożyczyć i zapiąć. Jeniec twierdzi, że pozwala pracować nieprzerwanie od świtu do nocy lub przezwyciężyć pewne męskie trudności.

Muchalew zaśmiał się nieprzyjemnie i zauważył:

– W pierwszej sytuacji pomaga równie dobrze bat nadzorcy, ale drugie zastosowanie może wywołać zainteresowanie w partii. Co się z tym pasem stało?

– Jeniec jest przekonany, że zabrał go starszy wioski.

– I nie wiadomo dokąd?

– Nie.

– I to wszystko, co udało ci się z niego wyciągnąć? – Oficer patrzył na nią uważnie.

– Tak.

Muchalew pokiwał głową, nie spuszczać z Cyganki wzroku. Odpiął kaburę, błyskawicznym ruchem chwycił nagana, przystawił starcowi lufę do potylicy i pociągnął za spust. Krew przemieszana z odłamkami kości i masą mózgową zbryzgała polepę u stóp zdziwionej Esmeraldy, która odskoczyła z głośnym krzykiem. Lejtnant kątem oka zauważył, że Kamieniew otworzył szeroko oczy, a Wlekw się odchylił.

– Cóż – powiedział Muchalew, chowając broń i nadal uważnie przypatrując się kobiecie. – Dobra robota. Żałuję, że nie mogę okazać ci większej wdzięczności, ale jakoś nie mogę zapomnieć tego, jak odezwałaś się do mnie przy moich ludziach. Chyba zapomniałaś o tym, że wymagam szacunku, co?

W oczach wstrząśniętej Cyganki pojawiła się zgroza. Kobieta zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu.

– Wybacz, Siergiej – wybełkotała. – Wybacz, ja...

– Milcz! – warknął.

Gardził jej przerażeniem. Nienawidził go. Za każdym razem, gdy spoglądała na niego z przestachem, natychmiast przepełniało go obrzydzenie, a to tylko potęgowało w nim chęć, by ją ukarać. Przykładnie ukarać.

– Milcz, wiedźmo – wysyczał, zdejmując pasek i rozpinając spodnie. – I zbieraj siły, bo zaraz będziesz krzyczeć. I to głośno.

– Ja... – zaczęła, ale lejtnant uderzył ją na odlew w twarz i posłał na zimną polepę. Przyskoczył do niej, nachylił się i szarpnięciem zerwał z niej kalesony. Klękając, zauważył kątem oka jakiś ruch.

– Towarzyszu starszy lejtnancie, może my już pójdziemy? – wymamrotał Wlekw.

– Ależ skąd. – Muchalew uśmiechnął się okrutnie. – Zostańcie.

*

Szwedzki szyper nie był głupim człowiekiem, nie zlekceważył więc broni w rękę krewkiego Amerykanina. Ale gdy tylko opadł z niego przestach, zrozumiał, że trójce dziwnych obcokrajowców tak bardzo zależy na dotarciu na brzeg fiński, że aż się prosi, by zarobić nieco więcej. Wychylił się więc ze sterówki i zadeklarował, że do Oulu wpływać nie ma zamiaru.

– Tam wojna! – wołał i machał ręką w kierunku lądu. – Eksplozje! Ja muszę dbać o interesy! Ale mogę was zawieźć do Kiviniemi! Jeszcze czterdzieści dolarów i Kiviniemi!

– Ty pieprzony zdzierco! – ryknął Amerykanin i znów podniósł broń. – Ustaliliśmy cenę!

– Ale jest niebezpiecznie! – bronił się Szwed. – Tego nie ustalaliśmy!

– Czterdzieści dolarów! – wrzasnął Turner. – Ty wiesz, co można za to kupić, człowieku?

– Rejs do Kiviniemi! – odkrzyknął szyper i zatrzaskał drzwi sterówki.

– Zapłać mu – warknął Tayne. – I miejmy to już, do cholery, z głowy!

Dziennikarz prychnął.

– To nie są twoje pieniądze! – zauważył.

– Twoje też nie – odciął się Tayne. – Ciągłe słyszę o tym, z jaką to radością twój redaktor pokryje wszelkie koszty.

Turner się skrzywił, pomruczał jeszcze chwilę pod nosem, po czym schował rewolwer do kabury pod płaszczem, z niechętną miną odliczył cztery banknoty dziesięciodolarowe i wsunął je szyprowi pod drzwi sterówki. Ten mu pomachał i skierował kuter na północ, na kurs równoległy do fińskiego wybrzeża.

Krótki zimowy dzień miał się ku końcowi. Głuche dudnienie, któremu towarzyszyły osobliwe rozbłyski, zostawało coraz dalej za nimi, aż rozplynęło się całkowicie pośród ciemniejących mgieł. Michael miał jednakże wrażenie, że rozświetla je nikły blask, zupełnie jakby oddalali się od płonącej zabudowy miasta. Oczyma wyobraźni ujrzał pociski okrętu wojennego spadające na drewniane budynki, które natychmiast stają w ogniu. Wyobraził sobie uwijających się w dymie strażaków, krzyczących ludzi, płaczące dzieci.

Dzieci.

Zacisnął zęby mocno, tak mocno, że aż rozbolała go głowa, po czym z trudem skierował myśli na inne sprawy. A miał nad czym myśleć. Na przykład nad tym, w jaki sposób dostaną się na wschód kraju. Skąd wezmą broń. Jak się wytłumaczą miejscowej policji. W jaki sposób skontaktują się z Penelopą. I co zrobią z natrętnym, wścibskim Amerykaninem, który przyssał się do nich i na każdym kroku usiłował udowodnić swoją przydatność.

Tayne wpatrywał się w ciemniejące morze, na którym jedynym jaśniejszym punktem pozostawał białawy pas kilwateru. Wiatr poświstywał wśród lin, momentami zagłuszając pyrkanie silnika i przeszywając Michaela zimnymi dreszczami. Anglik jednakże nie zważał na nie, starał się też ignorować mdłości. Nie miał odpowiedzi na żadne z dręczących go zagadnień, ale liczyło się to, że zmierzał do Finlandii. Był coraz bliżej zaginionej Penelopy.

Dopiętaś swego, pomyślał nagle z osobliwą mieszaniną żalu, tęsknoty i lęku. Wyrwał się wreszcie spod kontroli ojca i uciekł do świata swoich marzeń. Szkoda tylko, że udało ci się to dopiero po tym, jak poniosłaś tak straszliwą ofiarę. Znajdę cię, Penny. Znajdę cię i pomogę ci, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz w moim życiu.

Kuter zaczął powoli zmieniać kurs. Silnik zmniejszył obroty, zmienił się napór wiatru, zwiększyło się kołysanie pokładu. Wyrwany z rozmyślań Tayne spojrzął ku sterówce, gdzie w upiornym, niebieskawym świetle kompasu dostrzegł niewyraźną twarz szypra. Obok siebie poczuł obecność Astleya, po chwili pojawił się też ziewający Turner.

Jak jemu udało się tu zasnąć? – przemknęło Michaelowi przez głowę.

– Co się dzieje? – spytał Theodore.

– Kierujemy się w stronę brzegu – mruknął Tayne. – I całe szczęście, bo zaraz mi chyba dupsko z zimna odpadnie.

Dokładnie w tym momencie od strony niewidocznego jeszcze brzegu natarł wiatr. Turner zaśmiał się chrapliwie, jakby mizerny dowcip Michaela naprawdę wydał mu się zabawny, a potem wbił wzrok w ciemność przed dziobem.

– Jakoś nie widzę żadnej przystani! – zawołał. – Mam nadzieję, że ten szyper wie, co robi!

Jakby w odpowiedzi Szwed otworzył drzwi sterówki i wyjrzał na zewnątrz.

– Nie będziemy wchodzić do Kiviniemi! – zawołał, przekrzykując wiatr i terkot silnika. – Nie możemy natknąć się na straż przybrzeżną tych cholernych Finów!

Tayne miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Co takiego? Cholernych Finów? – powtórzył, kładąc nacisk na przymiotnik.

– A jak? – Szyper wzruszył ramionami. – Gazet nie czytacie? Przecież oni nie mają szans z tymi ruskimi. Nie mogliby się poddać i pozwolić normalnym ludziom robić interesy?

Machnął ręką w stronę Oulu, pokręcił z niesmakiem głową i schował się w sterówce, ale zaraz przypomniał sobie, że nie powiedział swoim pasażerom wszystkiego, wystawił głowę na zewnątrz i dodał:

– Wysadzę was gdzieś indziej. W bezpiecznym miejscu. Tylko mi tu znowu westernu nie urządźcie. – I ponownie rozległ się suchy trzask zamykanych drzwi.

Ciemny kuter płynął ospale w kierunku zatopionego w mroku brzegu, a trójka podróżników na dziobie marzła i przeklinała wolne tempo. Tayne’owi wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim jego oczom wreszcie ukazała się wąska nitka przyboju. Kwadrans później kuter przybił do wąskiego pomostu. Szyper wypadł ze sterówki i zarzucił cumę, a następnie opuścił trap. Na pokładzie nie było żadnego światła, ale mimo to Tayne dojrzał jego minę. Teraz, gdy przeprawa dobiegła końca, szyper pozwolił sobie na uśmiešek przeznaczony dla ludzi słabujących na umyśle. Najwidoczniej nie wyobrażał sobie, że ktoś z własnej woli może pchać się w strefę wojny. Michael miał wielką ochotę pożegnać go jakąś ciętą ripostą, ale zbyt mocno szcząkał zębami, by mogła ona przekonująco zabrzmieć.

Zeszli w trójkę na pomost. Usłyszeli trzask zamykanego trapu, a potem huk drzwi od sterówki. Kallaxön pospiesznie odbijał na pełne morze.

– Jestem przekonany, że gość jest przemytnikiem – odezwał się Turner. Jego głos nawet teraz, w samym środku nocy, w zapomnianej przez Boga, smaganej zimnymi wiatrami przystani, brzmiał mocno i energicznie. – Przez całą drogę

płynął bez świateł, a to miejsce? Spójrzcie tylko! Można by tu czołgi sprzedawać, a nikt by tego nie zauważył.

– Popatrz, jaki ty bystry jesteś, Turner – mruknął Astley. – Jeszcze z pomostu nie zszedłeś, a już masz swoją wielką historię.

Tayne utwierdzał się w przekonaniu, że Amerykanin albo zupełnie nie wyczuwa sarkazmu, albo jest całkowicie na niego odporny, bo dziennikarz wzruszył tylko ramionami i rzekł:

– W moim fachu trzeba mieć nosa i tyle.

Nikt nie skomentował. W milczeniu dotarli do końca drewnianego pomostu, przeszli nad skalnymi bryłami, omywanymi rytmicznie przez spienione fale, i znaleźli się na plaży. Pod ich nogami kruszył się zmarznięty śnieg. W oddali widać było kilka zabudowań, za którymi wznosiły się ciemne szopy, ale nie dostrzegli żadnych świateł. Okolica zdawała się całkiem wymarła, co w sercu zziębniętego, wyczerpanego Tayne'a obudziło zwątpienie.

Tak mógłby wyglądać koniec świata, przeszło mu przez myśl.

– To co? – Turner zatarł dłonie. – Co robimy? Trzeba by chyba jakiś przytulny hotelik znaleźć, a potem... Cóż, nie wiem, jak wy, ale ja poszukałbym taksówki. Słuchajcie, patrzyłem na mapę. Rуска granica jest jakieś trzy, może cztery godziny jazdy stąd!

Astley westchnął cicho, nawet nie kryjąc swojej irytacji.

– Turner, ty jesteś głupi czy może głupiego udajesz, bo liczysz na specjalne traktowanie? – warknął. – To jest fińska prowincja! Tu nie ma hotelików ani taksówek! Powinniśmy uważać się za szczęściarzy, jeśli natrafimy na drogę asfaltową!

– No to może chociaż pociąg? – Dziennikarz rozłożył ręce.

– Jedyna linia kolejowa w okolicy biegnie na południe – odezwał się Tayne. – Do Tornio.

Patrzył w tym kierunku, prosto na łunę na Oulu, o wiele lepiej widoczną z brzegu niż z pokładu łodzi. Serce zalewała mu gorzyc.

– Pewnie jakoś dostalibyśmy się pociągiem na wschód, ale odradzam, i to z wielu powodów – podjął, siląc się na opanowany ton. – Po pierwsze, nie mamy pojęcia, w jakim stanie są tory po ruskich bombardowaniach. Po drugie, w czasie wojny większość składów kolejowych zostaje przejęta przez wojsko, a resztę zapychają uchodźcy. Po trzecie, jesteśmy tu obcy. Nie znamy języka, nie mamy miejscowych pieniędzy, nie mamy nawet porządnych ubrań. Tylko czekać, aż wpadniemy w ręce jakiegoś nadgorliwego żandarma, który nie będzie wiedział, co z nami zrobić, więc na wszelki wypadek wpakuje nas do aresztu na parę tygodni.

– Pieniędźmi bym się nie przejmował – oznajmił Amerykanin z przekonaniem.
– Zielone banknoty, w przeciwieństwie do kluczy, otwierają wszystkie drzwi. – Zaśmiał się z własnego dowcipu, po czym złapał porwany wiatrem kapelusz.

– Jakby się udało Turnera porządnie zakneblować, może byśmy nie ścigali na siebie wielkiej uwagi – bąknął Astley, rozglądając się. – Ale faktem jest, że odrobinę się wyróżniamy. – Przyglądał swój płaszcz. – Masz jakiś plan, Tayne? – spytał, udając bez troskę. – Bo pewne jest, że stać na tym zimnie długo nie możemy!

– Musimy zdobyć jakiś środek transportu. – Michael zgrzytnął zębami, po raz kolejny zzymając się w duchu na to, że musi się liczyć z towarzystwem. – Latem wystarczyłby pewnie rower, gdzie indziej może udałoby się ukraść jakąś ciężarówkę, ale tu?

Rozejrzał się po bezludnej okolicy, a potem spojrzął na morze, gdzie jeszcze przed chwilą widać było oddalający się kuter.

– Gdyby ten sukinsyn wysadził nas w jakimś porcie, na pewno bym coś wykombinował! – warknął z furją. – Ruszajmy! – rzucił do reszty. – Jeśli będziemy tak stać, to zamarzniemy w tej cholernej dziczy.

Ruszył w stronę ciemnych zabudowań, nie bacząc na to, czy pozostali idą za nim. Wiatr napierał wściekle, jakby chciał go zawrócić i nie dopuścić ani kroku dalej. Po kilku metrach Michael wyczuł obecność doganiającego go Astleya.

– Tayne! – zawołał młody człowiek, zrównując się z nim. – Załatwię nam transport. Będzie tak, jak chcesz, szybko i dyskretnie. Tylko doprowadź nas do jakiejś cywilizacji.

*

W chwili, gdy Michael Tayne wysłuchał propozycji Astleya i przykucnął między pierwszymi drzewami, by w świetle latarki przyjrzeć się mapie okolicy, Cedric de Woort podjął najtrudniejszą decyzję w swoim życiu. Uniósł szklankę z whisky i zakołysał nią, grzechocząc kostkami lodu, po czym wychylił zawartość i spojrzął na siedzącego naprzeciwko Bulkeleya.

– Wybacz, James – odezwał się, przerywając mu relację z ostatniej szkockiej wyprawy na pstrągi. – Muszę chyba... No, sam wiesz.

– Och, oczywiście, stary druhu, oczywiście! – Bulkeley się zaśmiał i zasalutował mu własną szklanką. – Nie spiesz się! Będę tu jeszcze chwilę, a potem chyba się położę. Dobrej nocy.

De Woort pożegnał go niezobowiązującym uśmiechem i wyszedł z przepełnionej dymem klubowej restauracji, z trudem powstrzymując sardoniczny uśmieszek. Łowienie pstrągów było życiową pasją Bulkeleya,

a wyniki kolejnych eskapad wędkarskich przesłaniały mu wszystko inne. De Woort zastanawiał się czasami, czy stary James zarejestrował wybuch wojny.

Bo tego, że gadał przez dwadzieścia minut, a ja ani razu nawet na niego nie spojrzałem, jakoś nie zarejestrował, pomyślał.

Skinął na pożegnanie recepcjoniście i skierował się ku toaletom, ale zamiast wejść do którejś z nich, otworzył niepozorne drzwi obok i zerknął dyskretnie przez ramię. Przekonany, że nikt go nie zauważył, wślizgnął się do ciemnego korytarzyka i cicho zamknął za sobą drzwi.

Skrzesał zapałkę. Wkraczał do świata bez elektryczności.

Uniósł ją wyżej, by odnaleźć w mroku schody oraz balustradę, a następnie powoli ruszył w dół. Ostrożnie stawiał stopy – wzrok nie służył mu już tak jak kiedyś, a o konsekwencjach upadku wolał nawet nie myśleć – a gdy dotarł do ostatniego stopnia, zapałka wypaliła się niemalże do końca. Zdążył jednak położyć dłoń na klamce znajdujących się na dole drzwi i wyłuskać z kieszeni ciężki, prosty klucz. Wsunął go do dziurki i przekręcił z głośnym zgrzytnięciem.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, jak mocno wali mu serce.

Wciąż mógł się wycofać. Mógł zamknąć te przeklęte drzwi, wrócić na górę, do końca wysłuchać bajdurzenia o łowieniu pstrągów, a następnie poprosić Jeffa, by odwiózł go do domu, ale... Ale czy następnego dnia zdołałby spojrzeć sobie w oczy podczas porannego golenia? Czy zdołałby pogodzić się ze świadomością, że miał szansę pomóc Penelopie, a mimo to tego nie zrobił? Bo się wystraszył?

– Na pewno... – zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle. – Na pewno nie jest tak źle, jak Astley to przedstawia. Mój stary przyjaciel zawsze popada w przesadę.

Już niemal zdecydowanie przestąpił próg, następnie zamknął za sobą drzwi. Krew huczała mu w skroniach i przez moment, upojony przyływem odwagi, był prawie pewien, że wcale nie słyszy tykania zegara.

Że wszystkim się przywidziało. Albo że stary artefakt ucichł.

Nie. Jednak nie.

Tykał.

Przerażający mechanizm, stworzony przez praskiego alchemika Vaclava Radiczkę po to, by ostrzegać ludzkość przed Czarną Zgrozą, nie przestawał odliczać godzin do zagłady świata.

Nie wiadomo, ile czasu nam zostało, pomyślał z desperacją Cedric. Astley na pewno przesadza. Może ten stary gruchot się zepsuł albo nie jest precyzyjny? A właściwie to skąd mamy mieć pewność, że on naprawdę przed czymś ostrzega? Może Radiczko był żartownisiem? Albo durniem? Może pamiętnik, w którym opisuje swe dzieło, to jedynie stek bzdur?

Drżącymi rękami skrzesał kolejną zapałkę.

Astley by mnie zrozumiał. Na pewno. Kto, jeśli nie on.

Zastanawiał się, czy nie zapalić świeczki, ale mimo swej wiary w wyrozumiałość przełożonego uznał, że nie chce zostawiać absolutnie żadnych śladów. Uniósł więc zapałkę wyżej i oświecając sobie drogę jej drżącym płomieniem, zapuścił się między regały, na których leżały skrupulatnie posegregowane skrzynie, woluminy oraz worki. Astley był człowiekiem niezwykle dokładnym, dzięki czemu Cedric szybko odnalazł to, czego szukał.

Ostrożnie uniósł niewielką sakiewkę z cielecej skóry i zgasił zapałkę. Nie potrzebował już oczu, by móc dokończyć swój zamysł.

Ukucnął, przeklinając słabe kolana, i wysupłał z woreczka niewielki kolczyk z jadeitu, przypominający spiralę zakończoną ostrym szpikulcem. Serce biło mu szybko, jakby miało lada moment wyskoczyć ze starej piersi. Przez chwilę obracał przedmiot, a następnie ujął go mocno w palce prawej dłoni. Lewą położył sobie na ramieniu ciemny ręczniczek, a następnie zdecydowanym gestem przebił szpikulcem małżowinę uszną.

Syknął z bólu, ale o wiele bardziej nieprzyjemne było zimno, które rozlało się po uchu. Przez moment miał wrażenie, że jadeitowy kolczyk ożył, by zassać jego krew, a wraz nią energię życiową. Wiedział, że tak się właśnie stanie – nie bez powodu Astley uważał to znalezisko za jedno z najgroźniejszych w swej kolekcji – a to oznaczało, że Cedric musiał się spieszyć.

Zacisnął dłoń na kosmyku włosów, który od lat nosił w kieszeni, i skupił myśli.

– Penelopo – wyszeptał. – To ja, twój ojciec. Nie przestaję o tobie myśleć, córeczko, i każdego dnia budzę się owładnięty zgrozą, że stała ci się jakaś krzywda. Jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś, uciekaj do Helsinek, gdzie, jak mam nadzieję, nadal stoi nasze poselstwo. Jeśli nadal przebywasz w rejonie Suomussalmi, wiedz, że posłałem Michaela, by cię znalazł. Zakładam, że wszystko poszło dobrze i dostał się do Finlandii, a to oznacza, że jutro lub pojutrze może się znaleźć w twoich okolicach. Towarzyszy mu młody Astley. Razem macie większe szanse na ucieczkę, a to pilna sprawa, ukochana córeczko. Nie mam wątpliwości, że ktoś usiłuje cię znaleźć. Nie wiem, kto to taki, ale karty zdradzają, że ma złe intencje. Być może chodzi mu o to, czym się zajmowałaś do tej pory. Być może dowiedział się o pasie Ilmarinena, który zapewne i tak nie istnieje, ale ów człowiek może mieć inne zdanie. Tak czy owak, uważaj na siebie. Modłę się, byś szczęśliwie wróciła z Tayne'em i Astleyem. Obiecałaś, że spędzimy razem święta, pamiętasz?

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zimno zdawało się przenikać już do wnętrza jego umysłu. De Woort z jękiem bólu wyrwał kolczyk z ucha, otarł go pospiesznie z krwi, wsunął do sakiewki i odłożył na miejsce, a potem w popłochu uciekł z Sali Zegarowej.

Tej nocy spał w Bibliotece. Nie odważył się wyjść w mrok ulicy.

ROZDZIAŁ 7

5 grudnia 1939 roku

Theodore Astley zrealizował swą obietnicę dopiero w trzeciej wsi, którą odwiedzili.

Zbliżał się świt i Tayne padał ze zmęczenia. Turner również wydawał się wyczerpany, o czym najlepiej świadczył fakt, że przestał gadać, a potem pozwolił, by wiatr porwał mu kowbojski kapelusz. Wszyscy byli wściekle głodni, a to, że od godziny sypał coraz obfitszy śnieg, bynajmniej nikomu humoru nie poprawiło. Jedyne Astley nie wykazywał oznak zmęczenia – ściskając uchwyt dywanikowej torby podróźnej, parł naprzód z niezmaconą energią i co chwila oglądał się za siebie, a Michael był przekonany, że tylko kultura osobista nie pozwalała mu pogonić towarzyszy.

W końcu jednak Theodore zdecydował się ich wyprzedzić, co dziennikarz skwitował serią przekleństw, a Tayne, patrząc, jak arystokrata niemalże wymachuje swą absurdalną torbą i znika między drewnianymi zabudowaniami a płotami z gałęzi, zadał sobie w myślach pytanie, czy Astley nie ma aby zamiaru schować się gdzieś i tam doczekać końca wojny. Na szczęście kwadrans później ich towarzysz wybiegł zza stodoły i pomachał do nich z triumfalnym uśmiechem, a następnie wskazał kciukiem ponurego gospodarza w futrzanej czapie, który przeszedł obok niego z naręczem rzemieni.

– I załatwione! – zawołał. – A nie mówiłem?

– Co załatwione? – spytał Tayne.

Astley z błazeńskim ukłonem ponownie wskazał na gospodarza, otwierającego teraz podwoje wielkiej szopy. W nikłym świetle poranka ujrzeli zarys sań.

– Dopisało nam szczęście, bo ci przemili ludzie nie dość, że mówią trochę po szwedzku, to jeszcze jakimś cudem zdołali uchronić swoją szkapę przed wojskowymi rekwizycjami – wyjaśnił. – Na sam front jednak nikt z nich się nie wybiera. Nie sądzę, by podrzuciła nas dalej niż do Pudasjärvi.

– Podrzuciła? – zdziwił się zasapany Turner. – Masz na myśli szkapę?

– Nie. Gospodynię – wyjaśnił z szerokim uśmiechem Astley. – Jej mąż ma masę roboty i to ona będzie powozić. *God morgon, fru Leehti!* – zawołał i ukłonił się nisko.

Niska, korpulentna niewiasta o czerwonych policzkach, która właśnie wyszła na próg chaty, wzięła się pod boki i zawołała coś, wskazując ręką w grubej rękawicy na Tayne'a i Turnera.

– Nie podoba jej się coś? – zaniepokoił się Michael.

– Pyta, czy nie urwaliście się aby z cyrku – wyjaśnił Astley. – Bo jak żyje, nie widziała jeszcze ludzi paradujących w grudniu w jesiennych płaszczach.

Tayne westchnął ciężko. Cedric de Woort zapakował mu do worka płaszcz, czapkę oraz szal, ale najwidoczniej nawet on nie zdawał sobie sprawy z potęgi fińskiego mrozu. Michael przemarzył przez noc do szpiku kości.

– Potrzebujemy cieplejszych ubrań – ciągnął Astley. – Mam szczerą nadzieję, Turner, że twój wydawca nie ma węża w kieszeni.

– Wystarczy, że z nim pogadam, a wierz mi, człowieku, że gadać umiem! – zakomunikował Amerykanin i zarechotał, ale Tayne miał wrażenie, że w jego głosie brakowało niedawnego przekonania.

– To świetnie. Bo mam wielką ochotę poprosić *fru Leehti*, by odwiedziła rynek miejscowego miasteczka i zrobiła dla was zakupy.

– A przekażesz *fru Leehti*, że jestem głodny jak wilk? – spytał Michael.

– Jasne. Zaczekajcie tu.

Astley przez chwilę rozmawiał z gospodynią, po czym ta zwróciła się do męża, który spochmurniał jeszcze bardziej. W spojrzeniach, jakimi obrzucał trójkę przybyszów, malowała się niechęć, odrobinę jedynie złagodzona widokiem paru zielonych banknotów, do których Astley dorzucił kilka funtów. Propozycję odwiedzin sklepu Finowie zdecydowanie odrzucili, co Tayne'a w sumie ucieszyło – duże zakupy mogły przyciągnąć czyjąś uwagę, a poza tym było naprawdę wcześnie, a nie chciał czekać na otwarcie sklepu. Skończyło się więc na tym, że za kolejnych kilka dolarów gospodarz oddał im nieco własnej odzieży oraz dwie pary starych, filcowych butów, należących do niego oraz do starszego syna, służącego gdzieś na granicy.

Niestety, Finowie nie mieli też zamiaru zapraszać ich pod swój dach. Gospodyni wyniosła im nieco świeżego pieczywa i emaliowane kubki ze słabą, słodką herbatą, a gdy się posilali i padał na nich coraz gęstszy śnieg, gospodarz siodłał konia. Chwilę później przykrywali się już derkami na saniach, a *fru* Leehti strzelała z biczka.

Ruszyli w drogę.

– Jak opowiem w domu, że dałem dziesięć dolców za rozklekotane trepy jakiegoś miejscowego trolla, dzieci będą mnie pokazywały palcami po kres moich dni – poskarżył się Turner, stękając.

– Trzeba było zostać w tym debilnym kapeluszu – rzekł Astley. – Dzieciaki wyśmiewałyby cię tutaj.

– Debilnym? – prychnął dziennikarz. – Wy, Anglicy, nie macie bladego pojęcia o stylu.

– Rzekł człowiek, który szczyci się nakryciem głowy pastucha – oznajmił z udawanym niedowierzaniem młodzieniec i poprawił swą wełnianą czapkę.

Tayne nie mieszał się do rozmowy. Bułka popita herbatą przegnała wrażenie chłodu, pled był ciepły, a świadomość, że ruszyli w drogę, podniosła go nieco na duchu. Spoglądał teraz na młodego Astleya, który z ochotą docinał coraz bardziej poirytowanemu Amerykaninowi, a w jego zmęczonym umyśle pojawiło się pytanie, które postanowił młodzieńcowi kiedyś zadać, by zaspokoić własną niespokojną i podejrzliwą naturę.

Jechali wśród gęstych opadów śniegu. Sanie sunęły z cichym szumem, a koń prychnął z energią i wywijał ogonem. Przecinka, którą wybrała *fru* Leehti, była rzadko uczęszczana – na gładkiej powierzchni śniegu nie widniały żadne inne ślady – ale entuzjazm Finki słabł z każdym pokonanym kilometrem. Przestała się uśmiechać i nie odwracała się już do swoich pasażerów, za to zacinała konia i co rusz się ku niemu wychylała, jakby próbowała go też popędzać siłą woli.

Wcale jej się nie dziwię, pomyślał Tayne, podciągając wyżej koc. Wcale a wcale.

Śnieg nie przestawał padać i puszcza, którą przemierzali, zdumiewała pięknem i dziewiczym urokiem. Wrażenie było tym mocniejsze, że od czasu do czasu przez gruby kożuch chmur przenikało słońce, a wówczas las zaczynał się mienić złotem. Sielankowa sceneria nie pozwalała jednak zapomnieć o tym, że trwa wojna. Parokrotnie słyszeli nad sobą złowrogi pomruk silników samolotowych, a samotny narciarz, który minął ich po godzinie podróży, pozdrowił *fru* Leehti z grobowo poważnym obliczem. Raz czy drugi wydawało się im, że słyszą grzmot dział. Wówczas Finka jeszcze mocniej popędzała konia i przeklinała pod nosem, zapewne żałując swej chciwości i marząc o tym, by jak najszybciej

znaleźć się w rodzinnym gospodarstwie, gdzie mogłaby zatracić się w obowiązkach i przynajmniej udawać, że wszystko jest w porządku.

Turner pochrapywał z cicha. Astley kilka razy próbował zagadywać gospodynię, ale ta nie odzywała się ani słowem. Zrezygnował więc i jechał wpatrzony w dal, całkowicie pochłonięty własnymi myślami. Tymczasem Tayne właśnie na nim skupił swoją uwagę; zastanawiał się nawet, czy nie nadszedł czas na pytanie, które nurtowało go od dłuższej chwili, ale się powstrzymał. Miał wrażenie, że las dookoła nich wymusza ciszę, zupełnie jakby chciał przekazać, że skoro ludzie rozpętali to swoje szaleństwo, to przynajmniej niech milczą wszędzie tam, gdzie nie trzeba przerywać ciszy.

Nie odezwał się więc. Niebawem poczuł ogarniającą go senność.

Penelopa leżała na brzuchu i wpatrywała się w świeczkę, której płomień tańczył lekko, trącany podmuchami przewiewu. Michael powoli przesunął palec wskazujący wzdłuż jej kręgosłupa, wciąż nie mogąc pojąć tego, że widzi ją nagą.

W niewielkim pokoju na Falcon Road panowały niemal zupełne ciemności, bo dziewczyna dokładnie zasunęła zasłony i nie pozwoliła Michaelowi na zapalenie światła. Jedyne źródłem blasku była ta samotna, oblepiona kropelkami wosku świeczka, która towarzyszyła im podczas chwil uniesienia. Ale Tayne nie potrzebował światła, by widzieć Penelopę.

Widział ją wszak dłońmi. Widział ją ustami i skórą. Widział ją całym swym ciałem i nie mógł się nią nasycić.

– O czym myślisz? – spytał.

Czekał na odpowiedź z lekkim napięciem, w końcu nieraz zdarzyło mu się zadać pytanie, które Penelopa uznała za niestosowne. Byli razem już od paru miesięcy, a on wciąż nie umiał jej rozgryźć. Nadal nie był pewien, które słowa jej się spodobają, a które nie. Powoli zagłębiał się w nieskończony labirynt kobiecej nieprzewidywalności i nierzadko opuszczał go poparzony i pełen żalu do siebie.

Tym razem jednak było inaczej. Bardziej wyczuł niż zobaczył, że Penelopa się uśmiecha.

– Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedziała.

– Uwierzę we wszystko. Wykonałem już trzy misje dla... – chciał powiedzieć „twego ojca”, ale w porę ugryzł się w język – dla Biblioteki i wiem, że istnieją na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom.

– Ach tak. A o Czarnej Zgrozie słyszałeś?

– *Nie. Co to takiego?*

– *Byłam dziś w Bibliotece i słuchałam, jak ojciec rozmawiał o niej z Astleyem seniorem. Nie mogłam w to uwierzyć. – Penelopa westchnęła i przewróciła się na plecy, co sprawiło, że Michael natychmiast stracił wątek. – Dwóch wykształconych, dorosłych mężczyzn, z powagą rozprawiających o demonach błakających się na skraju naszej rzeczywistości. W głowie mi się to nie mieści.*

– *W łóżku chcesz o demonach rozmawiać? – spróbował żartować, co się powiodło, bo dziewczyna parsknęła śmiechem.*

Natychmiast jednak spoważniała.

– *Nie, nie chcę – odpowiedziała. – W ogóle nie chcę o nich wiedzieć ani pamiętać, ale mój umysł... Wiesz, ciągle każe mi zadawać pytania. Mój ojciec nie jest głupcem i...*

– *Uwierzyłaś w demony.*

– *Nie. – Penelopa gwałtownie pokręciła głową. – Nie. Powiedzmy, że przestałam zdecydowanie odrzucać ich istnienie. Powiedzmy też, że tym chętniej przyszedłam dziś do ciebie.*

– *Rzucę się na każdego demona, który ci zagrozi – obiecał.*

– *Dureń z ciebie – prychnęła dziewczyna i zaraz go pocałowała.*

Obudziła go świadomość, że dzieje się coś niedobrego, a sekundę później, zanim jeszcze otworzył oczy, wychwycił monotony, niski pomruk silnika. Poderwał się w chwili, gdy *fru* Leehti ostro ściągnęła lejce. Turner odrzucił koc, a Astley się wyprostował. Wszyscy patrzyli teraz w niebo, na którym chmury wreszcie się rozstały, odsłaniając tu i ówdzie połacie przedpołudniowego błękitu.

Sunął przez nie niewielki, dwusilnikowy samolot, który wydawał się rosnąć w oczach.

Wpatrywali się w niego z oszołomieniem, przekonani, że to zły, bardzo zły znak. W trakcie drzemki Tayne'a *fru* Leehti wyjechała na główny trakt, prowadzący prosto ku rzece, nad którą przerzucono niewielki most. Musiało tam dojść do jakiegoś zamieszania, bo na obu brzegach kłębiły się pojazdy wszelkiego typu – wozy, sanie, a nawet dwie czy trzy ciężarówki. Ludzie stali jak zahipnotyzowani i wpatrywali się w samolot, niektórzy osłaniając sobie oczy.

– *Panowie i panie, witamy serdecznie na wojnie! – oznajmił z teatralną emfazą dziennikarz, wyciągając skądś notes. – Ktoś wie, jak się nazywa ta dziura? Astley, mógłbyś spytać naszą przewodniczkę?*

Theodore nie zareagował na pytanie. Wstał i wpatrywał się w nadlatujący samolot, jakby poza nim nie istniało nic innego.

– To fiński? – spytał Michael z niepokojem. – Oni chyba mają jakieś lotnictwo, co?

– Nie – mruknął Astley.

– Nie mają?

– Nie to chciałem powiedzieć – wycedził młodzieniec przez zęby. – To ruski Tu SB-2. Pieprzony lekki bombowiec.

– Jesteś pewien? – spytał Tayne, choć sam już widział, że samolot zaczyna zniżać lot.

– Naoglądałem się tych skurwieli w Hiszpanii. – Astley przeniósł nagle spojrzenie na Michaela. Młodzieńcza energia oraz beztroska, którymi nieustannie emanował, znikły, zastąpione przerażeniem i determinacją. – Musimy zwiewać! – zawołał. – On tu leci! On leci prosto na nas!

– Chce zaprzęg rozwalić? – bąknął Turner. – Ruscy nie cierpią fińskich szkap czy jak?

– Nie! – Tayne wygrzebał się spod koców i zeskoczył na śnieg. – On na most leci! – Wpatrywał się w rosnący kształt, przygryzając wargę. – I jak chcesz, Astley, to zwiewaj – dodał cicho. – Ja... Cóż, ja... A zresztą, cholera, co będę sobie język strzępił.

Decyzję podjął w mgnieniu oka. Rzucił się do biegu w kierunku mostu, zostawiając za sobą towarzyszy, którzy wołali za nim, zaskoczeni. Do ich krzyków dołączyła *fru* Leehti, ale się nie odwracał. Wbijał wzrok w most i stłoczonych na nim ludzi.

– Uciekajcie! – krzyczał. – Wynoście się stąd! To nie jest wasz samolot!

Ten i ów spojrział ku niemu. Michael nie miał pewności, czy ktokolwiek ze stłoczonych na moście rozumie angielski, ale nagle ludzie zaczęli się otrząsać. Ktoś usiłował cofnąć ciężarówkę, ktoś inny próbował zawrócić wóz, a jeszcze kolejny w pośpiechu wyprzegał konia, co tylko spotęgowało zamieszanie, ale większość ludzi po prostu rzuciła się do ucieczki. Z głośnym wrzaskiem biegli teraz ku najbliższym budynkom, potykając się w śnieżnej brei i gubiąc dobytek.

Tayne, choć zdyszany i spocony, poczuł, jak po plecach spływa mu zimny dreszcz.

Budynki otaczające most, głównie domy mieszkalne, szopy i stodoły, były przecież z drewna!

– Nie! – wrzasnął. – Uciekajcie na pola! Do lasu! Jak najdalej od domów!

Nawet gdyby Finowie rozumieli angielski, jego krzyki i tak utonęłyby we wrzawie czynionej przez uciekających, spotęgowanej przez motory nadciągającego bombowca. Wielu odruchowo skierowało się ku okalającym wieś polom, ale inni, posłuszni podświadomemu przekazowi, że dom zapewnia

bezpieczeństwo, pchali się ku zabudowaniom, przewracając płoty, wyważając furtki i szarpnięciami otwierając drzwi.

Michael odwrócił się w biegu. Sowiecki bombowiec zatoczył pętlę, obniżając pułap lotu, i nadlatywał teraz z zachodu na wysokości mniej więcej stu metrów. Strumienie zaśmigłowe podniosły tumany śniegu, które całkiem zakryły sanie *fru* Leehti, a blask słońca odbił się od przejrzystego stanowiska przedniego strzelca na dziobie.

Ułamek sekundy później dwa znajdujące się tam karabiny maszynowe otworzyły ogień.

Tayne znalazł się w życiu pod ostrzałem parokrotnie, choć nigdy dotąd z broni maszynowej, i zawsze zdumiewało go to, jak sprawnie w takich sytuacjach działa jego umysł. Znikały wszystkie zbędne myśli, pozostawała jedynie żelazna wola, odporna na strach, rozpacz czy obrzydzenie, która prowadziła go naprzód w możliwie najbezpieczniejszy sposób. Michael odruchowo wykonywał uniki, wybierał najlepszą drogę ucieczki, analizował wszystkie aspekty zagrożenia, a zarazem skutecznie odgryzał się wrogom. Czas zdawał się rozciągać lub wręcz stać w miejscu i Tayne bezlitośnie wykorzystywał każdą sekundę.

Tak było i tym razem. Michael umknął przed pociskami ze sprzężonych kaemów, które, znacząc ziemię podwójnymi wybuchami, pomknęły ku pojazdom stłoczonym na moście. Jednocześnie wypatrzył jakąś niemłodą kobietę, która przypadła do drzwi pomalowanego na czerwono domu z białymi okiennicami. Upuściła walizkę i szarpała za klamkę, krzycząc coś przeraźliwie.

Drugą ręką trzymała dłoń kilkuletniego chłopca, który podczas biegu zgubił czapkę.

Miał jasne, niemalże złociste włosy.

Nim Tayne się zorientował, biegł już ku nim. Przesadził płot z ułożonych poziomo gałęzi, złapał Finkę za rękaw płaszcza i pociągnął ją za sobą, drugą ręką łapiąc chłopca.

– Niech pani idzie ze mną! To niebezpieczne! – krzyknął.

Przerażona do granic kobieta wrzeszczała i usiłowała się wyrwać, a nawet parokrotnie uderzyła go w twarz, ale Michael z zawziętą miną odciągał ich jak najdalej od domu, aż w końcu, gdy ryk motorów bombowca osiągnął punkt kulminacyjny, pchnął oboje na śnieg. Zerknął w górę, na przemykające nad nimi skrzydła z czerwonymi gwiazdami, a potem rzucił się na kobietę i przygarnął chłopca jak najbliżej.

– Spokojnie, spokojnie! – wrzeszczał, czując, że kobieta ze wszystkich sił próbuje się uwolnić. – Ten skurwiel zaraz zrzuci bom...

Potworna eksplozja wstrząsnęła światem z taką mocą, że Michaelowi zrobiło się ciemno przed oczami. Mimo słabości, zerwał się, posłuszny instynktowi.

Zatoczył się, potrzęsnał głową, padł na śnieg i znów się poderwał. Był zamroczony i chwilowo utracił słuch, ale umysł działał równie sprawnie jak wcześniej. Bomba trafiła w sam środek podwórza jednego z dalszych gospodarstw i obróciła je w perzynę, wzniesając żarłoczny pożar. Fala uderzeniowa zmiotła kilka okolicznych budynków, przewróciła słup telegraficzny przy drodze i wywróciła porzucony wóz, na szczęście niezaprzężony. Dom, do którego usiłowała się dostać kobieta z dzieckiem, stracił wszystkie szyby i większość gontów, trawiły go również płomienie, które z przerażającą szybkością rozchodziły się po ścianie.

Michael zerknął na wstrząśniętą kobietę, która usiadła w błocie i przygarnęła do siebie brudne, zapłakane, nic nierozumiejące dziecko. Uklęknął przy nich, uśmiechnął się i nieśmiało, w zasadzie wbrew sobie, pogładził chłopca po czuprynce.

Następnie zerwał się i spojrzał na pochłaniany ogniem dom.

– Tayne! – krzyknął Astley, który wyrósł tuż przy nim. – Co ty wyprawiasz? Mieliliśmy nie...

– Musimy wyważyć te drzwi! – krzyknął Michael, już w biegu. – Tam w środku mogą być ludzie!

W kilku susach przypadł do drzwi i szarpnął za klamkę, ale te zadygotały w futrynie, najwidoczniej zamknięte od środka.

– Öppna dören! – krzyczał Astley, próbując zajrzeć do środka przez wybite okno. Płomienie szalały coraz głośniejsze. – *Är det någon där inne?*

Za Astleyem przybiegł Turner, ciężko dysząc.

– Trzeba ci przyznać, że masz jaja, Angolu! – wyrzęził. – Przydałoby ci się jeszcze coś między nimi. – Zarechotał, po czym wyciągnął rewolwer i strzelił prosto w zamek.

Drzwi odskoczyły do środka. Michael pchnął je kopniakiem i wskoczył do zadymionego wnętrza, a Astley i dziennikarz wbiegli za nim.

Sowiecki bombowiec, mrużąc złowrogo, wykonywał nawrót do kolejnego ataku.

*

– Dość – powiedział Muchalew, po czym wsparł się na kijkach i odetchnął ciężko. Wyprostował się i obejrzał na swą niewielką drużynę.

Narciarze jeden po drugim zatrzymywali się i spoglądali na niego w oczekiwaniu na rozkazy. Z irytacją, ale i z podziwem stwierdził, że żaden z nich nie wydaje się nawet w połowie tak zmęczony jak on. Nie było w tym w sumie nic dziwnego – trenował jazdę na nartach od raptem paru tygodni, czyli

od czasu, gdy zrozumiał, jaką przyjdzie mu wypełnić misję, a wcześniejsze życie oficera politycznego nie dawało mu wielu okazji, by zadbać o kondycję. Tymczasem swój oddział stworzył z ludzi, którzy wychowywali się na Północy i wysiali umiejętność jazdy na nartach z mlekiem matki. Lejtnant postanowił sobie, że będzie swoją słabość starannie maskował i zmusi ludzi do takiego wysiłku, że żadnemu z nich nawet myśl o niej nie przyjdzie do głowy.

– Piętnaście minut przerwy – dodał, po czym ściągnął z głowy futrzaną czapę, strzepnął z niej śnieg i przetarł spocone czoło.

Otoczający ich las był zaskakująco cichy, co wydawało się wręcz niewiarygodne, zważywszy na to, że jeszcze chwilę temu słyszał odległe dudnienie dział. Ucieszył się z tego w duchu, bo podczas gdy grzmot artylerii przypominał mu o durnocie jej dowódców, cisza dawała chwilę wytchnienia i złudzenie panowania nad sytuacją.

– Aleksandrze Michałowiczu, proszę wyznaczyć dwóch wartowników. Chętnie się też napiję herbaty – dodał. – Mamy jeszcze dziś kilka kilometrów do pokonania.

Wtedy jego wzrok padł na jeńca. Stary Karel kucał wpatrzony w śnieg i oddychał ciężko, chrapliwie, co chwila plując. Twarz miał poszarzałą, jakby zaraz miał zemdleć. Wiele godzin fizycznych i psychicznych tortur zrobiło swoje. Muchalew poczuł mieszaninę złości i satysfakcji. Złości, bo z całej drużyny tylko poraniony, wyczerpany starzec znajdował się w stanie większego wyczerpania niż on. Satysfakcji, bo dokładnie o to mu chodziło.

Przeniósł spojrzenie na Esmeraldę.

– Zajmij się nim – rzucił ostro.

Cyganka nie popatrzyła na oficera. Nie spoglądała na niego od rana, a jego polecenia wypełniała bez słowa. Muchalew uznał to za reakcję na wczorajsze upokorzenie. Nie żałował tego, jak ją potraktował – Esmeralda powinna pamiętać o tym, że on nie pozwoli, by w jakikolwiek sposób podważała jego autorytet. Przy kolejnej okazji był gotów ukarać ją jeszcze surowiej.

– Słyszysz mnie? – warknął na tyle głośno, że przerwał gwar cichych rozmów żołnierzy, krzątających się wokół ogniska. – Masz teraz chwilę, by się zająć jeńcem!

Esmeralda pokiwała odruchowo głową. Lejtnant spostrzegł teraz, że kobieta wpatruje się w głąb lasu. Jako jedyna z drużyny nie odpięła też nart.

– Co tam się dzieje? – syknął Muchalew, patrząc w tym samym kierunku. Widział jedynie pnie drzew i kryjące się za nimi skały, obłe, masywne i obrosnięte rzędami sopli. – Finowie? Ktoś nas ściga?

Cyganka drgnęła nagle, jakby budziła się z głębokiego snu, i spojrzała na oficera. Jej twarz wyrażała całkowitą obojętność, ale w ciemnych,

przymrużonych oczach Muchalew dostrzegł nie tyle drapieżność, co bezgraniczną, czarną nienawiść, tak intensywną, że złapał się na tym, że chce zrobić krok w tył. Zamiast tego parsknął wściekle i złapał Esmeraldę za brodę.

– Co tam widzisz? – wycedził, opryskując ją drobinkami śliny.

Ścisnął jej żuchwę ze wszystkich sił, ale jeśli Cygance sprawiało to ból, nie dała tego po sobie poznać. Ba, nienawiść w jej oczach wydawała się gęstnieć jeszcze bardziej.

– Nic – wyszczała. – Niczego nie widzę.

– Aha. A więc po prostu nie masz ochoty na mnie patrzeć, co? – wycedził. – Bo jeśli znów mnie oszukujesz...

– To co? – syczała dalej Esmeralda, spoglądając mu w oczy. – Znowu mnie zgwałcisz? Może tym razem na oczach całej drużyny, co?

Muchalew poczuł, jak po jego ciele rozlewa się bezlitosny chłód.

– Nie – odparł. – Poproszę chłopaków, by to zrobili. Wszystkich. A jeśli sprzeciwisz mi się ponownie – musnął niby obojętnym wzrokiem korony ośnieżonych drzew – odeślę cię do gułagu.

Coś w oczach Cyganki zgąsło, jakby nagle uświadomiła sobie, że lejtnant wciąż trzyma jej życie w garści. Zaciśnęła powieki, a gdy je otworzyła, w spojrzeniu błysnęła dawna drapieżność.

– Beze mnie – wyszeptała chrapliwie – twoje życie nie będzie aż tak intrygujące, Sergiej.

– Będzie za to o wiele łatwiejsze – warknął Muchalew i potrząsnął nią wściekle. – Co tam zobaczyłaś?

– Nic – odparła. – Skały. Las. Szukam ustronnego miejsca, bo muszę...

– Tak? – zdziwił się Muchalew. – A więc chodźmy razem – dodał z szyderstwem w głosie.

Przez oblicze Cyganki przemknął ironiczny grymas, jakby chciała podsumować słowa lejtnanta złośliwą uwagą, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Ten puścił ją wreszcie, odpychając lekko od siebie, po czym zaczął, aż odepnie narty, i oboje zapuścili się powoli między drzewa. Muchalew wyciągnął z kabury rewolwer, kobieta szła wpatrzona przed siebie.

Las był niepokojąco cichy, nawet skrzypnięcia śniegu pod butami wydawały się tu osobliwie głośne. Po kilkunastu krokach dotarli do pierwszej ze skał, a wtedy Muchalew przekonał się, że natura ustawiła je w nierówny krąg. Wewnątrz kręgu rosły pojedyncze świerczki, a w samym jego środku spoczywał obły głaz, o który ktoś oparł zwykły kowalski młot. Oficer nie dostrzegł niczego godnego uwagi. Chcąc podkreślić to, że panuje nad sytuacją, wsunął broń do kabury i zapiął ją.

Nagle Esmeralda się zachwiała. Muchalew odwrócił się i odruchowo wyciągnął ku niej rękę, ale Cyganka odepchnęła go i oparła się o skałę. Była śmiertelnie blada i kręciła głową, jakby nie mogła w coś uwierzyć.

– Co się dzieje? – spytał lejtnant.

– Nic – odpowiedziała niewyraźnym głosem. – Zupełnie nic. Słabo mi się zrobiło.

– Chora jesteś? Bo czeka nas droga.

– Nie – wymamrotała kobieta. – Nie jestem chora...

Niespodziewanie się uśmiechnęła, a Muchalew dostrzegł w jej oczach coś na kształt triumfu.

– Absolutnie nie – odparła silniejszym już głosem. – Wracaj do obozu i daj mi się załatwić, a potem... potem przesłucham tego Karela jeszcze raz.

*

Druga bomba z radzieckiego bombowca wpadła do rzeki i obryzgała lodowatą wodą stłoczone na moście pojazdy, a trzecia chwilę później uderzyła w ziemię daleko za zabudowaniami. Tayne, który pomagał iść rannemu w udo, mającemu z bólu mężczyźnie, obrócił się z niemałym trudem i przekonał, że SB-2, uwolniony od ciężaru bomb, wzbija się na wyższy pułap, a następnie skręca na wschód.

– Wraca do siebie, skurwysyn – warknął.

– Tam! – syknął Astley, który podpierał rannego z drugiej strony. – Do kościoła go zanieśmy! *Till kyrkan!*

Wspólnymi siłami wnieśli rannego do kościoła, depcząc różnokolorowe szkiełka roztrzaskanego witraża. We wnętrzu było ciepło i pachniało jałowcowym dymem, ale dla Michaela najbardziej liczyło się to, że było gdzie ułożyć rannych.

– Zsuń te ławy! – krzyknął do Astleya. – Ja go przytrzymam!

Młody arystokrata rzucił swą torbę na drewnianą podłogę kościoła i zaczął pchać meble. Tymczasem przez boczne drzwi, znajdujące się za skromnym, luteranśkim ołtarzem, wypadł jakiś mężczyzna, który zaczął gwałtownie gestykulować, zasypując ich dziesiątkami zdań po fińsku.

– Zamknij się! – warknął Tayne. – Zamknij się i pomóż nam!

Jego słowa zagłuszył przeraźliwy jęk bólu z ust rannego. Człowiek, który przypuszczalnie był duchownym w tym kościele, wybałuszył oczy na widok zalanej krwią nogawki. Astley uniósł głowę i wyrzucił z siebie kilka słów po szwedzku, na co twarz kapłana złagodniała. Przypadł do rannego i przytrzymał go za ramiona, starając się nie patrzeć na ranę. Młodzieniec zaś uklęknął przy

swej torbie i otworzył ją jednym szarpnięciem. Ze środka wysypały się bandaże, paczki z gazą, instrumenty chirurgiczne, nożyczki, strzykawki i inne elementy wyposażenia lekarskiego.

Zaskoczony widokiem Michael gwizdnął pod nosem, po czym bez wahania skierował się ku drzwiom. Rannemu mężczyźnie nie potrafił bardziej pomóc, ale na zewnątrz wciąż mógł się przydać.

Wypadł na drewniane schody kościoła, gdzie ku swej uldze skonstatował, że radziecki samolot był już małym punkcikiem na niebie. W zbombardowanej wiosce zorganizowanie zaczęło wypierać chaos. Tu i ówdzie przerażenie zajęła lodowata zawziętość – Finowie, ustawieni w szereg, podawali sobie wiadra i zaciekle polewali płomienie wodą z rzeki, inni uruchamiali i odprowadzali stłoczone na moście pojazdy. Ktoś wprzęgał konia, ktoś inny wołał o pomoc przy podniesieniu wozu, jakaś kobieta wyciągała z błota walizki. Ku błękitnemu, obojętnemu niebu biły kolumny czarnego dymu.

Podczas służby w Royal Marines Michael Tayne wpoił sobie wojskową dyscyplinę i nabył wiele umiejętności niezbędnych żołnierzowi, a podczas trzech misji dla Biblioteki oswoił się z napięciem i nauczył ufać swemu instynktowi. Ale nigdy dotąd nie znalazł się w środku prawdziwej bitwy. I, choć słyszał o koszmarze pierwszej wojny światowej i bestialstwach popełnianych przez obie strony wojny domowej w Hiszpanii, nigdy nie był świadkiem agresji na ludności cywilnej.

Przez kilka długich sekund wpatrywał się w zanikający chaos wywołany sowieckimi bombami. Nie miał pojęcia, dlaczego pilot bombowca próbował zniszczyć Bogu ducha winną wioskę. Zastanawiał się, jaki to mogło mieć sens, ale szybko otrząsnął się zamyślenia – teraz pewien był tylko tego, że jeśli coś nie ma sensu, to podobne rozmyślenia.

Trzeba było działać.

Jego umysł pracował szybko, nie poddając się emocjom, a zmysły miał wyczułone jak rzadko kiedy. Już po parunastu krokach wychwycił historyczne krzyki dobiegające z jednego z domów, którym towarzyszyło głucho walenie w drzwi, zawalone deskami ze zmiecionej falą uderzeniową werandy. Szybko rozrzucił stertę i pomógł się wydostać na świeże powietrze spanikowanej staruszce z trojgiem wnuków. Potem dostrzegł starca z zalaną krwią twarzą, który martwym wzrokiem wpatrywał się w dymiące zgliszcza swej stodoły, i odprowadził go do kościoła, gdzie docierali już inni potrzebujący pomocy. Dźwignął nosze z nieprzytomną nastolatką. Pomógł przewrócić leżący na boku wóz. Dołączył do szeregu podających sobie wiadra Finów.

Ignorował zmęczenie i głód. Natrafił na ludzi, którym przydarzyła się tragedia, a energia i siła były jedynym, co mógł im podarować. Krzątał się więc jak

w transie, aż do jego świadomości zaczęły przenikać nowe odgłosy. Ludzie przerywali pracę i wołali, tym razem z entuzjazmem, a skądś dobiegał pomruk silnika. Tayne uniósł głowę i ujrzał zbliżającą się ciężarówkę z kilkoma żołnierzami na pace.

Natychmiast się otrząsnął. Przekazał wiadro z wodą stojącemu przed nim starszemu mężczyźnie z wąsami przypalonymi w pożarze, klepnął go w ramię i ruszył biegiem do kościoła. Wpadł do ciemnego wnętrza, gdzie źródłem światła było zaledwie kilka lamp naftowych, i wciągnął w płuca zapach krwi i środków dezynfekujących. Natychmiast wypatrzył Theodore'a, który właśnie bandażował dłoń zapłakanej kobiecie i mówił do niej przyciszonym głosem.

– Astley! – syknął, oglądając się za siebie. – Wojsko.

– Które? – mruknął młodzieniec, wiążąc końcówki bandaża.

– A jakie to ma znaczenie? Przed jednym i drugim trzeba się chować!

– Pieprzony los! – zawołał Astley, po czym uśmiechnął się do kobiety i szepnął coś po szwedzku. Ta, wciąż w szoku, znów wybuchnęła płaczem. Tymczasem młody Anglik zgarnął uszczuploną zawartość swojej torby, uśmiechnął się przepaszając do kobiety, dotknął jej dłoni, a potem uklonił się i sięgnął po płaszcz.

– Nie mamy chyba szczególnych powodów, by się czegoś bać, co? – syknął do Michaela. – Przecież pomogliśmy tym ludziom!

– W idealnym świecie urządziliby dla nas przyjęcie. – Tayne przypadł do wyjścia z kościoła i wyrzwał na zewnątrz. – W tym poddadzą nam wielogodzinnemu przesłuchaniu, a potem wsadzą gdzieś, żebyśmy nie pałętali się wojsku pod nogami. Pospiesz się, do cholery!

Astley, choć wyraźnie niechętny logicznemu wywodowi Michaela, posłusznie wybiegł w ślad za nim, ignorując wołanie zdumionego księdza i dwóch kobiet, które pomagały przy opatrywaniu ran.

– Nie sądzisz, że i tak ściągaliśmy już na siebie wystarczająco dużo uwagi?! – zawołał, biegnąc w ślad za Tayne'em. – I to w sumie przez ciebie?!

– Sądzę! – odkrzyknął Michael. – I liczę na to, że ci żołnierze będą tu mieli ważniejsze sprawy na głowie niż szukanie paru obcokrajowców.

– A skoro już o tym – Astley z trudem nadażał – to gdzie ten Amerykanin?

– Cholera go wie. Ma wreszcie swoją wojnę, a więc powinien się cieszyć.

Sam wielu powodów do radości nie miał. *Fru Leehti* przypuszczalnie zawróciła sanie natychmiast po tym, jak z nich wyskoczyli, i teraz ze zgrozą uświadomił sobie, że w pojeździe został jego plecak. Doświadczenie podpowiadało mu, że pokonali zaledwie kilkanaście kilometrów, co oznaczało, że pozostało jeszcze kilka razy tyle.

Zaklął z furją i zerknął przez ramię. Szczęście w nieszczęściu polegało na tym, że samochód z wojskiem nadjeżdżał od strony wybrzeża, a więc mieli wolną drogę.

Oby do mostu, myślał, biegnąc. A potem się coś wykombinuje.

Miejscowi zdążyli już ściągnąć kilka pojazdów z mostu, ale nadal tkwił tam główny winowajca, długi wóz, który z niezrozumiałych powodów rozbił tyłem barierkę i wisiał teraz dwoma kołami nad rzeką. Tayne i Astley przemknęli między spoconymi, wściekłymi ludźmi, którzy usiłowali wciągnąć wóz z powrotem na most, zbiegli na drogę po drugiej stronie rzeki i ruszyli biegiem w stronę lasów.

Napięcie z wolna opadało i Michael uświadomił sobie, że jest koszmarnie zmęczony. Nie miał pojęcia, że akcja ratunkowa kosztowała go tak wiele sił – nogi miał jak z ołowiu, a płuca płonęły mu żywym ogniem. Obejrzał się w ślad za Astleyem, który został nieco w tyle, i zauważył, że jeden z dwóch samochodów, które uwięzły po ich stronie rzeki, rusza na wstecznym biegu.

Zupełnie jakby... jakby chciał ich dogonić.

Cofając się, pojazd minął zdyszanego Astleya, który przystanął i oparł dłonie na kolanach, po czym zawrócił i już jadąc przodem, zatrzymał się przy Michaelu. Na fotelu pasażera siedział szeroko uśmiechnięty Turner, który opuścił szybę, a potem uniósł aparat fotograficzny i zrobił spoconemu Tayne'owi zdjęcie.

– Gdyby nie było to całkiem nielogiczne – powiedział dziennikarz – pomyślałbym, że próbujecie ode mnie uciec.

Michael wpatrywał się w niego pustym wzrokiem, niezdolny do wyrażenia jakichkolwiek myśli czy emocji.

– Bo przecież już dawno ustaliliśmy, że beze mnie nie potraficie kroku zrobić, prawda? – Amerykanin roześmiał się głośno, po czym poklepał po ramieniu kierowcę, wysokiego mężczyznę z wąsem i wydatną grdyką. – Poznajcie mojego nowego przyjaciela, Eino, który akurat zmierza na wschód i zgodził się nas zabrać. Co prawda powinniśmy się zrzucić na benzynę, ale pozostawię ten problem mojemu naczelnemu.

Tayne'owi przyszło do głowy, by spytać, czy to, co ujrzeli w bombardowanej wiosce, nie wystarczyłoby mu już do napisania artykułu, ale kątem oka zauważył, że ciężarówka z wojskiem zatrzymała się już po drugiej stronie mostu. W tej samej chwili Turner z szelmowskim uśmiechem pokazał mu jego plecak, zapewne w ostatniej chwili zerwany z sań *fru* Leehti, a wtedy Michael poczuł, jak resztki jego oporu kruszeją.

– Astley! – zawołał chrapliwym głosem. – Chodź tu! Turner załatwił nam podwózkę na front!

*

W chwili, gdy zdyszany Theodore Astley zatrząskiwiał drzwiami starego packarda, a kierowca dodawał gazu, by wyjechać ze zbombardowanej wioski, drużyna Siergieja Muchalewa wjechała do leżącej nad jeziorem wsi noszącej nazwę Ala-Voukki. Z mapy lejtnanta wynikało, że składa się ona przynajmniej z kilkunastu chat, a on sam skrycie liczył na wygodny nocleg w łóżku ogrzanym przez Esmeraldę. Tymczasem w szarzącym świetle zmierzchu ujrzeli, że wszystkie zabudowania zostały spalone do fundamentów.

Muchalew zatrzymał się, po czym splunął z furii.

– By ich szlag! – Potoczył przekrwionym spojrzeniem po poczerniałych resztkach, przykrytych już czapami śniegu. – Pieprzeni kapitaliści!

Należało się spodziewać, że armia fińska ewakuuje mieszkańców przygranicznych miejscowości i spali wszystkie drewniane zabudowania, choćby po to, by uprzykrzyć życie Sowiecom, ale podobne wnioski, miast kończyć wściekłość Muchalewa, tylko ją rozniecały.

– Pierwszemu Finowi, którego dopadnę, wycisnę kciukami oczy – warknął i splunął, a następnie zaczął odpinać narty.

– I słusznie, towarzyszu starszy lejtnancie – mruknął starszyna Wlekw.

To, że w głosie podkomendnego niemal nie było śladu zadyszki, bynajmniej nie poprawiło Muchalewowi humoru. Wyszarpnął z kieszeni mapę, rozprostował ją na kolanie i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

Do Hyrynsalmi jeszcze sześćdziesiąt kilometrów, zauważył w myślach. Dwa dni drogi, jak nic.

Zmierzchało i kolory na mapie traciły wyrazistość, ale mimo to Muchalew dostrzegł coś, co go zaintrygowało. Nieco dalej na północ od ich pozycji ciągnęła się trasa, którą przekroczyli przed dwoma godzinami. Droga ta, wiodąca od przygranicznej miejscowości Raate aż do Suomussalmi, była jedną z największych i najlepiej utrzymanych w okolicy. Lejtnant zwrócił wówczas uwagę na liczne ślady opon i gąsienic czołgowych świadczących o tym, że przechodziła tamtędy jednostka w sile przynajmniej batalionu, kierująca się na zachód, a więc na pewno należąca do Armii Czerwonej.

Do Suomussalmi zmierzała 163. dywizja piechoty, przypomniał sobie. Natknęliśmy się przecież na tych durniów kawałek stąd na północ, na drodze z Junty. Minęło sporo czasu i przypuszczalnie dotarli już na miejsce.

– Hmm... – mruknął do siebie, nieświadom tego, że żołnierze otaczają go kręgiem i wpatrują się weń w napięciu.

Wiatr poświstywał cicho i strącał puszek z gałęzi świerków. Po tafli zamrożonego jeziora prześlizgiwały się śnieżne tumany przypominające

roztańczone duchy.

Oficer uniósł głowę.

– Rozstawcie namioty – zakomenderował i wskazał machnięciem ręki tobogan ze sprzętem drużyny. – I rozpalcie ognisko. Żenia. – Lejtnant wbił wzrok w radiotelegrafistę drużyny. – Nawiążesz kontakt ze sztabem 163. dywizji. Przekaż, że starszy lejtnant Muchalew chce rozmawiać z ich oficerem politycznym.

Ludzie drgnęli i zaczęli się rozchodzić. Wlekw powtórzył rozkaz dowódcy i ci z żołnierzy, którzy zdołali już odpiąć narty, rozsypywali sztywną od mrozu plandekę pokrywającą tobogan. Czerwonoarmista z siekierką w ręku rozglądał się w poszukiwaniu drewna ocalałego przed pożogą, inny, z karabinem, obchodził zgliszcza wioski. Muchalew odnalazł wzrokiem Esmeraldę. Cyganka najwyraźniej nie traciła czasu i od razu przystąpiła do przesłuchania. Wypiąwszy narty, stała naprzeciwko Karela, który klęczał na śniegu z nisko zwieszoną głową i drżał na całym ciele.

Żołnierze również to zauważyli i obchodzili tę dwójkę szerokim łukiem. Przeklinali i pokrzykiwali nienaturalnie głośno, jakby chcieli dodać sobie w ten sposób odwagi i zagłuszyć to, co najwyraźniej uważali za czary.

Lejtnant miał wrażenie, że klęczący jeniec coś mówi. W pewnym momencie jego ciało przeszył gwałtowny spazm, a Esmeralda głośno, niemalże manifestacyjnie prychnęła pod nosem.

Powoli wyciągnęła papierosa ze złotej papierośnicy, zapaliła go, po czym zapaliła drugiego i ruszyła w stronę Muchalewa. Podała mu papierosa, a sama zaciągnęła się chciwie, spoglądając przez ramię na jeńca.

– Jest zmęczony – powiedziała chrapliwie. – Coraz łatwiej mi się przebić.

– To dobrze. – Muchalew, paląc, wpatrywał się w kobietę. – Czego się dowiedziałas?

– Jego córki nie uciekły do Hyrynsalmi same. Towarzyszyła im dziewczyna z zewnątrz, Angielka, z którą się zaprzyjaźniły.

– Agentka? – Oficer się zjeżył, zapomniawszy o papierosie.

– Nie. – Esmeralda pokręciła głową. – Naukowiec. Antropolożka.

– To dlaczego mi głowę zawracasz? – Lejtnant zwęził powieki.

– Dlatego – Cyganka odwróciła się ku niemu – że ta Angielka zdobyła zaufanie Hämäry i Sumu, a te postanowiły nauczyć ją swych tajnych rytuałów. Ponoć z powodzeniem. – Wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami. – Angielkę łatwiej ci będzie odnaleźć niż dwie Karelki, a jeśli tego dokonasz, dowiesz się również, w jaki sposób można się wyuczyć miejscowej magii.

Muchalew, który doszedł do identycznego wniosku kilka sekund temu, z trudem opanował przyływ entuzjazmu. Burknął coś pod nosem, pozorując

niezadowolenie, a potem przez chwilę wpatrywał się w ciemniejszą taflę jeziora. Temperatura spadała i wokół ich ust pojawiały się obłoczki pary.

W końcu oficer prychnął.

– Jak to możliwe, że udaje ci się teraz takie sekrety wyciągnąć, co? – spytał. – Dobrze jednak było porządnie cię ukarać! – Zaśmiał się chrapliwie i brutalnie ścisnął pośladek Esmeraldy, na co kobieta zareagowała wzdrygnięciem ramionami.

– Już mówiłam – odpowiedziała i odwróciła pospiesznie głowę. – Słabnie dziadyga i tyle.

Lejtnant nie mógł mieć pewności, ale wydawało mu się, że w jej oczach błysnęło coś, co na pewno nie było uwielbianą przezeń drapieżnością. Gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że to drwina.

ROZDZIAŁ 8

6 grudnia 1939 roku

Ich wybawcą okazał się niejaki Eino Korhonen, drukarz z zawodu, który, gdy tylko radziecki tupolew odleciał na wschód, poszedł za porywem serca i przecisnął się przez zakorkowany most, by ruszyć z pomocą ofiarom nalotu. Na biegającego z aparatem Turnera natknął się tuż po tym, jak z pomocą kilku innych ludzi wdarł się do domu z płonącym dachem i wyniósł z niego półprzytomną staruszkę.

– Człowieku, momentalnie pojawiła się między nami więź – opowiadał dziennikarz, gestykułując zamasyście. – Dzielny Fin, który rzuca się na ratunek starszej pani, i równie dzielny Amerykanin, który pokonuje dziesiątki przeszkód, by móc opowiedzieć całemu światu jego historię. Co nie? Zagrało między nami, prawda, Eino?

Poklepał kierowcę po ramieniu, a ten uśmiechnął się nieśmiało, wręcz głupkowato, i poprawił druciane okulary na nosie. Michael spojrzał na Astleya, a ten wywrócił oczami.

– Chcesz powiedzieć – Theodore odkaszlnął – że biegales wśród tych Finów i robiłeś im zdjęcia? Zamiast rzucić wszystko i po prostu im pomóc?

– Świetnie sobie dawali radę! – Amerykanin wzruszył ramionami. – Ja zaś chciałem przypomnieć, że jestem dziennikarzem. Ba, nie byle jakim dziennikarzem! Ja, człowieku, mam misję! Przybyłem tu po to, by świat się

dowiedział, jak dzielna, mała Finlandia kopie ruskie tyłki, i tym się właśnie będę zajmował! Bo, wyobraź sobie, to umiem najlepiej.

– Nie to jedno – burknął z niechęcią Theodore, ale Turner dosłyszał jego słowa.

– Otóż to! – Rozpromienił się i zapalił cygaro. – Potrafię jeszcze skołować nam środek transportu w chwili, gdy jest to najbardziej potrzebne, a więc, Astley, jak masz ochotę się nadymać i prawić mi kazania, proszę bardzo, ale ostrzeż mnie zawczasu. Poproszę wówczas mego przyjaciela Eino, by się zatrzymał i pomógł ci wysiąść. Nic nie inspiruje przemyśleń natury moralnej bardziej od zimowej aury, prawda?

Tayne zerknął na młodzieńca, który poczerwieniał ze złości, ale nie odpowiedział Turnerowi ani słowem. Pochylił się za to do przodu i rzekł:

– Panie Korhonen, dziękujemy za pomoc. Mamy nadzieję, że nie nadkłada pan drogi.

Mówił powoli i wyraźnie, w nadziei, że Fin, nawet jeśli nie zna angielskiego, zrozumie przynajmniej jego intencje, ale ten znów się głupio uśmiechnął i zerknął na Tayne'a. Mimo zabawnej miny Michael wyczuwał w nim zażenowanie i lekką treść.

– Nie, nie! – Eino pokręcił głową. – Ja... ja widziałem ciebie. I twojego kolegę. Pomagaliście. Widziałem was i... i sam pobiegłem na pomoc.

Mówił po angielsku z trudem, jakby kiedyś znał ten język, a teraz, dobierając słowa, musiał naprzód zdmuchnąć z każdego kurz. Niespodziewanie Tayne poczuł, jak w jego sercu rozlewa się nowe, obce ciepło.

– Pobiegłeś na pomoc, bo... bo zobaczyłeś nas? – spytał z niedowierzaniem.

– Ciebie – poprawił go Fin, znów wpatrzony w drogę. Kurczowo zaciskał dłonie w wełnianych rękawiczkach na kierownicy packarda. – Stałem przy samochodzie i czekałem. Potem przyleciał ruski samolot. Wszyscy czekali. Ty biegłeś i krzyczałeś po angielsku. Wiedziałem, że nie jesteś stąd. Nie musiałeś nikomu pomagać, ale to zrobiłeś. Chciałbym mieć tyle *sisu* co ty, bo kiepsko biegam. Utykam. W dzieciństwie przeszedłem polio. Ale to nic. Zobaczyłem ciebie i ruszyłem na pomoc. – Jego nieporadny uśmiech odbił się w zaparowanym lusterku wstecznym. – Skoro obcy pomaga, to czemu mam stać i patrzeć? – dodał. – Daliście dobry przykład. A teraz postanowiłem was podwieźć.

– Proszę, proszę – mruknął Astley pod nosem. – Widzisz, Turner, jak to działa?

– A poza tym – podjął Eino – mój amerykański przyjaciel obiecał mi pełen bak. A ceny paliwa poszły w górę, że ho, ho!

– Widzisz, Astley, jak to działa? – zarechotał Turner, wydmuchując kłąb dymu, i znów poklepał uśmiechniętego Fina po ramieniu. – Od razu wam mówiłem, że

coś między nami zagrało.

*

Eino Korhonen mieszkał na obrzeżach wioski o nazwie Puolanka, skąd do Suomussalmi pozostawało już tylko niecałe siedemdziesiąt kilometrów. Prowadził powoli, gdyż na drodze panował spory ruch i co chwila natrafiali na zmierzające na zachód kolumny uchodźców oraz bardziej uporządkowane, kierujące się na wschód transporty wojskowe. Wkrótce zapadł zmrok, co uczyniło podróż jeszcze trudniejszą, ale Korhonen nie przestawał się uśmiechać i kiwać głową, jakby przez cały czas wypowiadał w myślach jakieś monologi i ustawicznie się ze sobą zgadzał.

– O, tam mieszkam! – Wskazał dom między drzewami i zabębnił dłońmi po kierownicy. – Tam!

– Bardzo przyjemny dom – powiedział Astley z typowym dla siebie, choć mało wyraźnym entuzjazmem. – Gustowny! Zapewne bardzo przytulny!

– Jesteś pewien, że możemy u ciebie przenocować? – spytał Tayne i stłumił ziewnięcie.

Próbował się zdrzemnąć po drodze, ale za każdym razem, gdy zamykał oczy, pod powiekami pojawiała mu się para sowieckich karabinów maszynowych. Był znużony, wyczerpany i obolały.

– Pewnie, pewnie! – Eino pokiwał energicznie głową. – Żona nie mówi po angielsku, ale się zgodzi. Moja Hannele bardzo lubi gości! Bardzo.

– Mówi tak, jakby chciał sam siebie do tego przekonać – mruknął Astley.

Michael pokiwał głową.

– W ostateczności prześpiemy się w jego samochodzie – powiedział równie cicho. – A rano coś się wymyśli.

Turner, rozparty na fotelu pasażera, chrapnął głośno i zamlaskał przez sen.

– Nasz amerykański przyjaciel chyba zdecydował, gdzie położyć się spać – stwierdził Astley.

Packard jechał coraz wolniej. Po chwili Eino zakręcił kierownicą, a wtedy blask reflektorów prześlizgnął się po froncie drewnianego domu ozdobionego wielką fińską flagą. Gdy wyłączył silnik, na werandzie natychmiast zapaliło się światło, a na progu stanęła zawinięta w koc kobieta. Zawołała coś zaniepokojonym głosem, na co Eino otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz, mówiąc coś z udawaną wesołością.

Tayne odszukał klamkę i z głośnym zgrzytem otworzył drzwi od swojej strony. Do środka wtargnęło zimne, orzeźwiające powietrze, co nieco go ożywiło. Z trudem wyszedł z samochodu i rozprostował ścierpięte ciało, a potem spojrzał

na parę na schodach przed domem. Nie rozumiał ani słowa z ich rozmowy, ale gestykulacja Finki jasno zdradzała, że jest wściekła na męża. Kobieta spojrzała na Michaela, który który się uśmiechnął i uklonił, ale szybko odwróciła spojrzenie i na powrót skupiła się na ruganiu męża.

Tayne odszedł kilka kroków, po czym odnalazł w kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego. Zaciągnął się tak mocno, że zakręciło mu się lekko w głowie. Zacisnął powieki i stał nieruchomo, wsłuchując się w odgłosy nocy. Dwoje Finów kłóciło się zawzięcie. Gdzieś płynęła rzeka. Skądś dobiegało głucho dudnienie.

Za plecami Michaela zaskrzypiał śnieg.

– Poczęstuj mnie papierosem, co? – powiedział lekko ochrypłym głosem Astley.

Michael pokiwał głową i podał mu paczkę, a następnie zgrzytnął zapalniczką. W jej długim promieniu ujrzał bladą, wymęczoną twarz młodzieńca.

Patrząc, jak ten się prostuje i wciąga w płuca dym, uświadomił sobie, że jego obecność wcale już mu nie przeszkadza. Bomby spuszczone z rosyjskiego tupolewa najwidoczniej skruszyły również część bariery w sercu Michaela, który nagle uznał, że potrafi zaakceptować Astleya jako towarzysza.

W tym młodym jest coś ciekawego, przemknęło mu przez myśl. I z czasem może bym go polubił. Oby tylko nie gadał zbyt wiele.

– Chciałem cię zapytać o Hiszpanię – powiedział, patrząc w gwiazdy, doskonale widoczne na zimowym niebie. – Chciałem się dowiedzieć, co młody arystokrata robił na wojnie, na której faszyści wzięli się za łby z komunistami, ale chyba już się dowiedziałem.

Theodore wydmuchnął dym i przestąpił z nogi na nogę.

– Jedyłą możliwą rzecz – odpowiedział. – Opatrywałem rany tych, którzy znaleźli się za blisko jednych lub drugich i oberwali. Byłem wówczas na trzecim roku studiów medycznych na londyńskim St George's University i uznałem, że będzie to świetne doświadczenie.

– Było?

– Na pewno było to doświadczenie. – Astley zaciągnął się tak mocno, że żar na moment opromienił jego twarz. – I na pewno nie świetne. Sporo dowiedziałem się o świecie i ludzkiej naturze.

Michael pokiwał głową.

– Ja byłem w Melili w lipcu 1936. Też było gorąco.

– Coś mi mówi, że tu będzie jeszcze goręcej. – Astley westchnął. – Choć to środek pieprzonej zimy. Słyszysz to dudnienie?

– Moździerze – przytaknął Tayne. – I to ciężkie, a więc pewnie ruskie. Nie wiem, w co ci durnie chcą trafić po zmroku, ale najwidoczniej mają swoje

rozkazy. Posłuchaj mnie. – Odwrócił się nagle ku młodzieńcowi. – Wiesz, czego tu szukam, prawda?

– Nie czego, ale kogo. – Theodore schował dłonie do kieszeni i nadal trzymał papierosa w ustach, przez co mówił nieco niewyraźnie. – Dziadek mnie we wszystkim wtajemniczył.

– Dla jasności: szukam mojej żony – powiedział cicho Michael i wydmuchnął dym. – Ma na imię Penelopa i wiem, że przed sowiecką agresją przebywała gdzieś w tych okolicach. Wiem też, że te właśnie okolice za sprawą chłopaków Stalina przerodziły się w piekło. Odnalezienie w nich samotnej kobiety graniczyłoby z cudem nawet w czasach pokoju, a teraz to czysty idiotyzm. Jesteś młodym człowiekiem i przyszłym lekarzem, a więc...

– A więc wracaj do domu? – przerwał mu Theodore z pogardliwym prychnięciem. – Za kogo ty mnie masz?

– Już powiedziałem. To moja sprawa, Astley. Nie chcę, by niewinny człowiek oberwał ruską kulką tylko dlatego, że jak ostatni kretyn postanowiłem dokonać rzeczy niemożliwej w samym środku fińskiej puszczy. Wracaj do domu. Daj sobie spokój z tym bajzlem.

– Po pierwsze, to nie bardzo mam do czego wracać. – Głos Theodore'a okazał się zaskakująco chłodny. – Ojciec spieniżył większość naszego majątku i zostawił mi jedynie kawalerkę na Mayfair, a studiów medycznych po powrocie z wojny już nie podjąłem. Po drugie, mam swoje własne, i to bardzo ważne powody, dla których nie zrezygnuję z tej misji. Być może kiedyś ci o nich opowiem, ale najpierw będę musiał cię polubić.

– Jeśli chodzi ci o to, że zatrzasnąłem cię w kiblu...

– Nie, nie o to.

– Astley, strzelano już do mnie, ale nigdy nie byłem na prawdziwym froncie. Mogę sobie jednak wyobrazić, że to, co tam się dzieje, przekracza ludzkie pojęcie. – Tayne wyrzucił papierosa w śnieg. – Przez ostatnie lata robiłem wszystko, by zdusić w sobie ludzkie emocje, a mimo to robi mi się zimno na samą myśl o tym, że mam się tam znaleźć.

– To o tym nie myśl. – Astley zaciągnął się po raz ostatni. – Bo ja byłem na prawdziwym froncie i wiem, co tam się dzieje. Wierz mi, lepiej nie myśleć. Zamiast tego zastanówmy się, co zrobić z naszym amerykańskim przyjacielem. – Odwrócił się w stronę samochodu. – Ma kilka zalet, ale trudno się do nich przywiązać, bo cała reszta...

– Ja nie śpię! – dobiegło od strony pojazdu. – I wszystko słyszę! I cieszę się, że wreszcie się dowiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi!

Zgrzytnęły otwierane drzwi i Turner wygramolił się na zewnątrz. Przeciągnął się, aż mu w kościach trzasnęło, i wyciągnął paczkę z cygarami. Tych kilka

sekund wystarczyło, by Tayne znalazł się tuż przy nim. Wyrwał dziennikarzowi cygaro spomiędzy palców i pacnął go nim w nos, a następnie wycedził:

– Teraz więc musisz się zdobyć na wielki wysiłek i o wszystkim zapomnieć. Bo przysięgam ci na wszystko, co święte, Turner, jeśli piśniesz choć słowo o tym, co tu robię i kogo szukam, albo, co gorsza, gdzieś o tym napiszesz, znajdzie sposób, by zniszczyć ciebie i twoją karierę.

– Zdaje mi się – Amerykanin spojrział na niego z góry – że na takie sprawy to jesteś trochę za krótki.

– Naprawdę? – Tayne uraczył go paskudnym uśmiechem. – A miałeś ty kiedyś, Turner, do czynienia z człowiekiem, który naprawdę nie ma nic do stracenia?

Dziennikarz spoglądał na niego bez słowa, jakby rozważał, czy można wziąć te słowa na poważnie.

– W porządku – rzekł po chwili. – Ani słowa o twojej żonie. I o tobie. A teraz oddaj mi cygaro.

Michael z rozmachem włożył cygaro w otwartą dłoń dziennikarza.

– Jutro – powiedział cicho – znajdziemy się blisko linii frontu, a tam dołączysz do fińskiej armii. Wreszcie zajmiesz się tym, po co tu przyjechałeś. Cieszysz się?

– Jasne – burknął Amerykanin i przypalił sobie cygaro. – Człowieku, pewnie.

– Cudownie. Bo my też się cieszymy.

– Pytanie – Turner pyknął i uśmiechnął się złośliwie – czy dacie sobie beze mnie radę.

– To już nie będzie twoje zmartwienie. – Tayne klepnął go w ramię. – Ty masz swoją misję. Swoje wielkie zadanie. Masz opowiedzieć światu prawdę o wielkiej napaści. Nie przejmuj się więc dwoma stukniętymi Anglikami, którzy...

Przerwały mu pospieszne kroki na śniegu. Z ciemności wyłonił się uśmiechnięty Eino.

– Chodźcie! Chodźcie! – zawołał. – Żona przygotowuje dla was łóżka! I kolację!

– Kolacja! – Turner wywrócił oczami i tym razem to on klepnął Michaela w ramię. – Pierwszy posiłek od... Cholera, sam nie wiem! No, nie dziękuj, stary.

*

Kolacja, którą spożyli przy blasku świec, przebiegła w nieco napiętej atmosferze. Żona Eino, Hannele, nie podnosiła głowy znad talerza i milczała tak wymownie, że w pewnym momencie nawet Turner stracił ochotę do gadania. Hannele była drobną, bladą kobietą o czarnych, ciasno związanych włosach i obserwujący ją ukradkiem Tayne nie miał wątpliwości, że pani Korhonen z trudem tłumi gwałtowne emocje. Odezwała się tylko raz – warknęła wściekle po fińsku, gdy

Eino z udawaną wesołością zaczął opowiadać o życiu na wsi; w odpowiedzi jej mąż uśmiechnął się przepraszająco i zamilkł. Po posiłku, który składał się z grochówki i grzanek, wstała, spojrzała ze wzdrganą na banknot wsunięty przez Turnera pod talerz i wyszła z kuchni.

Eino westchnął.

– Pokażę wam miejsce do spania – powiedział.

– Doskonały pomysł. – Dziennikarz ziewnął, po czym wstał, głośno przesuwając krzesło. – Prześpijmy się i ruszajmy dalej, chłopaki – dodał, klepiąc Astleya po plecach. – Bo już chyba wolałbym być na tym froncie, przed którym wszyscy mnie przestrzegają, niż tutaj. – Ostatnie słowa wypowiedział szeptem, ale przez twarz prowadzącego ich Fina i tak przemknął bolesny grymas.

Eino wskazał im niewielki salon, w którym stały kanapa, dwa fotele zwrócone w stronę pieca kaflowego, okrągły stolik z wielkim aparatem radiowym oraz niewielka biblioteczka. W nikłym blasku lampy mieniły się powieszony na ścianach ramki ze zdjęciami rodzinnymi, na oknach za ażurowymi firankami rozlewał się delikatny szron.

– Tu macie koce. – Gospodarz wskazał stojący w kącie wiklinowy kosz. – Nie ma luksusów, to wszystko, co mamy.

– W porządku – powiedział Tayne. – To i tak więcej, niż się spodziewałem.

Astley również chciał coś powiedzieć, ale Fin zamknął już drzwi i wyszedł.

– Miły z niego człowiek – oświadczył dziennikarz, który już zdążył wyciągnąć się na kanapie, nie zwracając sobie głowy zdjęciem butów. – Myślicie, że ma gdzieś tu whisky? Finowie ponoć za kołnierz nie wylewają.

– Tylko zacznij czegoś szukać, Turner, a osobiście wywlekę cię na dwór i kopniakiem skieruję na front – obiecał mu Michael, rozsznurowując sobie buty.

– Wy, Anglicy, kompletnie nie macie poczucia humoru – poskarżył się Amerykanin.

– Mamy – stwierdził Astley, biorąc dla siebie koc. – Ale jego zrozumienie stanowi problem już dla ludzi średnio inteligentnych, co powinno być dla ciebie sygnałem. Na szczęście mamy również maniery, których przyswojenie przychodzi z łatwością ludziom znacznie uboższym intelektualnie.

– Czy w ramach owych manier – Turner uniósł lekko głowę – mógłbyś podać mi koc?

– Nie.

– A jak powiem „proszę”?

– Też nie – oznajmił Theodore. Podał drugi koc Tayne’owi i umościł się w fotelu.

– Cholerne, nadęte bufony – zniecierpliwził się dziennikarz i poderwał z kanapy. – Kompletny brak życzliwości i zrozumienia.

- Na froncie będzie gorzej – mruknął Michael, a Astley dodał:
- Zgaś światło, jak już wstałeś.

Amerykanin burknął coś pod nosem i pstryknął przełącznik. Salon zalała ciemność. W piecu kaflowym cichutko syczał ogień, czasem strzeliła jakaś deska. Pomruk wystrzałów ustał, natomiast z sypialni na górze dobiegała wściekła kłótnia Eino i Hannele, w której to zdecydowanie ona była stroną atakującą.

Niebawem rozległo się pochrapywanie Turnera i cichy, szybki oddech śpiącego Astleya. Tayne próbował odepchnąć sen. Zastanawiał się nad niecodzienną sympatią, którą zaczął darzyć młodego arystokratę. Z jednej strony świadomość ta nadwerężała fundamenty jego światopoglądu – nie przywykł do bliskości z innymi osobami i czuł się z nią nieswojo – ale z drugiej czuł ulgę, że nie przyjdzie mu się mierzyć z frontową rzeczywistością w pojedynkę.

A przecież Penelopa jest tam sama, pomyślał z nagłym przestraszeniem.

Nie miał pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania. Wiedział od teścia, że przed radzieckim atakiem Penelopa przebywała gdzieś w rejonie Suomussalmi, skąd wysyłała pocztę, ale miała przecież mnóstwo czasu, by się stamtąd wynieść. Fińska armia z całą pewnością ewakuowała przygraniczne miejscowości. Należało więc założyć, że jego żona znajdowała się już daleko stąd.

Może jest bezpieczna, pocieszył się w myślach. Może zadzwoniła do ojca z Helsinek czy Viipuri, a teraz czeka, by wejść na pokład statku płynącego do jakiegoś państwa neutralnego. Może moja misja jest już zbędna?

O dziwo, nie przeszkadzała mu ta świadomość, że być może ryzykuje własnym życiem bez potrzeby. Jeszcze kilka dni temu gotów był zrobić wszystko, by zapomnieć o świecie. Teraz, wyszarpnięty z zapomnienia przez Cedrika, gotów był zrobić wszystko, by ją ocalić. Tak po prostu. Przecież i tak nie miał przed sobą żadnych innych celów w życiu, a więc równie dobrze mógł spróbować jej pomóc.

Dotrzemy do tego Suomussalmi, pomyślał. Tam się rozpytam. Może trafię na kogoś, kto zna angielski, może przyda się Astley ze swoją znajomością szwedzkiego... choć chyba nie każdy Fin umie mówić w tym języku. Może odnajdę jakiś trop. A jeśli nie, udam się gdzieś indziej. Nie poddam się.

Była to jego ostatnia przytomniejsza myśl. Kłótnia na górze dobiegła końca, Astley westchnął przez sen, Turner chrapał coraz głośniejsze. Senność w końcu zawładnęła również Michaeliem.

Tego dnia coś wisiało w powietrzu, a w każdym razie takie wrażenie towarzyszyło Michaelowi.

Po stalowoszarym niebie sunęły obłoki, które co chwila przesłaniały słońce. Było dotkliwie zimno. Zachrypnięty dorożkarz kłócił się z policjantem, co budziło wesołość kilku obdartusów na rogu i złość kierowców, zmuszonych do zatrzymania się. Gdy kupował kwiaty od ulicznego sprzedawcy, który wyglądał na chorego, wszystkie drobne wysypały mu się z portfela i potoczyły do kratki ściekowej. Ktoś wydzierał się z okna, ktoś nadepnął mu na stopę w autobusie, ktoś obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

To nic, powtarzał sobie w myślach. To nic. Zaraz się spotkam z Penelopą. Zaraz ją ujrzę, a wtedy świat odzyska kolory.

Przebiegł przez ulicę, zmuszając kierowcę taksówki do ostrego hamowania, i zaraz dostrzegł siedzącą na ławce Penelopę. Była blada i patrzyła gdzieś w dal. Nie uśmiechnęła się na jego widok i uniknęła jego ust, nadstawiając jedynie policzek. Na kwiaty nawet nie spojrzała.

– Oho, widzę, że masz dziś kiepski dzień – powiedział z udawaną wesołością, bo w żołądku poczuł lęk. – Napijesz się może gorącej czekolady? Podobno to lek na wszystkie dolegliwości.

Wtedy odwróciła się ku niemu i spojrzała nań z mocą, której już nigdy miał nie zapomnieć.

– Nie, nie na wszystkie – powiedziała cicho. – Spodziewam się dziecka.

*

Wstali bladym świtem, po czym każdy z nich załatwił swoje potrzeby w niewielkiej łazience i usiadł przy stole kuchennym. Krzątająca się przy kuchence Hannele wydawała się jeszcze bardziej blada niż poprzedniego wieczoru, zupełnie jakby nie zmrużyła tej nocy oka. Zignorowała słowa powitania i mechanicznymi ruchami nałożyła swoim gościom porcje owsianki, a potem naląła kawę do emaliowanych kubków. Jedli i pili w absolutnym milczeniu, które dostrajało się do ponurego, nisko wiszącego za oknem całunu szarych chmur.

– Chodźcie – odezwał się Eino, gdy skończył owsiankę. – Zawiozę was do Suomussalmi.

– Posłuchaj, to nie jest konieczne – odezwał się Michael, ale zaraz zamilkł, nieco speszony tym, jak głośno to powiedział. – Jakoś sobie damy radę. Nie przejmuj się...

– Nie – przerwał mu twardo Fin. – Powiedziałem, co chcę zrobić, i zrobię to. Czekaam na dworze.

Tayne dopił kawę i uklonił się gospodyni, a po nim uczynili to Astley i, o dziwo, również Turner. Hannele Korhonen siedziała nieruchomo i popijała kawę małymi łykami. Patrzyła gdzieś w bok, jakby postanowiła udawać, że jej goście nie istnieją.

Wnet ciszę poranka przerwał stłumiony terkot silnika packarda, a potem seria trzaśnień drzwiami. Eino dodał gazu i samochód ruszył w stronę drogi, podskakując na nierównościach terenu. Tayne spojrzął za siebie i ujrzał Finkę, która spoglądała na nich spomiędzy firan. Przypominała bladą zjawę.

– Zimno jak cholera – poskarżył się Turner, ścierając palcami resztki szronu z przedniej szyby samochodu. – Długo tak będzie?

– Prawdziwy mróz jeszcze nie nadszedł – mruknął Korhonen. – Ale niebo zachmurzone. To dobrze. Ruscy nie będą latać.

Michael podniósł wzrok na zbite, szare chmury, które zdawały się przesuwać tuż nad czubkami ośnieżonych świerków.

– Daleko jest do Suomussalmi? – spytał.

– Przy tej pogodzie? – Eino wskazał ledwie widoczne koleiny na śniegu. – Półtorej godziny, może więcej. O ile wcześniej nie zatrzyma nas wojsko.

– Wojsko? – zainteresował się Astley. – Jak tam wygląda sytuacja?

Tayne również się pochylił do przodu, zainteresowany odpowiedzią.

– Nie wiem – mruknął Fin. – Mamy tu tylko jeden batalion, ale żołnierze pilnują sporego odcinka frontu. Aż po Likoharju. Nie ma też armat, nie ma czołgów. Źle to wygląda. Ponoć ruscy zepchnęli naszych aż pod drogę do Peranki i teraz mogą zaatakować Suomussalmi od północy. Nasi montują obronę. Ruscy idą powoli, ale mają czołgi. Wiele czołgów.

Batalion, pomyślał Tayne. Jasna cholera, batalion przeciwko pieprzonej dywizji.

Z naprzeciwka wyłonił się wóz ciągnięty przez pojedynczego konia. Wyładowany był skrzyniami i workami, zewsząd otaczali go ludzie z ponurymi, zawziętymi minami. Eino zwolnił i bardzo powoli go wyminął, nie chcąc obryzgać piechurów błotem pośniegowym. Tayne uważnie przyjrzał się każdej twarzy – idące pieszo kobiety zasłaniały je szalami, a czapki naciągały aż za brwi, ale istniało tysiące szczegółów, po których można było rozpoznać ukochaną sprzed lat. Michael nie dostrzegł żadnego.

Daleko za wozem majaczyła ciężarówka.

– Jeśli ktoś chciałby poznać moje zdanie – odezwał się Astley – to chyba patrzemy na ewakuację Suomussalmi.

Tayne zacisnął powieki.

Jasna cholera, jęknął w myślach.

– Tak czy owak, chcę się tam dostać – powiedział z naciskiem, jakby chciał przypomnieć pozostałym, że są tu wyłącznie z własnego wyboru. Ale gdy zerknął na Eino, pożałował swego tonu.

– Lub gdzieś w pobliże – dodał. – Nie chcę robić ci problemu, Eino. Twoja żona...

– Hannele jest przerażona – przerwał mu niespodziewanie kierowca. – Usiłuję ją przekonać, że wszystko będzie dobrze, ale chyba nie będzie. Wczoraj... – Urwał na moment. – Wczoraj postanowiłem, że pojedę do Oulu – podjął, garbiąc się nad kierownicą. – Chciałem kupić nową prasę. Pomyślałem sobie, że będzie taniej. No bo mamy wojnę. Śmiałem się, żartowałem. Udawałem, że wszystko jest normalnie. Kupię prasę, mówię Hannele. Wrócę wieczorem, a jutro zawiozę ją do drukarni. Będziemy drukować gazety. Krzyczała, płakała, mówiła, żebym nie był idiotą, a ja się śmiałem. Mówiłem, żeby się nie martwiła. Że wojna, nie wojna, ale trzeba żyć normalnie... – Znow urwał. Jego wydatna grdyka poruszała się w górę i w dół, jakby walczył z silnymi emocjami. – Chciałem, by zapomniała – dodał zduszonym głosem. – By żyła codziennością. Prasę chciałem kupić.

W samochodzie zapadła cisza. Ku swemu zdumieniu Tayne uświadomił sobie, że dobrze rozumie Fina. Wszak on sam również osiągnął mistrzostwo w zaklinaniu rzeczywistości.

– Kobiety, mój przyjacielu, nie zapominają nigdy – odezwał się po chwili Turner. – Nie wiem, jak one to robią, ale zawsze wszystko pamiętają. Cholera, gdybym to ja tak chciał, toby mi się coś w głowie przepaliło.

– Zrobiłeś na mnie wrażenie – rzekł Astley powoli. – Mało kto umie mówić o sobie w dosłownie każdej sytuacji.

Ciężarówka właśnie ich mijala. Nagle Tayne uświadomił sobie, że na jej pace mogą siedzieć ludzie.

– Jasna cholera, Eino, zatrzymaj samochód! – zawołał.

Fin zahamował, a Tayne wyskoczył z pojazdu i machając rękami, popędził w ślad za ciężarówką.

– Hej! – krzyknął. – Zatrzymajcie się! Stop! – Odwrócił się. – Astley! – zawołał do gramolącego się z packarda arystokraty. – Chodź tu! Pospiesz się!

Kierowca ciężarówki zatrzymał pojazd, wychylił się przez okno i zawołał coś po fińsku.

– Mówi pan po angielsku?! – spytał biegnący ku niemu Michael. – Szukam kobiety! Niewysoka, jakieś trzydzieści lat, Angielka! Mówi po waszemu, ale pewnie z akcentem! Badaczka!

Astley, który w pośpiechu zakładał czapkę, powtórzył wszystko po szwedzku, na co kierowca pokręcił głową i odpowiedział coś w tym samym języku, a potem

machnął na pożegnanie ręką i zakręcił okno. Z rury wydechowej ruszającej z miejsca ciężarówka buchnęły kłęby spalin.

Tayne odwrócił się do Theodore'a.

– Co on powiedział?

– Nie wszystko zrozumiałem, ale... – Młodzieniec się zawahał. – W każdym razie on nikogo takiego nie widział, ale może jedzie gdzieś dalej. Może uciekła do Ämmänsaari. A może do Hyrynsalmi, skąd odjeżdża pociąg.

– Ämmänsaari – powtórzył bezwiednie Michael. – Hyrynsalmi. Gdzie to?

– Nie wiem. – Astley potrząsnął głową. – Wracajmy do auta.

Zaczęło sypać i Eino znów jechał wolniej. Zrozumiawszy, że jego przygodni znajomi najwyraźniej kogoś szukają, zatrzymywał się na widok każdego wozu i każdej ciężarówka, a tym bardziej grup pieszych. Powtarzał po fińsku słowa Tayne'a i Astleya, ale odpowiedziami na zadane pytania były puste spojrzenia, ponure miny i niechętne kręcenie głowami. W końcu strumień uchodźców się skończył i przed maską packarda wystrzeliła kręta droga, okolona rzędami ośnieżonych drzew.

Eino nieco przyspieszył. Silnik mrucał miarowo, wycieraczki z rytmicznym piskiem ścierały śnieg z szyby, Turner mamrotał do siebie, Astley chyba spał. Czas włókł się niemiłosiernie. W pewnym momencie Michael uświadomił sobie, że znów budzi się w nim instynkt samozachowawczy.

Rozejrzył się, nieco zdenerwowany. Droga przed nimi wchodziła w szeroki łuk, a po lewej stronie ciągnęło się skute lodem jezioro, po którym hulały śnieżne tumany. Chmury, popychane wściekłymi uderzeniami wiatru, wydawały się sunąć tuż nad wierzchołkami drzew, przez co w pierwszej chwili Tayne nie miał całkowitej pewności. Niemniej podejrzenie stawało się coraz silniejsze. Przetarł zaparowaną szybę, ale wilgoć nadal rozmywała obraz.

– Zatrzymaj samochód! – zawołał, a Eino posłusznie wcisnął pedał hamulca.

Michael pchnął drzwi i wypadł na zewnątrz.

– Co się dzieje?! – zawołał Astley ze środka.

Podbrzusza chmur po drugiej stronie jeziora wydawały się nienaturalnie ciemne. Co więcej, w przerwach między podmuchami śnieżycy Tayne dostrzegał wśród drzew nikłe czerwone akcenty.

– Tam coś się pali! – zawołał. – Coś wielkiego!

– To Suomussalmi! – wykrzyknął kierowca. – Ktoś podpalił wieś!

Michael miał wrażenie, że jego światem targnęło trzęsienie ziemi.

– Co? – wykrztusił z niedowierzaniem, odwracając się ku Finowi. – Jesteś pewien?

– Tak! – odkrzyknął Korhonen.

Na jego twarzy malowała się niepewność przemieszana z lękiem. Drgnął, gdy z oddali dobiegło stłumione echo kilku wystrzałów, przecięte serią z karabinu maszynowego. Odgłosy wydawały się dalekie, ale nie pozostawiały cienia wątpliwości – znaleźli się na skraju straszliwej, obojętnej na wszystko wojny, która toczyła się wedle własnych zasad.

– Musimy... – zaczął Tayne, ale nie dokończył, bo nagle rozległo się jakieś wołanie.

Szosa szedł żołnierz w białym kombinezonie maskującym i zwykłej czapce. Utykał lekko na jedną nogę, a prawą rękę miał przewiazaną zakrwawionym bandażem, ale karabin trzymał mocno i pewnie, mierząc lufą w ich kierunku. Za nim podążał drugi, który wspierał się na kij, a gdzieś dalej zamajaczyło jeszcze kilku. Wychodzili na drogę z lasu, ciągnąc za sobą sanie.

Na twarzy pierwszego żołnierza malowała się wściekła determinacja. Krzyczał po fińsku i machał lufą karabinu, jakby chciał w ten sposób wygonić pasażerów z samochodu. Tayne przyglądał się temu z rosnącym niepokojem.

Eino uchylił drzwi po swojej stronie i wyjrzał na zewnątrz. Zadał żołnierzowi jakieś pytanie, na co ten roześmiał się pogardliwie i znów coś wykrzyknął. Do rozmowy dołączył drugi, który mówił nieco łagodniejszym tonem, ale co chwila przerywał, jakby dręczył go ból.

– O co tu chodzi? – spytał Tayne.

– To... – Eino zawahał się, szukając odpowiedniego słowa. – To pogranicznicy! Mówią, że walczą z Sowietami od kilku dni! I... i chcą, bym im oddał samochód!

– Że co? – Zaskoczony Michael wytrzeszczył oczy.

Zdrowy rozsądek podszeptał mu, że tego właśnie należało się spodziewać. Ci ludzie byli ranni i wyczerpani, ponadto w czasie wojny wojsko miało prawo rekwirować cywilne pojazdy, ale mimo to z zaskoczeniem patrzył na Fina.

– Chcą mój samochód! – powtórzył przerażony Korhonen, patrząc błagalnie to na Anglików, to na Amerykanina, jakby spodziewał się, że któryś z nich machnie czarodziejską różdżką i usunie problem.

– Oho! – Turner stał oparty o drzwi packarda i patrzył na zbliżających się Finów bez lęku. – Astley, pora, byś ich nauczył manier.

– Żebyś, cholera, wiedział – mruknął Theodore, po czym wygramolił się z samochodu, poprawił płaszcz i odwrócił się ku fińskiemu żołnierzowi.

– *Talar du svenska?* – spytał z szerokim uśmiechem i uniesionymi dłońmi.

Zaskoczony żołnierz skinął głową i opuścił nieco lufę karabinu, a Astley, nie przestając mówić, zbliżył się do niego. Po chwili do Fina dołączył jego kolega wspierający się na kij, a po nim reszta drużyny, ciągnąca sanie, na których leżał półprzytomny, mającący mężczyzna. Wszyscy byli wycieńczeni i ranni, ale

zawzięta, budząca niepokój determinacja, jeszcze przed momentem widoczna na ich zaczerwienionych, brudnych twarzach, wydawała się łagodnieć.

– Co ty robisz? – szepnął Michael do Astleya, gdy podszedł bliżej.

Młodzieniec wskazał Tayne'a i dorzucił kilka zdań, na co Finowie pokiwali głowami, a jeden nawet lekko zasalutował. Z każdą sekundą ich nastawienie stawało się życzliwsze, jakby pod wpływem słów Theodore'a zapominali o ranach i zmęczeniu.

– Co ty robisz? – powtórzył ostrzej.

– Namawiam ich, by sobie odpuścili – wycedził Astley. – By ruszyli dalej w swoją drogę i zostawili nas w świątym...

– Nie – przerwał mu Tayne.

Łatwość, z jaką jego towarzysz zdobył zaufanie garstki weteranów, wydawała się niepojęta, a przecucie, że w zasadzie mogliby ruszać w drogę, przyniosło mu wielką ulgę, ale poczuł więź z tą garstką niedobitków. Był żołnierzem i sam kiedyś mógł się znaleźć w podobnej sytuacji. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby porzucił tych ludzi w tak wielkiej potrzebie.

– Nie – powtórzył w odpowiedzi na zaskoczone spojrzenie Astleya. – Nie mam pojęcia, jakim cudem nakłoniłeś ich, by zrezygnowali z zajęcia samochodu, ale odpuść już sobie. Powiedz im, że Eino zawiezie ich gdzieś, gdzie ktoś im pomoże. Najpierw weźmie najbardziej potrzebujących, a potem wróci po pozostałych. Nie muszą mu wcale odbierać samochodu. Prawda, Eino?

Odwrócił się w stronę packarda i ujrzał, jak ich towarzysz energicznie kiwa głową.

Astley szybko powtarzał jego słowa po szwedzku, na co któryś z żołnierzy skinął na resztę i wspólnie pociągnęli sanie w stronę pojazdu. Tayne przez kilka uderzeń serca spoglądał na odległe płomienie pożerające zabudowę Suomussalmi, a następnie zwrócił się do Fina.

– Zabierz tych chłopaków gdzieś, gdzie ktoś się nimi zajmie, i wróć po resztę, a potem wracaj do żony i przestań zaklinać rzeczywistość. Zabierz ją w jakieś bezpieczne miejsce. Z dala od tego bajzlu.

– Tak zrobię – obiecał Korhonen.

– Dziękujemy ci za pomoc.

– A my? – spytał Astley. – Co dalej? Masz jakiś plan, co z nami?

– Mam – mruknął Michael. – Niewyraźny, ale mam. Poproś tych Finów, by oddali nam dwa kombinezony maskujące. Być może ranni już ich nie potrzebują.

– Trzy – rzucił Turner. – Trzy, nie dwa.

– Serio? – jęknął Theodore. – Nie zauważyłeś, że właśnie spotkałeś fińskich żołnierzy i w sumie mógłbyś się z nimi zabrać? Pogadasz z jednym czy drugim, zrobisz zdjęcie płomieni i materiał masz gotowy!

– Czy to ty nie tak dawno pouczałeś mnie w kwestii manier? – Dziennikarz uniósł brwi i sięgnął po swój plecak, by zrobić miejsce utykającemu Finowi.

Tayne uśmiechnął się bez wesołości.

– Patrzcie tylko – burknął. – Skubaniec zaraził się sarkazmem. I to jego brytyjską wersją.

Znów dobiegło ich echo wystrzałów.

Michael spojrzął na Theodore'a.

– Astley, spytaj tych Finów, czy któryś z nich nie chciałby zgubić broni – polecił. – Za kilka dolicz, rzecz jasna.

*

W tym samym momencie, ledwie kilkadziesiąt kilometrów dalej, długi konwój złożony z kilkunastu radzieckich ciężarówek ZiS-5 oraz lekkich czołgów T-26 brnął wąską, leśną dróżką, która odchodziła na południe od traktu łączącego przygraniczną miejscowość Raate z Suomussalmi. Wiatr, który ograniczał widoczność Michaelowi Tayne'owi, tu, wśród wiekowych sosen i świerków, nie był aż tak dokuczliwy. Mimo to wycieraczki samochodów pracowały, a każdy z pojazdów miał włączone światła. Gąsienice jadących na czele czołgów ugniatały sypki śnieg, tworząc koleiny, którymi sunęły podskakujące na wybojach ciężarówki.

Rozciągnięty, oświetlony blaskiem reflektorów konwój, raz po raz zakrywany roztańczoną śnieżycą, wnikał coraz głębiej w fińską puszcę, lawirując między zamarzniętymi jeziorami i bagnami.

Lejtnant Siergiej Muchalew, który jakoś zdołał się upchnąć w szoferce pierwszej ciężarówki obok kierowcy i dowódcy oddziału, przeklinał z furją.

– W tym tempie – zwrócił się do jadącego obok niego oficera – dotrzemy na miejsce za tydzień!

Kapitan Gienadij Witalenko, którego z rozkazu kombriga Zelencowa mianowano dowódcą dwóch kompanii przydzielonych Muchalewowi, wzruszył ramionami z filozoficznym spokojem.

– Nic na to nie poradzimy, towarzyszu starszy lejtnancie. – Westchnął. – Zdaje się, że śnieg za nic sobie ma gniew NKWD.

Muchalew zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy w słowach kapitana nie powinien przypadkiem doszukać się drwiny, ale po namyśle postanowił je zignorować, tym bardziej że na rumianej, nalanej twarzy Witalenki pojawił się szeroki, przyjazny uśmiech.

– A skoro droga się wydłuży, możemy ją sobie umilić – oznajmił z triumfem, po czym wy dobył spod płaszcza piersiówkę, a w jego wielkim łapsku pojawiły

się trzy blaszane kieliszki. – Będzie cieplej!

Szeregowiec-kierowca zerknął na nie z zainteresowaniem, a Muchalew wyrócił oczami. Nie przepadał za alkoholem, co wyróżniało go w kadrze oficerskiej, a już tym bardziej nie miał ochoty na wódkę w takiej chwili, ale zależało mu na dobrych układach z Witalenką, więc pokiwał głową z udawanym zapałem.

Pomimo ciasnoty kapitan z wielką zręcznością nalał wódki do kieliszków, nie roniąc ani kropelki – choć samochód podskakiwał z jękiem resorów – po czym we trójkę wychylili ich zawartość. Muchalew skrzywił się lekko, a Witalenko jeszcze szerzej uśmiechnął.

– No, widzicie – sapnął. – I już jakoś jedzie się lepiej. Jak wyście nazwali tę miejscowość, towarzyszu starszy lejtnancie?

– Hyrynsalmi.

– Tfu, co za psi język! – Kapitan pokręcił głową. – I czego się tam możemy spodziewać?

– Nie wiem – odpowiedział Muchalew, zmuszając się do neutralnego tonu. – Udajemy się tam, ponieważ do Hyrynsalmi docierają tory kolejowe, o czym nasi przyjaciele z wywiadu nie mieli pojęcia. Nasze natarcie trwa już od siedmiu dni, Finowie zapewne zdążyli się zorientować, z czym mają do czynienia. Zakładam więc, że zaczęli ściągać tamtędy posiłki.

– Oj, niedobrze – zafrasował się Witalenko. – Myśli pan, towarzyszu starszy lejtnancie, że w dwie kompanie zdołamy opanować tę miejscowość?

– Nie mamy wyboru. – Muchalew zacisnął usta. – Jeśli Finowie rzeczywiście ściągną tamtędy posiłki, napór całej 163. dywizji osłabnie, a wówczas nigdy nie zdołamy się przebić do naszych uciskanych braci-robotników w Oulu, którzy tylko wypatrują naszego nadejścia. Jeśli zajmiemy stację oraz miejscowość, towarzyszu kapitanie, umożliwimy kombrigowi Zelencowowi dalszy marsz na zachód, a w efekcie przecięcie Finlandii na pół! Za taki wyczyn otrzymacie awans i tytuł Bohatera Związku Radzieckiego!

Witalenko, choć parokrotnie usłyszał już tę obietnicę od lejtnanta, pokiwał z entuzjazmem głową i znów odkręcił korek piersiówki.

– Za coś takiego – wysapał – chętnie wychylę kolejny toast.

– Ja dziękuję. – Muchalew wbił wzrok w śnieżny krajobraz lasu, przesuwany się w ślimaczym tempie za zaparowanym oknem.

– Ja wypiję za towarzysza starszego lejtnanta – zaproponował skwapliwie kierowca.

– Oj, Wania, Wania. – Kapitan pokręcił głową, ale przystąpił do nalewania. – Ty się, chłopcze, lepiej na pracy skup, bo...

Czerwone światła hamowania jadącej przed nimi ciężarówki rozbłysły oślepiająco.

– Wania! – zawołał Witalenko.

Kierowca podniósł głowę, wytrzeszczył oczy i z całej siły wcisnął hamulec. Napełnione kieliszki runęły na podłogę.

– Kurwa mać! – ryknął kapitan i pochylił się, by je podnieść, a potem poderwał się, by trzepnąć szofera dłonią w głowę. – Mówiłem ci, byś się skupił na kierownicy, durniu!

Naraz rozległ się huk, a przez ciężarówkę przeszedł silny wstrząs. Muchalew poleciał do przodu i zatrzymał się obiema dłońmi na szybie. Obok niego Witalenko zerwał czapkę i palcami badał głowę, a Wania, który uderzył nosem w kierownicę, ocierał dłonią krew. W miejscu, gdzie kapitan uderzył czołem w szybę, rozbiegła się siateczka pęknięć.

– Wygląda na to – wycedził Muchalew – że kierowca jadący za nami wypił więcej od Wanii.

– Pozabijam – wycharczał Witalenko, trąc nabrzmiewające czerwienią czoło. – Pozabijam skurwieli i poowijam ich własnymi flakami, żeby...

Reszty tyrady lejtnant już nie usłyszał. Pchnął drzwi i zeskoczył na śnieg, a potem przeszedł na tył ciężarówki, gdzie zgodnie z oczekiwaniami ujrzał przód innego zisa, który wgniótł się w ich własnego. Jeden z reflektorów został rozbity, a z chłodnicy buchały kłęby pary. Oficer siedzący w szoferce tłukł właśnie po głowie kierowcę, który najwidoczniej stracił przytomność podczas wypadku, a z paki wyskakiwali rozwścieczeni żołnierze. Obelgi i przekleństwa zamierały im jednak na ustach, gdy uświadamiali sobie obecność milczącego lejtnanta NKWD.

Tymczasem Muchalew spoglądał na uszkodzoną chłodnicę i czuł, jak jego wściekłość powoli przeradza się w bezsilność. Powolnym ruchem zapalił papierosa, a potem odwrócił się do starszyny Wlekowa, który wyrósł tuż za nim.

– Czeka nas długa podróż, Aleksandrze Michałowiczu – zakomunikował niechętnie, a potem poczęstował podwładnego papierosem.

Zza burty sąsiedniego zisa wypadł rozwścieczony Witalenko. Lżył i rugał, kogo popadnie. Muchalew zauważył, że Kamieniew i kilku jego żołnierzy marszczą lekko brwi i spoglądają na kapitana spode łba, najwidoczniej nienawykli do tego, by strofował ich zwykły czerwonoarmista. Postanowił wykorzystać zamieszanie czynione przez kapitana. Szturhańcem dał znać Wlekowowi, by ten cofnął się o kilka kroków, a gdy znaleźli się między drzewami, odezwał się tak cicho, by nie usłyszał go nikt oprócz starszyny:

– Miejcie oko na wiedźmę, Aleksandrze Michałowiczu.

– Na wiedźmę, towarzyszu starszy lejtnancie? – zdumiał się podwładny.

Muchalew pokiwał lekko głową.

- Tak – szepnął. – Zdaje mi się, że nabrała zbytnej śmiałości.
- Może by ją... – Starszyna oblizał wargi. – No, wie pan, towarzyszu starszy lejtnancie... Ukarąć?
- Jeszcze nie. Obserwuj ją. Mam nieodparte wrażenie, że coś knuje, a ja bardzo chciałbym się dowiedzieć, co takiego przyszło jej do głowy.

*

Godzinę po tym, jak w radzieckim konwoju na powrót zaprowadzono porządek i kolumna ruszyła na zachód, Cedric de Woort przeszedł nieśpiesznym krokiem obok portiera w klubie Biblioteka i pozdrowił go uprzejmym tonem. Obracał przy tym w dłoniach cygaro jak ktoś, kto nie może się doczekać, aż wreszcie zaciągnie się wonnym dymem.

Ledwie jednak znalazł się w bocznym korytarzu, wepchnął cygaro do kieszeni i gwałtownym, niemalże nerwowym ruchem przypadł do drzwi, za którymi znajdowały się stopnie prowadzące do Sali Zegarowej. Otworzył je i wślizgnął się do środka, a potem ruszył pospiesznie w dół schodów, przyświecając sobie zapałką. Gdy znalazł się u celu, zaczął szybko oddychać, jakby miał za sobą bieg lub zaciętą walkę.

Drżącymi rękami potarł kolejną zapałkę o draskę i przytknął ją do knota świecy pozostawionej przez Astleya seniora. Kula migotliwego, złocistego światła wydobyła z ciemności brzegi regałów zastawionych skrzyniami, kartonami i starymi tomami. Ciemność rozlewająca się między meblami jednocześnie wabiła i przerażała.

Zegar Radiczki tykał powoli i wyraźnie niczym sędzia odczytujący wyrok śmierci.

Cedric przełknął ślinę, nerwowo poprawił marynarkę i wszedł między regały, gdzie natychmiast ogarnął go mrok. Nie dbał o to. Doskonale wiedział, czego szuka.

Chwilę później trzymał już w ręku niewielki kindżał, tak mały, że zdawał się jedynie zabawką. Ułożył go sobie na dłoni tak, by ostrzem dotykał nadgarstka.

Wrócił do stołu i usiadł przy świecy, której płomyk łopotał cicho jak skrzydełka ćmy. Odetchnął głęboko jak ktoś szykujący się na ból, a potem mruknął i wyciągnął z kieszeni zetlały lok jasných włosów.

– Mizraelu, ty, który dbasz o urodzonych zimą – szepnął ochryple – zwróć swe oczy na mą córkę, zagubioną i przerażoną.

Rzucił kosmyk na płomień, który przygasł, ale natychmiast rozjarzył się mocniej, pochłaniając włosy. W powietrzu rozszedł się nieprzyjemny zapach.

– Nakazuję ci, byś ją chronił – dodał i przekłuł sobie kindzałem palec. Wycisnął dużą kroplę krwi i przesunął palec nad świecą. Kropla nabrzmiała, a następnie opadła i zgasła płomień.

W Sali Zegarowej zapanowały egipskie ciemności, w których tykanie zdawało się rozbrzmiewać jeszcze głośniejsze i dobitniej. Cedric wyprostował się i odetchnął, a potem po omacku odłożył sztylet na miejsce i wyszedł, całkowicie nieświadomy tego, że mrok w kątach pomieszczenia pulsuje życiem.

ROZDZIAŁ 9

7 grudnia 1939 roku

Tartak, do którego Tayne, Astley i Turner dotarli już po zmroku, został porzucony lub ewakuowany. Michael, przyświecając sobie latarką, podszedł do budynku i zerknął w szparę między wielkimi wrotami, przez które wsuwano do środka ogromne pnie ściętych drzew. Nikogo w środku nie dostrzegł, podobnie jak w sąsiedniej szopie, gdzie składowano deski. Skierował się więc do wciśniętej między oba budynki niedużej chatki z bali, gdzie, jak się domyślał, przed wybuchem wojny działało biuro.

Jego buty skrzypiały na śniegu. W blasku latarki widział swój oddech. Mróz kłuł go w policzki. Wiatr ze świstem wdzierał się w korony sosen i poruszał nimi miarowo, od czasu do czasu roztrącając wirujące w powietrzu płatki śniegu.

Tayne ostrożnie położył rękę na zimnej, metalowej klamce. Nacisnął ją i szarpnął mocno.

Drzwi ani drgnęły.

– Cholera jasna – syknął i odwrócił się ku towarzyszom. – Zamknięte na klucz.

– Słyszałem – mruknął Turner, podchodząc bliżej – że nie ma lepszego sposobu na Armię Czerwoną. Pozamykać wszystko na klucz, a Iwan przyjdzie, pociągnie za klamkę, obrazi się i pójdzie sobie w cholerę.

Z tymi słowami wyciągnął rewolwer.

– Poświeć mi – burknął do Michaela, a kiedy snop światła padł na zamek, oddał dwa strzały.

Huk poniósł się echem po lesie, wnet zduszony świstem wiatru. Drzwi ze skrzypliwą skargą odsunęły się od framugi.

– Miałeś rację, Tayne – odezwał się Theodore. – Serio się zaraził sarkazmem.

– Więcej go we mnie, niestety, nie ma. – Dziennikarz wsunął broń za pas. – Bo, po pierwsze, na głodnego nic już nie wymyślę. Po drugie, skończyła mi się amunicja, a to naprawdę odbiera mi humor.

Michael otworzył drzwi i wszedł do środka, schylając się pod niską ościeżnicą. Światłem latarki omiół niewielkie pomieszczenie, którego umeblowanie składało się ze starego biurka z szufladami, dwóch krzeseł, masywnej szafy z przeszklonymi okienkami oraz, ku jego wielkiej uldze, żelaznego piecyka.

– Na ten drugi problem nic ci nie poradzę – rzekł Tayne, klękając przed piecykiem i otwierając go. Obok leżały zimne polana, kilka drzazg oraz stos gazet. Trzymając latarkę pod pachą, zmarzniętymi dłońmi upchnął drewno i podpałkę w środku, a potem wydobył zapałki i skrzesał ogień. Przyglądał się, jak nieśmiały promyk pożera gazetę, a potem przeskakuje na kolejne drzazgi, aż w końcu wewnątrz piecyka wypełnił ogień.

– Ale mogę coś poradzić na ten pierwszy – dodał i wytrząsnął z plecaka kilka puszek z fasolą po bretońsku.

– Otóż to, człowieku – wymamrotał Turner, który zablokował krzesłem drzwi. – Jeden problem naraz.

– Więcej statystyczny Amerykanin przetworzyć nie zdoła – odezwał się Theodore, którzy dotąd przetrząsał szuflady biurka, aż natrafił na grubą, zakurzoną świecę. – Bo jak ma więcej niż jeden problem, zaczyna strzelać.

– Jak ci coś przeszkadza – dziennikarz z wysiłkiem usiadł na drewnianej podłodze – możesz spędzić tę noc na dworze. Zresztą to ciasna klitka i nie wiem, czy damy radę upchnąć twoje ego.

Michael, który otworzył trzy puszek i ustawił je na rozgrzewającym się piecyku, pokręcił głową z udawaną dezaprobatą. Bywały momenty, gdy miał ich obu serdecznie dosyć – zwłaszcza gdy nieco otyły Turner i niegrzeszący dobrą kondycją Astley zaczynali zostawać z tyłu – ale teraz, w skrytości ducha zaczynał doceniać ich obecność. Zarówno smagana gorącymi wiatrami Melila, jak i duszny, wilgotny Zanzibar nie były miejscami, które chętnie wspominał, ale żadne nie kojarzyło mu się tak bardzo z końcem świata jak serce fińskiej puszczy. Coś mu mówiło, że w takiej okolicy jak ta tylko ci, którzy się tu wychowali, mogli czerpać pokrzepienie z samotności.

On, o dziwo, chyba nie umiał.

A Penny nie ma tu nikogo, pomyślał i poczuł nagłe ukłucie w sercu.

Siedzieli teraz na podłodze wokół piecyka, nakryci kocami. Astley kroił chleb, który otrzymali jeszcze od *fru* Leehti, a Turner odkręcił termos, z którego

buchnął zapach alkoholu. Puszki z fasolą zaczynały bulgotać.

– Nie wiem, czy mamy jakieś łyżki – powiedział Tayne, rozcierając coraz cieplejsze dłonie.

– Turnerowi to nie przeszkadza – mruknął Astley. – Sztuńce widział raz w życiu. Na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej.

– W innych okolicznościach za wygadywanie głupot oberwałbyś w zęby, człowieku – oznajmił dziennikarz. – I to mocno. Niemal słyszę, jak mnie później wyzywasz na pojedynek. „Wybielas spady cy pistolety?” He, he, he! Czaisz, Tayne? Słyszysz to?

– Słyszę – odparł Michael, uśmiechając się mimowolnie. Uniósł się i dłonią w rękawiczce zdjął puszkę. – Dobra, chyba już gotowe!

– Świetnie – ucieszył się Turner. – Tylko ostrzegam was, chłopaki! Mam straszne gazy.

– Nie zaskakuje mnie, że je masz, ani to, że mówisz o tym przy posiłku, a już na pewno nie to, że wydajesz się z tego mocno zadowolony – oświadczył Astley, na co dziennikarz zarechotał.

Siorbiąc podgrzaną fasolę, dogadywali sobie jeszcze przez chwilę, po czym Tayne roztopił nieco śniegu, zagotował wodę i zrobił dla swoich towarzyszy mocną, gorzką herbatę. Następnie rozłożył mapę i przyglądał jej się w skupieniu w blasku świecy.

– Jeśli się nie pomyliłem – powiedział, dopijając herbatę – jesteśmy gdzieś tu. – Jego palec w wełnianej rękawiczce dotknął linii w połowie drogi między Raate i Hyrynsalmi.

– Jutro pod wieczór będziemy na miejscu – rzekł z przekonaniem Turner, zapalając cygaro.

– O ile coś się nie wydarzy – dodał Theodore, po czym wślizgnął się w śpiwór i wyciągnął na podłódze.

– O ile coś się nie wydarzy – powtórzył ponuro Tayne i wsunął dwie kolejne szczapy do huczącego ogniem piecyka, a potem odwrócił się ku towarzyszom. – Bo niestety moment, kiedy mogliście powiedzieć, że sprawa was nie interesuje, minął już dawno – dodał.

– A ten swoje – burknął Amerykanin. Zgasił żar z cygara i wczołgał się do śpiwora. – Gdybym wiedział, że przyjdzie mi wylądować w samym środku zamrożonego piekła z dwójką Angoli, z których jeden jęczy z ponurą miną na gębie, a drugi wymądrza się, aż dupa cierpnie, chyba rzeczywiście bym się zastanowił nad sensem wspólnej wyprawy. Dobranoc, przyjemniaczki. Niech się wam przyśnią owieczki do wypieprzenia.

– Nie jesteśmy Szkotami. – Tayne wsunął się w śpiwór.

– To tym bardziej niech się wam przyśnią.

Chwilę później rozległo się przeciągłe, basowe chrapanie Turnera. Michael przypuszczał, że senność błyskawicznie ogarnie również i jego, ale wcale tak się nie stało. Bezskutecznie próbował znaleźć pozycję, w której będzie mu najcieplej. Gdy obracał się po raz kolejny, usłyszał westchnienie Astleya. Młodzieniec najprawdopodobniej borykał się z identycznym problemem.

– Hej, Astley – szepnął. – Śpisz?

– Nie – mruknął Theodore. – Nie każdy ma żywot wolny od trosk jak nasz przyjaciel pismak.

– A jakie masz troski, co?

– Nie wiem, czy to dobry moment – odpowiedział młodzieniec po chwili.

– Polubiłeś mnie?

– Powiedzmy.

– A więc lepszego momentu nie będzie. Niech no zgadnę. – Tayne wyciągnął się i znów skulił w śpiworze. – To naprawdę strzał na ślepo, ale się poważę. Wykonujesz tu zadanie dla dziadka, co? Dla Biblioteki?

– A jeśli ci powiem, że tak?

– Wówczas uznam się za geniusza. A ty będziesz musiał mnie przekonać, że nie przeszkodzi mi to w poszukiwaniu Penelopy.

W ciemnościach rozległo się ironiczne prychnięcie.

– Michael, ty wiesz, czym się zajmuje Biblioteka, prawda?

– Pozyskuje przedmioty, co do których istnieje podejrzenie, że mają nadprzyrodzoną moc. – Tayne wzdrygnął się z zimna. – Różnymi metodami.

– A po co?

– O tym mój drogi teść niewiele mówił.

– Bo zapewne byś nie uwierzył. Biblioteka gromadzi magiczne artefakty, by nikt z nich nie korzystał.

– Metoda na psa ogrodnika, co? – mruknął Michael. – Obiło mi się o uszy, że Muzeum Brytyjskie wyznaje podobną filozofię.

– Tu chodzi o dwie kompletnie różne sprawy. – Astley westchnął ciężko. – I daj mi to wyjaśnić. Zacznę od oczywistości. Nie masz chyba wątpliwości, że magia czy moc... obojętnie jak to nazwać... wciąż istnieje na tym świecie? W dobie racjonalizmu i rozwoju technologii chętnie wkładamy takie historie między bajki, poza tym magiczne moce nie manifestują się przesadnie często. Ale ludzie z nadprzyrodzonymi talentami wciąż przychodzą na świat. Ich umiejętności jednak nigdy nie są na tyle potężne, by wpływać na jego losy, i czasami po prostu umykają uwadze. Inaczej sprawa wygląda z magicznymi przedmiotami, bo te są naprawdę niebezpieczne. Naturalny talent, taki jak mój czy twój, jest cechą subtelną i delikatną. Nie przynosi nam wymiernych efektów, raczej wspomaga nasze działania. Temu, kto sięga po magiczny przedmiot,

zależy zaś tylko na efekcie. Na cudownym, natychmiastowym, wstrząsającym efekcie. A ten łatwo osiągnąć, ponieważ by korzystać z takich przedmiotów, nie potrzeba żadnych umiejętności. Każdy to potrafi, ale niestety za coś takiego płaci się słoną cenę.

Astley zamilkł na chwilę.

– Mój dziadek – kontynuował – spędził wiele lat, próbując dociec przyczyn takiego stanu rzeczy, ale nadal nie rozumiemy tego zjawiska. Musieliśmy się pogodzić z tym, że sięgnięcie po przedmiot magiczny, nawet najszabszy, jest jak rzucenie pochodni na kałużę benzyny, zwłaszcza jeśli stoi za tym osoba niedoświadczona, która nie potrafi się nim posługiwać. Każdy taki czyn przywabia bowiem istoty zwane...

– Czarną Zgrozą – szepnął Tayne.

– Właśnie. Czarna Zgroza z niejasnych powodów jest poirytowana tym, że ludzie bawią się artefaktami. Dziadek opowiadał, że czuje się tym wręcz zagrożona, a jemu trzeba wierzyć. Poświęcił całe życie studiom nad artefaktami. Jeśli masz ochotę się roześmiać, teraz trafił się idealny moment.

– Widziałem coś takiego w Luleå – odezwał się Tayne. – Turner ostrzelał to z rewolweru.

– Typowa amerykańska reakcja na każdą niezrozumiałą rzecz.

– A ty to rozumiesz?

– Nikt nie wie, czym jest Czarna Zgroza, ale starożytne dokumenty utożsamiają ją z antychrysem i końcem świata. W podziemiach Biblioteki stoi zegar, który ponoć zacznie tykać w momencie, gdy Czarna Zgroza zacznie się do nas przebijać. Podobno jeszcze nie tyka, ale zdaniem mojego dziadka tylko czekać, aż zacznie. Niemiecka organizacja Ahnenerbe ma na pewno niezłą kolekcję magicznych zabawek, a Sowieci zapewne nie chcą pozostać w tyle.

– I tu docieramy do sedna sprawy, co?

– Tak. – Astley ponownie ciężko westchnął. – Twoja żona, Michael, została wysłana z zadaniem odnalezienia przedmiotu, pasa Ilmarinena. Mniejsza o to, do czego miałyby służyć, bo może lepiej, byś tego nie wiedział, ale jeśli rzeczywiście istnieje, a Penelopa wie coś na ten temat, musimy wyprzedzić Sowietów.

– Jeśli rzeczywiście istnieje?

– Mój dziadek nie wierzy w jego istnienie – przyznał Astley. – W przeciwieństwie do twojego teścia, który nie dość, że wierzy w realność pasa Ilmarinena, to jeszcze uważa go za potężny przedmiot. Nie ma też wątpliwości, że gdyby ktoś ów pas odnalazł i zrobił z niego użytek, Czarna Zgroza nie powstrzymałaby się przed wdarciem do naszego świata. A wtedy... Cóż, rozpoczęłaby zniszczenie na wielką skalę. Wielu ludzi straciłoby życie, nie wiedząc nawet, co zadecydowało o ich śmierci.

– Jesteś tego pewien? – Michael wpatrywał się w młodego Astleya z niedowierzaniem. – Po co ta Czarna Zgroza miałaby się na nas mścić?

– Nie wiem – westchnął Theodore. – Mój dziadek nie ma wątpliwości, że Zgroza pozabijałaby nas wszystkich. Z samej tylko złości. Z gniewu wywołanego tym, że sięgamy po to, co do nas nie należy. Widziałem kilka zapisków z dawnych dziejów, które rzekomo wizytę Czarnej Zgrozy przedstawiają, i mam szczerą nadzieję, że ich autorzy ulegli czysto ludzkiej ochocie do fantazjowania. A jeśli wątpisz... Cóż, zadawałeś sobie może kiedyś pytanie, dlaczego magia już nie istnieje?

– Nie.

– To się nad tym zastanów. Może nie istnieje dlatego, że wszędzie tam, gdzie ktoś tę sztukę opanował, pojawiała się Czarna Zgroza i zabijała ambitnego człowieka? Innymi słowy, Michael, naciesz się noclegiem na twardej, zimnej podłodze. Kto wie, czy to nie jeden z ostatnich luksusów, jaki nam przypadł.

Ze spojrzenia Cedrika de Woorta, ubranego w galowy mundur pułkownika kawalerii, Michael nie wyczytał wiele. Wrodzony dystans i wiele życiowych doświadczeń sprawiły, że w niebieskich oczach ojca Penelopy zdołał dostrzec jedynie obojętność. Może i życzliwą, ale nadal obojętność.

Dopiero gdy Tayne ujął dłoń Penny, która dotąd opierała ją o mocne przedramię ojca, surową twarz de Woorta rozjaśnił uśmiech. Starszy dżentelmen ucałował córkę w czoło, a następnie na powrót odwrócił się ku Michaelowi i natychmiast spowaźniał. W jego oczach jednak nie było chłodu czy odrzucenia, czego Tayne najbardziej się obawiał.

– Nie zawieź mnie – szepnął de Woort tak cicho, że nikt poza Michaeliem nie usłyszał jego słów.

Tayne wyprostował się jak struna i skinął lekko głową, na co Cedric zrobił krok w tył. Wtedy młodzieniec spojrział w rozedrgane od łez oczy Penelopy. Patrzył w nie długo, trzymając jej dłonie w rękawiczkach, po chwili sam się uśmiechnął, z trudem panując nad wzruszeniem. A potem zerknął na jej śnieżnobiałą suknię, niedostatecznie maskującą cudownie zaokrąglony brzusek.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział do niej.

Po policzku dziewczyny popłynęła łza.

Następnie odwrócili się ku dobrotliwie uśmiechniętemu księdzu, który czekał na nich przy ołtarzu.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzył Michael.

Z ciężkiego snu wyrwało go głośne dudnienie, które wstrząsnęło całą izbą. Poderwał się, błyskawicznie strzepując z siebie senność, trącił obu towarzyszy i kucnął przy oknie. Kantem dłoni starł nieco szronu z szyby i spojrzął na drogę.

W świetle budzącego się dnia dostrzegł szary czołg, który toczył się powoli drogą ku Hyrynsalmi. Za nim jechał drugi, a jako następna pojawiła się ciężarówka z wgniecionym zderzakiem. Dalej sunęły kolejne, niektóre wyładowane sprzętem krytym plandekami, inne z żołnierzami stłoczonymi pod plandeką, ale wszystkie z czerwonymi gwiazdami na drzwiach.

Pomruk silników miazdżył ciszę lasu i wprawiał szyby budynku w drzenie. Tayne poczuł, jak robi mu się zimno, co jednak nie miało żadnego związku z temperaturą w biurze tartaku.

– Ruscyc – mruknął Amerykanin, mrużąc oczy.

– Chciałeś dołączyć do jakiejś armii, Turner, co? – spytał kąśliwie Astley. – Druga okazja ci się nie trafi.

– Ciszej bądźcie – warknął Michael. Zacisnął powieki i oparł czoło o wciąż drżącą szybę.

– Przecież nas nie usłyszą. – Dziennikarz się wyprostował. – Wygląda mi na to, że gdzieś zapieprzają na pełnym gazie.

– No właśnie. – Tayne oderwał się od okna i spojrzął z wściekłością na Amerykanina. – Patrzyłeś wczoraj na mapę. Jak myślisz, do ciężkiej cholery, dokąd mogą jechać?

– W razie wątpliwości – powiedział cicho Astley – można by spytać tych tam.

Drogą przetoczył się trzeci czołg, który – tak przynajmniej sądził Michael – zamykał konwój. Grzmot toczących się pojazdów zdawał się przycichać, ale wtedy pokazała się jeszcze jedna ciężarówka. Jej silnik wył głucho, ale pojazd poruszał się powoli, opornie. Kierujący nią czerwonoarmista skręcił ostro i zatrzymał się na placu tartaku, ledwie kilkanaście kroków od okna, za którym chowali się Tayne, Astley i Turner. Z szoferki wygramolili się trzej żołnierze. Kierowca z zafrasowaną miną uklęknął przy przednich kołach, jego kolega pokręcił z dezaprobatą głową i oparłszy się o burtę samochodu, zapalił papierosa, a trzeci z żołnierzy wybiegł na drogę i zaklął z furją. Do biura tartaku przeniknął ostry, nieprzyjemny zapach spalenizny.

– Ręczny mu zamarzył. – Michael się skrzywił. – Pieprzony dureń.

Obserwowali, jak kierowca biega wokół ciężarówki i kopie w każde koło, a potem wskakuje do szoferki i przekręca stacyjkę. Gdy dodał gazu, z rury wydechowej buchnęły tłuste kłęby spalin. Samochód ruszył i przejechał kilka metrów, ale widać było, że tylne koło się nie obraca, mimo wysiłków palacza, który przyłożył w nie kilkakrotnie z ciężkiego buta.

– Jak myślicie – mruknął Astley, blady jak ściana. – Ile czasu minie, zanim stwierdzą, że pieprzą tę całą wojnę i chcieliby się ogrzać w naszej chatce?

– Niedużo. – Tayne przygryzł wargę. – Turner. – Odwrócił się do Amerykanina. – Wiesz, co się robi, by odmrozić ręczny?

Dziennikarz spojrzął na niego jak na idiotę.

– Spędzałem zimowe wakacje u wujostwa w Minnesocie – stwierdził.

– Czyli co?

– Czyli wiem. Nie wiem natomiast...

– Cicho bądź! – Michael zerknął na Sowietów.

Czuł, jak twarz pała mu z gorąca, i wiedział, że dziko błyszczą mu oczy. Jeszcze podczas szkolenia wojskowego ktoś zwrócił mu uwagę, że zawsze tak reaguje na perspektywę walki. To właśnie ujrzał Cedric de Woort, gdy szukał kandydatów do misji Biblioteki.

– Cicho bądź, bo myślę – dodał ściszym głosem. – Czyli kul już nie masz?

– Nie.

– A dolary ci jakieś zostały?

– Niedużo. Kilka setek w drobnym nominale.

– Nie szkodzi. Byle by były zielone. – Tayne przyglądał się Sowietom wzrokiem drapieżnika.

Jeden z nich stał teraz w rozkroku i oddawał mocz na drogę, drugi zapalił kolejnego papierosa, a trzeci rozglądał się dookoła. Instykt podpowiadał Michaelowi, że za moment żołnierz zauważy chatę, w której się kryli. Jego myśli przyspieszyły.

– Zresztą ci tam nie wyglądają na mocnych w liczeniu – szepnął. – Astley?

– Jestem – odpowiedział skupiony na Sowietach Theodore.

– Myślisz, że mógłbyś do nich... eee... zagadać?

– Nie znam ani słowa po rosyjsku.

Tayne wyczuwał jego strach, ale odniósł wrażenie, że pytanie, które mu zadał, wzburzyło go bardziej od pojawienia się wrogiej ciężarówki z trzema żołnierzami. Przymknął oczy i pokręcił lekko głową.

– Coś mi się wydaje, że wcale nie musisz do nich mówić po rosyjsku – odparł szeptem. – Po prostu mów do nich tak... tak jak zawsze. Jak do pani Lehti i szwedzkiego żandarma.

W spojrzeniu Astleya błysnęła wrogość, ale zacisnął zęby i skinął głową.

– Można, eee... – bąknął dziennikarz. – Można się dowiedzieć, co wy dwaj knujecie?

– Oddaj mu dolce, Turner – polecił Michael. – Jak się uda, dostaniesz je z powrotem, a jak nie, to już nie będzie to miało znaczenia. Ściągnijcie te białe kombinezony, żeby nas nie wzięli za Finów, a potem wychodzimy. Astley, ty

ruszaj pierwszy. Machaj pieniędzmi i przemawiaj do tych baranów najmilej, jak umiesz. Ja idę po prawej, Turner po lewej. Uśmiechajcie się, kłaniajcie, róbcie z siebie idiotów, wszystko, byle tylko nie obudzić w nich wrogości. Wystarczy, że zbliżymy się na pięć, sześć kroków.

– A potem? – spytał Amerykanin.

– Zobaczysz.

– Jak bardzo będę tego żałował? – mruknął dziennikarz, wychodząc niezgrabnie z kombinezonu. Wciąż był obolały po wczorajszej wędrówce przez las, przypuszczalnie pierwszej tak intensywnej w całym jego życiu.

– Chcesz, to zostań. Tylko forszę pożycz.

Dziennikarz zmełł przekleństwo i rzucił Astleyowi portfel, z którego ten wyciągnął garść banknotów. Następnie Theodore położył dłoń na klamce i odetchnął ciężko. Spojrzał na Tayne'a, który skinął głową.

– No, ruszaj – szepnął Michael. – Bardziej gotowy już nie będziesz.

Poblady nieco młodzieniec skinął głową, rozciągnął twarz w sztucznym uśmiechu i lekko pchnął drzwi.

– Halo?! – zawołał. – Dzień dobry! Cześć, przyjaciele! Czy ktoś z was mówi po angielsku?

Trzech czerwonoarmistów błyskawicznie chwyciło za broń i zamarło, celując w stronę trzech wychodzących z chaty ludzi. Żołnierze spoglądali na nich, wytrzeszczając oczy i rozdziawiając usta, ale po chwili niemal całą ich uwagę pochłonął pęczek banknotów, którym Theodore machał nad głową. Tayne, idąc krok w krok za młodym towarzyszem, zerknął na oblicza Sowietów, dzikie i ordynarne, a po plecach spłynął mu chłodny dreszcz. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdyby nie pieniądze, od których nie odrywali teraz oczu, natychmiast zaczęliby strzelać.

Chciwe skurwysyny, pomyślał, czując, jak budzi się w nim wściekłość.

Jeden z żołnierzy zawołał coś po rosyjsku.

– Nie rozumiem, przyjacielu! – odpowiedział mu Astley, rozkładając ramiona z udawanym żalem. – Wybacz mi! Gdybym wiedział, że spotkam kiedyś ciebie i twoich czarujących przyjaciół, z pewnością nauczyłbym się waszej mowy! Wyobrażacie sobie nasze długie dyskusje o metodach łapania mend i domowych sposobach na trypra?

Zostało jakieś dziesięć kroków. Sowietci nie opuszczali broni, choć ich lufy lekko się chwiały. Był to dobry znak – nieufność nakazywała im nadal celować do obcych, ale widok pęczka dolarów rozluźnił dyscyplinę. Michael dostrzegł, jak łypali na siebie, jakby zastanawiali się, komu ile pieniędzy przypadnie. Któryś się odwrócił i spojrzał przelotnie na ciężarówkę, ale po krótkiej chwili

wrócił do wpatrywania się w banknoty. Jeden z żołnierzy zarechotał, drugi splunął, trzeci zachęcił towarzyszy gestem, by wspólnie podeszli bliżej. Owca

– Stąd czuję, jak cuchniecie – ciągnął Theodore z ujmującym uśmiechem. – Dowództwo nakazało wam się nacierać końskim łajnem czy to może był wasz pomysł?

Osiem kroków.

– Cóż, tego to już się nie dowiemy. – Astley wyciągnął rękę z dolarami ku żołnierzowi stojącemu w środku, jakby próbował obłaskawić nieufne, niebezpieczne zwierzę. Cała trójka zauważalnie pochyliła się ku niemu. – W każdym razie nie powinniście byli jeść tego, co zostało. Widać, że spłodzono was w pośpiechu i bez zaangażowania, więc moglibyście chociaż zadbać o lepszą dietę.

Sześć kroków. Pięć.

– Macie mimikę śniegowych bałwanów. Subtelność imadła i grację zepsutej betoniarki. Gdyby kazać wam...

Reszty zdania Tayne już nie usłyszał.

Przypadł do żołnierza stojącego po prawej i nim ten zdołał zareagować, złapał jego karabin za lufę i wyrwał jednym zdecydowanym szarpnięciem, po czym błyskawicznym pchnięciem kolbą zmiażdżył mu krtań. Zanim przeciwnik, krztusząc się i plując krwią, runął do tyłu, Tayne już zwrócił się ku jego kompanowi, który stał w środku. Michael złapał zdobyczny karabin obiema rękami i pchnął nim ku górze, podbijając broń czerwonoarmisty, a potem obrócił mosina i ze wszystkich sił wbił lufę w brzuch przeciwnika.

Karabin był pozbawiony bagnetu, ale sama siła uderzenia w połączeniu z przewagą uzyskaną przez zaskoczenie wybiła powietrze z płuc żołnierza. Ten odruchowo zgiął się w pół, a wtedy Tayne jakby od niechcienia kopnął go kolanem w twarz. Usłyszał chrupnięcie pękającego nosa. Nie tracąc czasu, zakręcił karabinem, by znów pchnąć kolbą, tym razem w twarz trzeciego z Sowietów.

Ten jednak miał najwięcej czasu na reakcję i cios chybił. Żołnierz zdołał się cofnąć o krok i podrzucić karabin do ramienia. Krzyczał bez opamiętania, był roztrzęsiony, lufa karabinu dygotała. Mimo to Tayne zauważył palec czerwonoarmisty oplatający spust broni. Napiął mięśnie, by uskoczyć w bok, gdy nagle na skraju pola widzenia błysnęło coś srebrnego. Ułamek sekundy później rozległ się nieprzyjemny chrzęst, a przeciwnik runął na śnieg, upuszczając broń i krwawiąc z rozbitej skroni.

– Zaczynam się już przyzwyczajać, że... – Turner pomachał do nich prawą dłońią ze srebrnym kastetem.

Reszty jego słów Michael już nie usłyszał, bo niespodziewanie odezwał się w nim instynkt samozachowawczy. Rozejrzał się gorączkowo, unosząc broń, i cofnął o krok.

– Tayne! – wrzasnął Theodore.

I wtedy dostrzegł zagrożenie.

Na burcie ciężarówki zacisnęła się czyjaś dłoń, a sekundę później wyłoniła się twarz kolejnego żołnierza. Pomimo mrozu nie miał czapki, a zaczerwieniona, opuchnięta twarz i półprzytomne spojrzenie sugerowały, że zmorzyła go wódka. Michael złapał karabin i ujął dźwignię zamkową, rozpaczliwie próbując przeładować nieznaną sobie broń, ale przeciwnik, choć odurzony alkoholem, okazał się szybszy i wyciągnął ku Tayne'owi dłoń z pistoletem.

Ta ręka nie drżała.

Czas jakby zwolnił. Michael widział jedynie przekrwione, rozszerzone oczy czerwonoarmisty i wycelowaną w siebie lufę.

Powietrzem wstrząsnął upiorny chichot.

Trudno było o dźwięk, który by mniej pasował do tego miejsca i czasu, przez co szok odbił się nawet na wykrzywionej nienawiścią twarzy sowieckiego żołnierza. Na chwilę krótszą od uderzenia serca zawładnął nim pierwotny instynkt, który nakazał mu spojrzeć w bok, tam, skąd ów dźwięk dobiegał.

Tayne, który już podrzucał mosina do ramienia, uśmiechnął się paskudnie.

Głuchy strzał, który rozdarł ciszę sekundę później, pasował do tego miejsca i czasu o wiele lepiej. Prawy oczodół przeciwnika wypełniła czerwona miazga. Żołnierz upuścił pistolet i wolno osunął się na pakę ciężarówki.

Michael odetchnął, pochylił broń i spojrzął tam, skąd dobiegł ów złowieszczy chichot.

Kilkanaście kroków dalej, wśród kolein pozostawionych przez radziecką kompanię, siedział lis polarny.

Tayne nie znał się na zwierzętach i był w znacznej mierze obojętny na ich piękno, ale nawet jego zatkąło na widok stworzenia. Śnieżnobiała sierść była puszysta niczym obłok, a długi ogon oplótł siedzącego lisa z isticie kobiecą gracją. Zwierzę spoglądało na trójkę towarzyszy z zainteresowaniem, strzygąc trójkątnymi uszkami i mrużąc ślepią, jakby coś je rozbawiło. Naraz oblizało pyszczek i pokazało kły, zadziwiając długie i zdecydowanie przeczące wrażeniu piękna i gracji, a potem znów się roześmiało.

Długi chichot okazał się równie makabryczny jak wcześniej i oszołomionego Tayne'a przeszył nieprzyjemny dreszcz. Zerknął na towarzyszy, chcąc się przekonać, czy widzą to samo co on. Na ich twarzach malowało się skrajne osłupienie.

Gdy ponownie przeniósł spojrzenie na miejsce, w którym siedział lis, zwierzęcia już nie było.

Pozostali natomiast Sowietci. Ten, którego uderzył kolbą w krtań, krztusił się własną krwią i konwulsyjnie kopał śnieg, żołnierz dziabnięty lufą próbował jednocześnie nabrać tchu i podnieść się na łokciu, a mężczyzna, który oberwał kastetem, leżał nieprzytomny.

– Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co to właściwie było? – odezwał się Amerykanin.

Tayne nie wyjaśniłby tego, nawet gdyby znał odpowiedź. Miał bowiem do zrobienia o wiele ważniejszą rzecz. I bardzo nieprzyjemną.

Z ponurą zawziętością przeładował karabin. Usiłujący się podnieść żołnierz zrozumiał, co go czeka, i w panice, charcząc i rżąc, popełził w stronę najbliższego karabinu.

Michael uniósł broń i go zastrzelił. Następnie ponownie przeładował mosina.

– Tayne – odezwał się cicho Theodore. – To konieczne?

– Ci ludzie są żołnierzami – wycedził przez zęby Michael. – Znają zasady wojny lub przynajmniej o nich słyszeli. Nie sądzę, by któryś z nich zawahał się wpakować kulkę w głowę któremuś z nas, bez względu na okoliczności; a nawet gdyby było inaczej, ten tu ma zmiażdżoną krtań, a tamten przypuszczalnie pękniętą czaszkę. Nie zdołałbyś im pomóc, a poza tym...

Ze świstem nabrał tchu i spojrzał na młodzieńca. Wzrok Michaela był zacięty i bardzo nieprzyjemny.

– Parokrotnie cię ostrzegałem – szepnął ochryple. – W ten czy inny sposób próbowałem ci pokazać, że to moja misja, bez względu na to, co kazał ci zrobić dziadek. Tylko moja. Teraz już widzisz, jak bardzo moja. Za późno na skargi, Astley. Nie należę do ludzi, którymi otaczałeś się w Mayfair. Przybyłem tu po Penelopę i wyciągnę ją z tego piekła, choćbym musiał przebić się przez całą dywizję pancerną.

Theodore wpatrywał się w niego bez wyrazu.

Tayne z furią przeładował broń i zastrzelił obu Sowietów, a potem odwrócił się do dziennikarza.

– Podobno wiesz, jak odblokować ten pieprzony hamulec ręczny – powiedział.

Amerykanin, na którym zdecydowana postawa Michaela najwyraźniej zrobiła wielkie wrażenie, ocknął się i spojrzał na niego.

– Jasne, człowieku. Musimy wprowadzić tę ciężarówkę do nagrzanego pomieszczenia i chwilę poczekać. Mój wujek...

– Bierzcie broń. – Tayne podniósł ze śniegu pistolet upuszczony przez pijanego żołnierza. – I amunicję. Później rozpalimy ognisko w hangarze i pojedziemy w ślad za tym konwojem, prosto do Hyrynsalmi.

– W porządku. – Dziennikarz wydał wargi. – Teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Jesteś chory psychicznie.

– Fakt, terapii nie dokończyłem. – Michael uśmiechnął się paskudnie. – Ciebie, jeśli coś ci przeszkadza, też ostrzegałem. Choć, przyznaję, jeden błąd popełniłem. Powinienem był ci powiedzieć, że będziesz musiał trochę stonować swoją relację z tej wojny, bo w to, co pewnie chciałbyś opisać, nikt ci nie uwierzy.

*

Byli już blisko. Od chwili wyruszenia do Hyrynsalmi lejtnant Muchalew wpatrywał się w mapę tak często i z taką intensywnością, że okolice wioski wypaliły mu się na siatkówce oka. Wystarczyło, by przymknął powieki, a znów widział szeroką rzekę, która wpływała do ogromnego jeziora, ale tuż przed nim wypuszczała odnogę, łączącą się z innym jeziorem, o wiele mniejszym. By dotrzeć do leżącej na przeciwległym brzegu miejscowości, należało więc pokonać dwa mosty.

Gdyby mróz chwycił mocniej lub trwał dłużej, być może lejtnant zaryzykowałby przeprowadzenie części swych sił po ściętej rzece. Niestety, lód był na to zbyt cienki, a poza tym łatwy do rozerwania choćby pojedynczym pociskiem z moździerza. Pozostawał więc otwarty atak przez mosty, co mogło się zakończyć klęską. Jeśli Finowie wystawili przeciwko nim dobrze zamaskowanych żołnierzy, w pobliżu rozstawili wycelowane moździerze lub karabiny maszynowe, a do wsporników zamocowali ładunki wybuchowe, ich natarcie mogło się zakończyć krwawą jatką.

Ba, nawet i słabsza obrona nie zapewnia sukcesu, pomyślał z wściekłością. T-26 waży ponad osiem ton, a te ich mosty budowano po to, by wytrzymały ciężar wozów. Wozów zaprzężonych w konie! Zatem mogą po prostu zapaść się pod ciężarem czołgów!

Na szczęście byli blisko, coraz bliżej. Niebawem szarpiące nerwy oczekiwanie miało się zakończyć, a wątpliwościom, jakie nim targały, przyjdzie zderzyć się z prawdą. Na tę zaś Muchalew był przygotowany.

O tyle o ile, myślał. W Hyrynsalmi jest stacja kolejowa. Jedyna w okolicy! Finowie nie są chyba durniami i musieli przygotować jakąś obronę. Miejmy nadzieję, że uda się ich zaskoczyć.

Miał wielką ochotę unieść nieco głowę i spróbować dojrzeć coś ponad wieżyczkami dwóch czołgów, które jechały na czele ich kolumny, ale się opanował i przybrał obojętną minę człowieka doskonale panującego nad sytuacją. Spojrzał na siedzącego obok kapitana Witalenkę.

– Czy pańscy ludzie znają rozkazy? – spytał chłodnym tonem.

– Tak, oczywiście – przytaknął skwapliwie dowódca. – Wszystko przygotowane.

Kilkakrotnie przyłapał kapitana na tym, jak ten ukradkiem pociągał z piersiówki. Z każdym oddechem Witalenki po kabinie zisa rozchodził się trudny do zniesienia odór, więc lejtnant starał się oddychać zimnym powietrzem, które wpadało przez uchylone okno. Witalenko ewidentnie należał do wielkiej rzeszy oficerów Armii Czerwonej, których awansowano do obecnej rangi po wielkiej czystce, kierując się nie tyle ich umiejętnościami, ile posłuszeństwem. Niestety, za posłuszeństwem bardzo często kryła się bierność, a nawet i głupota – Muchalew nie miał wątpliwości, że kapitan jest skonsternowany zbliżającą się akcją i nie zdziwiłby się, gdyby Witalenko z emocji zapomniał, co miał zrobić.

Między ośnieżonymi drzewami zamigotała przestrzeń i pierwsze pojazdy rozciągniętej grupy bojowej zaczęły wyjeżdżać z lasu. W tym samym momencie Muchalew przestał dbać o pozory – pospiesznie uchylił okno i wysunął głowę na zewnątrz. Przed dwoma czołgami, które parły naprzód, prychając kłębami spalin, ciągnęły się tafle obu jezior, ogromnych i przysypanych warstwą śniegu, tańczącego w porywach wiatru. W miejscu, gdzie przesmyk między nimi był najcieńszy, ciągnął się szeroki most, a dalej, gdzie rozlewała się rzeka, widać było kolejny, prowadzący już do Hyrynsalmi. Lejtnant uniósł lornetkę i przez chwilę przyglądał się pomalowanym na czerwono i biało domom wioski, ledwie widocznym wśród pobielonych śniegiem drzew, a potem spojrzął na bliższy z mostów. Ciężarówka skręciła i stanęła niemalże prostopadle do drogi, dzięki czemu lejtnant widział teraz wyraźnie, że ustawiono na nim zaimprovizowaną barykadę, za którą przypadło do ziemi kilkanaście postaci. Przez ryk silników i krzyki wyskakujących z ciężarówek żołnierzy przebijały się pierwsze wystrzały. Witalenko gapił się na zamieszanie z oszołomieniem.

– Towarzyszu kapitanie! – huknął mu prosto do ucha Muchalew, na co oficer aż podskoczył. – Order Lenina czeka!

Następnie pchnął drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Witalenko, który nagle odzyskał wigor, wytoczył się w ślad za nim, krzycząc i wymachując rękami, czym zdawał się tylko pogłębiać panujące zamieszanie. Nad barykadą zamigotały karabiny obrońców, a powietrze wypełniła oszałamiająca kanonada ostrzału. Muchalew, który już wybiegł na środek drogi, z furią zdusił w sobie odruch pochylenia głowy. Patrzył na oba czołgi, teraz jadące obok siebie, które zbliżały się do barykady na moście. Pojazdy skupiły całą uwagę obrońców, dzięki czemu zeskakujący z ciężarówek żołnierze byli relatywnie bezpieczni. Co prawda jeden stanął jak osłupiały, straciwszy pod wpływem szoku właściwy osąd sytuacji, a inny oberwał przypadkową kulą w łydkę i czołgał się po śniegu, wyjąc z bólu,

ale reszta najwyraźniej nad sobą panowała. Ściskając karabiny, kulili się za zisami, które stanowiły teraz ich jedyną osłonę, i się rozglądali.

Dobrze, pomyślał Muchalew i nabrał tchu.

W tym samym momencie czołgi, które już od dobrej chwili ostrzeliwały obrońców z kaemów, otworzyły ogień z dział czterdzieści pięć milimetrów. Oba pociski chybiły, ale lejtnant uznał, że lepszego sygnału do rozpoczęcia ataku już nie będzie.

– Naprzód! – ryknął, samemu rzucając się do biegu. – Na chwałę Związku Radzieckiego!

– Naprzód! – wrzasnął osobliwie cienkim głosem Witalenko.

– Urra! – zawołali piechurzy, jeden po drugim wyskakując zza ciężarówek.

Poganiani przez podoficerów, pędzili nisko pochyleni ku barykadzie, której ostrzał, choć wyraźnie słabszy, nadal koncentrował się na czołgach.

– Naprzód! – krzyknął ponownie Muchalew.

Zatrzymał się, podrzucił karabin do ramienia i już miał nacisnąć spust, gdy uświadomił sobie, że opór Finów gaśnie. Wyraźnie widział, jak się podnoszą i w panice rzucają do ucieczki. Kilka sekund później barykady nie bronił już nikt. Serce lejtnanta забиło mocniej.

– Uciekają! – wrzasnął, zdzierając sobie gardło. – Naprzód! Towarzysz Stalin patrzy, chłopcy!

– Urra!

*

– Zatrzymaj się! – krzyknął Astley. – Zatrzymaj ten pieprzony samochód!

– Maniery – warknął Turner, ale jednocześnie wcisnął pedał hamulca i ogromny zis wyhamował ze zgrzytem resorów, ślizgając się na błocie pośniegowym.

Droga przed nimi była zablokowana. Na poboczu stała ciężarówka z zabudowaną przyczepką z wysokim kominem, w której Tayne domyślił się kuchni polowej, a przed nią inne, wyładowane skrzyniami i workami, gdzieś mignęła też cysterna. Tu i ówdzie widać było grupki czerwonoarmistów pod bronią. Rozmawiali o czymś z ożywieniem lub stali nieruchomo, jakby zasłuchani. Najwyraźniej na przedzie konwoju działo się coś ważnego, bo na nadjeżdżającego zisa obejrzało się tylko dwóch. Jeden wykonał obelżywy gest w stronę hamującej ciężarówki, a drugi wykrzyknął kilka słów, machając w stronę przeciwnego pobocza, i na powrót odwrócili głowy.

Turner się zatrzymał. Gdy wrzucił wsteczny, w skrzyni biegów coś zgrzytnęło.

– Czekać! – Tayne położył rękę na jego przedramieniu.

– Odbiło ci! – warknął Theodore, wywracając oczami. – Spieprzajmy, stąd, zanim ci durnie się zorientują, że nie jesteśmy zaginioną po drodze częścią ich oddziału!

– Uspokój się, Astley – syknął Michael. – Skoro nie połapali się od razu, mamy jeszcze chwilę.

Wielkie czapy-uszanki, które zabrał zastrzelonym żołnierzom i nakazał im założyć, mogły zmylić nieuwważnego obserwatora, tym bardziej że przednia szyba zisa była nieopisanie brudna, ale Tayne doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli. Widział kilkunastu Sowietów, większość z nich była uzbrojona, a wśród pojazdów zaplecza musiało być ich jeszcze więcej. Wystarczyło, by któryś przyjrzał im się uważniej. Wystarczyło, by któryś podszedł bliżej.

Astley doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Jaki masz plan? – wysyczał. – Sypniemy dolcami, a potem wszystkich pozabijamy? Turner, zjeżdżaj stąd! Zjeżdżaj!

– Nie – warknął Michael. – Jeszcze chwila...

Przez kilka sekund słychać było jedynie pomrukujący na jałowym biegu silnik, ale wnet zaczęły się przez niego przebijać nowe odgłosy. Wystrzały. Jakiś huk, a po nim kolejny. I jeszcze jeden.

– Sowietci szturmują Hyrynsalmi – powiedział Tayne martwym głosem. – Spóźniliśmy się.

– I co teraz? – Astley wpatrywał się w Michaela szeroko otwartymi oczami.

– Skoro przyjęcie rozpoczęło się bez nas – mruknął Amerykanin – trzeba by było się na nie jakoś wprosić, co nie, Tayne?

– Wreszcie się mogę z tobą zgodzić – wycedził Michael. – Cofaj, ale powoli. Powolutku.

Turner lekko nacisnął pedał gazu. Silnik zamruczał głośniejsze i ciężarówka zaczęła się powoli oddalać. Pochłonięci rozmowami i wsłuchiowaniem się w odgłosy walki Sowietci nawet się nie obejrzeli.

– Możecie mówić z większym sensem? – spytał Theodore, gdy znaleźli się za zakrętem. – Co wam strzeliło do tych pustych łbów?

– Z nas trzech – wycedził Tayne – to właśnie ty nawąchałeś się najwięcej prochu. Skąd ta panika, Astley?

– Byłem sanitariuszem i pomocnikiem felczera. W moje ręce trafiały właśnie takie chojraki jak wy, najczęściej o wiele za późno.

– Rzeczywiście kiepsko – burknął z sarkazmem Turner, wpatrzony w lusterko wsteczne. Ciężarówka jechała do tyłu, podskakując. – Co teraz?

– Tam! – rzucił Michael. – W tę przecinkę wjedź, najdalej jak się da.

Amerykanin zakręcił kierownicą i zis tyłem wjechał między drzewa. Zatrzęsły się trącone burtą gałęzie, śnieg osypał się z szelestem. Turner przekręcił stacyjkę i silnik zadygotał po raz ostatni. Tayne już rozkładał na kolanach polową mapę.

– Dotarliśmy tu. – Wskazał palcem w rękawiczce szeroki cypel między dwoma jeziorami. – Hyrynsalmi znajduje się tu, na zachodnim brzegu większego z nich. Sowieci z jakiegoś powodu uparli się dostać do wioski po mostach. Pojęcia nie mam dlaczego, bo mogliby pchnąć piechotę przez zamarznięte jezioro.

– Nieźle kombinujesz. – Turner się rozpromienił. – My też możemy się dostać do nich po lodzie!

– Utrzyma nas? – Theodore zacisnął usta.

– Powinien. – Tayne zwinął mapę i wepchnął ją do plecaka. – Wciągajcie te fińskie kombinezony maskujące. Bierzemy broń i biegniemy!

Pchnął drzwi, które otworzyły się ze zgrzytem, i wyskoczył na śnieg. Sięgał mu do połowy łydek.

– Niech mnie szlag! – mruknął dziennikarz. – Jak tak dalej pójdzie, zamiast artykułów będę miał materiał na powieść sensacyjną opartą na faktach!

– Jeden uciekł z psychiatryka, a drugi powinien się w nim jak najszybciej znaleźć – utyskiwał Astley, gramoląc się na zewnątrz. – I jeszcze biegać każą...

Michael, zajęty zakładaniem kombinezonu, uśmiechnął się pod nosem. Kątem oka widział ściągniętą, wciąż bladą twarz Astleya; doskonale wiedział, że młodzieniec desperacko próbuje zamaskować moment słabości. Nie dziwił mu się wcale – gdyby nie miał wewnętrznej motywacji, sam by się dobrze zastanowił, czy ma ochotę na tak wielkie niebezpieczeństwo.

Jesteś twardszy od setek innych, pomyślał, nasłuchując, jak echa strzelaniny przybierają na sile, a wybuchy stają się coraz częstsze. Obyś, chłopcze, wrócił do domu w jednym kawałku.

Zacisnął usta i przyspieszył wciąganie kombinezonu.

*

Huk wystrzałów i dudnienie krwi w skroniach lejtnanta Siergieja Muchalewa zlały się w ogłuszającą symfonię, która tłumiała jego instynkt samozachowawczy. Pędził na czele rozpędzonej tyraliery, od czasu do czasu zatrzymywał się, by oddać strzał. Nie dbał o własne bezpieczeństwo. Myślał tylko o tym, by jak najszybciej wdrzeć się do miasta i rozpocząć poszukiwania tej, która mogła mu dać prawdziwą władzę.

Prawdziwą moc.

Pierwszy most sforsowali bez trudu. Fińska załoga najwidoczniej po raz pierwszy widziała w akcji czołgi i żaden z broniących barykady żołnierzy nie

miął bladego pojęcia, w jaki sposób stawić im czoła. Jeden po drugim odwracali się i w panice rzucali do ucieczki. Najdłużej wytrzymał erkaemista, ale i on, widząc, jak jego serie krzeszą iskry na pancerzu T-26, porzucił stanowisko. Jakąś minutę później Muchalew wraz z kilkoma żołnierzami wspinał się po usypanej byle jak zaporze z worków piasku i bali drewna.

– Usunąć to! – ryknął do zaczerwienionego, biegnącego tuż za nim Witalenki.
– Wypieprzcie to z mostu! Tanki muszą tędy przejechać!

I znów rzucił się do biegu na czele niepełnej kompanii, uskrzydłonej pierwszym sukcesem.

Drugi most okazał się poważniejszą przeszkodą. Ułożona na nim barykada nie była wiele większa, ale siły przydzielonych jej obrońców zwiększyli uciekinierzy z pierwszego mostu, a tych wsparł celny ogień z sąsiednich zabudowań. Jedna z kul śmignęła Muchalewowi koło ucha, inna wbiła się w ziemię tuż u jego stóp, kolejna wypruła strumyk krwi z brzucha czerwonoarmisty, który biegł obok lejtnanta, wrzeszcząc co sił w płucach. Ich tyraliera wciąż nacierała śmiało, ale co kilka kroków padał kolejny żołnierz, a ogień Finów stawał się coraz pewniejszy. Do pojedynczych wystrzałów z karabinów dołączył terkot broni maszynowej.

– Padnij! – krzyknął Muchalew i runął na śnieg.

Przysunął sobie mosina, oparł kolbę o ramię, przeładował i wystrzelił, ale bez specjalnego efektu. Fiński kaem terkotał jak oszalały, a na dachach zabudowań za mostem mościli się snajperzy, ledwie widoczni w białych kombinezonach. W przeciwieństwie do nich Sowieci w szaroburym mundurach byli doskonale widoczni i choć cały oddział zaległ, usiłując znaleźć jakiegokolwiek schronienie w nierównościach terenu, wciąż byli doskonale widoczni. Muchalew, obserwując, jak pociski obrońców dopadają jednego piechura po drugim, zaklął z rozpaczą. Jego natarcie ugrzęzło na dobre.

Uniósł głowę. Miał wrażenie, że wśród obrońców zapanowało zamieszanie, jakby szykowali się do kontrataku, ale wtedy nad jego głowę przeleciał pocisk, który eksplodował gdzieś na ziemi oddzielającej most od zabudowań. Drugi spadł na szopę na drugim brzegu rzeki, kolejny zdruzgotał pomost, a jeszcze inny śmignął górą. Lejtnant odwrócił się i przekonał, że ludzie Witalenki udroznili już most, którym właśnie przejeżdżały oba czołgi ze szpicy, a za nimi dwa z tyłów. Wszystkie cztery strzelały, co prawda niecelnie, ale to wystarczyło, by w szeregach fińskich znów nastąpił zamęt.

Muchalew zaklął.

– Nie strzelajcie w budynki! – zawołał. – Nie strzelajcie w ludzi!

Nie dbał o to, czy któryś z Finów zginie. Martwiło go tylko to, czy zabłąkany pocisk nie odbierze życia tej, której szukał.

Ziemia drżała, a gruchot nadciągających tanków stawał się coraz głośniejszy. Czołgiści otworzyli ogień z karabinów maszynowych. Lejtnant widział, jak ich serie rozbijają balustradę mostu, szatkują barykadę i zmieniają ciała kilku obrońców w krwawe strzępy. Ostrzał wroga wyraźnie osłabł. Z jednego z dachów zsunął się przeszyty serią snajper, w ścianie czerwonego domu pojawiła się ogromna dziura, a z któregoś okna buchnęły płomienie. Oficer wiedział, że nie może czekać ani chwili dłużej.

– Naprzód! – krzyknął, gdy czołgi znalazły się kilkanaście metrów za nimi, a czołgiści wstrzymali ogień. – Naprzód, chłopcy! Za ojczyznę!

– Urra! – wrzasnęli podrywający się żołnierze, rozwścieczeni stratami.

Muchalew nie pamiętał nawet, kiedy i jak pokonał barykadę na moście. Chwilę później, prowadząc grupę rozwrzeszczanych żołnierzy, wdarł się między zabudowania Hyrynsalmi.

Biegli główną ulicą wioski, prowadzącą od samego mostu, a otaczał ich nimb śmierci i zniszczenia. Ochrypli od krzyków, łopoczący połamami ciemnych płaszczy Sowieci strzelali do wszystkiego i wszystkich, kolbami karabinów rozbijali okna i witryny sklepowe, wyważali drzwi i wdzierali się do budynków. Niektórzy Finowie z rozpaczą wciąż stawiali opór. Trzech z nich schroniło się za zdezelowaną ciężarówką dostawczą, skąd bez lęku ostrzeliwali Sowieców do chwili, gdy któryś z nich podkradł się na tyle blisko, by wrzucić pod samochód granat. Eksplozja uniosła pojazd i przewróciła go na rannych, poparzonych obrońców. Inni nadal prowadzili ostrzał z okien i dachów. Któremuś udało się wpakować pocisk prosto w szyję żołnierza biegnącego tuż obok Muchalewa. Raniony obrócił się, obryzgując lejtnanta ciepłą krwią, na co ten, niewiele się zastanawiając, wziął Fina na spust i zabił go jednym strzałem. Kątem oka dostrzegł, jak ciało zsuwa się po dachu i zostawia za sobą rozmazany, czerwony ślad, po czym nabrał tchu i ryknął:

– Zbierać kobiety! Kobiety w jedno miejsce! Rozkaz NKWD!

Kakofonia wystrzałów, wrzasków, jęków i eksplozji zdawała się zagłuszać wszelkie słowa, ale na twarzach najbliższych żołnierzy, którzy odwrócili się ku niemu, pojawiła się groza.

Wspaniale, pomyślał odurzony bojem Muchalew. Te cztery litery potrafią otrzeźwić tych durniów nawet w samym środku bitwy.

Z sąsiedniego domu wypadł żołnierz, dźgający lufą mosina zapłakaną, zakrwawioną kobietę, a po nim wytoczył się inny, rechocąc głośno i trzymając za włosy nastoletnią dziewczynę. Dołączył do nich kolejny, który swoją brankę, starszą, nieco korpulentną kobietę, posłał na ziemię brutalnym kopniakiem.

– Wszystkie kobiety! – ryknął Muchalew jeszcze głośniej. – Dobra robota, chłopcy!

– Towarzyszu starszy lejtnancie! – wysapał Witalenko i aż się cofnął, gdy Muchalew obrócił ku niemu zakrwawioną twarz. Nalana, czerwona twarz kapitana była mokra od potu, rzadkie włosy kleiły mu się do czoła. Za nim kłębił się tłum żołnierzy, którzy jak dotąd nie brali udziału w walkach na ulicach wioski. – Oba mosty udrożnione!

– Doskonała robota, towarzyszu kapitanie! – huknął Muchalew. – Niech pan bierze swą kompanię i zajmie stację kolejową!

Witalenko się zawahał.

– Może powinniśmy uderzyć pełną siłą? Ze wsparciem tanków?

– Doprawdy? – Lejtnant zaśmiał się ochryple. – Nie chce pan ujrzeć swego nazwiska u góry raportu z ataku na stację kolejową w Hyrynsalmi? Raportu, który sam podpi...?

– W dół! – krzyknął niespodziewanie Kamieniew, który wyrósł u boku Muchalewa i pchnął go na ziemię.

Kula, przeznaczona ewidentnie dla lejtnanta, bzyknęła nad jego głową i wgrzyła się w pierś jednego z żołnierzy, który nadbiegł z Witalenką. W tej samej chwili tropiciel podrzucił karabin do ramienia i nacisnął spust.

Młody Fin w kozuchu i czapce z daszkiem, który wybiegł zza węgła z czymś, co przypominało stary myśliwski sztucer, obrócił się wokół własnej osi, sikając naokoło krwią, i padł na upuszczoną w śnieg broń. Muchalew z furią odepchnął ręce żołnierzy, którzy chcieli mu pomóc wstać. Dźwignął się sam, wsparty o własny karabin.

– Na co jeszcze czekasz? – warknął na Witalenkę, a ten, wstrząśnięty do granic, zsalutował i popędził przed siebie na czele reszty kompanii.

– Towarzyszu starszy lejtnancie, proponuję schować się, bo... – zaczął tropiciel, ale Muchalew już go nie słuchał.

Nad postrzelonym przez Kamieniewa chłopakiem pojawiła się bowiem dziewczyna, zwiewna niczym poranna mgła. Otaczała ją jednakże aura spokoju i niewzruszoności, która zdawała się drwić z wszechogarniającego wojennego szaleństwa. Bez wahania przyklękła w krwawym błocie i przytknęła dłonie do jego rany, a ciemne, posklejane od wiatru i krwi włosy na moment przesłoniły jej twarz, bladą, ale osobliwie poważną, prawie obojętną.

Muchalew z niedowierzaniem patrzył, jak chłopak, jeszcze przed chwilą wykrwawiający się na rozmokłej ziemi, teraz zaciskał dłoń na jej nadgarstku. Lejtnant z trudem przełknął ślinę.

– Szeregowy – wychrypiał. – Musimy złapać tę sukę!

Kamieniew uśmiechnął się paskudnie, odsłaniając czarne pieńki po zębach, i ruszył w stronę ciemnowłosej dziewczyny. W tej samej chwili z przeciwległej uliczki wypadła inna młoda kobieta, niższa, zaczerwieniona z rozpacz. Spod jej

węlnianej czapki wystawały jasne loki. Wyhamowała, przypadła do węgła i zawołała głośno do tej, która klęczała przy rannym. Nie doczekawszy się reakcji, uniosła oczy ku szaremu niebu i dodała jeszcze parę słów.

Siergiej Muchalew nie znał żadnego języka obcego, z czego czasami się cieszył, bo nie życzył sobie, by ktoś wytykał mu związki z kapitalistycznym światem. Nie miał jednak cienia wątpliwości, że ostatnie słowa jasnowłosej kobiety padły po angielsku.

Decyzję podjął w okamgnieniu.

– Zajmij się nią! – krzyknął do Kamieniewa, a sam biegł już ku jasnowłosej Angielce.

Nie mógł wprost uwierzyć we własne szczęście. W całym tym potwornym zamieszaniu, pośród wystrzałów, wrzasków i kałuż krwi, kobieta, dla której zmontował całą tę operację, niemalże wpadła mu w ramiona.

Dwadzieścia kroków, piętnaście.

Angielka znów krzyknęła do znajomej, tym razem ze strachem – najwyraźniej dojrzała biegnącego ku ciemnowłosej Kamieniewa. A potem, jakby tknięta przecuciem, obróciła się w stronę, z której zbliżał się lejtnant.

Otworzyła szeroko oczy. Była przerażona.

Dwanaście kroków, dziesięć. Biegący Muchalew uśmiechnął się szeroko i wyrzucił karabin, a potem rozłożył ramiona, jakby chciał złapać ją w pół. Angielka cofała się, dopóki nie natrafiła na ścianę budynku. W jej oczach błysnęła panika.

Jakby wiedziała, że przybył po nią.

Lejtnanta dzieliło od dziewczyny jeszcze kilka kroków, gdy powietrze przed nim niespodziewanie zgęstniało. Miał wrażenie, że wbiega w dym, choć logiczna część jego umysłu podpowiadała mu, że to niemożliwe. Dym nie mógł przecież pojawić się sam z siebie, a już tym bardziej nie mógł w okamgnieniu zgęstnieć, by uformować ludzką postać.

Muchalew wyhamował, machając ramionami, by nie stracić równowagi, i cofnął się, przerażony. Miał przed sobą wysokiego, długowłosego mężczyznę o półnagim torsie, który pojawił się znikąd w ciągu raptem kilku uderzeń serca i górował teraz nad nim, rozkładając szerokie skrzydła.

Skrzydła?

Nim umysł przerażonego enkawudzisty zdołał przeanalizować nowe odkrycie, przybysz wzniósł muskularne ramię. Na tle szarego nieba mignął falujący bicz, który ze świstem przeciął powietrze.

Oślepiony potwornym bólem Muchalew się zatoczył. Obiema dłońmi złapał się za wręcz płonąca twarz, po czym runął na kolana, by drżącymi dłońmi nabrać błota przemieszanego ze śniegiem i wetrzeć je sobie w policzki. Przyniosło to

chwilową ulgę, a więc nie przestawał, tarł i tarł, aż poczuł, że w jego skórę wcierają się ziarenka piasku. Uniósł głowę.

Skrzydlaty nieznajomy z biczem znikł.

Ból ustąpił na tyle, by do lejtnanta powróciła przytomność myślenia. Wówczas przypomniał sobie o wszystkim.

– Suka! – ryknął, zrywając się z kolan.

Potrząsnął głową niczym podnoszący się do walki żubr i znów huknął wściekle. Z każdym uderzeniem serca widział coraz lepiej, a w jego głowie formował się plan, spotęgowany straszliwą wściekłością. Nie miał pojęcia, kim była istota, która go powstrzymała uderzeniem bicza, ale nie bał się jej. Co więcej, był gotów dorwać ową bezczelną kobietę bez względu na to, kto i co stanie mu na drodze.

Wtedy ktoś na niego wpadł.

Celny, mocny cios pięścią trafił go prosto w kość policzkową. Muchalew zatoczył się, z trudem utrzymując równowagę. Zabolało, ale ten ból, czystszy i wręcz przyjazny po tym, którego doświadczył przed chwilą, otrzeźwił go na tyle, że lejtnant uniósł głowę i spojrzał przytomniej. Naprzeciwko siebie miał mężczyznę w białym kombinezonie maskującym stosowanym przez armię fińską, a w jego zmrużonych oczach i zaciśniętych ustach dostrzegł coś złowrogiego i śmiertelnie niebezpiecznego. Gdyby nie było to niemożliwe, uznałby, że nieznajomy ma z nim osobistą sprawę.

Był przygotowany na kolejny cios, ale nigdy by się nie spodziewał, że ten okaże się tak niepojęcie szybki. Lewy sierpowy nieznajomego trafił go w szczękę z taką siłą, że przed oczami lejtnanta eksplodowały gwiazdy. Ułamek sekundy później błysnęły ponownie, gdy kolejny cios trafił go w podbródek.

Muchalew zwałił się na ziemię.

– Penny! – wrzasnął obcy. – Penelopa!

Anglik, przemknęło lejtnantowi przez myśl. Chce mi zabrać... Chce zabrać...

Odruchowo sięgnął do kabury, odpiął ją niezgrabnymi palcami i wyszarpnął nagana. Otworzył oczy i wycelował w rozmazaną postać biegnącego mężczyzny. Już miał nacisnąć spust, gdy jego uwagę przyciągnął głuchy szum, złowieszczy i przybierający na sile, nadciągający od strony dalszego mostu. Zdjęty nagłym przestraszeniem, odwrócił głowę i ujrzał...

Zbliżającą się gwałtownie białą ścianę.

Straszliwa burza śnieżna uderzyła w Hyrynsalmi sekundę później.

ROZDZIAŁ 10

8 grudnia 1939 roku

Michael poderwał się z chrapliwym sapaniem i odrzucił od siebie koc. Oddychał ciężko. Siedział nieruchomo, dopóki jego oddech się nie uspokoił. Po chwili parę razy zacisnął powieki, ze złością otarł pot z czoła, a następnie się rozejrzał.

W pierwszym momencie wydało mu się, że w pomieszczeniu panują całkowite ciemności, ale gdy wzrok przyzwyczaił się do mroku, dostrzegł niewielki promyk, migoczący nieśmiało za drzwiczkami żelaznego piecyka na nogach. Co kilka sekund wychwytywał nowe elementy wnętrza – prosty stół z krzesłami, komodę z kilkoma zdjęciami w ramach i wielkim radiem, duży obraz na ścianie.

I człowieka. Na jednym z krzesel siedział człowiek, który spał z głową na ramieniu, wyciągniętym na blacie stołu.

– Turner? – wychrypiał Tayne.

Dziennikarz błyskawicznie uniósł głowę.

– O, obudziłeś się – powiedział, a potem się rozkasłał. Ujął szklanę z niedopitą herbatą stojącą obok otwartego notatnika z niezapisaną stroną i łąpczywie upił kilka łyków.

– Gdzie ja jestem? – spytał Michael.

Chciał wstać, ale zakręciło mu się w głowie i znów usiadł. Gdzieś pod czaszką rozlewało się donośne, wściekłe łupanie, ale mimo to Tayne zaczął przypominać sobie fakty.

– Penny – wyszeptał z niedowierzaniem. – Jasna cholera, Turner, ja ją widziałem! Jest tu? Nic się jej nie stało?

– Powoli, człowieku. – Amerykanin splunął fusami na deski podłogi. – Powoli. Zaczniemy od tego, że nieźle przywaliłeś w głowę. Ta pieprzona burza śnieżna solidnie cię przeorała, chłopie. Przyłożyłeś w coś czołem.

Michael, wpatrzony w dziennikarza, bezwiednie uniósł dłoń i dotknął głowy. Wtedy wyczuł, że została ciasno owinięta bandażem. Ból, który poczuł przed chwilą, przybierał na sile i zmusił Tayne'a do zaciśnięcia powiek. Wspomnienie twarzy Penelopy stało się w ten sposób jeszcze wyraźniejsze.

Widział, jak cofała się przed tym wysokim sowieckim oficerem, który biegł ku niej, jakby chciał ją złapać w pól i unieść. W jej wielkich, szeroko otwartych oczach pojawiła się zgroza, która zadała mu ból o wiele dotkliwszy niż cokolwiek wcześniej w życiu. Poczul wówczas, że jest gotów rozszarpać tego człowieka na strzępy, i rzucił się na niego bez wahania, choć ten miał broń, choć Astley i Turner krzyczeli, by się opamiętał, choć ulicą nadbiegało kilkudziesięciu innych uzbrojonych po zęby czerwonoarmistów, a nad głowami świstały kule.

Spojrzał na swoje pokaleczone kłykcie. Zapiekły, gdy zacisnął pięści.

Powalił go. Przyłożył sukinsynowi mocniej niż jakimukolwiek przeciwnikowi na ringu w dokach. Fakt, że miał ułatwione zadanie, bo sowiecki oficer właśnie podnosił się z kolan, ale to akurat Tayne uznał za sprawiedliwość losu.

A ten sprzyjał mu przynajmniej przez moment. Wszak Michael mógł w biegu odwrócić głowę i choć na sekundę spojrzeć na Penny, a ona...

Ona też go zauważyła. I rozpoznała. Miał co do tego pewność.

Ich więź, kiedyś silna, wręcz nierozzerwalna, rozplynęła się dwa lata temu na skutek wydarzeń, o których Tayne nie umiał jeszcze myśleć. Tymczasem przez tę krótką, ulotną sekundę na przecinanej wrogą kanonadą ulicy w samym środku niczego uświadomił sobie, że ta więź nadal istnieje, nieco zapomniana, przysypana bólem, ale równie silna jak kiedyś.

Opowieść o zaginionej Penelopie poruszyła go od samego początku. Michael wiedział, że jej wyprawa do Finlandii jest nie tyle spełnieniem dawnego marzenia, co próbą uporania się z własną rozpaczą. Ruszył jej więc na ratunek ze skwapliwością rozbitka, który wyciąga rękę do towarzysza niedoli. Kierował się sentymentem wynikłym ze wspólnie przeżytych lat, honorem, poczuciem przyzwoitości i współczuciem wobec starego de Woorta, którego nauczył się szanować... A do tego po prostu nie miał pomysłu na resztę życia.

Nigdy mu jednak nie przyszło do głowy to, co uświadomił sobie podczas tej sekundy w Hyrynsalmi, kiedy na siebie patrzyli.

Że po prostu ją kocha.

Ową chwilę przerwało uderzenie tej przeklętej, morderczej burzy śnieżnej, która rozdzieliła ich, a jego porwała i mało nie rozbiła mu głowy. A co się stało z Penelopą?

– Penny... – wychrypiał, unosząc głowę.

Cofała się w głąb uliczki – tego był pewien – a więc główny impet przeszedł obok niej, ale... Czy burza ją oszczędziła? Być może wciąż tam jest i czeka na jego pomoc, samotna, przysypana śniegiem...

Zerwał się z łóżka z głośnym rykiem, przypadł do stojących przy drzwiach butów, w biegu zarzucił kurtkę i szarpnął za drzwi. Słyszał, że Turner krzyczy coś za nim, ale nie rozpoznawał słów. Jak szalony wypadł na ulicę, którą spowijały niemalże całkowite ciemności. Widział jakichś ludzi, niektórych z łopatami, innych w mundurach, do jego uszu dotarł odgłos mruczącego silnika, gdzieś wykrzykiwano rozkazy, ale nie dbał o to, nie dbał o nic.

– Penny! – krzyczał, biegnąc ulicą. – Penelopa! To ja, Michael! Jestem tu! Penny!

Biegł na ślepo. Potknął się o coś, roztrącił jakichś ludzi, znów się potknął, tym razem poważniej, bo padł na kolana, ale zerwał się, ignorując ból.

– Penny!

Nie znał tej wioski. Pamiętał z mapy, że ciągnęła się wzdłuż jednej drogi, prowadzącej do mostu, którym przypuszczalnie nadeszli Sowietci. Ulica była dość długa, a teraz, w środku nocy, każdy dom wyglądał tak samo. Nie potrafił znaleźć uliczki, w której schroniła się Penelopa, nie potrafił rozpoznać domu, przy którym stała.

– Penny! – wrzeszczał z rozpaczą.

– Michael! – huknął ktoś tuż przy jego uchu.

Tayne się odwrócił. Zbyt gwałtownie, bo naraz zakręciło mu się w głowie. Cofnął się o krok i złapał równowagę, ale w tej samej chwili rozgorzał wściekły ból w jego czaszce. Zacisnął powieki, próbując go zdusić, a gdy znów je rozchylił, ujrzał młodego Astleya.

Jego towarzysz, wciąż w ruskiej uszance na głowie, spoglądał na niego z troską. Michael uzmysłowił sobie, że młodzieniec trzyma dłoń zaciśniętą na jego ramieniu. Poruszał też ustami, ale Tayne dopiero za trzecim razem zdołał zrozumieć jego słowa.

– Jak głowa? – pytał Astley. – Michael, słyszysz mnie? Jesteś w szoku, doznałeś wstrząsu mózgu! Musisz się położyć!

– Położyć? – powtórzył z niedowierzaniem Tayne. – Nie, ja... Theo, nic mi nie jest, ja... Gdzie jest Penny?

Astley nabrał tchu.

– Posłuchaj, Michael, musisz natychmiast wrócić do łóżka. Porządnie oberwałeś, a w całej tej wiosce nie ma ani jednego sensownego lekarza.

– Gdzie jest Penny?! – wycharczał Tayne, zaciskając dłonie na połach płaszcza Theodore’a. Przyciągnął go do siebie. Mimo mroźnego powietrza czuł bijący od Astleya zapach krwi i jodyny. – Mów natychmiast! Mów, gdzie ona jest, jeśli wiesz! Mów!

Potrząsnął młodzieńcem, choć ten nawet nie starał się stawiać oporu. Cierpliwie znosił gwałtowną indagację, co rusz otwierając usta, ale nie zdołał przerwać Tayne’owi, który coraz gorzej nad sobą panował.

– Przepraszam, czy szuka pan kobiety? – rozbrzmiał głos za plecami Theodore’a. Nieznajomy mówił po angielsku z charakterystycznym fińskim akcentem, w którym twarde, szeleszczące dźwięki zamieniały się w miękki świst.

Michael spojrzał ponad ramieniem chłopaka, gdzie dojrzał wysokiego, szczupłego mężczyznę w wojskowym płaszczu z oficerskimi naszywkami. W półmroku widział ostre rysy obcego i czuł na sobie jego ciężkie, przenikliwe spojrzenie.

– Moja żona – wybełkotał Michael, puszczając płaszcz Astleya. – Penny... Penelopa Tayne. Albo de Woort! Może de Woort. Pracowała tutaj... Znaczy się, badania robiła. Gdzieś w okolicy, niedaleko Suomussalmi. Była tu, widziałem ją... Widziałem ją...

Theodore odkaszlnął znacząco i cofnął się o krok, robiąc przestrzeń dla obu mężczyzn.

– To porucznik Jaakko Yökyöpelä – przedstawił nieznajomego. – Przybył tu dwie godziny temu na czele kompanii piechoty. Pomyślałem sobie, że... że może powinienes sobie przypomnieć, Tayne, kim właściwie jesteś.

Michael przełknął ślinę i odepchnął od siebie rozpacz, pozwalając, by na powrót, po raz pierwszy od lat, zawładnęła nim dyscyplina wojskowa. Wyprostował się i zasalutował ostro.

– Sierżant rezerwy Michael Tayne, Royal Marines.

– Spocznij, sierżancie – odpowiedział porucznik Yökyöpelä, oddając z powagą salut.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Służyli w dwóch różnych armiach, przez co Tayne mógł właściwie ograniczyć się do grzecznościowego salutu i odejść, ale fiński porucznik emanował surowym autorytetem, co każdy żołnierz, bez względu na narodowość, potrafił docenić i za czym w głębi duszy tęsknił. Michael stał więc i czekał na kolejne słowa Yökyöpeliego, chcąc usłyszeć coś, co przyniesie mu nadzieję.

– Nie znajdzie pan tu żony, sierżancie – rzekł fiński oficer, nie spuszczać z niego oczu, jakby przeprowadzał swój własny test charakteru Tayne’a.

Michael miał wrażenie, że ktoś wbił rękę w jego klatkę piersiową, miażdżąc żebra, a potem złapał go za serce i okręcił nim parokrotnie. Z niemałym trudem narzucił sobie spokój, wyprostował się i powoli wciągnął w płuca mroźne powietrze.

– Widziałem ją – powiedział głucho. – Biegłem ku niej. Była tu. Czyżby... – Urwał, nie mogąc zdobyć się na dokończenie zdania. – Czyżbyście ją...

– Nie – odparł porucznik nieco łagodniejszym głosem. – Podczas sowieckiego ataku zginęły dwie kobiety, ale obie zostały zidentyfikowane przez miejscowych – wyjaśnił i urwał. Przez moment tłumiał wściekłość na wroga, po czym odkaslnął i podjął: – Okolice Hyrynsalmi zostały dokładnie przeszukane przez moich ludzi. Rozkopaliśmy każdą zaspę po tej... – pokręcił głową z niedowierzaniem – po tej osobliwej burzy śnieżnej – dokończył. – Na szczęście nie ma więcej ofiar.

Tayne opanował się już na tyle, by móc wsłuchać się w emocje w głosie porucznika. Nie dosłyszał żadnych.

– Czy wie pan, co się z nią stało? – wykrztusił. – To niewysoka kobieta, pod trzydziestkę, jasne, nieco kręcone włosy, niebieskie...

– Nie – przerwał mu Yökyöveli. – Nie wiem, sierżancie. Ale mam teorię. Sęk w tym, że się panu nie spodoba.

– Proszę mimo to powiedzieć mi prawdę.

– Wedle raportu ocalałych obrońców Hyrynsalmi burza śnieżna zatrzymała atak Sowietów, ale ich nie rozbiła. Większość z nich przeżyła kataklizm, ocalał również oficer, który dowodził atakiem. Zdaje się – Fin świdrował teraz Tayne'a wzrokiem – że to ten sam, na którego się pan rzucił.

Michael wzruszył ramionami.

– I co było potem?

– Potem... – Porucznik nieoczekiwanie westchnął. – Potem wydarzyła się rzecz, której nikt się nie spodziewał.

Przerwał, jakby szukał odpowiednich słów. Mówił szkolną, ale wyraźną i poprawną angielszczyzną, najwidoczniej jednak nie wszystkie elementy tej historii dawało się łatwo opowiedzieć.

– Sowietci wystrzelili race i przywołali swoje ciężarówki, a potem zagonili do nich wszystkie kobiety i odjechali – wyrzucił z siebie.

– Co? – Michael wytrzeszczył oczy. – Sowietci porwali kobiety? Co tym nieszczęsnym sukinsynom przyszło do głowy?

Przypomniał sobie, jak ów wielki oficer pędził prosto na Penelopę, jakby chciał ją pochwycić. Zrobiło mu się zimno.

Uniósł głowę i przygryzł wargę. Fiński porucznik milczał, Astley, paląc papierosa, kiwał głową, z półmroku wyłonił się Turner, dopinając płaszcz.

– Przybyliśmy tu niecałe trzy godziny temu – odparł Yökyöpel. – Tyle czasu potrzebowaliśmy, by przeszukać wieś i przyjść miejscowym z pomocą. Teraz marzę tylko o tym, by ruszyć za tymi sukinsynami, *jumalauta*, i utoczyć im krwi.

– Słyszysz, Tayne? – Dziennikarz uśmiechnął się krzywo. – Pan porucznik mówi tym samym językiem co ty.

Michael uświadomił sobie, że coraz wyraźniej widzi twarze ludzi, z którymi rozmawia. Dostrzegł fasady ostrzelanych domów, nieodległy most i wielką górę śniegu, która, sądząc po sterczącej na zewnątrz lufie, mogła być tylko zamarzniętym sowieckim czołgiem. Spojrzał na niebo i ujrzał nieśmiały róż świtu na szarym wschodzie. W głowie łupało uciążliwie, ale wiedział, że to zniesie. Ból wytłumiał wszystkie niepotrzebne myśli, pozostawiając tylko tę najważniejszą.

Sowieci mogli uprowadzić Penny.

– Gdyby zechciał pan, może do nas dołączyć – mruknął niezobowiązująco Fin – serdecznie zapraszam.

– Nigdzie się nie ruszam bez pewnego felczera, weterana hiszpańskiej wojny, oraz kowboja z Georgii – odezwał się. – Znajdzie się miejsce dla naszej trójki?

Yökyöpel uśmiechnął się samymi tylko ustami.

*

Lejtnant Siergiej Muchalew nie pamiętał wielu szczegółów ewakuacji z Hyrynsalmi. Obwiniął za to niespodziewane uderzenie burzy śnieżnej, która pchnęła go na ziemię i sprawiła, że toczył się do czasu, gdy uderzył w coś twardego – chyba skrzynię z piaskiem – i na moment stracił przytomność. Szok i ból sprawiły, że przez dłuższą chwilę nie mógł dojść do siebie. Najpierw jak obłąkany biegał wśród zamieci i tworzących się błyskawicznie zasp, szukając Angielki, która znikła bez śladu, a następnie, gdy napór śnieżycy zelżał, krzyczał na żołnierzy i rozsyłał ich na poszukiwania. Niewiele z tego przyszło, bo ci byli równie oszołomieni jak on sam, a większość nawet nie zrozumiała jego rozkazów.

Na szczęście – ku jego wielkiemu zaskoczeniu – pojawił się Witalenko. Po skroni kapitana spływała strużka krwi, ale ból najwyraźniej go otrzeźwił, bo w samym środku zamieszania zaczął organizować odwrót. Oszołomiony Muchalew jak przez mgłę pamiętał wystrzeloną rakietę oraz rozkrzyczane, przerażone kobiety, wyprowadzane z szopy i pędzone ku nadjeżdżającym ciężarówkom. Pamiętał przytomniejących żołnierzy z twarzami czerwonymi od lodowatego wiatru, którzy się odwracali i odpowiadali ogniem nielicznym obrońcom, a także wygrzebujące się z zasp czołgi, buchające kłębami cuchnących spalin.

Pamiętał też, że ktoś zaprowadził go do ciężarówki i zatrzasnął za nim drzwi. Potem chyba znów stracił przytomność.

Obudziły go krzyki i trzaskanie drzwiami. Zamrugał parokrotnie i uświadomił sobie, że siedzi w szoferce ciężarówki. Reflektory innych pojazdów, przecinające się tu i tam, oświetlały niknące w mroku zabudowania. Kierowcy manewrowali, rozstawiając swe pojazdy wedle rozkazów miotającego się na zrytym kołami podwórzu Witalenki. Z jednej z ciężarówek zeskakiwały zapłakane kobiety, które krzyczący żołnierze prowadzili do wielkiej szopy. Przy drodze pomrukiwały czołgi, kątem oka Muchalew wychwycił podrygujące na ziemi drzewo, które miażdżył właśnie jeden ze stalowych potworów.

Witalenko zauważył lejtnanta przez okno i podbiegł do ciężarówki. Otworzył drzwi pojazdu, wpuszczając do środka zimno, ale cofnął się z przestachem na widok twarzy Muchalewa. Ten bezwiednie dotknął jej dłonią i uświadomił sobie, że jego skóra cały czas pulsuje bólem.

– Towarzyszu starszy lejtnancie! – odezwał się zachrypniętym głosem kapitan.
– Cieszę się, że nic wam nie jest! Melduję posłusznie, że w krytycznym momencie natarcia przejąłem dowodzenie i nakazałem odwrót. Obie kompanie nie nadawały się do dalszego natarcia, a poza tym miałem uzasadnione obawy, że Finowie znacznie umocnili stację kolejową.

Mimo oszołomienia, wstrząsu i coraz silniejszego bólu enkawudzista myślał coraz przytomniej. Nie umknęło jego uwadze to, że Witalenko na sekundę zerknął w bok, jak człowiek, który kłamie.

Uzasadnione obawy, pomyślał z pogardą Muchalew. Wykorzystałeś pierwszą dogodną okazję, by stamtąd spieprzyć.

Rozejrzał się. Poznał tartak, który mijali w drodze do wsi.

Wygląda na to, że organizowanie odwrotu to jedyne, na czym się znasz.

– Zorganizowaliśmy ewakuację kobiet, zgodnie z poleceniem pana lejtnanta – trajkotał pospiesznie Witalenko, jakby się obawiał, że Muchalew zaraz eksploduje wściekłością i zwymyśla go za niekompetencję. – Powiadomiłem również sztab dywizji o stacji kolejowej. Przyślą posiłki. Być może już jutro! – zawołał z udawaną nadzieją, a następnie dodał: – O ile się da, bo w okolicach krąży partyzantka. Znaleźliśmy tu trupy czterech naszych ludzi. – Kapitan zatrząsł się z obrzydzenia. – Zostali okrutnie pokaleczeni, okrutnie. Bestie z tych Finów, towarzyszu starszy lejtnancie. Dobrze, że im tę stację odbierzemy.

Muchalew, wciąż nie mówiąc ani słowa, wyszedł z szoferki.

W dupie mam stację kolejową, pomyślał, a na głos zaś spytał:

– Gdzie te kobiety?

– Tam, towarzyszu starszy lejtnancie.

Od paru godzin trwała nieprzenikniona, ciemna zimowa noc. Szczelny całun chmur zasłonił gwiazdy i księżyc. Silniki większości pojazdów już ucichły, a w blasku ostatnich włączonych reflektorów kilku czerwonooarmistów, popędzanych wściekłymi okrzykami trzymającego kankę z benzyną starszyny, układało stertę drewna pod ogromne ognisko. Kolejni znosili rannych towarzyszy do mniejszej z szop, jeszcze inni, rozsyłani na wszystkie strony przez Witalenkę, z niechęcią szykowali się do służby wartowniczej. Robiło się coraz zimniej, ale lejtnant wcale tego nie czuł. Twarz nadal mu pulsowała po smagnięciu biczem, który nie powinien istnieć. Niespodziewanie przed oficerem wyrósł Kamieniew.

– Towarzyszu starszy lejtnancie – powiedział cicho. – Jest coś, co powinien pan chyba zobaczyć.

Następnie, nie czekając na reakcję przełożonego, skręcił ku ciężarówce, którą przybyli do Hyrynsalmi wraz z resztą drużyny. Serce Muchalewa забиło mocniej. Przecież zostawił w niej Esmeraldę wraz z karelskim jeńcem oraz starszynę Wlekowa, by miał na nich oko.

Cóż się mogło wydarzyć?

Przyspieszył kroku, przypadł do samochodu i jednym szarpnięciem odsunął plandekę. Stojący za Muchalewem Kamieniew włączył latarkę. Strumień ostrego, białego światła wy dobył z mroku tylko jedną osobę.

Starszyna Aleksander Wlekw siedział na ławce z łokciami opartymi na kolanach i kołysał się lekko to w przód, to w tył. Nie było wątpliwości, że powinien dostrzec i usłyszeć swego zwierzchnika, ale nie odwrócił ku niemu głowy. Muchalew zauważył głupawą minę, wytrzeszczone oczy i strużkę śliny ściekającą z kącika ust starszyny. W jego sercu rozlało się bardzo złe przeczucie, ale mimo to odkaszlnął i spytał:

– Aleksandrze Michałowiczu?

Starszyna nawet na niego nie spojrział.

– Pytaliśmy – odezwał się suchym głosem Kamieniew. – Sasza wlażł nawet do środka i potrząsnął go za ramię, ale niewiele to dało. To ta wiedźma, towarzyszu starszy lejtnancie. – Tropiciel cedził teraz przez zęby. – Usmażyła chłopakowi mózg.

– Esmeralda nie miała... nie miała takiej mocy – wyszeptał Muchalew, wpatrując się w podwładnego, który nadal nie zarejestrował jego obecności. – I po co miałyby brać ze sobą tego Karela? Przecież zabiłby ją za to, co mu zrobiła!

– Zmusiła Aleksa, by ten ją uwolnił – powiedział Kamieniew. – Niech pan spojrzy, towarzyszu starszy lejtnancie.

Na podłodze, naprzeciwko nieszczęsnego starszyny, leżały rozcięte pęta. Obok spoczywały inne, które wyglądały na rozszarpane. Wlekw kołysał się

z głupkowatą miną, otwierał i zamykał usta, jakby chciał coś powiedzieć. Muchalew, zbyt oszołomiony, by coś odrzec, już miał się odwrócić, gdy uświadomił sobie, że z lekko rozchylnych ust Wlekowa pada jakieś słowo. Zmarszczył brwi i przysunął się do niego.

– Lisica – szeptał starszyna. – Lisica. Lisica.

– Brednie! – wysyczał lejtnant, odwracając się. – Pieprzone brednie.

Wzbierała w nim dzika furia. Utrata jeńca nie stanowiła wielkiego problemu, w końcu stary Fin doprowadził ich tam, gdzie powinien, ale Esmeralda, z unikalnym darem do wykrywania niecodziennych talentów i umiejętnością wyciągnięcia wiadomości, była mu niezbędna.

– Przekłeta suka! – warknął. – Kamieniew, trzeba ją odnaleźć!

– Uciekła niedługo po tym, jak ruszyliśmy do Hyrynsalmi – oznajmił chłodno tropiciel. – Przez część dnia padał śnieg. Ślady będą w znacznej mierze zasypane, do tego przez ostatnich kilka godzin mogła pokonać dobrych pięć, osiem kilometrów. A poza tym...

Kamieniew obrócił swe twarde, zahartowane spojrzenie na las i przez kilka sekund nic nie mówił.

– ...w tym lesie siedzi coś niedobrego – dopowiedział.

Muchalew był wściekły. Przez dłuższą chwilę tak drżały mu ręce, że nie dał rady zapalić papierosa.

– Nie będziesz mi, Kamieniew, bajek teraz opowiadał... – wycedził, ale tropiciel przerwał mu bez wahania:

– Wybaczcie, towarzyszu starszy lejtnancie, ale do bajek to wyście nas wciągnęli.

Wypowiedział te słowa bez lęku, zupełnie jakby w środku lasu wszelkie ludzkie hierarchie zaczęły się zacierać, jakby przeżyć mógł tylko ten, kto umiał to sobie wywalczyć.

– Myślicie, że nie wiemy, co ta wasza wiedźma robiła z ichnim szamanem? – dodał, wpatrując się lodowatym wzrokiem w Muchalewa. – Myślicie, że ktoś z naszych popędzi jej śladem po tym, co zrobiła Wlekwowi?

– Mógłbym kazać was zdegradować, Kamieniew – wysyczał lejtnant. Wydmuchał kłęb dymu papierosowego prosto w jego twarz. – I posłać pierwszym transportem do gułagu. A mam tam kontakty, wierz mi.

– Mógłby mnie pan też awansować – odpowiedział nieporuszony tropiciel. – Wówczas zająłbym się waszym bezpieczeństwem, towarzyszu starszy lejtnancie. Chyba zdaje sobie pan sprawę z tego, że udział w tej wojnie to skok na bombę prosto w zbiornik z szambem? Kto ma pana stąd wyprowadzić? Ci durnie?

Lekceważącym ruchem dłoni wskazał kilku czerwonoarmistów, którzy, ustawivszy już stos drewna, polewali go benzyną, mocząc przy tym własne buty.

Któryś z nich, przy akompaniamencie głośnych rechotów, opryskiwał usypisko własnym moczem.

Muchalew zaciągnął się mocniej, a potem rzucił niedopałek w błoto.

– Zgoda, starszyno Kamieniewie – powiedział chrapliwie, a następnie przeniósł spojrzenie na największą szopę, przy której stało paru wartowników i dwie grupki najwyraźniej pijanych już żołnierzy, prześcigające się w wymyślaniu coraz to większych sprośności.

– Zgoda – powtórzył. – A więc jeniec zniknął w tajemniczych okolicznościach, a wraz z nim wiedźma. Cóż, przyjrzyjmy się zatem temu, co się udało zyskać.

Tak naprawdę to chyba nie potrzebuję już ani Karela, ani Esmeraldy, pomyślał trzeźwo. Za to muszę odnaleźć tę Angielkę i dowiedzieć się od niej, w jaki sposób przyswoiła sobie miejscową magię.

Klepnął Kamieniewa w bark i ruszył w stronę szopy otoczonej przez żołnierzy.

– A po mojemu to NKWD postanowiło otworzyć dewizowy burdel! – perorował jeden z szeregowych. – Pora zamoczyć, chłopaki, bo zaraz...

Umilkł, gdy uświadomił sobie, że wokół niego zapadła cisza. Odwrócił głowę w stronę, w którą spoglądali już jego koledzy, i zmartwił, widząc nadchodzącego Muchalewa. Poblądł i otworzył szeroko usta niczym ryba wyciągnięta z wody, a lejtnant uśmiechnął się złowieszczo. Oficer nie miał wątpliwości, że tajemnicza istota, która stanęła mu na drodze, nie była realna, ale bicz, którym smagnęła go po twarzy, okazał się jak najbardziej materialny. Czuł na twarzy pasmo gorącego, pulsującego bólu i był przekonany, że przecinająca ją blizna jest doskonale widoczna. Budził teraz jeszcze większą grozę niż w swojej czapce enkawudzisty, co potwierdzili sami żołnierze, skwapliwie usuwając się na boki.

– Otwieraj! – rzucił do dwóch wartowników, a ci błyskawicznie unieśli wielką kłodę, która blokowała wrota.

Kamieniew znów włączył latarkę i obaj stanęli na progu szopy.

Podczas ataku na Hyrynsalmi podlegli Muchalewowi żołnierze zgarnęli kilkadziesiąt kobiet w różnym wieku i enkawudzista spodziewał się usłyszeć falę płaczu, jęki bólu i krzyki przerażenia, tym bardziej że z nową, wciąż czerwoną blizną przedstawiał sobą doprawdy upiorny widok. Tymczasem w szopie panowała niemalże całkowita cisza. Lejtnant zmarszczył brwi i wyrwał latarkę z ręki Kamieniewa, po czym omiół wewnątrz snopem białego światła.

Ku swemu zdumieniu zobaczył, że kobiety zgromadziły się w nierównym kręgu wokół jednej, która klęczała na zasłanej wiórami podłodze i pochylała się nad inną. Długie, posklejane włosy przesłoniły twarz Finki, jej dłonie zaciskały się na kostce leżącej. Muchalew przesunął światło na twarz poszkodowanej, która

okazała się niemłoda, siwowłosa kobietą, najwyraźniej nieprzytomną. Na jej pociętym zmarszczkami czole perlił się pot.

Wtem otworzyła oczy i zamrugła, a następnie usiadła. Odruchowo podkurczyła nogę i dotknęła kostki, a potem spojrzała z niedowierzaniem na długowłosą towarzyszkę, która przed chwilą trzymała na niej dłoń. Wśród przyglądających się scenie kobiet rozeszły się szmery podziwu, nieśmiałe, bo większość z nich już zauważyła stojącego na progu z latarką rosyjskiego oficera.

– Mówią, że ją uzdrowiła – mruknął z niedowierzaniem stojący za lejtnantem Kamieniew.

Tymczasem Muchalew przypomniał sobie to, co usłyszał od Esmeraldy.

– Dwie córki – wyszeptał z nagłą nadzieją. – Hämärä i Sumu. Kamieniew, spytaj tę długowłosą pannę, jak ma na imię.

Tropiciel zrobił krok naprzód i powtórzył pytanie po fińsku z silnym rosyjskim akcentem. Dziewczyna zeszywniała, a w jej szeroko otwartych oczach błysnął lęk, ale nie powiedziała ani słowa.

– Nie chce mówić, jak widać – mruknął Kamieniew. – Trzeba by jej chyba...

– Nie – powiedział Muchalew zaskakująco miękko. – Nie, starszyno. Nic nie trzeba.

Skierował światło latarki na twarz dziewczyny, która zaczęła mrużyć oczy, i wszedł w krąg kobiet. Kamieniew oraz dwaj wartownicy, nie spuszczając wzroku z lejtnanta, unieśli broń. Muchalew podszedł do dziewczyny, stanął przed nią i uniósł jej podbródek lufą nagana.

– Nazywasz się Hämärä czy Sumu? – spytał po rosyjsku. – Hämärä? Czy Sumu?

Finka odwróciła głowę. Milczała zawzięcie.

– Nie chcesz rozmawiać? – Oficer pokiwał głową z udawanym zrozumieniem. – Cóż.

Błyskawicznie wycelował lufę w skroń stojącej obok niego starej kobiety i nacisnął spust. Rozległ się ogłuszający huk, a po nim fala równie ogłuszających wrzasków. Przerażone do granic kobiety zerwały się i uciekły w kąty szopy. Muchalew kopniakiem przewrócił jedną z nich, wbił jej podeszwę buta w plecy, odczekał, aż ucichną wrzaski, i spytał:

– Hämärä czy Sumu?

*

Sowieci ulokowali obóz w tym samym tartaku, gdzie Michael Tayne uśmiercił trzech ich towarzyszy. Ciężarówkę ustawili między drzewami, czołgi wzdłuż drogi, a na środku podwórza rozpalili ogromne ognisko, przy którym

zgromadziło się kilkudziesięciu zmarzniętych, znużonych żołnierzy, odwróconych plecami do całego świata.

Tayne przez dłuższą chwilę wodził wzrokiem po obozowisku i myślał intensywnie. W razie ataku przeważających sił Sowietów nie mieli szans przeprowadzić zorganizowanego odwrotu swego taboru. Ciężarówki były zaparkowane zbyt ciasno, a podwórze natychmiast by się zatłoczyło, tym bardziej że jego część zajmowało teraz wielkie ognisko. Powstałoby ogromne zamieszanie, które tylko by ułatwiło napastnikom działania.

Z drugiej strony ciężarówki, które kręgiem otaczały obóz, stanowiły osłonę dla obrońców, podobnie jak czołgi przy drodze, na dachu mniejszej z szop ustawiono dwa lekkie karabiny maszynowe, a samych Sowietów było przynajmniej dwakroć tyle co Finów. Przyczajony Michael śledził ciemne sylwetki wartowników, którzy wydawali mu się ociężały i niezgrabni. Powoli krążyli między drzewami i z zauważalną tęsknotą co jakiś czas zerkali w stronę ogniska.

Nie dziwił się im. Temperatura spadła do piętnastu stopni poniżej zera i Tayne, choć wciąż rozgrzany długim marszem przez puszcę, czuł, jak chłód powoli wnika pod biały kombinezon maskujący i ciepłe ubranie. Wzorem Finów, którzy w taką pogodę jak jeden mąż rezygnowali z hełmów, naciągnął na głowę zdobyczną uszankę, a na dłonie wsunął wełniane rękawiczki, ale mimo to wiedział, że lada moment zacznie drżeć z zimna.

Odwrócił się do Yökyöpeliego, który kuczał obok. Fin naradzał się szeptem z dwoma sierżantami, którzy naraz podnieśli się, zaszutrowali i zniknęli w mroku nocy. Wówczas porucznik spojrzął na Michaela. W mroku nocy jego twarz była bladą plamą przesłoniętą kłębami pary z ust.

– Porwane kobiety są w tej wielkiej szopie od południa – szepnął.

Tayne skinął głową. Już wcześniej zauważył, że to jedyny budynek, przy którym stoją strażę.

– Zaatakujemy więc od zachodu, by nie narazić szopy na ostrzał – ciągnął porucznik. – Dla pana i pańskich towarzyszy mam osobne zadanie. Co powiecie na wyeliminowanie straży przy wejściu do szopy?

– Sam to chciałem zaproponować – mruknął Michael i odwrócił się do Turnera i Astleya.

Amerikanin kuczał nieopodal ze zdobyczym mosinem, który w jego łapskach układał się o wiele naturalniej niż reporterski aparat fotograficzny, z którym, o ile Tayne mógł sobie przypomnieć, nie widział go od nalotu na most. Dziennikarz trzymał w kąciку ust cygaro i mruczał coś do siebie. Michael przeniósł spojrzenie na drugiego z towarzyszy. Theodore sprawiał wrażenie wycieńczonego, ale ku zdumieniu Tayne'a pokiwał głową z zadowoleniem.

– Wygląda na to, że damy radę – oznajmił Michael.

– Zostawię z wami dwóch ludzi. – Yökyöveli wskazał dwóch zdenerwowanych młodych żołnierzy. Jeden trzymał lekki karabin maszynowy, a drugi skrzynkę z amunicją. – To szeregowcy Juhani i Kalevi, jedyni w oddziale, który znają trochę angielski.

Michael skinął obu chłopakom, a Turner zsalutował im, przykładając palce do czoła. Theodore nie odrywał oczu od szopy i co chwila przełykał ślinę.

– Ruszajcie, gdy tylko usłyszycie pierwsze strzały – zakomenderował porucznik. – Juhani i Kalevi otworzą ogień, gdy Sowieci zwrócą na was uwagę. Mają za zadanie osłonić ucieczkę kobiet. Będziecie musieli wytrzymać do czasu, gdy przyjdziemy wam z pomocą.

– Nie spodziewałem się niczego innego – wycedził Tayne. – Działajcie bez wahania, poruczniku. Zaskoczenie to nasza jedyna przewaga.

– Jest jeszcze jedna rzecz – odparł Yökyöveli, podnosząc się. – *Sisu*. Sporo go macie.

I wszedł między drzewa.

– Co on miał na myśli? – odezwał się dziennikarz. – Jakaś tajna broń czy co? Słyszałem już gdzieś to słowo. Hej, chłopaki! – zwrócił się do dwóch młodych szeregowców. – Co wasz stary chciał nam powiedzieć?

Juhani uśmiechnął się z zakłopotaniem, a Kalevi rozłożył ręce, co mogło oznaczać, że nie zrozumieli ciężkiego, południowego akcentu Amerykanina lub po prostu nie mieli pojęcia, jak wyjaśnić słowa swego dowódcy.

– Stawiałbym na supermoce – mruknął Turner. – Co ty na to, Tayne? Supermoce, nie?

– Cicho bądź.

– Nieźle – ciągnął niezrażony dziennikarz. – A więc oprócz reportaży i powieści sensacyjnej będę jeszcze musiał stworzyć komiks.

– Cicho już bądź – powtórzył Tayne, ale bez zaangażowania, bo wśród Sowietów pojawiła się harmonia. Jeden z czerwonoarmistów zagrał wesołą melodię, którą podjęło kilkanaście chrapliwych głosów.

– Zupełnie jakby chcieli nam ten atak ułatwić – syknął Astley.

Michael zerknął na młodzieńca, który drżał na całym ciele, zapewne nie tylko z zimna, ale i z emocji, i kurczowo ścisnął zdobyczny pistolet, który zdecydował się zabrać przed opuszczeniem Hyrynsalmi.

– Zaraz czeka ich niezły łomot – dodał półgłosem. – Porucznik nie zmarnuje takiej okazji.

Tayne ponownie przeniósł wzrok na Sowietów. Od skraju lasu dzieliło ich kilkaset kroków, więc niewiele mógł dojrzeć, tym bardziej że widok przesłaniały pnie drzew i korpusy zisów, ale wciąż miał nadzieję, że dojrzy gdzieś oficera, który usiłował pochwycić Penny. Pamiętał tylko, że był wysokim, ciemnowłosym

mężczyzną, ale wiedział, że rozpozna go po ukośnej, krwawej prędze, która przecinała jego twarz.

Na samą myśl o nim zapominał o zimnie, a jego serce zaczynało bić żywiej. Musiał go dopaść. Musiał dopaść sukinsyna, który odważył się podnieść rękę na Penelopę, i rozszarpać go na strzępy. Musiał...

Złapał się na tym, że oddycha coraz szybciej. Wokół jego ust rozkwitały obłoczki srebrnej pary, na oszroniałych pniach rozlewał się blask ognia. Ciemne sylwetki wartowników nikły, jakby ci, zwabieni tęskną pieśnią, jeden po drugim opuszczali las.

Tayne, Turner i Astley oraz ich dwóch fińskich towarzyszy czekali cierpliwie. Zimno wsiąkało w ich stygnące ciała. Tymczasem kompania Armii Czerwonej bawiła się coraz lepiej – żołnierze obejmowali się i kołysali do rytmu, zdzierając sobie gardła. W pewnym momencie w luce między drzewami Michael dostrzegł niskiego, korpulentnego człowieka w czapce oficerskiej, który podszedł do śpiewaków z bożej łaski i zaczął dyrygować.

Czekali. Nad ich głowami mieniły się lodowate iskry gwiazd. Turner szeptał coś do siebie, jakby odmawiał modlitwę. Astley wzdychał i nie przestawał drzeć. Tayne czuł, że przy kolejnym mrugnięciu rzesy przymarzną mu do siebie.

Czekali.

Pierwszy strzał padł w chwili, gdy harmonista przeciągnął ostatni dźwięk melodii. Salwę śmiechu, którą śpiewacy zareagowali na ostatnią sylabę piosenki, przeciął nieoczekiwany wrzask bólu, a z rozradowanego grona wypadł błądy żołnierz, zaciskając dłoń na rozerwanym kulą ramieniu.

Śmiechy zgasły, a czerwonoarmiści przez przerażająco długą sekundę spoglądali na towarzysza, który biegł przed siebie, chlapiąc naokoło krwią i upiornie wyjąc z bólu. A potem, zanim ktokolwiek zrozumiał, że to, na co patrzą, dotyczy ich wszystkich, na sowiecką kompanię spadł grad ołowiu.

Oszołomiony Tayne patrzył, jak odziane na biało sylwetki, przypominające plujące płomieniami duchy, wypadają z ciemności i sieją śmierć. Natarcie prowadziło kilku żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe, którzy krótkimi seriami szerzyli największy popłoch wśród zaskoczonych, rozbiegających się Sowietów. Do ostrzału dołączyły skryty wśród drzew lekki karabin maszynowy oraz przynajmniej kilkanaście powtarzalnych. Niektórzy czerwonoarmiści zrywali już broń z pleców i klękali albo padali na śnieg, by odpowiedzieć ogniem, ale Finowie napierali z mściwą zaciętością. Ich kule rozrywały ciała przeciwników, przebijały im czaszki, wyszarpywały z nich fontanny krwi.

– Tayne! – huknął mu nad uchem dziennikarz. – Nie mieliśmy tu przypadkiem czegoś zrobić?

Anglik skinął głową i nagle uświadomił sobie, że są spóźnieni przynajmniej o kilka sekund. Zaklął wściekle i rzucił się do biegu.

Zgodnie z obietnicą porucznika Yökyöpeti Finowie przypuścili swój morderczy atak tylko od zachodu, ściągając na siebie całą uwagę Sowietów. Dotyczyło to również wartowników, wśród których nie znalazł się ani jeden na tyle wyszkolony czy na tyle przytomny, by w ogóle wziąć pod uwagę atak z innego kierunku. Żołnierze, którzy pilnowali obozowiska od południa, przekradali się już między drzewami, by wspomóc krzepnącą obronę towarzyszy.

Przygarbiony Michael biegł przez las niczym wygłodniały wilk, który złapał trop rozjuszonych żubrów i gotów jest wdrzeć się w sam środek ich stada, by pochwycić zdobycz. Po kilkunastu susach przyklęknął, podrzucił karabin do ramienia i pojedynczym strzałem wyeliminował wartownika, który strzelał do Finów zza rozłożystego świerku. Błyskawicznie zarepetował mosina i wpakował kolejny pocisk między łopatki jego sąsiada. Trzecią kulą powalił kolejnego, który klęczał na śniegu i klął wściekle, mocując się z zamkiem swej broni.

W tym momencie dobiegli doń pozostali – Turner, mierzący naokoło z mosina uniesionego do ramienia, śmiertelnie blady Astley z wytrzeszczonymi ze strachu oczami oraz zdyszani Finowie z erkaemem.

– Szopa – syknął Theodore.

– Wiem! – warknął Tayne, podrywając się z już przeładowanym karabinem.

Byli tak blisko, że Michael mrużył oczy przed żarem, bijącym od wielkiego ogniska. Widział, że Sowietci, całkowicie zaskoczeni pierwszym uderzeniem, błyskawicznie się wycofali, pozostawiając kilkunastu rannych i zabitych. Ignorując wszelkie rozkazy, których w tym hałasie zapewne i tak dobrze nie słyszeli, cofali się za ciężarówkę, skąd, czując się nieco bezpieczniej, próbowali stawić twardszy opór. Mimo poniesionych strat wciąż byli o wiele liczniejsi od atakujących i Tayne przeczuwał, że natarcie lada chwila całkiem się załamie.

Wtedy na środku podwórza coś eksplodowało.

Jeden z wartowników, którzy wcześniej strzegli wrót do szopy, a teraz dołączyli do ostrzału, cofnął się o parę kroków, jakby porażony falą uderzeniową. Odwrócił się przy tym za siebie i dostrzegł nadbiegającego Tayne'a. Otworzył szeroko oczy, ale Anglik, nie zwalniając, podrzucił karabin do ramienia i nacisnął spust. Kula trafiła przeciwnika w ramię. Żołnierz pochylił się, przeszyty nagłym bólem, po czym zaczął się podnosić i jednocześnie podrywać karabin. Rozpędzony Michael przypadł do niego i wymierzył mu potężny kopniak w splot słoneczny. Przeciwnik zatoczył się i wypadł zza węgła, gdzie natychmiast poszatkowały go fińskie kule.

Drugi, ogłuszony zgiełkiem bitwy, dalej strzelał zza rogu. Poderwał głowę dopiero na widok śmierci kolegi. Obrócił się gwałtownie, ale Tayne, z obliczem

wykrzywionym przerażającym grymasem, przypadł już do niego i z całej siły grzmotnął go kolbą karabinu w szczękę. Żołnierz osunął się na ziemię, a wtedy Michael wpakował mu kulę w skroń.

– *Sisu!* – huknął mu do ucha jeden z młodych Finów. Rzucił skrzynkę na ziemię, a jego kolega pospiesznie rozkładał erkaem.

– Co?! – krzyknął Tayne, próbując przekrzyczeć wściekłą palbę, wrzaski rannych i ryki rozkazów.

– Już chyba kapuję! – wrzasnął Turner. – To *sisu* oznacza chyba, że masz jaja! Michael nie miał czasu na pogawędki.

– Uwolnijcie kobiety! – zawołał, co okazało się zbędne, bo Astley już mierzył z pistoletu w łańcuch zawieszony na wrotach.

Jeszcze chwilę, Penny! – pomyślał Tayne, kucając i wysuwając lufę karabinu zza rogu szopy.

Las migotał dziesiątkami ogników, które słały Sowiecom straszliwą śmierć. Tayne, którego zmysły wsparte instynktem w pełni dostroiły się już do chaosu bitwy, nabrał przekonania, że Finowie cały czas się przemieszczają, przez co wydają się znacznie liczniejsi niż w rzeczywistości. Być może to stanowiło przyczynę, dla której czerwonoarmiści trzymali się kurczowo iluzorycznych osłon, jakimi były ciężarówka. Żaden z nich nawet nie pomyślał o kontrataku.

Któryś z czołgów drgnął nagle, a jego wieża zaczęła się powoli obracać. W tym samym momencie wśród pni zamajaczyła jasna postać, która zamachnęła się czymś, a potem padła. Sekundę później rozległ się ogłuszający huk, a przestrzeń między dwoma zisami pochłonęły płomienie. Kolejny granat eksplodował tuż przy prawej burcie budzącego się czołgu, a po nim spadły następne.

Turner kłął, odsuwając jedno ze skrzydeł wrót szopy. Tayne strzelał w chaos, zgrzytając zębami. Obok terkotał fiński erkaem.

– *Ni mäfte springa!* – krzyczał Astley do więźniarek. – *Raskt!*

Jeszcze chwilę, Penny. Obiecuję!

*

W momencie, gdy ostatnia kobieta wybiegła z szopy za plecami Michaela Tayne'a, a samotna, powłócząca nogami Cyganka szła przez las w poszukiwaniu miejsca, w którym poczuła prawdziwą moc, Cedric de Woort przechodził obok biurka nocnego portiera w klubie dla dżentelmenów zwanym Biblioteką. Szedł szybciej niż zwykle i nawet nie zwrócił uwagi na pełne szacunku pozdrowienie mężczyzny. Burczał coś pod nosem, wyłowił z kieszeni marynarki pudełko z zapalnikami i jeszcze przyspieszył kroku.

Później, gdy o tym myślał, miał sobie za złe, że zaniechał środków ostrożności. Wszak przymierzając się do poprzednich sekretnych wizyt w Sali Zegarowej, dbał o to, by nie przykuć niczyjego zainteresowania, a już zwłaszcza nocnego portiera, który przecież nie miał wiele do roboty poza przyglądaniem się ludziom. Zdecydowanie mógł więc zwrócić uwagę na niemalże biegnącego starszego pana, który mruzczał pod nosem i zdawał się nie widzieć otoczenia.

Oczywiście przyczyny takiego zachowania mogły być różne. Napięcie wywołane przez pierwsze miesiące wojny wcale nie słabło i każdy przeżywał je na swój sposób. Niemniej honor dżentelmena nakazywał, by przynajmniej na terenie klubu wystrzegać się niecodziennych zachowań, a kiedy już do takich dochodziło, wypadało zbadać ich przyczyny.

De Woort zazwyczaj o takich kwestiach pamiętał, ale tego wieczoru nie pomyślał o nich ani razu. Liczyło się bowiem tylko to, że właśnie wymyślił nowy sposób, by pomóc Penelopie.

Przeklinając jak doker, usiłował zapalić zapałkę, ale te spadały na ziemię lub łamały się w jego drżących palcach. Udało się dopiero za piątą próbą i de Woort ruszył pospiesznie w dół, o mały włos nie spadając ze schodów. Osłoniwszy płonąca zapałkę dłonią, wpadł w mrok Sali Zegarowej i bez wahania zagłębił się w labirynt regałów.

– Regał szesnasty – mamrotał pod nosem. – Szesnasty albo siedemnasty. Półki nie pamiętam, ale... znajdę to. Znajdę i tyle.

Przedmiot, którego szukał, był dość spory i niewymiarowy, w związku z czym Astley, dla oszczędności miejsca, nigdy nie przydzielił mu osobnego kartonu. Już po chwili Cedric zauważył, że blask dopalającej się zapałki odbija się od mleczej, jadeitowej powierzchni posążka. Drapieżnym gestem wyciągnął rękę i zacisnął na nim palce.

Zdołał jeszcze rozpalić świecę, po czym zdmuchnął zapałkę i usiadł przy stole. Powoli, niemalże z namaszczeniem obrócił posąg rogatego jelenia ku sobie. Czas zatarł wiele szczegółów przedmiotu, ale de Woort miał wrażenie, że nadal wyczuwa bijącą od niego moc. Z drzeniem wciągnął powietrze w płuca i wypuścił je ze świstem, a następnie sięgnął do kieszeni i wyciągnął kawałek starej taśmy klejącej, do której przyłożył wszystkie włosy Tayne'a, znalezione na pościeli po jedynej nocy, jaką ten spędził w klubie.

Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien wypowiedzieć jakiejś formuły, ale nie znał żadnej, a języków celtyckich nie przyswoił na tyle dobrze, by móc w którymś z nich mówić. Wzruszył więc ramionami i mocniej zacisnął dłonie na posążku.

– Pokaż mojej córce drogę do jej ukochanego – rzekł cicho. – Doprowadź ją do niego.

Przesunął skrawek taśmy nad płomieniem świecy, który pochłonął ją żarłocznie. Cedric, ku swej wielkiej uldze, poczuł, jak posążek rozgrzewa się w dłoniach.

– Udało się – szepnął, nagle osłabły z ulgi.

Nie zwracał uwagi ani na tykanie zegara, które niespodziewanie stało się odrobinę szybsze, ani też na ciemność dookoła niego, głębszą i bardziej materialną niż kiedykolwiek wcześniej. Wstał, zdmuchnął świecę i odwrócił się ku wyjściu.

Wtedy drzwi się otworzyły.

Ciemność przeszło ostre światło latarki, które oślepiło Cedrika i zmusiło go, by odruchowo wykonał krok w tył. De Woort potracił krzesło, które przewróciło się z głośnym trzaskiem.

– Ejże – huknął z udawanym oburzeniem, unosząc rękę, by zasłonić dłonią oczy. – Cóż to za wygłupy?

– W sumie to ja powinienem zadać ci to pytanie, Cedriku – odezwał się suchym głosem lord Maurice Benedict Astley, schodząc powoli po stopniach. Za nim podążał Jeff z latarką w jednej ręce i pistoletem w drugiej. – Bo, widzisz, głęboko wierzę w to, że to wygłupy i zdołasz mnie co do tego przekonać. W przeciwnym razie uznam twoje zachowanie za zdradę.

*

Jakąś godzinę po tym, jak Jeff odprowadził zdruzgotanego Cedrika de Woorta do pokoju, który zazwyczaj był sypialnią gościnną, ale świetnie nadawał się też do pełnienia funkcji eleganckiej celi więziennej, wyczerpany Michael Tayne oddalił się od Finów, którzy urządzili krótką przerwę w odwrocie, by zaparzyć herbatę dla wycieńczonych kobiet. Przeszedł kilkanaście kroków, po czym oparł się o pień starej, kołyszącej się lekko sosny i przymknął oczy.

– Nie ma jej – poskarżył się szeptem otaczającej go nocy. – Nie ma.

Wraz z kilkoma żołnierzami, których przysłał zapobiegliwy porucznik Yökyöpel, osłaniał odwrót oddziału dywersyjnego do czasu, gdy nabrał pewności, że Sowieci ich nie ścigają. Wówczas oddał dowodzenie młodemu Juhaniemu, a sam popędził jak szalony, potykając się o zasy i gałęzie, ku prowadzonym przez resztę oddziału uratowanym kobietom. Wyszarpnął któremuś z Finów latarkę i spoglądał każdej z nich w twarz. Widział oblicza oszołomione i wstrząśnięte, blade i zapłakane, ściągnięte bólem, wykrzywione gniewem, obojętne ze zmęczenia, ale żadne z nich w najmniejszym nawet stopniu nie przypominało twarzy Penelopy.

Sprawdził jeszcze raz, a potem zaczął wypytywać. Powtarzał proste słowa: „Angielka”, „Penelopa”, „Penny”, ale odpowiadały mu puste spojrzenia bądź niechętnie kręcenie głową. Próbował raz za razem, aż w końcu paru fińskich żołnierzy odepchnęło go i przegoniło serią wściekłych okrzyków. Mieli rację, nie powinien niepokoić tych nieszczęsnych kobiet, które właśnie przeżyły najgorsze godziny w swym życiu, ale nie mógł uwierzyć we własne nieszczęście.

– Nie ma jej – powtórzył i przypalił papierosa. – Nie ma jej albo nie zwróciły uwagi na nieznaną, w co jednak trudno uwierzyć.

Zaciągnął się tak mocno, że usłyszał syk palącej się bibułki. Dym gryzł go w oczy. A może to mróz sprawił, że pojawiły się w nich łzy?

Nie miał pojęcia, co począć. Nie znalazł Penelopy wśród kobiet porwanych przez czerwonoarmistów. Nie było jej też wśród ofiar sowieckiego ataku i, jeśli wierzyć słowom porucznika Yökyöpeliego, nie padła ofiarą burzy śnieżnej. Oznaczało to, że jakimś cudem zdołała uciec z Hyrynsalmi.

Jak miał ją teraz odnaleźć, skoro burza zatarła wszelkie ślady? Jak miał do niej dotrzeć, skoro zmarnował wiele godzin na odsiecz, która okazała się zupełnie niepotrzebna? Logika nakazywała mu sądzić, że wróciła do Hyrynsalmi, ale w logikę nie wierzył już od dawna.

Nie tu. Nie w tym kraju. Nie podczas tej wojny.

Niespodziewanie zerwał się wiatr, cichy i łagodny. Omiótł jego twarz, ale, o dziwo, wcale nie był mroźny. Wręcz przeciwnie, wydawał się ciepły, niemalże przyjazny, a w jego szumie pobrzmiwały niewyraźne, nieznanne Michaelowi słowa. Tayne uniósł głowę, zaintrygowany, ale w tej samej chwili podmuch ucichł i na powrót otoczyła go mroźna pustka.

A wtedy znów oplotła go gorycz.

– Nie ma jej.

Minęła chwila, zanim uświadomił sobie, że to nie on wypowiedział te słowa. Zamrugał, by pozbyć się łez, a wtedy ujrzał stojącego obok Astleya.

– Wiem o tym – powiedział chrapliwym głosem ostrzej, niż zamierzał. – Sprawdziłem...

– Nie tylko Penelopa znikła, Michael – powiedział cicho Theodore. – Zapewne nie zwróciłeś na to uwagi, ale w tej wiosce znajdował się ktoś równie niezwykły jak twoja żona, a być może obdarzony jeszcze większym talentem.

– Nie wiem, czy chcę tego słuchać – warknął Tayne.

– Znam się na leczeniu – mówił Astley, jakby nie słyszał tonu Michaela. – Widywałem już rannych, widziałem konających, widziałem śmierć. W chwilach największej rozpaczyci często modliłem się o cud, ale ten nigdy nie następował i ci, którym moja wiedza i środki nie mogły już pomóc, po prostu odchodzili.

Wczoraj jednak, Michael, widziałem cud. Widziałem dziewczynę, która w kilka, kilkanaście sekund uzdrowiła śmiertelnie ранego chłopaka.

– Po co mi to mówisz?

– Sowietci pojмали ją wraz z innymi – ciągnął młody arystokrata, wpatrzony w mrok. – Rozmawiałem z kilkoma spośród branek. W tej szopie dziewczyna uleczyła dwie skręcone kostki i jedno otwarte złamanie. Potem pojawiło się dwóch Rosjan, jakiś oficer i jego podkomendny. Wywlekli ją oraz kilka innych, zapewne wziętych na zakładniczki...

– Kilka innych? – podchwycił Michael, jednocześnie pełen nadziei i lęku. – Widział je ktoś? Może była wśród nich Penny?

– Nie. Przyszło mi to do głowy i popytałem. Jedna z kobiet dobrze mówiła po szwedzku i zapewniała mnie, że wszystkie były miejscowe.

– To pewne?

– Raczej tak. – Theodore wpatrywał się w Tayne'a ze współczuciem. – Wiesz, to mała społeczność, każdy zna tu każdego.

Michael pokiwał głową.

– Co było dalej? – spytał głuchym głosem.

– Niewiele. Sowietci razem z eskortą załadowali się na ciężarówkę i odjechali. Wydarzyło się to mniej więcej na godzinę przed naszą akcją.

Tayne odepchnął rozpacz i zwątpienie i skupił się na oglądzie sytuacji. W ostrzelanym sowieckim obozie zapanował chaos. W oficerze, którego zaatakował na głównej ulicy Hyrynsalmi, wyczuwał siłę i wściekłość. Ktoś taki potrafiłby sformować obronę, ale...

Ale nie zajmował się tym, bo miał inne sprawy na głowie.

Jakie? – pomyślał niespodziewanie. Najpierw próbował pojmać Penelopę, a następnie odjechał z uzdrowicielką. Kim był ten człowiek? Czego szukał? Co planował? Czy Penny była bezpieczna?

Otrząsnął się.

– Po co mi to mówisz? – spytał ponownie.

– Bo ta uzdrowicielka jest jedną z nas. – Astley spojrzał na niego z powagą. – Jest taka jak ja i ty, Michael. I wiem, że dziadek nigdy by mi nie wybaczył, gdybym nie spróbował jakoś jej pomóc.

Tayne wyrzucił papierosa w śnieg i odwrócił się ku młodemu towarzyszowi.

– O czym ty, Theo, gadasz? – syknął. – Co to ma niby oznaczać? Taka jak ty i ja? Czyli jaka?

Astley uśmiechnął się tajemniczo.

– Zastanawiałeś się kiedyś, jakimi kategoriami kierował się Cedric de Woort, gdy wciągał cię do służby dla Biblioteki? – spytał. – Ja, przyznam się, zadawałem sobie to pytanie do chwili, gdy ujrzałem, jak radzisz sobie z tymi

Sowietami. Reagujesz o wiele szybciej niż zwykły człowiek, a do tego cechuje cię niezwykle instynkt. To zdolności godne prawdziwych wojowników z dawnych dziejów, coraz rzadziej spotykane. Mnie, cóż... Być może już sam zauważyłeś, co mnie cechuje.

– Tak – przyznał Tayne ze zdziwieniem. – Tak, chyba zauważyłem. Jeszcze w Szwecji, gdy owinąłeś sobie tego policjanta wokół palca. Masz niezwykle dar przekonywania.

– Mało powiedziane. – Theodore zaśmiał się bez wesołości. – Potrafię namówić Cygana, by sprzedał mi swego konia za kanapkę z serem. Kiedyś, choć słabo mówię po hiszpańsku, przekonałem fanatycznego oficera Falangi, by wypuścił z aresztu kilku komunistów. Dziadek przypuszcza, że mój talent to cięć umiejętności, którymi dysponowali twórcy dawnych kultów, gromadzący wokół siebie wyznawców. Ale ta dziewczyna... Rety, Tayne. Prawdziwa uzdrowicielka. To dopiero talent.

– I po co chcesz jej szukać?

– Przede wszystkim po to, żeby nie zabrał jej ten sowiecki oficer. – Astley zacisnął usta. – To równie ważne jak pas Ilmarinena, który być może nie istnieje, ale ta dziewczyna... Ona jest prawdziwa!

– A w jaki sposób chcesz mu ją odebrać? – Michael uniósł brew. – Pamiętam tego sukinsyna. Wydawał się twardym przeciwnikiem, a do tego na pewno nie podróżuje sam! Ma uzbrojoną po zęby eskortę. I co? Chcesz go nakłonić, by ci oddał tę uzdrowicielkę? Theo, to samobójstwo!

Astley milczał, wpatrując się w gwiazdy przypominające uwięzione wśród czerni lodowe okruchy.

– Tak, masz rację – przyznał w końcu. – To byłoby samobójstwo. Dlatego przyszło mi do głowy, by cię poprosić o pomoc. Razem może mielibyśmy większe szanse, ale... Wiem. Wiem, po co tu przybyłeś, i ani na moment o tym nie zapomniałem. Chcesz znaleźć Penelopę. Ja zresztą też, ale...

Zaintrygowany słowami młodzieńca Tayne zapomniał na kilka minut o tym, co go dręczyło. Teraz na nowo poczuł, jak zalewa go gorączka.

– Tak – powiedział głucho. – Ale nie wiem, czy mam jakiegokolwiek szanse. Widziałem Penny przez krótką chwilę i... i tyle. Znikła. Nie zginęła w walce, nie zmiotła jej zamieć, nie została też zabrana przez tego oficera. Wniosek z tego, że uciekła gdzieś w las. W pieprzoną fińską tajgę! Jak ja mam ją tam znaleźć?

– Nie wiem – odparł ponuro Theodore, ale zaraz się ożywił. – Ale... ale kobieta, z którą rozmawiałem, zdradziła mi, że pamięta twoją żonę. Inne kobiety też ją pamiętają. Wzbudziła ich ciekawość nie tylko dlatego, że była pierwszą Angielką, którą spotkały, ale też dlatego, że przybyła do wsi właśnie z Sumu, ową uzdrowicielką.

– A co w tym takiego dziwnego?

– Wygląda na to, że Penelopa wkupiła się w łaski najbardziej tajemniczej rodziny mieszkającej w okolicy. – Astley się uśmiechnął. – Na Boga, jeśli to prawda, twoja żona lepiej ode mnie zna się na zjednywaniu sobie ludzi. Sumu oraz jej siostra Hämärä to córki żyjącego na odludziu karelskiego szamana, cieszącego się ogromną popularnością i jeszcze większym szacunkiem. Moja rozmówczyni twierdzi, że Sumu i Penelopa przybyły do Hyrynsalmi wraz z grupką uchodźców z granicy trzy dni przed atakiem Sowietów. Miały tam zaczekać na Hämärę, która ponoć szukała w lesie ich zaginionego ojca. Wszystkie kobiety twierdziły, że Penelopa i Sumu wydawały się bardzo zaprzyjaźnione, a jedna z nich, staruszka, która pamięta jeszcze czasy carskiej okupacji, była nawet świadkiem, jak we dwie odprawiły rytuał wietrznych słów.

Tayne zapalił kolejnego papierosa. Gdzieś za sobą słyszał przytłumione głosy fińskich żołnierzy, którzy przekonywali wyczerpane kobiety, że pora ruszyć w dalszą drogę, do Hyrynsalmi. Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka, ale Michael zignorował swój instynkt, nadal wpatrzony w Astleya.

– Moja żona odprawiła fińskie rytuały? – zdziwił się.

– Jej ojcem jest Cedric de Woort, jeden z ojców Biblioteki – mruknął Theodore. – Naprawdę jesteś tym zdziwiony?

– Dobra, nie wymądrzaj się. Wiesz może, o co chodzi w tych... no, wietrznych słowach?

– Wiem tyle, ile usłyszałem. – Astley wzruszył ramionami. – A usłyszałem niewiele. Zdaniem owej staruszki, której Sumu zresztą ponoć uleczyła kostkę, rytuał ten służył kiedyś szamanom do komunikowania się na odległość za pomocą wiatru, który przenosił słowa i emocje. Jak ci się to podoba?

– Bardzo. Czyni nasze zdobycze technologiczne osobliwie przestarzałymi. – Michael zaciągnął się mocno. – Czyli to możliwe, że Penny i Sumu próbowały się skontaktować z Hämärą?

– Bardzo możliwe. Niestety, to wszystko, co ci mogę przekazać.

– To... – Tayne się zawahał. – To dużo. Dzięki.

– Na pewno nie chcesz ruszyć w pościg za tymi Sowietami? – chciał wiedzieć Theodore. – Jak tylko dotrzemy do Hyrynsalmi, spróbuję namówić porucznika Yökyöpeliego, by...

Między drzewami z cichym szumem przemknął ciepły podmuch wiatru. Niósł urywane, ledwie słyszalne słowa oraz czystą życzliwość przetkaną tęsknotą.

Papieros wysunął się z ust osłupiałego Tayne'a.

Podmuch znikł równie szybko, jak się pojawił, ale Michael wbił wzrok w trącane przezeń, wciąż kołyszące się gałęzie ośnieżonego świerku

i błyskawicznie wyciągnął z kieszeni niewielki kompas z podświetlaną tarczą. Z niedowierzaniem odczytał kierunek.

– Czujesz to? – powiedział cicho do Astleya, coraz bardziej podekscytowany. – To chyba były te twoje wietrzne słowa! Przed momentem mknęły tam – wskazał drżącą ręką wschód – z zachodu, a więc z okolic Hyrynsalmi, a potem przeleciały z powrotem! Zupełnie jakby... jakby...

Oczy Theodore'a błyszcząły z ekscytacji.

– Jakby Penelopa próbowała nawiązać kontakt z którąś z sióstr, a ta jej odpowiedziała – dopowiedział spokojnie.

Tayne nabrał głęboko powietrza w płuca.

– A więc Penny żyje – wyszeptał bezgłośnie.

– I jak znam życie, siostra, z którą nawiązała kontakt, kazała jej wracać do Hyrynsalmi – rzekł twardo Astley. – Nie masz więc co się martwić.

Michael, nie bacząc na zimno, uklęknął na śniegu i wytrząsnął z plecaka mapę oraz latarkę. Przyświecając sobie, rozłożył mapę na kolanie i przytknął palec w wełnianej rękawiczce do drogi ciągnącej się od Raate do Hyrynsalmi.

– Nie, nie wróciła – mruknął. – Jeśli się nie mylę, wietrzne słowa mknęły po linii prostej ze wschodu na zachód. My zaś znajdujemy się kilka kilometrów na północny wschód od Hyrynsalmi, co oznacza, że Penny znajduje się dobry kilometr na północ od wioski. Może więcej. Uciekała, ile sił w nogach, a potem zdołała nawiązać kontakt z którąś z sióstr.

Pospiesznie spakował mapę i latarkę do plecaka, a następnie zapiął go gwałtownym szarpnięciem.

– Błąka się tam teraz sama – warknął, zarzucając sobie plecak na ramię i łapiąc zdobyczny karabin. – Zziębnięta, przerażona, głodna, być może ranna. Ruszam tam, choćby i teraz.

Theodore z rezygnacją wypuścił powietrze z płuc. Jego blada twarz znikła w kłębach pary.

– Wykończy mnie ta pieprzona wojna – westchnął.

– Astley, nikt cię nie prosi, byś...

– Zamknij się. – Głos młodzieńca stwardniał. – Idę z tobą. Nie wiem, co z Turnerem, bo gdy ostatni raz go widziałem, roztaczał przed porucznikiem uroki gry w golfa, o czym ten chyba nigdy jeszcze nie słyszał, ale ja idę.

– Dobrze – rzucił oszczędnie Michael i odwrócił głowę, by nie zdradzić przypadkiem, jak ogromną ulgę sprawiły mu słowa Astleya. Z narastającym zaskoczeniem uzmysławiał sobie, że dla Penny gotów byłby wskoczyć do wnętrza bulgoczącego wulkanu. Ale byłoby mu o wiele raźniej, gdyby ktoś mu w tym towarzyszył.

– Pod warunkiem – ciągnął oschłym tonem Theodore – że gdy odstawimy twoją żonę w bezpieczne miejsce, ruszysz ze mną, by choć spróbować ocalić tę uzdrowicielkę. Dla mnie to priorytet, sprawa o wiele ważniejsza niż pas Ilmarinena.

Tayne wyprostował się i przez kilka sekund taksował młodzieńca wzrokiem. Nie spodziewał się, że odkryje w nim tyle hartu ducha, i nie mógł tego nie docenić. Uścisnęli sobie dłonie.

– Umowa stoi – powiedział. – A teraz chodźmy, by odmeldować się naszemu porucznikowi o niewymawialnym nazwisku.

ROZDZIAŁ 11

9 grudnia 1939 roku

– Jedz – powiedział Siergiej Muchalew i wykonał gest naśladowujący jedzenie.

Siedząca po drugiej stronie stołu dziewczyna nawet nie spojrzała na stojący przed nią talerz z parującą kartoflanką. Nie patrzyła też na niego, co wydało się Muchalewowi dość osobliwe, bo przecież miała na niego zwrócone oczy. Patrzyła przez niego.

Wielkie i niebieskie, zauważył. Jakże ufne i niewinne w porównaniu z tymi wiecznie zmrużonymi ciemnymi ślepiami Esmeraldy.

Cyganka przypominała mu podsycany wiatrem ogień, który choć przynosił ciepło i podgrzewał posiłek, to w każdej chwili mógł poparzyć lub się wymknąć i zacząć szerzyć chaos. Co prawda można było próbować go przytłumić lub wręcz zagasić, ale zawsze istniało ryzyko, że wybuchnie jeszcze gwałtowniej.

A mimo to, co uzmysłowił sobie z niedowierzaniem, brakowało mu Esmeraldy. Brakowało mu tej ledwie ujarzmionej dzikości, tego z trudem skrywanego ducha walki i niemalże wulgarnej żądz, z jaką mu się oddawała.

Ech tam, skarcił się w myślach. Zgubiła ją ta natura. Zrobiła dla mnie niejedno, trzeba przyznać, a później się znarowiła. Oszałała. Na szalonym koniu zaś nikt jeździć nie będzie. Takiego trzeba zastrzelić.

Przypomniał sobie pustą, zidiociałą twarz śliniącego się Wlekowa i nagle pożałował, że nie miał okazji przytknąć lufy do głowy Cyganki i nacisnąć spustu. Złość przegnała resztki sentymentu, ale gdy znów spojrzał na Karelkę, powróciła

niechęć. Wielkie, niebieskie oczy branki wydawały się całkowicie obojętne, jakby z chwilą, gdy wraz z kilkoma innymi kobietami wrzucili ją na pakę zisa, zgasło w niej wszelkie życie. Budziło się jedynie wtedy, gdy znów przystawiał lufę nagana do jej czaszki. Niczym bąbel powietrza, który przebija się ku powierzchni mętneho stawu, tak w jej wzroku pojawiała się przerażenie. Mówiła wtedy krótkimi, urywanymi zdaniami, które Kamieniew tłumaczył na rosyjski, a gdy pytania się kończyły, wszelki błysk nikał i oczy kobiety mętniały.

Niczym stawy pośród bagien, pomyślał ponownie Muchalew. A te jej włosy wyglądają jak gałęzie brzozy. Nieodrodna córka tej ziemi.

– Jedz, suko! – wrzasnął i rąbnął pięścią w stół, aż talerz podskoczył.

Karelka nawet nie drgnęła.

– A zresztą – Muchalew odsunął krzesło z głośnym szurnięciem – pies cię jebał.

Wstał i ciężkim krokiem podszedł do drzwi, łapiąc po drodze płaszcz.

– Nie chcesz jeść, to nie jedz – rzekł. – Zaraz poproszę szeregowego Kamieniewa, by wlał ci tę pieprzoną zupę do gardła. Ostrożnie będzie wlewał, nie bój się. Nie zadławisz się. Bo coś mi mówi, że masz jeszcze parę sekretów do zdradzenia, Sumu.

Drgnęła, słysząc swe imię na koniec tyrady w nieznanym sobie języku, ale nawet na niego nie spojrzała.

Lejtnant zaś stał i przyglądał się jej, a po chwili przeniósł wzrok na pokój, w którym się znajdowali. Ręcznie tkane firanki zasłaniające małe okienko z framugą pomalowaną na niebiesko. Wełniane makatki na ścianach, komoda z kilkoma zdjęciami, wysoki fotel przy kaflowym piecyku, łóżko z rzeźbionym wezglowiem i zawieszoną nad nim tabliczką z modlitwą po fińsku. Patrzył na pusty pokój, z którego wojna wyrwała życie, ale oczami wyobraźni widział chatę, w której dorastał, ciasną, zadymioną i cuchnącą rybami. W jego sercu pojawiła się tęsknota za tym, czego nigdy w życiu nie miał.

Ta zaś błyskawicznie przeobraziła się we wściekłość.

– Tak czy owak, Sumu, wiele już mi powiedziałaś – oznajmił. – Kto by pomyślał, że Pas Ilmarinena to nie przedmiot, a miejsce, prawda? Cieszy mnie twoja szczerość. Doprowadzisz mnie tam, prawda? Doprowadzisz, Sumu. Przecież nie chcesz, bym wymordował te nieszczęsne kobiety. Poza tym dobrze wiesz, że śmierć wcale nie jest najgorszą rzeczą, która może je spotkać.

Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, ostrożnie, z obcą dla siebie delikatnością zamykając drzwi. Trzej żołnierze, którzy z ochryplym rechotem grali w piłkę potłuczonym globusem, zamarli nagle, przerażeni pojawieniem się dowódcy. Czwartemu, pochłoniętemu rysowaniem wielkiego penisa na tablicy szkolnej, wypadła z ręki kreda.

Muchalew się zatrzymał. Popatrzył na rozbity ramkę ze zdjęciem prezydenta Kallio, na zrzucone z półek podręczniki, z których jego ludzie powyrywali garściami kartki, na nadpaloną mapę świata, przewrócone pulpity i stos katechizmów, które, sądząc po woni, ktoś niedawno obszczał. Wiedział, że powinien na nich nawrzeszczyć. Że, choć w sumie nie miał żadnych powodów, by lubić Finów, należałoby ofuknąć żołnierzy za ich zwierzęce zachowanie. Ale nie miał na to czasu ani ochoty.

Wszak liczyły się ważniejsze rzeczy. Nie złapał Angielki, ale był na prostej drodze do Pasa Ilmarinena. Musiał tylko...

Nagle zmarszczył brwi.

Z zewnątrz dobiegał narastający grzmot silników wielu pojazdów. Muchalew złapał jeden ze stojących pod ścianą karabinów i przypadł do okna. Ostrożnie odchylił firankę i ujrzał zisa z czerwoną gwiazdą, zatrzymującego się niedaleko drewnutni przy ich własnej ciężarówce. Na drodze za zaparkowanym pojazdem hamowały kolejne, a z pak zeskakiwali czerwonoarmiści, którzy postanowili rozprostować kości, ulżyć pęcherzowi czy zapalić.

Muchalew w zasadzie powinien poczuć ulgę – znalazł się co prawda daleko za linią frontu, ale był świadom, że Finowie mogą wykonać daleki wypad i zaskoczyć go kolejnym atakiem – niemniej widok rodzimych oddziałów wcale nie poprawił mu nastroju. Jego niezadowolenie zaś jeszcze wzrosło, gdy zobaczył oficera wysiadającego z szoferki. Był wysoki, wyższy nawet od lejtnanta, a do tego potężnej postury, uwydatnionej przez grubą płaszcz z lisim kołnierzem. Na ramionach widniały pułkownikowskie epolety, co samo w sobie było dla Muchalewa nieprzyjemnym odkryciem, ale nie tak jak twarz oficera.

Pułkownik miał bowiem twarde, zacięte oblicze, poznaczone dziobami po ospie i bruzdami wyrytymi przez wiek. Wywołana zimnem czerwień twarzy ostro kontrastowała z przymrużonymi, krystalicznie błękitnymi oczami, niemalże nienaturalnie pod siwymi brwiami, a sama postać emanowała zdecydowaniem i energią. Oficer szedł, utykając na prawą nogę, co nie odbierało mu jednak energii. Krok w krok za nim maszerowało dwóch krępych adiutantów.

Może mieć i z pięćdziesiąt lat, pomyślał Muchalew, idąc w stronę drzwi. Albo awansowano go po wielkiej czystce, albo... albo ją przetrwał.

Czystkę przetrwali jedynie najbardziej lojalni, najlepiej sytuowani bądź najtwardsi. Lejtnant z żadnym nie chciał się mierzyć, zwłaszcza będąc tak blisko swego celu. Przed konfrontacją uciec jednak nie mógł, starannie poskromił więc wszelkie emocje, przybrał obojętną minę, założył czapkę z niebieskim otokiem i wyszedł na zewnątrz.

– Starszy lejtnant Siergiej Muchalew, Zarząd Główny Wojsk Pogranicza – przedstawił się służbowym tonem.

Oczy starego pułkownika błysnęły drwiną i Muchalew pogratulował sobie, iż ukrył to, że w zasadzie służy w Zarządzie Nauk Tradycyjnych. Nie miał wątpliwości, że przybysz nie omieszkałby tego kąśliwie skomentować.

– Pułkownik Anatolij Suszkin, 163. dywizja strzelecka – wycedził. – Cóż takiego, jeśli wolno wiedzieć, robi NKWD na tym zadupiu?

– Nie wolno wiedzieć, towarzyszu pułkowniku.

– A zgadywać wolno? – Suszkin przetarł szorstki wąs à la Stalin.

– Wolno, towarzyszu pułkowniku.

– Tedy zgaduję. – Suszkin spojrzał na drewnię, w której lejtnant zamknął pojmane Finki. Ich obecność została już odkryta przez paru żołnierzy, którzy właśnie zaglądali do środka i zasypywali przerażone kobiety sprośnymi propozycjami. – Zgaduję, że NKWD urządziło sobie tu burdel. Proszę nie myśleć, że mam coś przeciwko. – Pułkownik uniósł rękę, widząc, że Muchalew szykuje się do riposty. – Nie ma nic lepszego dla wojskowego morale od porządnego ruchańska. Żałuję tylko, że wziąłeś, Muchalew, testowanie na siebie.

– To nie burdel, towarzyszu pułkowniku – rzekł sucho lejtnant.

– Nie? – Suszkin uniósł krzaczaste brwi. Zerknął na coś za plecami Siergieja, a ten uzmysłowił sobie, że pułkownik spogląda na okno budynku, z którego Muchalew przed chwilą wyszedł. Na siedzącą przy stole Sumu. – A co? Nałapałeś sobie kapitalistycznych agentek i do Berii wiesz, żeby ci miszkę świeżą karmą wypełnił?

Pierwszy z adiutantów, skośnooki Uzbek o twarzy mordercy, parsknął śmiechem. Drugi, brutalny olbrzym o wielokrotnie połamanym nosie, bez słowa wyciągnął papierośnicę i podał pułkownikowi papierosa. Muchalewa nie poczęstował.

Ten czuł, jak na policzkach rozlewają mu się gorące plamy.

– Nie bylibyście zachwyceni, towarzyszu pułkowniku, gdyby towarzysz Beria usłyszał takie słowa na swój temat – powiedział wolno.

– Nie – przyznał Suszkin. Wsunął sobie papierosa do ust, a Uzbek podstawił mu zapalniczkę. Pułkownik zaciągnął się mocno. – Byłbym wręcz zde gustowany, gdyby się okazało, że taki twardy chłop jak ty musi się do skarg uciekać. I mocno podirytowany tym, że muszę towarzyszowi Stalinowi opowiadać o burdelach NKWD, zamiast skupić się na wódce i grze w karty.

Trzymając papierosa w ustach, podszedł bliżej do wyprostowanego jak struna enkawudzisty i dłonią w czarnej, skórzanej rękawiczce poklepał go po policzku.

– No, no – zamruczał. – Już ty się tak nie unoś, Sierioża. Rozluźnij się trochę, bo gotów jestem pomyśleć, że w ramach owych testów ciebie też w dupsko wyjebano. Gdzie Witalenko?

– Towarzysz porucznik Witalenko przeprowadził nieudany atak na Hyrynsalmi, po którym zarządził odwrót – wycedził Muchalew. Patrzył w niebo, by uniknąć kpiącego wzroku pułkownika. – Zeszłej nocy zaś, o ile się orientuję, odparł atak miejscowej partyzantki.

– Czyli nie aż taki z niego łachmyta – uznał Suszkin, cofając się o krok. – Skoro odparł ów atak, znaczy się. A czemu ty, Muchalew, w odparciu tego ataku nie pomagałeś?

– Miałem własne wytyczne.

– No tak. Burdel trzeba było w porę wywieźć. Chwali ci się to, Sierioża, chwali. – Pułkownik zaciągnął się jeszcze raz, wyrzucił niedopałek na śnieg i wypuścił dym nosem. – Witalenko chyba się nie obrazi, jak przyjedziemy godzinę później, prawda? Potrzebuje przecież czasu na przepranie gaci, które niechybnie obsrał ze strachu przed Finami.

Tym razem obaj adiutanci znów zarechotali. Muchalew utrzymał pokerowy wyraz twarzy, choć przyszło mu to z ogromnym trudem.

– Ja zaś, w ramach podnoszenia wojskowego morale – Suszkin wpatrywał się w coś za plecami lejtnanta – skorzystam z twojej oferty, Sierioża. Może być tamta.

Zaskoczony Muchalew odwrócił się i ujrzał Sumu przy oknie. Dziewczyna, blada jak topielica, przymknęła oczy, zupełnie jakby zgasała w niej resztką nadziei.

– Towarzyszu pułkowniku, stanowczo się sprzeciwiam! – wysyczał lejtnant i zrobił krok ku Suszkinowi. – Jak już powiedziałem, prowadzę akcję z ramienia Zarządu Głównego Wojsk Pogranicza i ta kobieta jest kluczowa dla mego śledztwa!

– A ja, jak już powiedziałem, muszę sobie zaruchać. – Suszkin wywrócił oczami, ale te pozostały lodowato zimne. – Ty zaś, chłopcze, lepiej się zachowuj. Jeśli rzeczywiście chcesz się poskarżyć Berii, musiałbyś najpierw wyjść cało z tych lasów, a przyznam się, że trochę już mnie wkurwiasz. Z drogi, gówniarzu, bo każę cię nawlec dupą na rurę wydechową, a potem dodać gazu.

Muchalew zacisnął pięści.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu pułkowniku, ale muszę się sprzeciwić – wycedził.

W ciepłym wietrze, który go owionął, unosiły się jakieś słowa, ale nie zrozumiał żadnego, tym bardziej że w tym samym momencie świat rozbłysnął tysiącem iskier.

*

W chwili, gdy Muchalew padał na oblodzone schodki przed opuszczoną szkołą, trafiony pięścią przez ponurego Uzbeka, Michael Tayne dochodził do wniosku, że ma wszystkiego serdecznie dosyć. Oparł się dłonią o pień sosny i stał tak przez moment, oddychając chrapliwie, a potem uniósł głowę i wpatrzył się w rozciągający się przed nim las.

Chylące się ku zachodowi słońce przeniknęło chmury i powlekło zalegający wszędzie śnieg odcieniem ciemnego różu. Daleko między pniami majaczył pusty leśny dukt, a gdzieś na jego końcu ciągnęło się skute lodem jezioro, szare i ogromne. W innych okolicznościach być może zatrzymałby się i napawał kojącą harmonią tego widoku, ale teraz miał ochotę osunąć się na kolana, zwinąć w kłębek i zawyć z rozpacz.

Bo jeśli nie pomylił się w swoich rachubach, Penelopa przebywała zapewne gdzieś na przeciwległym brzegu dostrzeżonego przed chwilą jeziora, a on nie miał już siły, by tam dotrzeć.

Usłyszał za sobą ciężkie kroki.

Turner, z twarzą mokrą od potu, oparł się o sąsiedni pień i pociągnął tęgi łyk z manierki, a następnie spojrział na Michaela bez wyrazu.

– Tak, wiem – sapnął Tayne. – To nie ma sensu. Dlatego właśnie nie namawiałem... nie namawiałem was, byście szli ze mną. Jesteś cholernym... dziennikarzem. Trzeba... trzeba było zostać z tymi Finami.

Amerykanin, zamiast odpowiedzieć, pociągnął kolejny łyk.

– Trzeba by – wychrypiał – o jakimś noclegu pomyśleć. Zaraz zrobi się ciemno.

– Chcesz, to szukaj. – Michael zerwał czapkę i oparł potylicę o pień. Zimno nadchodzącego wieczoru studziło jego twarz. – Ja... ja odpocznę chwilę i idę dalej.

– Ledwie na nogach stoisz – zauważył przytomnie Amerykanin. – I założę się o dietę dziennikarską na przyszły rok, że nie dasz rady ani razu wykrzyknąć jej imienia.

– Odpieprz się, Turner. – Michael się rozejrzał. – Gdzie jest Astley?

– Tam. – Dziennikarz machnął ręką. – Idzie za nami. Znaczą się, chyba idzie, bo nie widziałem go od paru minut. Wysforowałeś naprzód i pędzisz, jakbyś... Do cholery, Tayne, co jest w tej twojej kobiecie, co? Aż tak cię omotała?

– Nie rozumiałbyś.

– Jasne. – Turner uśmiechnął się szeroko i złośliwie. – Co może durny Amerykanin wiedzieć o prawdziwej miłości, co?

– Nie rozumiałbyś, bo to naprawdę pogmatwana sprawa. Ja też tego nie rozumiem.

– Gadanie – prychnął Amerykanin. – Ja tam swoje wiem, Tayne. Świat, wbrew pozorom, wcale skomplikowany nie jest i wszystko, co się dzieje, można wyjaśnić na raptem parę sposobów. Popęd, który nazywasz wielką miłością, to jeden z tych sposobów.

– Pieprzysz bzdury – wycedził Michael przez zęby. – I lepiej przestań, bo...

– Bo co? – Dziennikarz wywrócił oczami i przetarł spocone czoło. – Bo przez przypadek zbliżyłem się do prawdy? Weź się, Tayne, nie kryguj. Rozumiem to i pochwalam, a idę za tobą świadomie i z wyboru. Przecież nie wyrzucę ci po wszystkim z nadąsaną miną, że dałem się przeciągnąć przez cholerną fińską puszcę, bo tobie jakaś panna bobu zadała. Dajże spokój. Cóż, doceniłbym może jakiś gest uznania... Moglibyście może nazwać waszego dzieciaka Nix czy coś, ale...

Ogromne zmęczenie Tayne'a znikło w jednej chwili, wypalone oślepiająco czerwoną furią. Warknął głucho, doskoczył do zaskoczonego dziennikarza i z całej siły grzmotnął czołem w jego nos, a następnie przyłożył mu pięścią w szczękę. Turner się zatoczył i padł na plecy, a wtedy Michael spadł na niego, przygniótł go kolanami do ziemi i uniósł pięść do ciosu.

Zamarł jednak, bo w tym samym momencie ocknął się w nim instynkt równie silny jak emocje, które kazały mu pokarać dziennikarza.

Coś się działo.

– Opamiętaj się, do kurwy nędzy! – wycharczał Turner, a Michael nagle uświadomił sobie, że zaciska dłoń na gardle Amerykanina. Połuźnił uścisk i się wyprostował, a jego szalona wściekłość natychmiast przygasła.

Potem wstał, zapominając o dziennikarzu.

Coś się działo. Coś niedobrego.

Przez huk krwi w jego skroniach przebiły się czyjeś krzyki.

– Astley! – warknął, zrywając się. – Astley!

Złapał za zdobyczny karabin, przeładował go w biegu, po kilkunastu krokach przypadł do pnia i wyjrzał zza niego ostrożnie.

Fińscy żołnierze, czego dowiedział się niedawno, na ogół nosili białe kombinezony maskujące, choćby zaimprovizowane, wycięte z obrusów i prześcieradeł i byle jak pozszywane. Gdy między drzewami mignęło kilka ciemnych płaszczy, Tayne od razu się domyślił, że mają do czynienia z Armią Czerwoną.

Przeszył go zimny dreszcz.

Astley, oglądając się za siebie, uciekał w panice, ścigany przez przynajmniej trzech Sowietów. Był skrajnie wyczerpany – potykał się co kilka kroków, w końcu przewrócił się w śnieg. Próbował przepęznąć przez pień zwałonego

wiatrem drzewa. Wówczas jego biały kombinezon zahaczył o gałąź i pękł z trzaskiem.

Biorąc go za Fina, pomyślał z przerażeniem Michael, podzuczając karabin do ramienia.

Sytuacja jeszcze nie była tragiczna. Gdyby postrzelił któregoś z czerwonoarmistów, pozostali mogliby zrezygnować z dalszego pościgu. Ba, przy odrobinie szczęścia mogłby wykończyć ich wszystkich – ich płaszcze naprawdę wyróżniały się na tle lasu, nawet pomimo zapadających ciemności. Póki Sowieci nie strzelają...

– Tayne! – wychrypiał Astley. – Turner! Pomocy!

Krzyczał po angielsku.

To dlatego nie strzelają, przemknęło Michaelowi przez myśl. Domyślili się, że to jednak nie miejscowy...

Jeden z goniących Astleya żołnierzy, najwyraźniej znużony pościgiem, zatrzymał się, zdyszany, i uniósł karabin. Tayne zmrużył oko i nacisnął spust.

W uśpionym lesie huk wystrzału poniósł się wielokrotnym echem. Tayne zdążył zauważyć, że chybił, ale z ulgą dostrzegł, że sowiecki żołnierz uskoczył za drzewo, rezygnując z prób trafienia Theodore'a. Pospiesznie przeładował broń. Wtedy instynkt odezwał się ponownie.

Odwrócił się błyskawicznie, wycelowując broń za siebie, ale spóźnił się o uderzenie serca. Dobrze wycelowany kopniak wytrącił mu karabin z dłoni, a gdy Tayne próbował się podnieść, czerwonoarmista podrzucił własną broń do ramienia i wycelował prosto między jego oczy. Wyszczrzył pożółkłe zęby i wycedził kilka słów po rosyjsku. Mimo oszołomienia spowodowanego biegiem wydarzeń Michael zrozumiał jego intencje.

– Powoli – powiedział. – Tylko powoli. Patrz, matole. Wyciągam pistolet zza pasa. Widzisz?

Zabrany sowieckiemu wartownikowi pistolet spadł miękko w śnieg, a potem Anglik pozbył się jeszcze noża.

– Tylko nie rób nikomu krzywdy, dobrze? – rzekł wolno, patrząc prosto w przymrużone, okolone głębokimi bruzdami, złe oczy żołnierza. – Dobry Iwan, dobry. Grzeczny.

Gdzieś przenikliwie wrzeszczał Astley, gdzieś wściekle przeklinał Turner. Serce Michaela waliło jak młot kowalski. Wiedział, że teraz, gdy Sowieci pochwycili już jego towarzyszy, próba przejęcia inicjatywy mogłaby się skończyć dla któregoś z nich tragicznie, ale umysł nie przestawał analizować sytuacji i szukać rozwiązań. Niestety, ten sam instynkt, który ostrzegł go nieco za późno przed pojawieniem się wroga, sugerował mu teraz, że ma przeciwko sobie groźnego drapieżnika. Twarz Rosjanina znaczyły blizny i wyraźne zmarszczki,

dłoniom trzymającym karabin brakowało kilku palców, ale żołnierz wcale nie robił wrażenia podstarzałego kaleki.

Nie, Tayne miał przed sobą wojownika, który wyszedł zwycięsko z niejednej walki. Patrzył na prawdziwego twardziela. Na weterana. Na kogoś znacznie groźniejszego od siebie.

– Dobry Iwan – mruknął. – Grzeczny Iwan.

Oddałby teraz wszystko za dar Astleya, który, sądząc po wrzaskach, z jakimi próbował stawić opór, wcale mu się teraz nie przydawał.

Rosjanin machnął karabinem, nakazując, by Tayne się odwrócił. Michael posłusznie wykonał polecenie i zacisnął powieki, oślepiiony czerwonym żarem zachodzącego słońca. Zimna lufa karabinu dotknęła jego potylicy, wciąż mokrej od potu, a ktoś w pośpiechu wiązał mu nadgarstki, nie zwracając sobie głowy delikatnością.

Ilu ich było? – myślał zrozpaczony Tayne. Ilu ich przegapiliśmy?

Nagle uświadomił sobie, że poblížniony żołnierz, który rzucał chrapliwym głosem rozkazy, umilkł, a następnie mruknął coś ze zdziwieniem.

Michael otworzył oczy.

Na tle drzew przetkanych ostatnimi promieniami słońca ujrzał sylwetkę ogromnego, dumnego jelenia z rozłożystymi rogami. Zwierzę zastygło w majestatycznej pozie i spojrzało na Sowietów oraz ich jeńców, przechylając lekko łeb, jakby nie dowierzało ich obecności.

A potem znikło.

Oszołomiony Tayne potrząsnął lekko głową, odruchowo próbując się pozbyć halucynacji, i w jednej chwili zeszywniał. Zrozumiał, że zjawa jelenia to nie ostatnia wstrząsająca rzecz, którą przyjdzie mu zobaczyć.

Z półmroku, z miejsca, gdzie przed chwilą pojawiło się widmo zwierzęcia, wybiegła zdyszana Penelopa.

*

Muchalew niewiele zapamiętał ze sceny, która rozegrała się przed drzwiami do szkoły. Jak przez mgłę pamiętał, że uderzył go brutal ze złamanym nosem, mocno, o wiele mocniej niż ów mężczyzna w Hyrynsalmi. Przed drugim ciosem zdołał się uchylić i wielka pięść pułkownikowskiego adiutanta wyrznęła we framugę. Przez tępą twarz żołnierza przemknął niewyraźny grymas bólu, ale wtedy Muchalewa grzmotnął w brzuch skośnooki Uzbek. Lejtnant wychrypiął jakąś groźbę, co tylko rozjuszyło obu osiłków. Po kolejnym uderzeniu, którego uniknąć już nie zdołał, stracił przytomność.

Gdy się ocknął, leżał na podłodze obok miotły i kubła, ustawionych w kącie obróconej w perzynę sali lekcyjnej. Po czwórce jego ludzi nie było śladu. Brutal, który uderzył go pierwszy, dojadał konserwę po którymś z nich, a Uzbek klęczał i pieczołowicie ustawiał wieżę ze straconych na ziemię podręczników.

Z pokoju nauczycielki, który sąsiadował z klasą, dobiegał rumor roztrącanych i przewracanych mebli, co chwila przerywany rechotem Suszki.

– Kto ci, Muchalew, tak mordę skroił, co? – spytał brutal, wyjadając palcami zawartość puszek.

Lejtnant nie odpowiedział. Nasłuchiwał.

– Chętnie bym ci dorzucił drugą taką pręgę – ciągnął adiutant. – Równoległą. Lubię porządek.

Uzbek wstał, przyjrzał się swej wieży i rozrzucił ją jednym potężnym kopnięciem. Podręcznik do nauki czytania, opatrzony fińskimi flagami, zatrzymał się tuż przed nosem Muchalewa.

– Ja też lubię porządek – oświadczył.

Zza zamkniętych drzwi dobiegło głucho stęknienie.

– No, stary sobie poużywa – westchnął Uzbek. – Podzieli się z nami? Co, Wasilij? Podzieli się? Jak myślisz?

– Cholera go wie. – Wasilij zapalił papierosa. – Niemłody ten nasz kamandir i czasu więcej mu trzeba. Możliwe, że gdy skończy, nie będzie już na co patrzeć.

– Ja tam patrzeć nie muszę.

– Boś jest jebany Mongoł, który rżnie kozy – oświadczył brutal, na co Uzbek wzruszył jedynie ramionami, czym zasugerował, że podobne rozmowy między nimi należą do codzienności.

Muchalew zaś, zapomniany na moment przez obu adiutantów, odwrócił głowę i zacisnął powieki. Nie chciał, by któryś z nich dostrzegł żal w jego oczach. A żałował, i to bardzo. Mógł przecież zapomnieć o odwecie. Mógł nie wysłać Kamieniewa i reszty w ślad za przekłętą Esmeraldą. Mógł być już w połowie drogi do Pasa Ilmarinena...

Płacę za własną żądzę zemsty, przemknęło mu przez głowę. Utknąłem wśród tych bydlaków, bo postanowiłem okazać gniew tej, która... która właściwie zrobiła już wszystko, co do niej należało. Mogła w zasadzie odejść i zniknąć z mego życia. Po co mi to było...?

I wtedy, gdy wpatrywał się w drzwi do izby nauczycielki, tknęła go kolejna myśl.

Ta cała Sumu powiedziała mi wszak dość. Jej też już nie potrzebuję! Jej ani całej drużyny! Mógłbym po prostu przypiąć narty i zniknąć, a kilka godzin później odkryć źródło prawdziwej mocy!

Uderzyło go to, że po raz pierwszy od dawna pomyślał nie o swoich zwierzchnikach i drabinie awansu, ale o sobie. Bo i sekret, który wyznała mu Sumu na widok lufy pistoletu wspartej o czaszkę zapłakanej, drżącej na całym ciele wieśniaczki, stanowił jak dotąd jego własność i im dłużej o nim myślał, tym mniejszą ochotę miał składać meldunek *naczalstwu*.

Co by mi to dało? Co bym w ten sposób zyskał? A co oni zrobiliby z Pasem?

Pogrążony w gorączkowych rozmyślaniach całkiem zapomniał o obu adiutantach i o Suszkinie. O tym ostatnim przypomniał sobie dopiero, gdy drzwi do izby nauczycielki drgnęły i otworzyły się z powolnym, przeciągłym skrzypnięciem.

Na progu stał pułkownik Suszkin, nadal w ubraniu, choć z rozpiętymi spodniami. Okrucieństwo i kpina całkiem znikły z jego surowego, nieprzyjemnego oblicza. Teraz malowało się na nim skrajne niedowierzenie graniczące z szokiem.

Obaj adiutanci zerwali się na równe nogi i zaszutowali sztywno.

Muchalew odwrócił głowę i odnalazł wzrokiem Sumu. Dziewczyna, zwiwna niczym kłęb mgły, poprawiła rozdartą pod szyją koszulę, a potem płynnym ruchem postawiła krzesło i nakryła się kocem. Jej wzrok, pusty i nieobecny jak wcześniej, znów padł na okno. Zachowywała się, jakby zupełnie nic się nie stało.

Bo może, przemknęło Muchalewowi przez myśl, rzeczywiście nic się nie stało?

Wtedy uświadomił sobie, że Suszkin spogląda prosto na niego. Lejtnant usiadł, ignorując ból obitych żeber.

– Muchalew... – wychrypiał pułkownik. – Skąd ty ją masz?

Lejtnant milczał.

– Gdzie żeś ty ją znalazł, co? – Oficer zrobił krok ku niemu, a potem drugi.

Muchalew kątem oka zauważył, że Uzbek wybałuszył oczy, a jego towarzysz otworzył usta ze zdumienia i bezwiednie opuścił uniesioną do salutów rękę.

– Towarzyszu pułkowniku – wymamrotał. – Przecież wy... wy...

Suszkin potrzęsnał głową, a następnie roześmiał się gromko i uniósł prawe kolano w górę. Postawił stopę na podłodze, kopnięciem przewrócił uczniowski pulpit, by zrobić sobie więcej miejsca, a potem, wciąż się śmiejąc, skrzyżował ramiona, przysiadł na piętach i zaprezentował kilka figur kazaczoka.

– Ha, ha! Co wy na to, chłopaki, co? Ha, ha, ha! – rechotał, nieco zasapany, podczas gdy zaskoczeni adiutanci klaskali do rytmu. – Z jednej wojny wróciłem ze sztywnym kolanem, a z drugiej wrócę z miękkim! Obłapiła mnie suka, przytrzymała i nagle... Patrzcie no tylko! Umie który tak wycinać? Pokaż, Wasilij, na co cię stać! Ty też, Umid!

Za oknem wirowały płatki śniegu.

*

Ten sam śnieg padał na włosy Penelopy, krępowanej przez sowieckiego żołnierza.

Jasne loki jego żony były o wiele dłuższe, niż sobie zapamiętał, a jej policzki nie wydawały się już tak uroczo pucułowane. Gdzieś zniknęły też dołeczki, a drobne usta, jak zwykle mocno zaciśnięte, pocięte były strupami. Jej oczy jednakże, choć szkliste ze zmęczenia, choć okolone liczniejszymi zmarszczkami niż kiedyś, poznałby zawsze i wszędzie, zwłaszcza gdy patrzyła na niego tak jak teraz.

Jakby świat nie istniał. Jakby za jej plecami nie stał przeklinający, brutalny Rosjanin, który szarpał ją raz za razem, próbując mocniej obwiązać nadgarstki. Jakby nie znaleźli się w samym środku mroźnej puszczy, w samym środku krwawej, niepotrzebnej wojny.

Jakby nie mieli za sobą dwóch lat cierpień.

Penelopa patrzyła na niego i uśmiechała się doń samymi tylko oczami, z niedowierzaniem, ale i ulgą. Michael poczuł, jak jego serce zalewa fala tkliwości i radości.

Odnalazł ją. Dopiął swego – odnalazł ją.

Przez moment zapomniał o wszystkim. Nie słyszał wrzeszczących, wymachujących bronią Sowietów, nie widział zalanego krwią Turnera ani śmiertelnie bladego Astleya. Nie pamiętał o tym, że znalazł się na skraju znanego sobie świata.

Patrzył na cudem odnalezioną żonę i miał ochotę się śmiać. Zrobił nawet krok ku niej, lecz brutalne szarpnięcie za więzy zmusiło go do zatrzymania się. Już odwracał się ku sukinsynowi, który odważył się stanąć na jego drodze do szczęścia, ale Penelopa najwyraźniej rozpoznała to spojrzenie, bo jej usta rozchyliły się nagle i padło z nich jedno ledwie słyszalne słowo:

– Nie.

Tayne znieruchomiał i zerknął na żonę z niedowierzaniem. Penelopa odwzajemniła mu się spojrzeniem, które wydało mu się znajome, ale... zaskoczyło go, jak wielki hart ducha się w nim skrywał. Kochał Penny i widział ją w różnych sytuacjach, ale po raz pierwszy wydała mu się nieustępliwa niczym lodowiec. Była zziębnięta, głodna i wymizerowana, a w sytuacji, w której się znalazła, nic nie mogło napawać optymizmem, ale mimo to emanowała pewnością siebie.

Udaje, pomyślał Michael. Udaje ze względu na mnie.

Coś mu jednak mówiło, że to niemożliwe. W ciągu trzech lat, jakie spędził z Penelopą, poznał ją doskonale i wiedział, że jego żona jest szczerą do bólu.

Cokolwiek się z nią w tej fińskiej puszczy stało, mogło jedynie ową szczerość ugruntować. Penny nie umiała udawać.

Jest niezniszczalna, pomyślał z podziwem.

Patrzył, jak się rozgląda. Kiedy jej wzrok natrafił na Astleya, przez jej wymizerowane oblicze przemknął osobliwy grymas, którego Tayne nie zrozumiał.

Sowieci nie pozwolili mu na dalsze przemyślenia czy spostrzeżenia. Każdy z nich kilkoma szarpnięciami upewnił się, że więzy łatwo nie puszcza, a potem ustawili czwórkę więźniów w linii. Poorany bliznami podoficer stanął na czele i wyrzucił z siebie kilka chrapliwych słów, które stały się zrozumiałe w chwili, gdy przejechał dłonią po szyi, naśladując poderżnięcie gardła.

– Przyjemniaczek, kurwa jego mać – burknął Turner. – Astley, nie dałbyś rady...

Któryś z żołnierzy warknął głucho, przypadł do dziennikarza i grzmotnął go kolbą karabinu w tył głowy. Ten zatoczył się i padł, pociągając za sobą linę, do której przywiązani byli pozostali.

– Nie wiem, ile razy oberwałem podczas tej wyprawy – wymamrotał Amerykanin, podnosząc się z trudem – ale obiecuję, że...

– Cicho bądź! – syknął Tayne i przeniósł wzrok na czerwonoarmistę, który przymierzał się do kolejnego ciosu. – Spokojnie, przyjacielu. Opuść tę giwerę – wyszeptał łagodnie. – Jeszcze się spocisz, biedaczysko.

– Uspokój się, Iwan – dodał ledwie słyszalnym głosem Astley. – Bohater z ciebie jakich mało i wszyscy to widzą!

Żołnierz, krępy, skośnooki mężczyzna o śniadej cerze, opuścił broń i splunął na śnieg.

Podoficer krzyknął raz jeszcze i poprowadził niewielką grupę naprzód.

W chwili, gdy Tayne wykonał pierwszy krok, jego umysł natychmiast zaczął analizować sytuację. Rosjanie ich rozbroili, skrępowali bez pardonu, a na koniec powiązali jedną liną. Dwóch żołnierzy ubezpieczało czwórkę jeńców z prawej, dwóch z lewej, a szósty czerwonoarmista zamykał pochód. Każdy z nich miał w ręku karabin gotowy do strzału, a ich twarze, czujne i pełne napięcia, dały mu do zrozumienia, że nie są zwykłymi poborowymi, tępymi i skłonnyymi do przemocy.

Nie, ci ludzie znali las, potrafili walczyć i znali wagę rozkazu. Być może w innej sytuacji zdecydowałby się rzucić im wyzwanie, ale nie teraz, gdy przed sobą miał plecy Penny, ślaniającego się na nogach Astleya i ciężko poturbowanego Turnera.

Mimo to nie porzucał nadziei. Zapadał zmrok, a w powietrzu coraz gęściej wirowały płatki śniegu. Mrok jest naturalnym środowiskiem dla ludzi odważnych

i szalonych. Tayne należał do obu tych grup.

Pobliżniony podoficer prowadził ich jak po sznurku na południe, a więc zapewne w kierunku drogi między Hyrynsalmi a Raate, na której stacjonowały sowieckie jednostki.

Jest ich sześciu, powtarzał w myślach Michael. Tylko sześciu. Znajdę jakiś sposób. Załatwię ich. Zniszczę. Będziemy wolni. Wszyscy.

Patrzył na tył głowy Penelopy. Był pewien, że się uśmiecha.

A potem usłyszał, że zaczęła cichutko śpiewać.

Słowa jej pieśni, ciche, niemalże szeptane, były dla Tayne'a całkowicie niezrozumiałe, ale z zaskoczeniem uświadomił sobie, że otulają go niczym ciepło z piecyka w deszczowy wieczór. Zawsze uważał, że Penny ma niezwykle piękny głos, aksamitny i subtelny, ale nigdy dotąd żadna jej pieśń nie kryła w sobie tak osobliwej mocy. Wyśpiewywane przez nią słowa wirowały wokół nich i wlatywały w zimową noc, w przedziwny sposób wpisując się w magię zamarzniętego lasu.

I przyzywając czarowną moc ku sobie.

Michaelowi przez moment się wydawało, że Sowietci wcale jej nie słyszą, ale nagle jeden z nich, ten sam, który przed chwilą zamierzył się na Turnera, odwrócił się z wściekłą miną.

– *Tiszna, suka!* – warknął, wznosząc karabin do uderzenia.

Tayne'owi zrobiło się czerwono przed oczami, ale myśli nadal miał jasne. Nie musiał się już martwić o przyszłość, bo zostało mu tylko jedno zadanie – po prostu musiał przeszkodzić sowieckiemu bydlakowi w spuszczeniu kolby na głowę Penelopy. Zamierzał go powstrzymać, nawet gdyby miało to oznaczać śmierć.

Wówczas wydarzyły się trzy rzeczy jednocześnie.

Michael, wiedząc, że nie zostało mu nic czasu do stracenia, rzucił się na Rosjanina, celując głową w jego brzuch. Penelopa, która zrozumiała, że nie zdoła już dokończyć swej pieśni, wykrzyczała ostatnie dźwięki ostrym, przesywającym głosem, a zamierzający się na nią żołnierz dostrzegł szarżującego Michaela.

Uskoczył w bok i choć Anglik zdołał pochwycić go za płaszcz, uderzenie serca później żołnierz rąbnął go kolbą karabinu w plecy. Cios wybił Tayne'owi powietrze z płuc i sparaliżował bólem. Tayne padł na zamarznęty śnieg, z trudem usiłując nabrać tchu. Obok niego leżała Penelopa, którą pociągnął za sobą, gdy rzucał się do ataku, a dalej zaskoczony Astley. Michael uniósł głowę i wbijając palce w śnieg, próbował się podnieść. Półprzytomny z bólu, chciał chociaż zakryć dziewczynę własnym ciałem.

Wtedy noc rozświetlił wystrzał.

Poblížniony podoficer, nie przestając krzyczeć, przeładował broń, podrzucił ją do ramienia i znów nacisnął spust. W blasku płomienia wylotowego Michael dostrzegł w jego szeroko otwartych oczach skrajne przerażenie.

Strzelał nie do nich, ale w las.

Naraz reszta jego ludzi zapomniała o więźniach. Odwracali się ku ciemnościom puszczy i strzelali jeden obok drugiego, przerażeni, na granicy paniki. Któryś wyrzucił niedziałający karabin i wyciągnął pistolet, inny, również z zaciętą bronią, wyciągnął długi nóż i zaczął przeraźliwie krzyczeć, rzucając wyzwanie niewidocznym jeszcze przeciwnikom. Tayne zrozumiał, że lepszej okazji nie będzie. Wiedział, że powinien się poderwać, skoczyć na najbliższego Rosjanina, wyrwać mu broń i skierować ją przeciwko pozostałym, ale wtedy zerknął w las.

W mroku przemykały jakieś istoty.

Przez chwilę krótką jak zdmuchnięcie świecy trzymał się rozpaczliwej nadziei, że ich eskorta znalazła się pod ogniem fińskich snajperów, ale logika nakazywała natychmiast ją odrzucić. Przecież wściekłej, bezładnej kanonadzie czerwonoarmistów nie odpowiedział żaden wystrzał! Przybierająca na sile śnieżycy zacierała wiele szczegółów, ale Tayne był pewien, że zbliżające się do nich krępe i przysadziste, zdecydowanie człekokształtne istoty miały niewiele wspólnego z ludźmi. Żaden człowiek nie biega tak szybko, nie prześlizguje się od drzewa do drzewa z taką prędkością. Między gałęziami drzew unosił się szyderczy, nieziemski chichot przybyszów. Istoty skakały wokół niewielkiego oddziału, drwiąc sobie z ogłuszającej palby, aż wreszcie któraś przypadła do jednego z żołnierzy, wyrwała mu karabin, zdzieliła go kolbą niczym maczugą i zniknęła w śnieżycy.

Miała długie, szpiczaste uszy i garbaty nos. A także ogon.

– Chryste Panie, co to za paskudztwa?! – zawołał przerażony Turner.

– *Hiisi* – szepnęła uśmiechnięta dziko Penelopa.

Sowieckie karabiny cichły jeden po drugim, aż wreszcie puszcza na powrót zawładnęła cisza.

*

Pierwsze nieśmiałe płomienie rozchodzące się po suchych szczapach wydały się Michaelowi najpiękniejszym widokiem od dobrych kilku lat. Kucał przy przerdzewiałym piecyku i grzał dłonie, patrząc, jak migotliwy blask ognia powoli rozchodzi się po przesłoniętych starymi skórami i futrami ścianach starej traperskiej chaty, którą znalazła Penelopa. Potem westchnął i spojrzął za siebie.

Wyczerpany do cna, półprzytomny Astley otwierał i zamykał oczy, ze wszystkich sił walcząc z ogarniającym go snem. W końcu dał za wygraną, wyciągnął się na deskach podłogi i zagarnął na siebie koc. Turner, nie zwracając uwagi na rozbitą, opuchniętą wargę, wyjadał nożem zawartość zabranej Rosjanom konserwy i mamrotał coś do siebie. Sprawiał wrażenie, jakby nie pamiętał ani o bójce z Tayne'em, ani tym bardziej o porwaniu przez czerwonooarmistów i zagadkowej odsieczy. Penelopa zaś siedziała oparta o ścianę z kolanami przyciągniętymi do piersi i wpatrywała się w Michaela wzrokiem, którego ten nie potrafił rozgryźć.

– Będzie się palić – powiedział trochę bez potrzeby, bo ogień płonął coraz mocniej. – Nie zmarzniemy.

– Zjedz coś, człowieku – burknął Turner, przełknąwszy, i popchnął rosyjską konserwę, która potoczyła się po podłodze i zatrzymała przy bucie Michaela. – Zasłużyłeś. Niczego sobie, przyznam, choć wolałbym chyba nie wiedzieć, co ruska fabryka naprawdę zmieliła i upchnęła w tej konserwie.

Tayne wbrew sobie pokręcił głową.

– Później – powiedział. – Później, Nix.

– No tak! – Dziennikarz pokiwał głową i wsunął sobie do ust wielkie cygaro. – Przecież są ważniejsze sprawy niż jedzenie. Na przykład to, czym były te uszate małpy, które wywlekły ruskich w mrok. Nie żebym za nimi tęsknił, ale dobrze by było wiedzieć, co tu się wyprawia.

– Są rzeczy – Michael z trudem wyprostował ścierpnięte nogi – jeszcze ważniejsze od uszatek małp.

Wyciągnął rękę, by pomóc Penelopie się podnieść, ale ta wstała o własnych siłach, nie patrząc na jego dłoń. Otworzyła drzwi chaty i wyszła na zewnątrz, w sam środek roztańczonej śnieżycy. Schroniła się za ścianą osłoniętą od wiatru i ukucnęła. Tayne poszedł w jej ślady.

Przez chwilę oboje milczeli, wpatrując się w wirujące wokół drobiny, a Michael z narastającym zdumieniem uświadomił sobie, że jak dotąd nie poświęcił ani jednej myśli chwili, która właśnie miała nastąpić. Był tak bardzo skupiony na próbach odnalezienia Penny, że zupełnie nie zastanawiał się nad tym, co jej powie, gdy się wreszcie spotkają.

Przecież podzieliło ich tak wiele...

NieZRęcną chwilę przerwała Penelopa.

– Wiedziałam, że mnie szukasz.

Jej głos, pozbawiony już mocy magicznej pieśni, wydał mu się inny, niż go zapamiętał, bardziej surowy, mocniej zachrypnięty, zdecydowanie starszy. Wyczuwał w nim radosną nutę sprzed lat, ale wydawała się teraz odległa, niedostępna niczym bryłka złota zatopiona w zimnym bursztynie.

– Naprawdę? – Tayne uniósł brew, splatając palce. – Cieszę się, że pamiętałaś o mnie.

– Nie pamiętałam – mruknęła Penelopa. – Przypomniałam sobie o tobie dzięki... dzięki ojcu. Odebrałam jego... – przygryzła wargę – jego myśl. A raczej myśli. Na tyle wyraźne, bym doszła do wniosku, że na pewno skorzystał z jakichś czarodziejskich praktyk, by mnie ostrzec. Wiesz, Biblioteka jest pełna rozmaitych magicznych przedmiotów. Ojciec przekazał mi, że mnie szukasz.

– To on mnie tu wysłał – przyznał Michael. Z jakiegoś powodu nie mógł się zdobyć na to, by na nią spojrzeć. – Jesteś dla niego wszystkim, Penny. Gdyby to było możliwe, zapewne przybyłby tu osobiście.

Penelopa prychnęła cicho. Tayne zerknął w bok i dostrzegł, że przez jej popękane, mocno zaciśnięte usta przemknął cień uśmiechu.

– Czuwał nade mną przez cały czas. Jestem przekonana, że to on wysłał tego anioła, który obronił mnie w Hyrynsalmi – powiedziała. – Przeraził mnie ten oficer, który rzucił się na mnie. Miał minę, jakby... jakby mnie skądś znał. Jakby był gotów na wszystko, by mnie pojmać. – Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Michael ze wszystkich sił opanował odruch otulenia jej ramieniem i przyciągnięcia do siebie. Choć marzył o tym z całego serca, wiedział, że ten moment jeszcze nie nadszedł, o ile w ogóle miał kiedyś nastąpić.

– Czemu tam pozostałaś? – spytał rzeczowo. Starał się mówić tak, jak czyniłby to ktoś kiedyś jej bliski i nadal życzliwy, ale wolny od uczuć. – W Hyrynsalmi była przecież stacja kolejowa, a z Suomussalmi uciekały rzesze ludzi, pieszo, na wozach, czasem samochodami. Po co tam zostałaś?

Penny milczała przez chwilę.

– To skomplikowane – odezwała się w końcu. – Nawet bardzo. I na tym może poprzestańmy, dobrze?

– Nie. – Tayne pokręcił głową. Wyciągnął papierosa i osłaniając dłonią zapalniczkę, z trudem go zapalił. – Nie, Penny. Nie przebyłem połowy Europy i nie wylądowałem w samym środku pieprzonej wojny tylko po to, byś teraz mnie zbyła. Przyjechałem tu po to, by cię wyciągnąć z tego piekła i...

– A czy spytałeś mnie o to, czy ja tego chcę? – syknęła Penelopa.

Tayne zaciągnął się papierosem i pokręcił głową, wydmuchując dym.

– Śnieżyce. Sowici. Wybuchy. Lasy i bagna – wycedził, nie patrząc na żonę. – Prawda. Kto by się oparł takim atrakcjom.

– Odpieprz się.

– Na to też bym na twoim miejscu nie liczył. Czemu chcesz tu zostać?

– Daj mi spokój, Michael. – Penelopa odepchnęła się od ściany chaty i wstała.

– Doceniam twe wysiłki, ale ty i ojciec... Cóż, jesteście dla mnie postaciami

z innego świata, coraz mniej wyraźnego, coraz bardziej nierealnego. Mieszkam tu od wielu, wielu miesięcy i...

Przez moment z lubością wsłuchiwała się świst wiatru, który bawił się jej lokami.

– ...i te lasy i bagna stały się dla mnie nowym domem – dokończyła. – Nigdzie się stąd nie ruszam.

– Penny, musisz mi wyjaśnić...

– Nic nie muszę. Chodź do środka. Pora odpocząć – rzuciła i odwróciła się, by wrócić do chaty.

– Czy twój upór, by tu pozostać, ma związek z Sumu? – spytał ostro.

Kobieta zatrzymała się i odwróciła powoli. Jej blada, wymizerowana twarz jaśniała w ciemnościach.

– Skąd wiesz o Sumu? – spytała ze zdziwieniem.

– Wiem o wiele więcej. Wiem o tym, że połączyła cię przyjaźń z dwoma córkami karelskiego szamana. Wiem, że z uzdrowicielką Sumu czekałyście w Hyrynsalmi, aż Hämärä odnajdzie ojca i razem do was dotrą. Słyszałem wasze wietrzne słowa, dzięki którym udałem się we właściwym kierunku, by móc cię znaleźć. I choć z tym cholernym sowieckim patrolem najwyraźniej uporałabyś się sama, śmiem twierdzić, że nie jestem ci zupełnie zbędny. Bo na przykład wiem, co się stało z Sumu, i potrafię mniej więcej ustalić, gdzie jest przetrzymywana.

Penelopa wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, które lśniły pośród śnieżycy jak para lodowych klejnotów.

– Wiesz to? – wychrypiała, robiąc krok ku niemu. – Naprawdę?

– Tak. – Tayne zaciągnął się po raz ostatni i rzucił niedopałek w śnieg. – Mniej więcej. Porwał ją ten rusek, który chciał złapać ciebie, i uciekł ze swymi ludźmi w kierunku granicy. Ma nad nami dobrych kilka godzin przewagi.

– Kilka godzin przewagi – jęknęła ze zgrozą Penelopa. – Dobry Boże, Michael... Co będzie, jeśli ten skurwiel ją skrzywdzi? Sumu... To cudowna dziewczyna. Ona ma niebываły wprost talent, ale wrażliwość dziecka. Każdy, kto tylko będzie chciał, wyciągnie z niej każdą tajemnicę! To dlatego wraz z Hämärą nakłoniłyśmy ją, by została w Hyrynsalmi. Miałam ją pilnować, miałam strzec, by nic jej się nie stało...

Urwała i zacisnęła powieki.

– O jakich tajemnicach mówisz? – spytał Tayne.

Kobieta znów zacisnęła usta, spojrzała w bok i pokręciła głową.

– Posłuchaj, Penny – powiedział cicho Michael. – Nie zabiorę cię stąd siłą. Wręcz przeciwnie, zostanę tu i pomogę ci, bo... Cóż, bo tak się osobliwie składa, że chwilowo i tak nie mam co ze sobą zrobić. Co więcej, młody Astley, który z przerwami towarzyszy mi w tej wyprawie od Londynu, również jest żywo

zainteresowany odnalezieniem Sumu. Z jakichś powodów stało się to dla niego ważniejsze niż odnalezienie pasa Ilmarinena, co zlecił mu dziadek.

Zauważył, że ledwie dostrzegalnie drgnęła, gdy wymówił nazwę tajemniczego artefaktu, ale opanowała się błyskawicznie i skrzywiła popisowo.

– Pieprzę obu Astleyów – wycedziła. – Zarówno starego, jak i młodego.

– Nie teraz, Penny – westchnął Michael. – Nie teraz. Będziesz pluć jadem, kiedy zrobi się bezpiecznie. A teraz skupmy się na ocaleniu Sumu. Wiem, że umiem ją odnaleźć, a jeśli do tego dojdzie, spróbuję ją odbić z rąk Sowietów. Młody Astley, który tak bardzo działa ci na nerwy, zwrócił mi ostatnio uwagę na pewien osobliwy talent, którym rzekomo władam. Wyczuwam jednak, że kryje się w tej sprawie jakieś głębsze dno, i muszę je poznać. Powiesz mi, o co ci chodzi?

Penelopa wpatrywała się w śnieżycę. Wyraźnie biła się z myślami.

– Chodzi o pas Ilmarinena? – spytał półszepem Tayne.

W oczach Penelopy, która gwałtownie odwróciła się ku niemu, błysnęła złość.

– Skąd to wiesz?

– A więc trafiłem – rzekł Michael i mocniej otulił się płaszczem. – Czyli on istnieje?

Penny obrzuciła go surowym, zimnym spojrzeniem.

– Istnieje – powiedziała niechętnie. – Nad czym ubolewam.

Tayne westchnął.

– Robi się naprawdę zimno. Opowiesz o wszystkim w środku?

– Co? – parsknęła. – Mam zdradzić największą tajemnicę tej okolicy nie tylko tobie, ale i dwójce twoich przygodnych koleśków?

– Turner to nadęty dupek, jak każdy dziennikarz. Do tego cechuje go zamiłowanie do podsłuchiwania i pewnie sporo już wie, choć nie mam pojęcia, jak sobie to w głowie poukładał – mruknął Tayne. – Ale odważny jest jak sam diabeł i niejedną raz mi życie uratował. A co do Astleya, wiesz, że to właśnie on wyszedł z propozycją uratowania Sumu.

– Rycerz w lśniącej zbroi. – Kobieta prychnęła pogardliwie.

Tayne odwrócił wzrok.

Penelopa i młody Astley ewidentnie skądś się znali, i to na tyle, by Penny zdążyła zapalać do niego niechęcią. W zasadzie nie było w tym nic dziwnego – Cedric de Woort i Maurice Astley byli przyjaciółmi od wielu lat i należało się spodziewać, że ich rodziny będą miały okazję się poznać – ale mimo to Michael poczuł lekką gorycz na myśl o tym, że żona nigdy się z tą znajomością przed nim nie zdradziła.

– Na lepszych powierników tu nie trafisz, Penny – powiedział sucho.

- Śliski amerykański dziennikarzyna i wnuczek pieprzonego Maurice’a Astleya. – Znowu prychnęła. – Rzeczywiście świetnie.
- Jeśli chcesz, byśmy pomogli Sumu, opowiedz nam o wszystkim, co wiesz.
- Szlag by was trafił – warknęła i wróciła do chaty.

*

W chwili, gdy Penelopa, z twarzą wykrzywioną niechęcią, uklękła na podłodze naprzeciwko trzech mężczyzn i rozpoczęła swą opowieść, a pułkownik Suszkin, rozpromieniony jak nigdy, rozlał wódkę na katedrze nauczycielskiej i przysunął kieliszek Muchalewowi, na zegarze w gabinecie Maurice’a Astleya wybiła dziewiąta. Astley senior, blady ze zmęczenia, usiadł za biurkiem, splótł palce i milczał, wpatrzony w dogasające płomienie kominka.

Przyglądający mu się Cedric de Woort doszedł do wniosku, że jedynie resztki wrodzonej zawziętości dzielą jego wieloletniego przyjaciela od śmierci ze znużenia.

Sam siedział nieruchomo, również milcząc. Cisza przeciągała się, co stwarzało okazję, by poczucie winy znów zaczęło wydostawać się spod kontroli. De Woort wyprostował się z hardą miną i przygryzł wargę, gotów się zerwać, rzucić Astleyowi w twarz to, co o nim sądzi, przepchnąć się obok Jeffa, stojącego nieopodal niczym mroczny anioł stróż, i wyjść z tego gabinetu, a potem nigdy już do niego nie wrócić.

Wiedział jednak, że Jeff by go powstrzymał. Wiedział też, że jego wyjście z gabinetu Astleya w zasadzie niczym by się nie różniło od ucieczki.

Bo przecież z pełną świadomością złamał najważniejszą zasadę Biblioteki.

Milczeli. Po ścianach gabinetu przesuwwały się ogromne cienie, płomienie skakały w kominku.

– Cedriku – odezwał się w końcu Astley. – Ty wiesz, co my tu robimy, prawda? Pamiętasz o tym przez cały czas? Nie zapomniałeś?

De Woort nie odezwał się ani słowem. Astley przetarł pobrużdżone czoło.

– Tak, pytanie wydaje się idiotyczne, ale chcę mieć pewność, że nie postradałeś zmysłów. Będę więc brał twoje milczenie za potwierdzenie. Wiesz, po co powstała Biblioteka i czym zajmujemy się my wszyscy, zarówno badacze, jak i agenci, prawda? Wiesz, po co istnieją nasze filie na Malcie, w Kairze, Singapurze i Halifaxie?

Cedric milczał. Astley bębnił palcami po blacie biurka.

– Wiesz, co oznacza tykanie w Sali Zegarowej? Słyszałeś o Czarnej Zgrozie?

De Woort odwrócił wzrok. Przyjaciel pochylił się ku niemu i syknął:

– A więc co, na litość boską, skłoniło cię, by zacząć wykradać artefakty i z nich korzystać? I to akurat teraz, gdy od inwazji Czarnej Zgrozy dzielą nas dosłownie chwile?

– Co mnie skłoniło – powtórzył de Woort głucho, z pogardą, i podniósł głowę. – Maurice, ja doskonale wiem, po co powstała Biblioteka i jakim celom służy. Pytanie brzmi, czy ty nadal to wiesz. Mam bowiem wrażenie, stary przyjacielu, że od pewnego czasu traktujesz świat jak wielką planszę do gry. Rozstawiasz na niej figurki i przesuwasz wedle własnego widzimisie, zainteresowany jedynie wielkim zwycięstwem, obojętny na stosy pionków, które rosną na podłodze.

– Zwycięstwem? – Astley zmarszczył brwi z niedowierzaniem. – Uchronienie świata przed Czarną Zgrozą nazywasz zwycięstwem? Wybacz, ale coś ci się jednak w głowie poprzestawiało, Cedriku. Myślisz, że kierują mną moje własne ambicje?

– Nie – odparł de Woort. – Wiem, że oddałeś Bibliotece większą część swego życia i całą energię. Obawiam się jednak, że gdzieś podczas tej chwalebnej kampanii zapomniałeś o emocjach i uczuciach. Ci, którzy ci służą, są ludźmi. Kochają, boją się, marzą, tęsknią. Śpią, jedzą i czytają książki. To ludzie. Moja Penelopa jest człowiekiem.

– Tak, wiem. – Astley potrząsnął głową z roztargnieniem. – Wiem, na litość boską. Czy nie dlatego właśnie zgodziłem się na tę akcję ratunkową?

– Wysłaliśmy dwóch ludzi, mojego zięcia i twojego wnuka, w sam środek mroźnego pustkowia – wycedził Cedric. – Przedsiębiorczych, odważnych i obdarzonych niebagatelными umiejętnościami, ale wciąż raptem dwóch. Pchnęliśmy dwóch ludzi bez broni i bez kontaktów na śnieżne fińskie pustkowia, by znaleźli samotną kobietę w samym środku sowieckiej ofensywy. Nie brzmi ci to jak kompletne szaleństwo? Ba, sam niedawno chciałeś podsumowywać ich szansę w żołnierskich słowach.

Urwał, by nabrać tchu.

– Naprawdę się dziwisz, że próbowałem jej jakoś pomóc? – podjął. – Przecież pamiętasz, co mi zdradziły karty Tagelianiego. Penelopa i Michael będą mieć przeciwko sobie potężnego przeciwnika. Co będzie, jeśli ten człowiek zapuścił się w tamte rejony, by znaleźć pas Ilmarinena?

– Nie mamy pewności, czy ten przedmiot istnieje.

– Ale nie możemy wykluczyć, że go nie ma. A jeśli go nie ma, to czego szuka ten, który idzie po śladach Penelopy?

– Nie wiem! – wrzasnął niespodziewanie Astley i walnął pięścią w stół. – Nie wiem – dodał ciszej. – Wiem tyle, że Czarna Zgroza jest naprawdę blisko i za każdym razem, gdy sięgasz po artefakt z naszej kolekcji, przybliża się jeszcze bardziej.

– Przedmioty, po które sięgnąłem, mają stosunkowo niewielką moc – oświadczył de Woort. – Pas Ilmarinena zaś, jeśli wierzyć podaniom, jest artefaktem o ogromnej mocy, równym młotowi Thora, Excaliburowi czy młynkowi Sampo.

– Żaden z nich nie istnieje – warknął Astley. – I nie zmieniaj tematu! Mieliśmy mówić o twoich... cóż, wykroczeniach, a nie analizować moc kolejnego z legendarnych artefaktów.

– Nie zmieniam tematu, a jedynie go rozwijam – powiedział sucho de Woort. – Zarzucasz mi, że pomieszało mi się w głowie, ale to akurat tobie zabrakło szerszej perspektywy. Tak, Maurice, popełniałem... cóż, wykroczenia, dlatego że bardzo kocham moją córkę i zrobię wszystko, by ją ocalić, nawet jeśli nadpiłuję przy tym gałąź, na której wszyscy siedzimy. Nie mogę jednak wykluczyć, że Penelopa dowiedziała się czegoś o pasie Ilmarinena, a w tej sytuacji w interesie nas wszystkich jest, by ją stamtąd wyciągnąć. Bo jeśli moja czarna wizja się sprawdzi i ścigającemu ją człowiekowi zależy dokładnie na tym, na czym zależy nam, to już po nas, Maurice.

Cedric wstał, nie zwracając uwagi na Jeffa.

– To oczywiście tylko spekulacje. – Odwrócił się w stronę drzwi. – Ale wyobraź sobie, stary przyjacielu, że pas Ilmarinena naprawdę istnieje. I że pojawi się ktoś zdeterminowany, by go zdobyć, ktoś, kto wykorzysta zamieszanie wojenne, by do niego dotrzeć, zwłaszcza że strzeże go bezbronna kobieta. Jeśli się nie mylę co do mocy pasa... a wierz mi, że bardzo chcę się pomylić... wystarczy wykorzystać go raz, by Czarna Zgroza uznała to za zaproszenie do naszego świata.

– A skąd to przypuszczenie, że Penny dowiedziała się czegokolwiek? – Astley poderwał się, przewracając krzesło. – Skąd wiara w to, że ścigający ją człowiek o tym wie? Nie sądzisz, że to wszystko naprawdę grubymi nićmi szyte?

De Woort parsknął.

– Mówisz jak saper, który czule poklepuje starą bombę, a następnie odwraca się i mówi: „Eee tam, popatrzcie tylko. Nie wybuchnie!” – Położył dłoń na klawce.

– To bzdury! – krzyknął Astley. – Wymysły, którymi usprawiedliwiasz swe egoistyczne występek! Narazasz nas wszystkich dla... dla miłości!

Cedric zatrzymał się w progu.

– Powtórz sobie w myślach to, co właśnie mi powiedziałeś – powiedział. – A potem zadaj sobie pytanie, czy naprawdę wszystko z tobą w porządku.

ROZDZIAŁ 12

10 grudnia 1939 roku

Nad ranem śnieżycą nie zelżała. Michael, który obudził się jako pierwszy i wyszedł za potrzebą, miał wrażenie, że przybrała na sile. Między oblepionymi białą pniami sosen wiatr przepychał masy kotłującego się śniegu i z wściekłością targał koronami drzew. Wystarczyła chwila wśród podmuchów, by całkiem zdrętwiała mu twarz, cofnął się więc do w miarę osłoniętego miejsca, gdzie wczoraj odbył rozmowę z Penelopą.

Ukucnął, z trudem zapalił papierosa i wbił wzrok w dziesiątki sopli, zwisających niczym sztylety z krawędzi dachu. Zewsząd osaczyły go wspomnienia wczorajszego wieczoru.

Nie oczekiwał, że Penny skoczy mu w ramiona, ledwie go ujrzy, ale nie spodziewał się też po niej takiego chłodu. Wszystko wskazywało na to, że odgrodziła się od ich wspólnej przeszłości murem o wiele grubszym i zimniejszym niż jego, a do tego oplotła go drutem kolczastym. Wszystko, co wiązało ją z poprzednim życiem, odcięła bez wahania, a wszelkie jątrzące się rany najwyraźniej wypalił czas. Co więcej, tak mocno wsiąkła w nową rzeczywistość, że zdawała się z nią trwale zespolona, czego dowodem była pieśń, która przywołała *hiisi*.

Czym, do cholery, są *hiisi*? – zadał sobie w myślach pytanie, po czym prychnął i wzruszył ramionami. Też mam zmartwienie.

Potrząsnął głową, by przywołać inne słowa, które padły tej nocy, czasami w oszołomieniu, nierzadko gniewne.

„Wiem, w jaki sposób moglibyśmy ocalić Sumu...”

„Oszalałeś! Nie ma mowy, bym została tu, w tej lepiance, podczas gdy wy...”

„Sprawa jest poważniejsza, niż mi się wydawało. Biblioteka uważa pas Ilmarinena za nieistniejący artefakt...”

„Pas Ilmarinena to nie przedmiot!”

„Zaczekajcie, bo już wszystko mi się miesza w głowie... Jaka Czarna Zgroza? Co to, kurwa, jest? Gaz jakiś czy coś?”

„Strzelałeś do tego w Szwecji”.

„Pozwólcie, że to naświetlę...”

„Niedobrze mi się robi, jak ciebie słucham, wiesz?”

„Chcesz ocalić Sumu czy nie, Penny? Bo gdy tak ciebie słucham, mam wrażenie, że głównie zależy ci na tym, by posłać nas w cholerę!”

Rozmowa szybko przekształciła się w kłótnię, bo Penelopa, najwyraźniej nadal rozzłoszczona rozmową na zewnątrz, nie miała szczególnej ochoty na żadną konstruktywną wymianę pomysłów. Z wyraźną niechęcią przyznała ponownie, że pas Ilmarinena istnieje naprawdę, a potem, gdy Astley i Turner zasypali ją pytaniami, straciła ochotę do dalszej rozmowy. Na każdym kroku okazywała Theodore'owi niechęć graniczącą z pogardą i przerywała mu, gdy się odzywał. Prychała ze złością, gdy oszołomiony dziennikarz usiłował o coś zapytać, a Michaela ostentacyjnie ignorowała. W zasadzie nie opowiedziała im nic o pasie ani też nie uzgodnili planu ocalenia Sumu, a Tayne stracił cierpliwość i oświadczył, że nie ma ochoty na dalszą pyskówkę.

– Wrócimy do rozmowy o świcie – zakomunikował, wyczerpany, i wślizgnął się do śpiwora. – Jeśli nie ostudzisz emocji, Penny, przestanę brać twoje słowo pod uwagę i sam uwolnię Sumu. Sam.

Zasypiając, miał nadzieję, że świt rzeczywiście przyniesie rozwiązanie.

Jak na razie nic takiego nie nastąpiło.

Naraz drzwi do chaty skrzypnęły i rozległo się głucho przekleństwo Turnera, gdy ten wyszedł prosto w kotłującą się śnieżycę. Pospiesznie skręcił w bok, by stanąć od zawietrznej, po czym rozpiął spodnie i zaczął się załatwiać.

– Czołem, Tayne – burknął, dostrzegłszy kątem oka kucającego pod ścianą Anglika. – Nieźle, no nie?

– Masz na myśli pogodę? – spytał Michael. – Czy może bajzel, w który się wplątaliśmy?

– Raczej moją gębę. – Turner zapiął spodnie, odwrócił się i z zadowoleniem pokazał ogromny siniak pod prawym okiem oraz opuchniętą wargę. – W swoim czasie obrywałem nielicho, ale dawno mi nikt tak nie przywalił jak ty.

Tayne nie wiedział, czy stało się to za sprawą wdzięczności uwolnionej bezpretensjonalnym tonem Amerykanina, czy może zadziałało napięcie wywołane ogólną sytuacją, ale nagle pękła w nim ostatnia bariera.

– Kiedyś boksowałem – powiedział cicho, zapatrzony w śnieg. – W londyńskich dokach. Głównie nielegalne walki, bez rękawic, bez sędziego. Z reguły wygrywałem, ale zdarzało się też oberwać, i to solidnie. Przypuszczalnie wygrałem jakąś forszę, ale jeśli tak, to nie pamiętam. Walczyłem głównie dla bólu.

– Dla bólu – powtórzył Amerykanin, kucając obok. Bez słowa przyjął papierosa od Tayne'a i zapalił go odrapaną zippo. – Ciekawa motywacja.

– Ból przynosi zapomnienie, choć nie zawsze i na ogół na krótko – wyjaśnił Tayne. – Sprawdza się nie gorzej niż opium, którego też przez jakiś czas próbowałem. Usiłowałem także wytłumić myśli ciężką pracą, najpierw na kutrze rybackim na Orkadach, potem w kamieniołomie w Turcji, posiedziałem też trochę w więzieniu, spędziłem parę tygodni wśród bezdomnych i tak dalej. Najlepiej w sumie wyszedłem na wariatkowie, bo tam dawali leki i przez większość czasu nie mogłem uformować myśli.

– Zakładam, że ma to jakiś związek z tą pyskatą wiedźmą? – Turner wskazał głową chatę.

Michael uśmiechnął się lekko, ale z goryczą.

– Kochaliśmy się kiedyś – wyszeptał. – Nawet bardzo. Tak bardzo, jak mogą kochać się ludzie, którzy ujrzeni w sobie swoją jedyną nadzieję. Wszystko... – z trudem przełknął ślinę – wszystko szlag trafił pewnego wrześniowego wieczoru. Wzięliśmy na spacer nasze... nasze dziecko. Syna. Miał na imię Adam i tego dnia kończył trzy miesiące. Penny zatrzymała się przy ulicznym straganie, by kupić jakieś słodczyce, a ja ukucnąłem, by zawiązać sznurowadło. Puściłem wózek i dokładnie w tym momencie jakiś przebiegający przechodzień go potrafił. Wózek zakołysał się i przewrócił, prosto pod nadjeżdżający autobus.

– Ja pieprzę, człowieku. – Turner zaciągnął się tak mocno, że żar pochłonął całego papierosa. – We łbie mi się to nie mieści.

– Mi też nie – przyznał Michael. – Wciąż. Oboje zareagowaliśmy na to wszystko inaczej. Ja próbowałem zapomnieć, a Penny uciekła tutaj i stała się kimś innym. Zupełnie innym, psia mać.

– Dobra. – Dziennikarz oparzył się papierosem i wyrzucił go w śnieg. – Teraz już kapuję, za co oberwałem po mordzie. Należało się.

– Nie, nie należało – mruknął Tayne, wstając. – Wiesz, maniery i w ogóle. Ale cieszę się, że ci się spodobało.

Amerykanin roześmiał się krótko, jakby z wysiłkiem, i również się podniósł. Przez chwilę jakby się zastanawiał, czy powinien powiedzieć coś jeszcze, ale

wtedy pojawił się Astley. Wciskając na głowę czapkę, spojrzął za siebie, jakby się bał, że Penny wyskoczy w ślad za nim, a następnie zerknął na Michaela i uśmiechnął się przepaszająco. Nadal wydawał się wymizerowany, ale jego oczy straciły chorobliwy poblask, a na policzkach pojawiły się rumieńce.

Zasłużył na chwilę wytchnienia, pomyślał Michael. Droga przez las kosztowała go więcej niż mnie czy Turnera, a Penny dała mu wczoraj nieźle popalić.

– Posłuchajcie mnie – powiedział cicho Theodore, podchodząc do towarzyszy.

– Zwłaszcza ty, Michael.

– Jasne – prychnął Turner. – Ja się skromnie usunę w cień. Małżonka Tayne’a dała mi wczoraj wyraźnie do zrozumienia, że nie należę do tej bajki i...

– To skończ z jej retoryką – warknął Astley. – Wybacz, Michael.

– Wybaczam. Coś się dzieje? Wydajesz się mocno zaaferowany.

– Bo jestem. Pora, byś poznał jeszcze jeden fakt na temat Biblioteki i mnie samego – wyrzucił z siebie młodzieniec, rozglądając się na boki, jakby obawiał się spojrzeć Tayne’owi w oczy. – Moja szczególna umiejętność, jak zapewne wiecie, pozwala mi szybko i bez zbyteń trudu zdobywać ludzkie zaufanie.

– Tak, wiemy. – Michael wpatrywał się w Astleya z namysłem. – Ze mną co prawda ci nie wyszło, ale sprzeczać się nie będę. Do czego zmierzasz?

– Ech, bystry z ciebie facet, Tayne – prychnął Theodore. – Sam sobie to w głowie poukładasz.

Po czym wpakował dłoń w rękawiczce do kieszeni i wyciągnął z niej czerwoną chustę, którą wepchnął Michaelowi do ręki. Ten spojrzął na nią, a potem, nie kryjąc zdumienia, przeniósł wzrok na Astleya.

– Co to jest? – spytał.

– Nie pamiętasz? – Theodore uniósł lekko jedną brew, udając nonszalancję, choć widać było po nim, że jest spięty i zdenerwowany. – Nie widziałeś jej przypadkiem w Luleå?

– Ja widziałem – odezwał się niespodziewanie Turner. – Siedziałem tam dwie doby i widziałem ją u takiego dziwnego gościa, który ciągle przesiadywał w tamtejszej knajpie. Roen czy jakoś tak, nie pamiętam nazwy. Facet wyglądał, jakby się bał własnego cienia, mówię wam. Zaraz, nie gadałeś z nim aby, Tayne?

– Hjalmar Vittens – przypomniał sobie nagle Michael, co tylko spotęgowało zamęt w jego głowie. – Dlaczego mu to zabrałeś? Aha, zaraz. Czarna Zgroza. Widzieliśmy tam Czarną Zgrozę, pamiętasz, Turner? Czy to oznacza, że...

Tayne przeniósł spojrzenie na młodzieńca, który pokiwał głową.

– Ta chusta należała ponoć do Henry’ego Boswella, dziewiętnastowiecznego cygańskiego króla żyjącego w Wielkiej Brytanii – powiedział suchym głosem Astley. – Niepozorny artefakt, ale całkiem użyteczny. Ten, kto go nosi, staje się

w zasadzie niezauważalny. Można go spostrzec, dotknąć, a nawet z nim porozmawiać, ale trudno zapamiętać jakiegokolwiek szczegóły tego spotkania, a jeśli posiadacz chusty się ukryje, właściwie przestaje istnieć. Przechowywano ją w kairskiej filii Biblioteki, ale zaginęła w niejasnych okolicznościach i dopiero niedawno mój dziadek skojarzył ten fakt z Vittensem, który swego czasu wykonywał w Sudanie jakąś robotę dla Biblioteki, a potem wyjechał do Szwecji i zaczął powoli rozluźniać kontakty.

– I stary Astley uznał, że skoro i tak jedziesz do Finlandii przez Szwecję, możesz równie dobrze odebrać szmatę Vittensowi? – Michael pokręcił głową. – Nieźle.

– Historia, niestety, jest ciut mroczniejsza. Fakt, odebrałem ją Vittensowi, i to chyba w dobrym momencie, bo Czarna Zgroza wykazywała nim coraz większe zainteresowanie. Podobnie zresztą jak miejscowa policja, która otrzymała wiele niepotwierdzonych meldunków o tym, że Vittens zagląda ludziom do domów. Zwłaszcza do tych domów, gdzie dorastały nastoletnie dziewczyny. Chyba już wiecie, dlaczego te meldunki były niepotwierdzone, co?

Tayne poczuł, jak przechodzi go dreszcz.

– Co za skurwiel – mruknął. – Wydałeś go glinom?

– Nie. – W oczach Theodore’a błysnęło coś dziwnego. – Widzisz, Tayne, ktoś, kto włada magicznym artefaktem, niechętnie się z nim rozstanie. Muszę wówczas skorzystać z mojego talentu, zdobyć zaufanie złoczyńcy i... Cóż.

– Ja pieprzę, młody – mruknął Turner.

Michael przełknął ślinę.

– Zabiłeś go? – spytał.

Astley wzruszył ramionami.

– Nie do końca – rzekł. – Powiedzmy, że jak się naprawdę skupię, potrafię nakłonić człowieka, by sam to zrobił. Już wiesz, dlaczego Penny tak mnie nie cierpi? Uważa mnie za mordercę i w zasadzie trudno jej się dziwić, choć dobrze wie o zagrożeniu, jakie niesie Czarna Zgroza.

– Mierzi mnie na samą myśl o tym, do czego tej szmaty używano. – Tayne pokręcił głową. – A jak pomyślę sobie o Zgrozie...

– Weź ją – wszedł mu w słowo Astley. – Po prostu weź. Nie musisz używać, ale lepiej, byś to ty miał ją przy sobie. Może i przyciągniesz uwagę Czarnej Zgrozy, ale ryzyko jest nieduże, a my musimy zrobić wszystko, by ocalić pas Ilmarinena.

– Koniec świata. – Dziennikarz prychnął lekko. – Wrócę do Stanów, spiszę to wszystko i stanę się najbardziej poczytnym...

– Nie – przerwał mu lodowato Astley. – Nie spisziesz tego. Ba, słowem się nie zająkniesz na nasz temat, Turner, bo jeśli się na to poważysz, odwiedzę cię kiedyś

w Atlancie, zagadam do ciebie uprzejmie, zaproszę na drinka i dalej będę gadał, aż uznasz, że jestem najfajniejszym człowiekiem pod słońcem, a wtedy...

– Dość – warknął Tayne, wpychając chustę do kieszeni płaszcza. – Szykujemy się do drogi. Pora obudzić Penny i coś zjeść, a potem...

– Chyba już nie śpi – mruknął Astley.

Wtem śnieżycę przebił cieplejszy strumień powietrza, który pociągnął za sobą ciąg słów w nieznannej, tajemniczej mowie. Prawie natychmiast znikł, ale Tayne zdołał zauważyć, że wystrzelił z chaty i pomknął niemalże idealnie na wschód. Zaintrygowany Michael podbiegł, grzęznąc w wysokim śniegu, i ustawił się na linii, po której pomknęły wietrzne słowa. Po chwili nadpłynęła odpowiedź.

– Dobra – mruknął Tayne. – Kierunek już znamy. Penny, gotowa?!

*

Od momentu, gdy Suszkin zmusił go do spełnienia pierwszego toastu, Siergiej Muchalew nie zwracał na nikogo uwagi. Nikt by się tego nie domyślił, bo przecież wylewnie witał każdego sprowadzanego przez adiutantów pułkownika biesiadnika, odpowiadał na pijackie zaczepki, rechotał, gdy ktoś opowiedział dowcip, śpiewał, tańczył, klaskał i pił wódkę. Myślami jednak był daleko, bardzo daleko w przyszłości, niejasnej, tajemniczej, ale zaskakująco czystej i wolnej. W głowie obracał pomysł, o którym wczoraj nie poważiłby się nawet pomarzyć. Wciąż wydawał mu się wstrząsający, ale wrażenie to słabło z każdym kolejnym wychylnym kieliszkiem wódki. Muchalew złapał się na tym, że coraz chętniej spogląda przez zaszczone, częściowo przesłonięte zerwaną zasłoną okno, za którym przesuwają się snopy światła z reflektorów jadących powoli pojazdów.

Zauważył to Suszkin.

– Ciągnie cię na front, Sieroża? – wybełkotał, przysuwając do siebie kieliszek. – Ciebie, enkawudzistę? A co ty tam będziesz robił, co? – Skierował wzrok na lejtnanta, ale jego spojrzenie, rozmyte alkoholem, straciło swą przerażającą dobitność.

– Będę walczył dla ojczyzny, towarzyszu pułkowniku – odpowiedział posłusznie Muchalew, choć w jego sercu zabułgotała niechęć.

Miał ochotę złapać starego za kark i pięścią wbić mu pogardliwe słowa z powrotem do gardła, ale się opanował. Z niepokojem spojrzał na napełniany kieliszek – obawiał się, że Suszkin do niego przepije, a nie chciał się upić jak reszta – ale pułkownik sam wychylił jego zawartość.

– To bardzo dobrze – oświadczył. – Gieroj z ciebie, Sieroża, tyle ci rzeknę. Słyszałem co nieco o tobie, chłopcze. Podobno to ty odkryłeś, że ci cholerni Finowie mają stację kolejową w Hyrynsalmi, co? *Naczalstwo* rychło się połapało

i teraz wysyła tam batalion za batalionem. Medal masz jak w garści, chłopcze, a więc może nie wyrywaj się na ten front i posiedź sobie ze starym, co?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

– Opowiedz coś o tej wieźmie, co mi kolano uzdrowiła.

– Nie ma o czym mówić, towarzyszu pułkowniku. Zarząd Główny Wojsk Pogranicza zajmuje się między innymi wyszukiwaniem ludzi, których talenty mogłyby pomóc ojczyźnie w wojnie z zalewem bezdusznego kapitalizmu. Szukamy fizyków, matematyków, inżynierów, lekarzy...

– I wieźmy. – Suszkin pokiwał z zadumą głową.

– Słyszałem, Muchalew, że burdel tu prowadzisz – wybełkotał Bobrenko, jowialny, pucułowaty czołgista o dłoniach tak wielkich, że butelka wódki całkiem w nich nikła. – A ja, widzisz, żony już dawno nie widziałem i...

– Nie – warknął lejtnant.

– Co „nie”? – obruszył się czołgista. – Koledze odmówisz, enkawudzisto jebany? A zresztą, idź w chuj. Wiem, że w pokoju obok siedzi jakaś gołąbeczka.

Wstał ze stęknieniem i w ostatniej chwili złapał potrąconą flaszkę.

– Sprawdź, czy da się w nią wepchnąć lufę i...

Muchalew zerknął na pułkownika, który wydawał się całkowicie pochłonięty rozlewaniem kolejki, zupełnie jakby udzielał mu milczącego zezwolenia na cokolwiek, co ten uzna za słuszne. Lejtnant podniósł się więc, obrócił czołgistę szarpnięciem ku sobie i grzmotnął go prosto w gębę, co reszta biesiadników skwitowała wiwatami. Bobrenko padł na pulpity, przewracając kilka z nich, ale był zbyt pijany, by choćby próbować odpowiedzieć na cios. Obrócił wszystko w żart, a następnie, wciąż ocierając krew z nosa, przysiadł się do Muchalewa i uraczył go bełkotliwą historią o weselu córki.

Lejtnant nie słuchał. Siedział pogrążony w myślach i sporadycznie kiwał głową, utwierdzając Bobrenkę w przekonaniu, że nadaża. Od czasu do czasu zerkał na drzwi do pokoju nauczycielki, gdzie siedziała Sumu. Co prawda przywiązał uzdrowicielkę do fotela, ale coś mu mówiło, że był to zbędny wysiłek. Gdy widział ją ostatnio, Sumu nadal patrzyła obojętnie przed siebie i nie podejmowała żadnych prób stawienia oporu. Nie przypominał sobie, by powiedziała choć słowo. Wydawało się wręcz, że zapomniała o potrzebach swego ciała – niczego nie zjadła, ani razu nie poprosiła też o możliwość skorzystania z toalety – a jej oczy nadal przypominały powierzchnię mętnych sadzawek.

O bagnistym dniu, uzmysłowił sobie nagle Muchalew. Grząskim, bagnistym dniu. Ten, kto tam wdepnie, nie zdoła już wyciągnąć nogi.

Zadrżał, bo decyzja, którą podjął, ze wszech miar przypominała skok w sam środek takiej sadzawki.

Być może właśnie tam mnie zawiedziesz, pomyślał, wyobraziwszy sobie pustą twarz Sumu.

Bobrenko przerwał opowieść i poszedł się wyrzygać. Zanim ktoś zamknął za nim drzwi, do środka wdarł się śnieg, podsycany wściekłymi podmuchami wiatru. Przez moment Muchalew wyraźnie widział wyładowane wojskiem i sprzętem samochody, które nadal sunęły ku Hyrynsalmi, ale coraz wolniej i wolniej, jakby ruch na wąskiej leśnej drodze niebawem miał się zatrzymać.

Tak jak ta cała wojna, pomyślał.

Pili, rechotali i śpiewali. Skądś dobiegały strzały, na które nikt nie zwrócił uwagi. Do drzwi zapukało kilku młodszych oficerów z meldunkami sztabu, ale Susznik, który wyszedł na mróz w rozchełstanej koszuli, posłał ich do wszystkich diabłów, a potem wyciął kilka hołubców na śniegu. Śnieżyca nie słabła, w piecyku huczało, wódka się lała, biesiadnicy śmiali się i poklepywali po plecach. Noc płynęła, a postanowienie w sercu Siergieja Muchalewa twardniało.

Gdy o piątej nad ranem Suszkin ostatecznie zachrapał na katedrze, lejtnant nie miał już wątpliwości.

Podniósł się ciężko i rozejrzał po pomieszczeniu, które jeszcze wczoraj było salą niewielkiej, opuszczonej przed tygodniem wiejskiej szkoły. Wyminął uzbeckiego adiutanta Suszkin, który spał na podłodze, ciężko chrapiąc, a także leżącego obok politruka, mikrego człowieka o nazwisku Ławirów, który po wypiciu szklanki wódki zabrał się do palenia katechizmów, i przestąpił nad majorem Trawińskim, który ku wielkiej radości Suszkin przyniósł harmonię i grał na niej, dopóki nie zmorzył go sen. O drzwi do pokoju nauczycielki opierał się, półleżąc, koszmarnie chudy, łysy porucznik Kosmaczenko, który najpierw zjadł tyle, ile tylko zdołał, a następnie z radością wypił szklankę wódki i zwrócił wszystko na stos podręczników.

Muchalew napchał kieszenie konserwami z oficerskiego przydziału, a potem podszedł do drzwi, odsunął Kosmaczenkę butem i odczekał, aż nieprzytomny chudzielec całkiem osunie się na podłogę. Wszedł do izby i ujrzał Sumu, która siedziała tam, gdzie ją zostawił. Karelka nawet na niego nie spojrzała, co lejtnanta specjalnie nie zdziwiło. Zdumiało go natomiast to, że przez pokój przechodził właśnie ciepły przeciąg, który, choć wydawało się to niemożliwe, zdawał się ciągnąć za sobą szeptane miękkim głosem nieznanne słowa.

Po chwili wrażenie ucichło i Muchalew potrząsnął wściekle głową, zrzucając je na karb wypitego alkoholu. Podszedł do dziewczyny zdecydowanym krokiem. Podłoga zatrzeszczała pod jego butami. Lejtnant, nieco wystraszony, spojrzał za siebie, ale odgłos okazał się zbyt cichy, by przerwać pijacki sen któregokolwiek z czerwonoarmistów.

– Ubierz się ciepło – mruknął do Sumu, uwalniając ją z więzów.

Sumu spojrziała na niego pustymi oczami i podniosła się lekko niczym mgła. Muchalew złapał ją za łokieć, by wstała, a potem pomógł jej nałożyć sweter, płaszcz oraz wełnianą czapkę. Trzymając w ręku rewolwer, wyszedł z nią bocznymi drzwiami na dwór.

Pieczek w izbie już dawno wygasł i lejtnant widział kłęby pary wokół własnych ust. Nie był jednak przygotowany na dotkliwe, wprost przeszywające zimno, które czekało na niego na zewnątrz. Temperatura w ciągu nocy spadła znacząco i Muchalew miał wrażenie, że mróz wgryza się lodowatymi zębami w każdą odsłoniętą część twarzy, a niebawem przedrze się również przez ubranie.

Było jeszcze ciemno. Nadal prószyno, ale lejtnant z ulgą powitał fakt, że wiatr ucichł. W świetle ogromnego, ułożonego z wielkich pni ogniska, które dopalało się kilkadziesiąt kroków dalej, zauważył, że sunąca za oknami szkoły kolumna czołgów i ciężarówek wreszcie zastygła w bezruchu, a śnieg powoli, z bezlitosną obojętnością zamienia każdy pojazd w biały kopiec. Tylko jeden czy dwa samochody dalej pracowały na jałowym biegu, prychając chmurkami spalin. Muchalew widział podoficerów, którzy brnęli po kolana w białym puchu i z wściekłością walili kolbami karabinów w drzwi szoferek, budząc śpiących tam kierowców; widział paru mechaników, którzy z furią usiłowali uruchomić silniki niektórych pojazdów; widział też ubrane na szaro postacie, które uwijały się wokół wielkiej polowej kuchni z kominem. Po koszmarnie mroźnej nocy rozciągnięta kolumna powoli, opornie budziła się do życia i Muchalew zrozumiał, że lada moment ktoś może zwrócić na niego uwagę.

Tego zaś nie chciał.

Szybkim krokiem, nadal prowadząc pod ramię bezwładną, lekką Sumu, Muchalew dotarł do szopy, w której zostawił resztę swoich ludzi. Wszedł do środka i z ulgą się przekonał, że ci w większości młodzi ludzie z myśliwskich społeczności już nie śpią. Ich przymrużone, skośne oczy połyskiwały nad niewielkim ogniem, który niemalże nie wydzielał dymu. Za nimi wisiał umiejętnie sprawiony renifer, na nożach smażyły się kawałki mięsa, czajnik z wodą na herbatę bulgotał.

Żołnierze wstali powoli, niechętnie, salutując przełożonemu. Szóstym zmysłem łowcy wyczuwali, że coś się dzieje i chyba nie będzie im dane niczego w spokoju zjeść.

– Kamieniew wrócił? – spytał ostro Muchalew.

– Nie, towarzyszu starszy lejtnancie – odparł Fiodor, krępy rosyjski Lapończyk. Siergiej nie pamiętał, jak brzmiało jego nazwisko.

– Trudno – mruknął. – Pies go jebał. Zbieramy się do drogi.

– Ale my, towarzyszu starszy lejtnancie, dopiero co jelonka sprawiliśmy. – Fiodor zamachał nożem, ale Muchalew uciszył jego protesty, wysypując na

ziemię konserwy. Piątka żołnierzy wytrzeszczyła oczy na widok takiego skarbu.

– Zjecie później. Ruszamy za pięć minut – syknął Muchalew i pchnął ku nim Sumu, która usiadła niezdarnie. – Miejcie oko na tę sukę. Znajdźcie też buty oraz narty dla pięciu kobiet.

– A co z nim? – Inny żołnierz, niemalże bezzębny Jakut, wskazał kciukiem Wlekowa, który siedział szeroko uśmiechnięty i kiwał głową to w prawo, to w lewo, nie dbając o strużkę śliny, która ściekała mu po podbródku.

– Z nim? – Muchalew zerknął na starszynę. – Jego też pies jebał.

Odwrócił się od żołnierzy, żwawo zbierających sprzęt, żywność i broń, po czym znów wyszedł na mróz. Teraz, gdy podjął decyzję, jego umysł pracował szybko i precyzyjnie. Pospiesznie powrócił do drewni za budynkiem szkoły, skąd wyszarpnął cztery kobiety, grożąc im bronią, by nie pisnęły ani słowa. Z doświadczenia wiedział, że Sumu zaczynała mówić dopiero, gdy przytykał lufę do skroni którejś z nich. Wepchnął je do szopy, gdzie jego ludzie szykowali się do drogi, a sam stanął na zewnątrz i pilnował, by nikt w tym nie przeszkodził.

Naraz znieruchomiał. Kątem oka wychwycił coś niesprecyzowanego na skraju pola widzenia. Odwrócił się w tym kierunku, ale po szczególe, który wywołał jego niepokój, nie było śladu. Ba, nie miał nawet pojęcia, co to właściwie było. Czyjs ruch? A może jedynie złudzenie? W końcu nie spał przez całą noc i wypił mnóstwo wódki, a więc jego zmysły na pewno były przytępione.

Potrząsnął wściekle głową, skłął się w myślach i ruszył naprzód. Miał przed sobą o wiele ważniejsze wyzwania niż przekłete polowanie na duchy.

*

Michael Tayne przedzierał się przez spowity mrokiem odchodzącej nocy las i z każdym krokiem coraz dobitniej przeklinał swój los.

Myślał, że ma naturalny talent do skradania się, co zauważył już podczas szkolnych bójek podwórkowych, udoskonalił podczas szkolenia wojskowego i doprowadził do perfekcji podczas misji wykonywanych dla Biblioteki. Nigdy dotąd jednak nie był zmuszony do przedzierania się przez zasy śniegu w zamarznętej, niekończącej się puszczy. Narzucił na siebie fiński kombinezon ochronny, co zapewne czyniło go trudnym do zauważenia z oddali, ale przecież brnąc przez las, zostawiał po sobie głębokie ślady, a jego sapanie z całą pewnością słychać było z daleka.

Był zmęczony. Naprawdę zmęczony. W nocy spał zaledwie kilka godzin, na śniadanie zostało im raptem kilka kromek czarnego chleba i dżem z borówek, a kłuszące zimno wysysało z niego resztki sił, bez litości przechodzące przez ubranie i wnikające w jego spoconą skórę. Tayne czuł, że brnie jedynie siłą woli,

a przypuszczał, że do przejścia pozostało jeszcze parę kilometrów. Nadal bowiem nie słyszał hałasu robionego przez Sowietów – w zaśniewanej, wciąż ciemnej puszczy panowała cisza tak głęboka, że gdy wstrzymał oddech, słyszał szelest spadających płatków.

To, że kilkaset metrów za nim podążali Astley, Turner i Penny, bynajmniej nie poprawiało sytuacji. Broń, którą zdobyli w potyczce z Sowietami, okazała się do niczego, gdyż ci stosowali rozmaite smary ropopochodne, przez co karabiny zamarały na mrozie. Jedynie dwóch czerwonoarmistów, zapewne zaprawionych myśliwych, potraktowało swe mosiny o wiele stosowniejszą mieszanką benzyny i oleju karabinowego. Ale to też nie przyniosło Michaelowi ulgi, wręcz przeciwnie – jeden z nich przejęła Penny. Tayne wolałby oddać go dziennikarzowi, ale kobieta nawet nie chciała o tym słyszeć.

– Poluję z Karelami od kilkunastu miesięcy! – prychnęła. – Trafiam sójkę w locie, Michael. Też tak umiesz?

Oprócz tego bezbłędnie doprowadziła ich do drogi prowadzącej do Raate, co oznaczało, że opanowała wiele innych praktycznych umiejętności. Tak czy owak, Michael nie cieszył się na myśl o tym, że jego żona będzie narażać życie podczas akcji odbicia Sumu. Do tego nie był pewien, czy może liczyć na wsparcie Turnera, który odebrał zabitym Sowietom dwa pistolety, najwyraźniej w lepszym stanie, czego nie omieszkał okrasić paroma kowbojskimi dowcipami. Tayne nie zapominał jednak o tym, że Amerykanin jest nie żołnierzem, a dziennikarzem z bogatą wyobraźnią i wysokim mniemaniem o sobie, co podczas operacji uwolnienia więzionej dziewczyny niekoniecznie musiało się przydać.

Theodore zaś, mimo swej zawziętości, strzelcem był najwyraźniej kiepskim, bo zdobyczny pistolet przyjął z wyraźną niechęcią.

Mam nadzieję, że żadne z was nie będzie musiało naciskać spustu, myślał Michael, próbując powstrzymać szcęknięcie zębami. Jeśli ci Sowietci okażą się równie nieprzygotowani jak tamci przy tartaku, sam dam sobie radę. Zwłaszcza z tym, co dostałem od Astleya.

Odruchowo dotknął chusty, którą owiazał szyję pod szalem, pokrytym już warstwą zmarzniętego śniegu. Theodore powiedział mu, by nie korzystał z niej pochopnie, ale gdy już się na to zdecyduje, wystarczy, by o niej pomyślał, a ta zacznie działać.

Na samą myśl, że w mroku przedświt miałaby się jeszcze rozlać Czarna Zgroza, Tayne poczuł, jak po spoconych plecach spływa mu zimny dreszcz.

W oddali ktoś krzyknął. Ktoś mu odpowiedział. Michael zamarł i odruchowo przyklęknął w śniegu, unosząc karabin do ramienia. Wydawało mu się, że w półmroku między drzewami dostrzega migotanie płomieni, a potem jakieś światła.

Zapomniał o zimnie. Próbował uspokoić bijące szybko serce i jednocześnie wypatrzyć kolejne szczegóły, ale śnieżycy, jak na złość, przybrała na sile i znów wszystko przesłoniła. Wyteżył więc słuch, ale gęsty śnieg i mocny wiatr tłumiły również dźwięki. Nadal nie miał pojęcia, ilu Sowietów ma przed sobą.

Uśmiechnął się krzywo, nieprzyjemnie. Wyglądało na to, że zdołał dotrzeć na miejsce przed opadnięciem z sił. Jeśli dopisze mu szczęście, za kilka minut może już być po wszystkim.

A wtedy będę musiał jakoś nakłonić Penny do powrotu, pomyślał. Co może się okazać trudniejsze od pokonania całej kompanii Armii Czerwonej.

Odepchnął tę myśl. Odwrócił się za siebie i z ulgą przekonał, że Penny, Astley i Turner wciąż pozostawali niewidoczni, co oznaczało, że miał jeszcze kilka, kilkanaście minut na swobodne działanie.

Podniósł się powoli, ostrożnie. Wyteżył wszystkie zmysły i niczym polujący myśliwy wychylił się zza drzewa.

Sowiecki żołnierz stał ledwie parę kroków dalej.

Nieznajomy opierał się o drzewo. Przechylił lekko głowę, jakby nie mógł się nadziwić naiwności Tayne'a. Patrzył prosto na niego, całkowicie nieruchomy, ciemny na tle lasu, choć lekko przyprószony śniegiem, ze swobodnie opuszczonym karabinem.

Michael z rozpaczą uświadomił sobie, że instynkt tym razem zawiódł go całkowicie. Zgoda, był wykończony, a śnieżycy przesłaniała widok, ale jak doszło do tego, że wyszedł prosto na sowieckiego wartownika? Przecież wystarczyłoby, aby ten otworzył usta i krzyknął, a ryzykowna operacja ocalenia Sumu natychmiast wzięłaby w łeb.

Pchnięty desperacją, podrzucił karabin do ramienia i wycelował.

Ale nie nacisnął spustu.

Serce waliło mu jak szalone, ale żołnierz, choć musiał go zauważyć, nawet nie drgnął. Mijała sekunda za sekundą, aż w skołatany umyśle Tayne'a pojawiła się nieśmiała nadzieja. Nieufnie opuścił lufę i pochyłony ruszył ku wartownikowi, który nadal ani drgnął. Gdy znalazł się już bardzo blisko mężczyzny, dostrzegł sinawy odcień skóry i szron pokrywający brwi i rzęsy.

Wartownik zamarzał na śmierć.

Instynkt przecież ostrzegał przed żywymi, a nie martwymi.

Tayne odetchnął z ulgą i zacisnął zęby, by nie parsknąć pełnym niedowierzania śmiechem, a potem znów się pochylił i ruszył naprzód. Śnieżycy zelżała i ledwie kilkanaście kroków przed sobą dostrzegł skraj lasu. Między drzewami ciemniał ogromny, nieruchomy czołg, przysypany śnieżną warstwą.

Michael zamrugał z niedowierzaniem. Czołg? Skąd tu, u diabła, czołg?

Nieopodal płonęło ognisko. Błyskała latarka w ręku krzyczącego ze złością podoficera. Zajaśniały reflektory ciężarówki, która zamruczała silnikiem. Przygarbiony Tayne zarzucił karabin na ramię i przypadł do drzewa, skąd rozglądał się z narastającym oszołomieniem.

Ciężarówka. Drugi czołg, i trzeci, znacznie większy i cięższy. Ciągnik z armatą, obok niego kolejny. I znów ciężarówka. Namioty. Budzący się, przeklinający żołnierze. Kopcząca kuchnia polowa.

To cała kompania! – pomyślał z rozpaczą Tayne. Patrzę na pieprzoną kompanię Armii Czerwonej! Gdzie w tym bajzlu znajdę Sumu i jak ją stąd wyciągnę?

I właśnie teraz, w momencie największej, najczarniejszej desperacji, jego instynkt się przebudził i nakazał mu odwrócić głowę. Michael, do tej pory skupiony na podświadomym i pozbawionym sensu szacowaniu liczebności sowieckiego oddziału, dopiero teraz spojrzął na skromny, kilkuizbowy dom ze szpiczastym, przysypanym śniegiem dachem. Wychodził z niego wysoki oficer, który prowadził za łokieć wiotką, drobną dziewczynę. Rozejrzał się ukradkowo, jakby to on, a nie Tayne znajdował się na wrogim terenie. Zwrócił przy tym twarz ku Michaelowi.

Serce Anglika zabiło mocniej.

Walczył z tym człowiekiem w Hyrynsalmi, gdy ten próbował dopaść Penny. To zaś oznaczało, że prowadzoną przez niego kobietą była Sumu.

Oficer kierował się ku jakiejś szopie za domem. Był zbyt daleko, by Michael zdołał mu w tym przeszkodzić. Tayne biernie się przyglądał, jak nieprzyjaciel uchyla wrota i wchodzi do środka. Po chwili oficer wyszedł, już bez dziewczyny, i skierował się żwawym, niemalże pospiesznym krokiem ku innej szopie. Był zwrócony twarzą ku Michaelowi.

Ten zaś ostrożnie odstawił karabin pod drzewo, sprawdził, czy w razie potrzeby bez trudu odepnie kaburę ze zdobycznym pistoletem, wyswobodził długi myśliwski nóż i pomyślał o skrytej pod szalem chuście. Potem ruszył w stronę oficera.

*

Obozowisko rozbudzało się powoli i niechętnie, wśród wściekłych wrzasków podoficerów i równie wściekłych przekleństw żołnierzy. Niektórzy, ledwie przytomni z zimna, kulili się wokół ognisk, nie słuchając żadnych rozkazów, inni niezdarne zwijali namioty lub tłoczyli się wokół kuchni polowej, pokrzykując coraz głośniej. Trzaskały drzwi ciężarówek, rzeziły niemalże zamarznięte silniki.

Brakowało dosłownie kilku minut, by w kompanii zapanował poranny rwetes. Muchalew był świadom, że za moment zabraknie mu czasu.

Szczęście w nieszczęściu polegało na tym, że na drodze do szopy, w której trzymał zakładniczki, nie było w zasadzie nikogo. Z lasu wyszedł właśnie jakiś żołnierz, ale nie wydawał się nikim istotnym. Lejtnant nie bał się pojedynczych żołnierzy. Obawiał się oficerów czy nawet podoficerów, którzy mogli być na tyle domyślni, wścibscy lub głupi, by stanąć mu na drodze. Oczywiście dałby radę wykręcić się z takiej sytuacji. Mógłby na nich nawrzeszczyć lub pogrozić im legitymacją NKWD, ale wszystko to mogło go kosztować jeszcze więcej czasu, a na pewno wywołałoby niepotrzebne zamieszanie.

– Może narty były jednak złym pomysłem? Może powinienem na szybko skonfiskować jakąś ciężarówkę? Mam pięciu ludzi, Sumu i cztery zakładniczki, co oznacza... Nie, samochód gównu nam da, jeśli będziemy musieli znów zapuścić się w las. Dobrze, że mniej więcej znam lokalizację i...

Nagle uświadomił sobie, że idzie z pochyloną głową i mamrocze do siebie jak spiskowiec. Wyprostował się odruchowo i niespodziewanie zauważył idącego ku niemu człowieka. Jego twarz była niewyraźna i rozmyta. W pierwszym odruchu chciał go po prostu wyminąć, ale wtedy dostrzegł błysk stali.

Ciało natychmiast przejęło kontrolę i zareagowało szybciej od umysłu. Muchalew złapał nożownika za nadgarstek i pociągnął go ku sobie, jednocześnie blokując mu łokieć. Włożył w ten manewr całą swoją siłę; napastnik stęknął głucho i wypuścił nóż, ale w tej samej chwili głowę lejtnanta wypełnił wściekły huk. Muchalew zatoczył się z ochrypłym jękiem, zrozumiawszy, że przeciwnik grzmotnął go pięścią w ucho.

O dziwo, pulsujący ból pomógł mu oprzytomnieć. Cofnął się o krok, sięgnął po pistolet, ale jego przeciwnik nie zawahał się ani sekundy. Przypadł do Muchalewa, błyskawicznym prostym rozbił mu nos, a potem lewym sierpowym zdzielił go w szczękę. Bił zdecydowanie, ale celnie i koszmarnie wprost boleśnie, jak urodzony bokser. Lecący w zaspę lejtnant uświadomił sobie, że przegrał.

Że zanim się podniesie, ten sukinsyn będzie już miał w ręku pistolet.

Padł w śnieg.

W tej samej sekundzie świat eksplodował.

*

Fala gorąca uderzyła w plecy Tayne'a z taką siłą, że ten stracił równowagę. Zatoczył się, machając rękami, i runął w śnieg, niemalże z ulgą witając jego chłód. Był ogłuszony i oszołomiony, ale wciąż posłuszny instynktowi, który

natychmiast przejął kontrolę nad ciałem. Nim się zorientował, już klęczał, sięgając po pistolet.

Cały jego świat zawęził się do oficera, który odwrócił się ku niemu, unosząc własny rewolwer.

Michael ze zgrozą sobie uświadomił, że jego przeciwnik wystrzelił jako pierwszy. Uderzenie serca później już toczył się po śniegu, miażdżąc wystające spod niego gałęzie, ścigany przez kule z nagana.

Ile on ma pocisków? – przemknęło mu przez głowę bezużyteczne pytanie.

Nagle uświadomił sobie, że kule z rewolweru przelatują nad jego głową. Kompletnie zapomniał, że nadal miał na sobie chustę od Astleya! Wróg go nie widział!

Oficer rejestrował jednakże ruch i nadrabiał częstotliwością ostrzału. Tayne zamarł więc i czekał, aż przeciwnikowi skończy się amunicja. Wtem przez strzały i krew dudniącą w uszach przedarł się ostry krzyk i grad kul się urwał. Michael uniósł głowę i zobaczył, że oficer przyciska do piersi krwawiącą dłoń. Niespodziewanie odwrócił się i, zataczając i potykając, popędził ku szopie, którą wcześniej opuścił.

Tayne z dzikim warknięciem uniósł pistolet, którego nie zgubił mimo dzikich, rozpaczliwych uników, i nacisnął spust.

Nic się nie wydarzyło.

Jednak zamarzał, przemknęło Michaelowi przez myśl.

Wyrzucił broń i zerwał się do biegu, gotów dopaść sowieckiego oficera, nim ten zdoła mu uciec. Naraz jego perspektywa się rozszerzyła i dopiero teraz przyjął do wiadomości, że znalazł się w samym środku piekła. Kuchnia połowa zamieniła się w morze ognia, niedaleko płonęła ciężarówka, a kolejna, której kierowca najwyraźniej wpadł w panikę, wjechała właśnie tyłem w bok obracającego lufę czołgu. Sowietci biegali bezładnie, krzyczeli, niektórzy w pośpiechu odbezpieczali broń i próbowali otworzyć ogień, ale na ogół bezskutecznie. Tayne widział, jak rzucają karabiny i uciekają w panice, potykając się i przewracając. Pozostali, którym broń nie zamarzała przez noc, ostrzeliwali się na ślepo, ale ich determinacja kurczyła się w miarę, jak zmarzniętą wokół nich ziemię rozrywały kolejne eksplozje.

Pociski z moździerzy! – uświadomił sobie Tayne, odruchowo zasłaniając głowę przed gradem grudek ziemi.

Wtem do piekielnej symfonii dołączył wściekły terkot broni maszynowej. Tayne wcisnął głowę w śnieg i odruchowo przeczołgał się za stertę bezładnie rzuconych desek. Wcześniej jednak dostrzegł ledwie widoczne wśród drzew trzy lub cztery ciężkie karabiny maszynowe, które zasypywały sowieckie pozycje gradem kul. Serie kosiły zarówno tych, którzy uciekali, jak i tych, którzy

próbowali stawiać opór. Krzesząc iskry, prześlizgiwały się po pancierzach czołgów, zamieniały w sita szoferki ciężarówek, szatkowały ściany szkoły. Po ośnieżonym dachu zsunął się bezpański sowiecki erkaem, ciągnąc za sobą bezwładną taśmę amunicyjną.

Ostrzał z cekaemów i moździerzy ustał jak ucięty nożem. Odziani na biało Finowie wypadli spomiędzy drzew w bezlitosnej ciszy i rozlali się po drodze, by z lodowatą mściwością siać zniszczenie wśród Sowietów. Karabiny pluły ogniem, charczały seriami pistolety maszynowe, a wycofujący się w popłochu czerwonoarmiści osłaniali swój odwrót, strzelając chaotycznie i w znacznej mierze niecelnie. Oszołomiony Tayne wychylił się zza desek i zobaczył, jak jeden z Finów wskakuje na pancierz czołgu i wrzuca przez właz granat, a drugi zamierza się i ciska płonąca butelkę w inny. Prowadzący natarcie oficer celnym strzałem położył sowieckiego porucznika z siwymi wąsiskami, który wytoczył się na ganek szkoły. Potem, przeładowując broń, odwrócił się w stronę lasu i zaczął wykrzykiwać rozkazy, ledwie słyszalne wśród nieustającej kanonady.

Spomiędzy drzew wybiegli kolejni żołnierze. Ciągnęli za sobą stare karabiny maszynowe Maxim i dźwigali skrzynki z amunicją. Ci, którzy uczestniczyli w pierwszej fazie ataku, nieruchomieli za wszelkimi możliwymi osłonami, ewidentnie przygotowując się na kolejne rozkazy.

Rozcięli sowiecką kolumnę na pół! – uświadomił sobie Tayne. Teraz chcą poszerzyć wyłom!

Ciemności zimowego świtu rozpraszał blask kilkunastu pożarów. Paliły się ciężarówki, płonął wstrząsany kolejnymi eksplozjami czołg, a także sowiecki ciągnik artyleryjski, co nie przeszkodziło kilku przedsiębiorczym Finom wypiąć holowaną armatę, odciągnąć ją i obrócić, by wystrzeliła ku pozycjom wroga. Strzelanina nie słabła, a miała jeszcze przybrać na sile z chwilą, gdy napastnicy rozstawiają karabiny maszynowe.

Cały atak trwał zaledwie kilka minut i zakończył się dla Sowietów wstrząsającą porażką. Tayne zdążył jednak zauważyć, że chociaż oddział fiński był stosunkowo nieliczny, to rozdzielił się na drodze, by poprowadzić atak w obu kierunkach jednocześnie. Sowietci zaś zdążyli się już częściowo otrząsnąć, co oznaczało, że prawdziwa rzeź dopiero miała się rozpocząć.

I wtedy Michael uświadomił sobie, że kompletnie zapomniał o uciekającym oficerze.

– Urra! – zagrzmiało w ciemnościach. – Urraaaa!

Mrok rozbłysnął setkami wystrzałów. Odpowiedziały im fińskie cekaemy. W powietrzu zagwizdały pociski z moździerzy, które rozrywały ziemię pod butami nacierających czerwonoarmistów. Bitwa weszła w decydującą fazę.

Michael zaś zrozumiał, że nie może zwlekać ani chwili. Sowiecki oficer, który pojmał Sumu, być może uciekał już z nią przez las. Tayne spojrzął na szopę, w której porywacz przetrzymywał dziewczynę – w blasku płonącego zisa zauważył, że wrota do niej były uchylone, a to oznaczało, że wróg nie tracił czasu. Co więcej, zaledwie kilkanaście kroków dalej czuwali fińscy strzelcy, którzy wpatrywali się w mrok w oczekiwaniu na sowieckie kontruderzenie. Skoro nie zauważyli uciekającego oficera, ten musiał powlec Sumu między drzewa.

– Skurwiel! – warknął Michael i poderwał się do biegu, zapomniawszy, że jego jedyną bronią jest zdobyczny nóż myśliwski.

Kilka uderzeń serca później strzelanina między Finami i Sowietami zamieniła się we wściekłą nawałnicę, regularnie przerywaną wybuchami granatów i pocisków z moździerzy. Rozpędzony Tayne zdołał pokonać ledwie kilka metrów, gdy kątem oka dostrzegł sowieckiego żołnierza, który jakoś zdołał się przebić przez fiński ogień. Czerwonoarmista nawet nie próbował strzelać – wrzeszcząc przeraźliwie, gnał prosto na Michaela i wznosił karabin z bagnetem do niezgrabnego ciosu.

Tayne wyhamował, obrócił się ku niemu i wykonał zwinny unik. Bagnet trafił w próżnię, a Anglik odskoczył na bezpieczną odległość. Instykt podpowiedział mu, że znalazł się w pobliżu czegoś dużego, co całkowicie zasłoniło mu plecy, ale ułamek sekundy później Michael wyczuł nowe ostrzeżenie. Usłyszał łomot butów na metalu i zerknął za siebie – w tym momencie zrozumiał, że znalazł się przy ocalałym sowieckim czołgu, po którego panczeru zsuwa się czerwonoarmista, najwyraźniej szykujący się do skoku. Tymczasem jego kolega z bagnetem zamierzył się do kolejnego ciosu.

Anglik zdecydował się na ryzyko. Uskoczył w bok i... pozwolił czołgście, by ten skoczył na niego. Żołnierz okazał się potwornie ciężki. Pod Michaeliem ugięły się nogi, mimo to nadludzkim wysiłkiem zdołał wykonać obrót. Czołgista zacisnął na szyi Tayne'a wielkie, cuchnące smarem dłonie, ale w tej samej chwili stęknął z bólu – rozpędzony kolega wbił bagnet w jego plecy.

Uścisk osłabł i Tayne zdołał się wyzwolić spod wrzeszczącego, broczącego krwią żołnierza. Wyrwał karabin cofającemu się, przerażonemu piechociarzowi, błyskawicznie obrócił broń i wbił mu bagnet w podbródek, następnie odwrócił się i dobił czołgistę. Ciężko dysząc, otarł krew przeciwnika z czoła i posłuszny instyktowi, odwrócił się tam, gdzie zniknął prowadzący Sumu oficer. Napiął mięśnie, by znów zerwać się do biegu, gdy przez szum krwi w głowie przebił się nowy dźwięk.

Krzyki. Kobięce krzyki.

Odwrócił się. Front niewielkiej szopy, stojącej kilkanaście kroków dalej – tej samej, do której zmierzał tamten oficer – płonął żywym ogniem. Płomienie wdzierały się na dach, z sykiem topiąc śnieg i zamieniając go w kłęby nieprzeniknionej mgły, ale ani wściekła kanonada, ani huk granatów nie mogły zagłuszyć przeraźliwych krzyków uwięzionych w szopie Finek.

Nim sobie uświadomił, co robi, pędził już ku pożeranej przez ogień szopie. Przypadł do tylnej ściany, wbił bagnet w szczelinę między deski. Zdołał podważyć jedną z nich, ale bagnet pękł z głośnym trzaskiem. Odrzucił karabin i wbił w szczelinę palce. Szarpnął, krzycząc z furją, oderwał deskę, odrzucił i złapał kolejną, mocniej przybitą, ale tym razem jego wysiłki wsparło kilka dłoni ze środka, drobniejszych, pokrwawionych, ale silnych dzięki swej desperacji.

Razem oderwali deskę, a potem jeszcze jedną. Zdyszany Tayne wyciągnął rękę i pomógł się przecisnąć rozkaszałej, brudnej od krwi i sadzy kobiecie, a po niej kolejnym. Przekazywał uwolnione stojącemu za nim żołnierzowi, dopóki nie wydobył ostatniej z branek. Wtedy wsadził głowę do wnętrza szopy, gdzie niepodzielnie rządziły rozhukane płomienie i gęstniejące kłęby dymu, ale nie ujrzał już nikogo.

Cofnął się i odwrócił.

Porucznik Jaakko Yökyöpelii złapał kaszłącą, ledwie trzymającą się na nogach kobietę i zmusił do ukucnięcia i pochylecia głowy, by nie trafiła w nią przypadkowa kula. Sam patrzył przed siebie, skąd nacierali niewidoczni jeszcze Sowietci, a po kilku sekundach nachylił się do kobiety i szepnął jej coś do ucha. Ta pospiesznie, nadal się zataczając, oddaliła się na czworakach ku reszcie kobiet, chroniących się w cieniu przeszytej wieloma kulami ciężarówce, a porucznik rozejrzał się po swoich ludziach, którzy zastygli dookoła niczym białe duchy. Jego wzrok zatrzymał się na Michaelu. Yökyöpelii zmarszczył lekko brwi i już zaczął odwracać ku niemu pistolet maszynowy z okrągłym bębniem u dołu, kiedy Tayne przypomniał sobie, że nadal ma na szyi chustę od Theodore'a. Zerwał ją z wściekłością i wpakował do kieszeni, a wtedy na zawziętej twarzy porucznika pojawił się uśmiech.

– Dzień dobry, sierżancie Tayne! Miło mi, że wpadł pan na nasze przyjęcie!

– Nie spodziewałem się aż tylu fajerwerków! – wykrztusił Michael.

– Oto nasza fińska gościnność – mruknął Yökyöpelii. – Znalazł pan żonę?

– Tak. A teraz...

– Michael!

Odwrócił się, oszołomiony, poznając głos Penelopy, który jakimś cudem przedarł się przez zgiełk. Stał przez kilka sekund, łapiąc oddech, i patrzył w ciemny las, aż w blasku kolejnej eksplozji wypatrzył ciemną sylwetkę Penny, która biegła ku niemu z karabinem w ręku, pochylona i czujna.

– Michael, masz ją?! Znalazłeś?! – krzyczała z oddali.

Tayne, również pochylony, przypadł do żony i zmusił ją, by uklękła. Oczy Penelopy błyszczały z przerażenia, gdy rozglądała się naokoło, a z jej twarzy, bodajże po raz pierwszy od chwili spotkania, znikła hardość.

Co nią powoduje? – myślał intensywnie. Kim jest dla niej Sumu? Czym jest dla niej Pas Ilmarinena?

– Wracaj do lasu, do cholery! – wrzasnął. – To nie jest miejsce dla ciebie!

– Dla ciebie też nie! – odparła Penelopa z wściekłością. – Gdybym nie trafiła tego ruska w rękę, zastrzeliłby cię, barani łbie!

Tayne rozdziawił usta.

– To ty go trafiłaś?

– Gdzie jest Sumu?! – zawołała Penny. – Otrząśnij się, do cholery! Gdzie ona jest?!

Nadbiegł Astley. Spojrzał na Michaela.

– Udało ci się ją znaleźć? – wyrzucił z siebie.

Cała czwórka odruchowo pochyliła głowy, gdy w pobliżu huknął granat. Paradoksalnie Tayne’owi pomogło to pozbiierać myśli.

– Nie zdążyłem! – wrzasnął najgłośniejszym głosem, jak umiał, bo w odpowiedzi na eksplozję rozszczękały się fińskie kaemy. – Ten oficer zdążył ją wyprowadzić!

– Któreśdy?

– Raczej nie drogą! Lasem uciekali!

– Kurwa mać! – syknęła Penelopa, po czym niespodziewanie zacisnęła powieki, ukucnęła i przytknęła obie dłonie do zdeptanego śniegu. Pochyliła głowę, a następnie gwałtownie ją poderwała, niczym ktoś, kto nie może dłużej wytrzymać pod wodą.

Policzki Tayne’a owionął cieplejszy podmuch, a w targanym eksplozjami powietrzu przemknęły jakieś niewyraźne, niezrozumiałe słowa.

Minęła dłuższa chwila, nim Penny otworzyła oczy, co przyszło jej z wyraźnym trudem. Oddychała ciężko, jak po biegu.

– To... – wyszeptała. – To się robi coraz trudniejsze.

Tayne chwycił ją za ramiona, zaskakująco szczupłe, i obrócił ku sobie. Penelopa poddała się bezwolnie, co najlepiej świadczyło o jej wyczerpaniu.

– Nawiązałaś kontakt z Sumu? – zawołał.

– Wysłałam jej... – mówiła z trudem. – Wysłałam wiadomość. Odezwie się do nas... Odezwie się...

– Nie mam ochoty czekać na to bezczynnie – wymamrotał Turner, przyglądając się z oszołomieniem wymianie ognia. – Zwłaszcza tutaj. Jeszcze trzy granaty i reporterska pasja zginie we mnie na zawsze. Jeszcze cztery, a nigdy się nie odrodzi.

– Nie będziemy czekać. – Tayne zacisnął zęby. Astley wpatrywał się w niego z nadzieją. – Turner, dasz radę odpalić któryś z tych ruskich rzęchów?

Amerykanin uśmiechnął się w odpowiedzi szeroko, rozejrzał i zerwał do biegu ku kilku zaparkowanym między drzewami zisom. W każdej dłoni trzymał po jednym pistolecie, przez co przypominał zawadiackiego bohatera westernu. Wszelki patos znikł, gdy w pobliżu eksplodował granat, a Turner przewrócił się i znikł.

Michael, który objął Penelopę i pomagał się jej podnieść, spojrział niespokojnie w ślad za dziennikarzem. Ulżyło mu, gdy dostrzegł, jak Turner się podnosi, ale zaraz potem zamarł, bo jego zmysły wychwyciły inną nieprawidłowość. Eksplozja granatu, którą widział kątem oka, wydała mu się z jakiegoś powodu błada, niewyraźna.

W tym samym momencie Astley chwycił go za ramię i coś pokazał ręką. Na obliczu młodego człowieka malowała się bezbrzeżna groza.

W miejscu, które wskazywał, las nikł, jakby pochłaniała go nadciągająca fala ciemności.

Przybyła Czarna Zgroza.

*

Dłoń Sumu, szczupła i wąska, zaskakująco wiotka jak na surowe warunki, w których dziewczyna się chowała, nakryła ranę na dłoni Muchalewa. Oficer roześmiał się chrapliwie, gdy poczuł, jak po jego ręce rozlewa się przyjemne ciepło. Nieznośny ból, który towarzyszył mu od chwili ucieczki z atakowanego obozowiska, już go opuszczał, a rana szczypała i ciągnęła, jakby właśnie zasklepiała się z nieprawdopodobną prędkością.

– Sumu – wychrypiał, łapiąc drugą ręką za wystające spod czapki włosy dziewczyny. Pociągnął je, by móc spojrzeć w twarz uzdrowicielki. – Sumu, moja mała, słodka Sumu. Tak wiele dla mnie zrobiłaś, maleństwo. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczny za wskazanie mi drogi do Pasa Ilmarinena.

W jej wielkich, szeroko otwartych oczach nie było ani śladu emocji.

– Nic ci się nie stanie – szepnął. – Jesteś ze mną całkowicie bezpieczna, wiesz? Musiałem nawet spuścić lanie jednemu czołgście, by wciąż tak było, wiesz? Mam nadzieję, że docenisz moje starania.

Karelka nie rozumiała ani słowa po rosyjsku, ale Muchalewowi wcale to nie przeszkadzało. Mówił i mówił, gładząc ją teraz wolną ręką po policzku. Następnie wyswobodził drugą i z niedowierzaniem spojrział na brudną od zakrzepłej krwi skórę, na której nie było ani śladu obrażeń.

Minęła chwila, nim przypomniał sobie o swoich pięciu żołnierzach, którzy stali kilka kroków dalej. Wygasił uśmiech i spojrzał na nich surowo, a potem odepchnął od siebie Finkę i złapał za sznur, którym skrępowano jej nadgarstki.

– W drogę – warknął.

Czerwonoarmiści wchodzący w skład jego drużyny udawali, że wpatrują się w las, choć Muchalew był pewien, że usiłowali podsłuchiwać, co mówi do Sumu. Wzruszył ramionami – w zasadzie nie miał nic przeciwko. Byli prostymi, przesądnymi ludźmi lasu i lejtnant nie uważał, by którykolwiek z nich rozumiał, o co właściwie chodzi ich dowódca. Muchalewowi wystarczało, że nie wahając się, wypełniali jego polecenia, czego dowodem było choćby to, że bez słowa porzucili świeżo upieczzonego renifera na rzecz kilku konserw i czarnego chleba z przydziału.

Czy jednak na pewno wystarczało?

Nagle zatęsknił za napawającą spokojem obecnością starszyny Wlekowa, który był dla niego opoką przez wiele miesięcy. Zatęsknił za czujnymi oczami Kamieniewa i drapieżnym wzrokiem Esmeraldy. Spojrzał na swe dłonie, zziębnięte, pokryte wyschniętą krwią, i wydał się sobie bezdomnym włóczęgą. Uciekinierem.

Zdrajcą.

Uniósł głowę i popatrzył w stronę, z której wciąż dobiegał grzechot broni maszynowej i huk eksplodujących granatów.

Cóż, był bez wątpienia uciekinierem i zdrajcą, choć tego drugiego nikt mu jeszcze nie udowodnił. Nie był jednakże bezdomnym. Nie. Wcale nie. Znalazł się bliżej swego celu niż kiedykolwiek wcześniej.

Nie potrzebował już Cyganki, która potrafiła mieszać ludziom w głowach. Nie potrzebował starego Karela, który rozniecał burze śnieżne. Nie potrzebował młodej Angielki, która w tajemniczy sposób przyswoiła sobie miejscową magię.

Dotarł przecież do Sumu, uzdrowicielki o duszy wypranej z emocji, lecz sercu wrażliwym na krzywdę. Tej, która mogła go doprowadzić do Pasa Ilmarinena.

Nie było sposobu, by zdobyć większą potęgę.

– Doprowadzisz mnie do Pasa, prawda? – szepnął Sumu do ucha. – Już mi zdradziłaś, gdzie się znajduje, ale w tych lasach nietrudno zabłądzić. Doprowadzisz mnie tam, dziewczyno, albo ludzie zaczną ginąć.

Przysiągłby, że przez chude ciało uzdrowicielki przemknął dreszcz. Zaśmiał się głucho i pchnął ją ku nartom, popuszczając tyle sznura, by zdołała je zapiąć. Pięciu żołnierzom zrobiło to samo i już po chwili niewielki oddział pomknął na wschód, jak najdalej od toczących się na drodze walk.

Pośród nisko wiszących chmur śniegowych otwierała się połać czystego nieba, zalana różem wschodzącego słońca. Płatki wciąż wirowały w powietrzu. Lejtnant

Muchalew wpatrywał się w coraz intensywniejsze barwy świtu, jasne i niewinne pomimo toczącej się na ziemi wojny, a na jego obliczu pojawił się uśmiech, początkowo nieśmiały, ale z każdym kolejnym odepchnięciem się kijkami coraz szerszy.

Bo tak naprawdę to czymże były przywileje oficerskie? Czym były pochwały partyjne? Czym były order i pagony w porównaniu z tym, po co właśnie sięgał ręką? A cóż by zyskał, gdyby po prostu złożył raport i przekazał go w ręce zwierzchników? Ktoś inny sięgnąłby po straszliwą moc Pasa Ilmarinena, a jemu pozostałoby topienie gorzkiej zazdrości w wódce.

Nie, nie mógł postąpić inaczej. Po prostu nie mógł.

Wiatr świstał mu w uszach, narty szurały po miękkim śniegu, opadające wolno płatki topniały na jego gorących policzkach. Co chwila obracał się, ale sznur, do którego przytroczył Sumu, pozostawał miękki. Uzdrowicielka potulnie podążała za nim, nie próbując nawet walczyć ze swoim losem, a jej oczy były nieodmiennie puste.

Wtem szare chmury znów zdusiły rodzący się świt i w twarze spoconych już, zdyszanych nieco narciarzy buchnął śnieg. Muchalew zatrzymał się, by otrzeć pot z czoła, i wtedy uświadomił sobie, że z oddali dobiegają jakieś odgłosy. Słyszał warkot wielu silników, trzaski i huki, a także rozkazy i przekleństwa po rosyjsku. W chłodnym powietrzu rozchodził się zapach grochówki, na co żołądek lejtnanta zareagował przeciągłym burczeniem.

Jasna cholera, pomyślał. Kolejna jednostka Armii Czerwonej.

Przyszło mu do głowy, by spróbować ją objechać, ale nie miał pojęcia, jak rozległy teren zajęli jego rodacy. Mógł natrafić na patrolujących żołnierzy lub drwali tnących drzewa na wieczorny opał, a ci z pewnością zareagowaliby zdziwieniem na widok narciarzy, próbujących ich potajemnie wyminąć. Ba, mogliby nawet wziąć ich za Finów i otworzyć ogień!

Tymczasem do Pasa Ilmarinena było już tak blisko... Nie, Muchalew nie miał zamiaru podejmować żadnego ryzyka. Zamiast tego po raz ostatni zdecydował się wykorzystać największy atut oficera NKWD. Nabrał powietrza, przybrał hardą minę, skrzywił się i odepchnął się kijkami w stronę widocznej już drogi. Sumu oraz pięciu żołnierzy podążyło za nim.

– Stój! – dobiegło z oddali. – Kto idzie?

– Starszy lejtnant Siergiej Muchalew, Zarząd Główny Wojsk Pogranicza! – ryknął, zdzierając sobie gardło. – NKWD!

Mundurowi, którzy strzegli barykady przy końcu obozowiska, zastygli. Wybałszyli oczy na widok czerwonej pręgi przecinającej twarz Muchalewa, która najwidoczniej tylko spotęgowała zgrozę wywołaną przez skrót nazwy najbardziej niebezpiecznej organizacji w Związku Radzieckim. Żaden z nich

nawet nie spojrzął na towarzyszących mu żołnierzy, którzy, wyczuwając onieśmienie kolegów, przybrali zadziorne pozy. Ani na Sumu oraz inne kobiety, które, wyczerpane do cna, osuwały się na kolana lub kucały, oparte o pnie.

Muchalew natomiast miał do odegrania własny teatrzyk.

– Co to za jednostka? – wycedził.

– Siódmy bata... – zaczął któryś z żołnierzy niepewnie, ale lejtnant przerwał mu z wściekłością:

– Zresztą, w dupie to mam! Odpowiedzcie mi lepiej na pytanie, bando cholernych kunktatorów, co tu robicie? – Muchalew wziął się pod boki. – Kilkanaście kilometrów stąd oddział pułkownika Suszkiina odpiera ataki kapitalistycznych partyzantów, a wy co? Wódkę popijacie i o gołych dupach rozprawiacie, co?

Czerwonoarmiści bledli, rozdziawiali usta i spoglądali po sobie bezradnie. Wreszcie któryś z nich, kaprysem przełożonego najwyraźniej uczyniony dowódcą warty, rozłożył ręce w futrzanych rękawicach i wyjąkał:

– Ale kiedy nie było rozkazu, towarzyszu starszy lejtnancie!

– Nie było rozkazu – wysyczał Muchalew i spojrzął przed siebie.

Barykada, przy której czuwała warta, składała się z wozu, który w razie potrzeby można było zepchnąć na bok. Dalej ciągnęły się zasieki z drutu kolczastego, a za nimi stały dwa stanowiska karabinów maszynowych. Dalej las się kończył, a zaczynały białe pola, wzdłuż głównego traktu zaś skupiały się gospodarstwa, nad którymi górowała wieżyczka kościoła. Między zabudowaniami stały czołgi i ciężarówki, a drogę zajmowały działa oraz konne wozy. Lejtnant widział dziesiątki ludzi, którzy krzątali się między pojazdami konwoju, ale w ich ruchach nie było widać energii ani zaangażowania, zupełnie jakby nie mieli pojęcia o walkach oddziału Suszkiina. Znów poczuł ukłucie wstydu i złości z powodu bierności swoich rodaków, ale szybko się z tego otrząsnął.

To już nie moja wojna, pomyślał. Ja muszę tylko przedostać się na drugą stronę...

– Co to za miejscowość? – spytał ostro.

– Raate, towarzyszu starszy lejtnancie.

– To w sumie też mnie gównem obchodzi, ale...

Ktoś przy nim powtórzył wyraz „Raate” głosem tak miękkim i powabnym, że musiał należeć do kobiety. Nigdy dotąd nie słyszał, by Sumu odezwała się choć słowem, ale nie miał wątpliwości, że padło ono z jej ust, choć... choć mógłby przysiąc, że unosiło się na wietrze, niczym wzbijający się do lotu ptak.

Odwrócił się gwałtownie, zapominając o żołnierzach, których rugał. Jego zmarznięte, poranione oblicze niespodziewanie owionął cieplejszy podmuch

i lejtnant odruchowo uniósł głowę, jakby pragnął odprowadzić ulatujące słowo wzrokiem.

Tymczasem to pomknęło w kierunku, z którego nadjechali.

I wtedy Muchalew wszystko zrozumiał. Warknął głucho i ukucnął przy Sumu. Oстрыm, brutalnym gestem złapał ją za brodę i poderwał jej głowę, by spojrzeć dziewczynie w oczy.

– Przekazałaś im wiadomość, tak? – wysyczał ledwie słyszalnym głosem. – Na swój własny, szamański sposób? Komu, moja słodka? Twojej angielskiej przyjaciółce? Jej dzielnemu towarzyszowi, który już dwakroć się na mnie rzucił? A może siostrze i ojcu, co? Cóż, popełniłaś błąd. Wielki błąd, Sumu. Na szczęście wiem, jak go naprawić. Wiem też, co zrobić, byś od tej pory już zawsze okazywała mi posłuszeństwo.

Pchnął Finkę na śnieg, wyprostował się i odwrócił ku oniemiałym żołnierzom.

– Zawołajcie mi swego dowódcę – rozkazał. – Nie przygłupa, który dowodzi waszą drużyną, ale dowódcę całej kompanii.

*

Czarna Zgroza, ciemniejsza od mroku, bardziej złowieszcza od zarazy i straszliwsza od toczącej się dookoła bitwy, napływała powoli, lecz nieubłaganie. Zagarniane przez nią pnie drzew stawały się niewidoczne, a ich korony rozrzedzały się, jakby teraz, po zetknięciu z Czarną Zgrozą, przestawały mieć znaczenie.

Przerażony Tayne wpatrywał się w złowrogą ciemność szeroko otwartymi oczami, próbując oszacować dystans, jaki pozostał do spotkania.

Pięćdziesiąt kroków, nie więcej, przemknęło mu przez myśl.

Wciąż podtrzymując Penny, przypadł do kolejnej ciężarówki i zatoczył krąg ściskany w lewej ręce mosinem. Wśród dymów i płomieni nie widział żadnego sowieckiego żołnierza.

– Teraz! – huknął.

Turner się zerwał, wślizgnął do szoferki i przekręcił kluczyk w stacyjce, ale spod maski wielkiej ciężarówki GAZ–AAA dobiegło jedynie zduszone rżenie.

– Szlag by ich trafił! – Amerykanin grzotnął pięścią w kierownicę. – W taki mród samochód uruchamia się co dwie godziny na kwadrans, żeby...

– Tamten! – wrzasnął Tayne i wskazał ręką kolejny z samochodów. – Może tamten odpali!

Wsparta o jego bark Penny mamrotała coś pod nosem, ze wszystkich sił walcząc o zachowanie przytomności. Za nimi kucał Astley, który nadal trzymał

pistolet w rękę, ale najwyraźniej o nim zapomniał, wpatrzony w nadciągającą Czarną Zgrozę.

– Turner! – ryknął Michael. – Nie działa, to nie działa! Biegnij do tamtego!

Dziennikarz, jakby nie usłyszał ponagleń Tayne'a, obrócił kluczykiem jeszcze raz, ale spod maski ciężarówki nie dobiegł już żaden dźwięk. Wtem jakaś przypadkowa kula strzaskała przednią szybę i Turner prawie wypadł z szoferki.

– Pieprzony skurwy... – wymamrotał, natychmiast się zrywając.

– Pozostał jeszcze tamten! Ten obok studni! – krzyknął Tayne i spojrzął za siebie.

Czterdzieści kroków, pomyślał. Może ciut więcej...

Zbliżająca się ciemność była całkowicie bezgłówna, ale w jakiś przedziwny sposób pochłaniała wszelkie dźwięki z okolicy. Serie z broni maszynowej i eksplozje granatów wydawały się teraz dziwnie spłaszczone, niemalże niegroźne.

Nieco wstrząśnięty Amerykanin również zerknął na zbliżającą się Czarną Zgrozę. Zaklął pod nosem i zerwał się do biegu z pochyloną głową. Tayne zaś, chcąc choć na chwilę zapomnieć o nowym zagrożeniu, obejrzał się, by ocenić, jak rozwija się starcie. Nie było to łatwe: szarzało, do tego sylwetki żołnierzy nikły wśród tumanów wirującego śniegu. Wybuchy pocisków z moździerzy przeniosły się dalej, oczyszczając drogę nacierającym Finom, nadal wspomaganym ogniem z karabinów maszynowych. Za sobą pozostawiali płonące czołgi i samochody. Działali w doskonałej koordynacji ze swoim wsparciem ogniowym – rozciągnęli natarcie, by uniknąć oskrzydlenia przez Sowietów, i napierali systematycznie, wyprzedzani przez eksplozje granatów moździerzowych. Zepchnęli wrogich żołnierzy o dobre kilkaset metrów, zostawiając za sobą trupy i płonące wraki, i wciąż atakowali, by ci nie mogli wykorzystać swej przygniatającej przewagi liczebnej.

Michael przeczuwał, że dowodzący atakiem Yökyöpelii lada moment da sygnał do odwrotu, a wtedy zniknie również ten pluton Finów, którzy strzegli drugiej strony drogi. Nie mieli za wiele do roboty, bo z ich strony wyłomu działania Sowietów ograniczały się do niemrawego ostrzału. Tayne uznał, że los mu sprzyja, bo w tę właśnie stronę uprowadzono Sumu. Liczył na to, że nikły ostrzał pozwoli mu w miarę bezpiecznie przejechać, gdy tylko Turner zdoła odpalić któryś z pojazdów.

Mieli bardzo mało czasu. Czarna Zgroza przybliżała się nieubłaganie, a do tego Finowie w każdej chwili mogli się wycofać do lasu.

O tym, co się stanie, jeśli samochód nie odpali, Michael nie chciał nawet myśleć.

– Szybciej, szybciej! – szepnął nerwowo Astley, który spojrzał w ślad za Amerykaninem.

Dziennikarz przebiegł właśnie obok czarnego, dopalającego się wraku ciężarówki, wyminął poszatkowane ogniem maszynowym zwłoki i wskoczył do zisa wyładowanego przykrytymi brezentem skrzyniami. Jakiś czerwonoarmista najwidoczniej wpadł na ten sam pomysł i ruszył biegiem w stronę Turnera, krzycząc ochryple i wygrażając karabinem. Amerykanin wybił kolbą zdobycznego mosina szybę od strony kierowcy i otworzył do biegnącego żołnierza ogień, na co ten schronił się za murowaną studnią. Tayne ostrożnie opuścił Penelopę na śnieg, podrzucił znalezione gdzieś mosina do ramienia i położył żołnierza jednym strzałem w głowę.

Potem spojrzał za siebie. Trzydzieści metrów, nie więcej.

– Złap Penny z drugiej strony! – polecił Astleyowi ochryplym ze zdenerwowania głosem.

Theodore wyrzucił zbędny już pistolet i ujął dziewczynę pod drugie ramię.

– Trzy, dwa, jeden... – odliczył Michael, po czym obaj się poderwali i popędzili w stronę ciężarówki, niemalże wlekąc Penelopę za sobą.

Za plecami usłyszeli szum, przywodzący na myśl odległy wiatr pośród szczytów górskich. Tayne się obrócił i ku swemu przerażeniu ujrzał, że Czarna Zgroza zaczyna się kotłować niczym ciemna chmura, rozsadzana od środka podmuchami wiatru.

– Miałem nadzieję, że to cholerstwo znika z nastaniem dnia! – wysapał Michael.

– Ja miałem taką pewność! – Astley prawie zaszlochał.

Dwadzieścia kroków. Biegli co sił, nie pamiętając już o zachowaniu środków ostrożności, ale Czarna Zgroza stale zmniejszała dystans. Na wschodzie chmury powoli się rozchodziły, ustępując przed różowiejącym niebem. Widać było twarze, blade z wysiłku, złane potem, ściągnięte przerażeniem. Penelopa coś szeptała, ale Tayne, ogłuszony hukami własnej krwi w uszach, niczego nie słyszał.

Usłyszał dopiero ryk odpalanego silnika ciężarówki i okrzyk triumfu Turnera.

– Ładować się! – wrzasnął radośnie Amerykanin, wychylając głowę przez wybite okno. Zaraz jednak wytrzeszczył oczy na widok nadciągającej Czarnej Zgrozy, przerażająco bliskiej i kotłującej się z furii. – Szybciej, na litość boską!

Tayne, zrzuciwszy sobie karabin na ramię, otworzył drzwi i niemal wrzucił Penelopę do środka.

– Raate – wychrypiała kobieta. – Raate...

– Raate – powtórzył bezwiednie Michael. – Że co? Jaka Raate? Co to jest?

– Raate... – szeptała Penelopa. – Droga...

– Droga... – mruknął Tayne. – Wskakuj, Astley! Turner, ruszaj!

Popchnął wsiadającego do środka Theodore'a i zatrzasnął za nim drzwi. Amerykanin nacisnął pedał gazu i ciężarówka zaryczała, buchając kłębami spalin. Powoli ruszyła z miejsca, a Tayne w odpowiednim momencie wskoczył na pakę. Przecisnął się między burtą a zakrytymi brezentem skrzyniami, oparł łokcie na dachu szoferki i zaczął mierzyć przed siebie z karabinu, co nie było łatwe, bo nabierający prędkości samochód podskakiwał na nierównościach terenu.

– *Snälla skjut inte!* – krzyczał Astley, wymachując rękami ze swojego okna. – *Skjut inte! Vi är engelska!*

Nabierający prędkości pojazd zbliżał się właśnie do tyraliery zaskoczonych Finów. Michael był przekonany, że ci zaraz zasypią samochód gradem kul, ale nie dość, że nikt nie wystrzelił, to jeszcze żołnierze chyżo uskakiwali na boki.

Błogosławiony niech będzie twój talent, Theo! – pomyślał z ulgą, od której zmiękły mu kolana.

Gaz przemknął wśród Finów i rozpędził dymy wiszące wokół dopalającego się domostwa, po czym wypadł na drogę, wzdłuż której ciągnął się rząd pomocniczych ciężarówek z czerwonymi gwiazdami. Znaleźli się po drugiej stronie starcia i Tayne wytrzeszczył oczy na widok dziesiątek żołnierzy, którzy z zaciekawieniem i przestachem wysunęli głowy zza prowizorycznych osłon. Wtem przypomniał sobie, że na głowie nadal ma futrzaną czapkę, a w ręku sowiecki karabin.

Zrobił więc jedyną rzecz, którą zrobić mógł. Poderwał broń do góry i wrzasnął:

– Urra!

– Urra! – odpowiedzieli mu z entuzjazmem Sowietci. – Urra!

Michael krzyczał, aż zachrypnął, a potem odważył się spojrzeć do tyłu. Czarna Zgroza powoli rozpadała się w blasku świtu.

*

Wedle mapy Raate było niewielką wsią, która znajdowała się niedaleko granicy Finlandii z ZSRR. Tayne oceniał, że oficer, który uprowadził Sumu, mógł mieć nad nimi jakieś pół godziny przewagi. Ale Michael nie przejmował się tym zbyt, ponieważ wierzył, że dzięki ciężarówce uda się te kilometry zniwelować. Pierś rozpieęła mu satysfakcja – nie dość, że udało im się uciec Czarnej Zgrozie, która w istocie ustąpiła przed blaskiem rodzącego się dnia, to jeszcze zdołali bez większych trudności pokonać odciętą część sowieckiej

kolumny, stosunkowo krótką i niegroźną. Znów odzyskali szansę na odbicie Sumu.

Resory gaza poskrzypywały na nierównościach terenu i Tayne miał spore trudności z zachowaniem równowagi. Na dodatek śnieg ciął go po twarzy i Michael musiał mrużyć oczy, by cokolwiek dostrzec. Raz na jakiś czas próbował zajrzeć do środka, by przekonać się, co z Penelopą, ale jego żona najwyraźniej do końca opadła z sił – jej głowa to podskakiwała na ramieniu Astleya, to z niego zjeżdżała.

Patrząc na to, Michael zaciskał powieki, nie wiedzieć, czy pod wpływem emocji, czy wściekłego naporu śniegu.

Odwrócił się, ale Czarnej Zgrozy nadal nie było widać.

Co będzie, gdy nastanie zmrok? – przeszło mu przez głowę. Czy wróci?

Odruchowo wsunął dłoń do kieszeni kurtki, gdzie wymacał przekłętą chustę Vittensa, która ściągnęła na świat tak wielkie zagrożenie. Miał wielką ochotę wyrzucić ją jak najdalej od siebie, ale na samą myśl o tym, że ktoś mógłby znaleźć ją i wykorzystać, nawet nieświadomie...

Jego instynkt odezwał się tak gwałtownie, że Tayne wytrzeszczył oczy. Odruchowo zabębnił pięściami po dachu szoferki, co stanowiło wcześniej umówiony sygnał. Turner niemal natychmiast wcisnął hamulec – samochód zatańczył wśród wyjeżdżonych kolein z taką energią, że Michael o mało nie upuścił karabinu.

Zapadła cisza, przerywana jedynie warkotem silnika. Dziennikarz wystawił głowę przez okno i obejrzał się na Tayne'a:

– Co się dzieje? – warknął. – Goni nas ta cała Zgroza czy jak jej tam?

– Nie – syknął Michael. – To coś chyba nie lubi światła.

– To o co chodzi?

– Nie wiem – mruknął Tayne. – Naprawdę nie wiem.

Skłębione, szare chmury wisiały nisko nad czubkami sosen. Wiatr ustał całkowicie. Pojawiła się mgła, szara i lepka. Michael niemalże słyszał szelest, z jakim opadające powoli płatki śniegu osiadały na blaszanym dachu samochodu. Całość była tak kojącym doznaniem, że uległ iluzji, iż znajduje się w innym świecie, cichym i spokojnym, oddalonym od wojen i cierpienia.

Wrażenie to trwało tylko kilka sekund, dopóki Michael nie zauważył, że między drzewami ktoś się porusza. We mgle zamajaczył biegnący człowiek, ocięzający i niezdarny. Obok pojawił się kolejny, a potem następny i jeszcze jeden. Wielu ludzi.

I nagle Tayne pożałował, że przejechali tak spory kawał drogi. Trzeba było się zatrzymać znacznie wcześniej. Nie powinni kusić losu i gnać bez opamiętania drogą zajętą przez wroga.

Bo biegnący ku nim ludzie krzyczeli po rosyjsku.

Michaelowi zaschło w ustach, natomiast Turner zaklął wściekle i podjął własną decyzję – z przeciągłym zgrzytem wrzucił wsteczny bieg i samochód, podskakując, ruszył do tyłu. W tej samej chwili tyraliera ciemnych postaci znieruchomiła i otworzyła ogień. Któryś z pocisków roztrzaskał reflektor, inny przebił błotnik, jeszcze kolejny odbił się rykoszetem od dachu. Tayne pochylił głowę.

– Uciekajmy! – wrzasnął. – Porzućcie ten pieprzony samochód! Zgubimy ich w lesie!

Turner zakręcił kierownicą tak, by ustawić ciężarówkę bokiem do Rosjan, a następnie pchnął drzwi, wyskoczył na zewnątrz i pomógł wsiąść wciąż bezwładnej Penelope. Michael oddał kilka strzałów do nadbiegających żołnierzy; ich tyraliera na moment się rozpadła, a czerwonoarmiści przypadli do ziemi, ale gdy sam zeskakiwał na śnieg, przeciwnicy podjęli ostrzał. Było ich coraz więcej.

– Tego żeśmy, cholera, nie przewidzieli – mruknął Amerykanin.

Penelopa, choć wciąż blada, rozglądała się dookoła. Jej oczy połyskiwały dziko.

– Możesz biec? – spytał Tayne, ale żona nawet na niego nie spojrzała. Nadal wpatrywała się w las to tu, to tam.

– A zresztą... – Michael splunął i uniósł karabin. – Turner, Astley, bierzcie ją i uciekajcie na południe. Ja kupię dla nas trochę czasu!

Wychylił się, wystrzelił i cofnął, nie sprawdzając nawet, czy trafił. Ciężarówka wciąż mruczała, Rosjanie krzyczeli, kule gwizdały. Śnieg wirował.

– Nie będziesz zgrywał bohatera – zaprotestował Astley.

– Och, oczywiście, że nie będę. – Tayne się skrzywił. – Od bohatera wolę rolę zabójcy. – I zamachał mu przed oczami chustą, którą pospiesznie zawiązał wokół szyi. Turner przyglądał mu się z przekąsem.

– Serio, człowieku? – mruknął. – Nie wiem, jak tobie, ale mi ten pieprzony, czarny kleks między drzewami wcale się nie spodobał.

– Umówmy się, że to mój problem, dobra? – Michael znów się poderwał, by wystrzelić. – Zresztą – dodał, przeładowując – to chyba dobry moment, by ci przypomnieć, Turner, że siłą cię tu nie zaciągnąłem. Wynoście się stąd. I jak dacie radę, ocalcie Sumu.

– To się nie może tak skończyć! – syknął Astley i spojrzał z rozpaczą na Penelopę. – Penny, słyszysz? Nie mogłabyś wezwać tych... tych *hiisi* raz jeszcze?

Dziewczyna rozglądała się dookoła półprzytomnym wzrokiem, ale niespodziewanie jej popękane usta rozciągnęły się w nieludzkim uśmiechu.

– O, tam – szepnęła. – Tam jest!

Michael spojrział w ślad za jej ręką. Na pniu powalonego przed wiekami drzewa niespodziewanie pojawiła się muskularna lisica, równie biała jak otaczająca ją puszcza. Jej czarne ślepia, lekko zmrużone, lustrowały czwórkę chowających się za ciężarówką ludzi. Była nieporuszona zarówno ich bliskością, jak i nadciągającą kanonadą.

Turner zmarszczył brwi.

– Hej, ja już kiedyś widziałem tego zwierzaka – zauważył.

– Hämärä – szepnęła półprzytomnie Penelopa i uniosła rękę na powitanie.

Sowiecka kula strzaskała szybę samochodu, kolejna z przenikliwym wizgiem rykoszetowała od maski.

– Hämärä? – spytał z niedowierzaniem Theodore. – To ona? Siostra Sumu?

Lisica obróciła się na pniu, jakby chciała odbiec, ale po chwili wróciła do poprzedniej pozycji i znów wbiła wzrok w ludzi.

– Chodźcie – odezwała się Penelopa, wspierając się na ramieniu Astleya. – Chodźcie za nią. Ona chce... chce, byśmy za nią poszli!

Tayne poderwał się jako pierwszy, po nim Astley i Turner. Oglądając się za siebie, początkowo osłonięci przez ciężarówkę, uchodzili w las za piękną lisicą. Z każdym krokiem szli coraz pewniej, coraz odważniej. W końcu, choć wrogie kule nadal gwizdały w powietrzu, a między drzewami niosło się pokrzykiwanie po rosyjsku, przestali się odwracać.

Nie widzieli, jak na sowiecką tyralierę spadła wściekła, niepowstrzymana burza śnieżna.

*

Lejtnant Siergiej Muchalew przeczuwał, że Sumu należy do nielicznej grupy ludzi całkowicie niezdolnych do kłamstwa, ale mimo to poczuł wielką satysfakcję, gdy Finka doprowadziła go do celu.

Satysfakcję podszytą odrobiną irytacji, bo doskonale znał to miejsce.

To tu zaczęły się problemy z Esmeraldą, pomyślał. Tu zhardziała i postanowiła stawić mi czoła. Zaraz po tym, jak weszła między te cholerne skały.

Patrzył na ogromne, obłe głazy, przykryte czapami zmarzniętego śniegu, tu i ówdzie najeżone wieńcami ostrych sopli. Prastare i wrośnięte w puszczańską glebę, wpatrywały się z kamienną obojętnością w rosyjskiego lejtnanta i jego słaniającą się na nogach branke. Płatki śniegu opadały powoli i lekko, jakby cały świat wstrzymał oddech, przyglądając się Muchalewowi.

Ten zaś po chwili, nie spiesząc się, starannie odpiął narty, a potem się wyprostował.

– Pilnujcie jej – rzucił do swoich ludzi. – I pod żadnym pozorem nie pozwólcie jej, by uklękła. I na tamte też miejcie oko. – Ruchem głowy wskazał pozostałe zakładniczki. – Żadnych brutalnych zabaw.

Z kolei sam ruszył powoli ku bramie utworzonej przez dwie obłe, poznaczone rdzawymi porostami skały. Z pęknięcia w boku jednej z nich wyrastał zawzięty młody świerczek, druga przypominała ogromnego wielbłąda z pochylonym łbem.

Piękne miejsce, pomyślał, choć nie był wrażliwy na przyrodę. Miejsce. Bo Pas Ilmarinena to nie przedmiot, a miejsce.

Niespiesznie przeszedł między skałami, rozkoszując się skrzypieniem śniegu pod podeszwami butów i każdym haustem krystalicznie czystego powietrza, które wydawało się wypełnione czymś osobliwym. Nie potrafił tego nazwać, ale miał przed tym podświadomy respekt.

Nic dziwnego, że Esmeralda poczuła się tu pewniej, pomyślał. Czuć tu moc. Wokół tego miejsca gromadzi się magia i moja wściekła Esmeralda musiała się nią zachłysnąć.

Wolno, niemalże pieszczotliwie przesunął dłonią po chropowatej powierzchni skały.

Magia, która teraz będzie należała do mnie.

Skały tworzyły nieregularny okrąg, a w jego środku, zgodnie ze słowami Sumu, ujrzał płaski głaz, w którym znajdowało się głębokie wydrążenie. Wypełniała je woda, ściągnięta teraz warstwą lodu. Muchalew szedł w stronę głazu, zdumiony ciszą panującą w obrębie kręgu. Serce biło mu mocno, a głowę rozsadzały coraz śmielsze myśli. O cynicznym, złośliwym Suszkinie. O durnym Witalence. O swoich przełożonych w Zarządzie Nauk Tradycyjnych, którzy wyładowywali na podkomendnych frustrację spowodowaną szyderstwami ze strony zwierzchników NKWD. Pomyślał o aktach niegospodarności, nieudolności i zwykłej głupoty, których był świadkiem. O łatwości, z jaką fińscy żołnierze rozgromili jego rodaków. Pomyślał o cuchnącej chacie rodzinnej, apodyktycznym nauczycielu ze szkoły cerkiewnej i szykanach, jakie musiał znosić na kursach oficerskich.

Powoli, narzucił sobie spokój myśli. Powoli, Siergiej. Jedna rzecz naraz.

Nachylił się nad głazem i kilkoma uderzeniami kolbą rewolweru stłukł lód. Powoli, starannie wyrzucił na śnieg grube kawałki lodowej warstwy, a następnie pochylił się nad wodą i spojrzał na własne odbicie. Ciarki przeszły mu po plecach, gdy ujrzał wychudzoną, zarośniętą twarz, posiniaczoną i przeciętą czerwoną, wciąż palącą pręgą. Jego oczy lśniły gorączką, a pożółkłe zęby wysuwały się spod warg na podobieństwo zwierzęcych kłów.

Wrastam w tę puszcę, pomyślał. Staję się częścią mitu.

Mitu.

Muchalew pochylił się i spojrzął na młot, który nadal stał przy skale. Ujął go obiema rękami. Było to proste, żelazne narzędzie na grubym, drewnianym trzonku. Jeśli wierzyć Sumu, nim właśnie posługiwał się Ilmarinen, fiński półbóg, gdy tworzył wszystkie wspaniałości. Tym młotem wykuł młynek Sampo. Za jego pomocą stworzył sklepienie niebieskie i wykuł ze złota swą żonę.

Dziwne więc, że po półbogu, który tak wiele zrobił, zostało głównie narzędzie zniszczenia, myślał lejtnant, ważąc młot w dłoni.

Nadal pochylał się nad lustrem wody. Sumu, wpatrzona w lufę rewolweru, którą przytknął do skroni którejś z zapłakanych, skrępowanych Finek, powiedziała mu, że powinien wyobrazić sobie to, co jego zdaniem musi ulec zniszczeniu. W chwili, gdy to wyobrażenie odbije się na powierzchni wody, powinien uderzyć w nie młotem.

Wówczas rozbije je na miazgę również w świecie rzeczywistym.

Czeka mnie sporo roboty, pomyślał w przyływie wisielczego humoru. Ha, odcisków dostanę! Zacznę od tego skurwysyna Rostowskiego, który przez całe miesiące wyzywał mnie od pastuchów i świniojebców.

Wpatrywał się w wodę tak długo, aż ujrzał wyraźnie mięsiste, nalane oblicze pułkownika Giennadija Rostowskiego, który, na nieszczęście Muchalewa oraz wielu innych kadetów, opiekował się ich rocznikiem w Wyższej Szkole Wojsk NKWD w Moskwie i z tego, co lejtnant wiedział, popchnął przynajmniej dwóch z ich grona do samobójstwa. Muchalew podrzucił młot i grzmotnął nim z całej siły w taflę, rozbryzgując dookoła wodę.

– Cudownie – warknął. – Teraz pora na jebakę Zajcewa, szefa ZNT!

Począł, aż na wodzie uformuje się kolejne oblicze, a potem znów wzniósł młot, nieświadom tego, że wokół niego zrobiło się jakby ciemniej.

*

Silnik zdobyczej ciężarówki był na podwyższonych obrotach, resory skrzypiały, a zderzak z dużym trudem rozgarniał śnieg i Michael parokrotnie był niemal pewien, że ugrzęzł na dobre. Tymczasem Turnerowi wystarczało kilka ruchów kierownicą, by samochód wygrzebał się z przeszkody i popędził dalej. Jako że drogą przejechało niedawno wiele pojazdów, mimo obfitych opadów śniegu wciąż było widać koleiny, ale zdaniem Tayne'a wyczyny dziennikarza i tak zasługiwały na podziw.

Sam bym zakopał tego rżęcha już kilka razy, pomyślał, zadowolony, że może skupić się na czymś tak błahym jak technika jazdy Turnera.

Bo naprawdę nie chciał myśleć o tym, czego stał się świadkiem kilkadziesiąt minut wcześniej.

Już raz widział potworny, niemalże nadprzyrodzony atak fińskiej śnieżycy w Hyrynsalmi. Nagłe uderzenie żywiołów rozpędziło nacierającą jednostkę radziecką i zapewne uratowało wioskę przed zniszczeniem, ale nijak się miało do tego, co przytrafiło się Sowietom obozującym przy Raate. Zamięć spadła na ich jednostkę z przerażającym, ogłuszającym rykiem i przetoczyła się po niej, łamiąc drzewa i przewracając czołgi, a gdy zaledwie parę minut później ucichła, oczom czwórki wędrowców ukazały się Pompeje północy. Tayne wiedział, że nigdy nie zapomni widoku zastygłych w połowie ruchu, skutych sinym lodem czerwonoarmistów.

Tymczasem Hämärä, która prowadziła ich przez zamrożone poboje, z wdziękiem wywijała ogonem, który znamionował zadowolenie.

Michael był śmiertelnie znużony. Od kilku dni towarzyszyło mu wyczerpujące napięcie, a walka w napadniętym sowieckim obozowisku również dała się mu we znaki. Łapał się na tym, że jego powieki co rusz opadają, a ich podniesienie przychodzi mu z coraz większym trudem. Marzył o filiżance mocnej kawy, talerzu gorącego rosółu i miękkim łóżku, z którego nie będzie musiał wychodzić przez kilka dni, ale zamiast tego nadal musiał się trząść z zimna na pace podskakującej ciężarówce i opierać przemarznięte łokcie o jej lodowaty dach.

Jeszcze trochę, powtarzał w myślach, wodząc wzrokiem po białych drzewach. Najważniejsze, że ocalałem Penny. Teraz muszę jedynie dbać o to, by nie popadła w kolejne tarapaty. No i trzeba też zająć się tym przeklętym sowieckim oficerem.

Spojrzał na piękną lisicę, która skakała przed nimi na śniegu i prowadziła ich do pasa Ilmarinena, i prawie się uśmiechnął.

Inteligentna lisica. Uzdrowicielka z legend. Ataki magicznej burzy. *Hiisi*. Chusta Vittensa. Wietrzne słowa.

Pracował dla Biblioteki na tyle długo, by przyjąć już do wiadomości, że znana mu rzeczywistość ma trudne do pojęcia, mistyczne odbicie, ale niełatwo było mu przyswoić taką liczbę osobliwych zdarzeń naraz. Tym bardziej marzył o ciepłej pościeli – z nadzieją, że następnego dnia otworzy oczy i uzmysłowi sobie, iż świat jest jednak zrozumiały, racjonalny i rozkosznie nudny.

I może ujrzy w nim zwykłą Penny. Nie na poły szaloną, puszczańską wojowniczkę, ale tę dziewczynę, którą kiedyś pokochał. Roześmianą, nieco zbuntowaną, trochę cyniczną, ale tak naprawdę marzącą o ciepłe i zrozumieniu. Tę, która także szukała bezpiecznej kryjówki w wielkim świecie, zrozumiałym i rozkosznie nudnym.

A potem przypomniała mu się falująca mroczna mgła i uświadomił sobie, że takich kryjówek już nie ma. Czas wojny sprzyjał nieprzemyślanym, dramatycznym decyzjom i lada moment ktoś mógł chwycić za jakiś magiczny artefakt. To zaś na ogół przywabiało Czarną Zgrozę, która najwyraźniej szukała

sposobności, by wniknąć w ludzką rzeczywistość na dobre. Co się stanie, jeśli się do niej wdrze i postanowi pozostać? Czy rację miał Astley, który utrzymywał, że Czarna Zgroza zacznie zabijać i niszczyć?

Tayne kręcił głową, nie mogąc uwierzyć w to, o czym myśli.

Dopadnijmy tego cholernego oficera, pomyślał z zawziętością. Ocalmy Sumu. I spieprzajmy stąd. Kiepsko się czuję w roli wybawiciela świata i jeśli będę zmuszony dłużej się tym zajmować, w Bethlem przyjmą mnie z otwartymi ramionami.

Samochód zatrząsał się, gdy Turner pokonał następną zaspę. Tayne zajrzał do kabiny i przekonał się, że Penny siedzi wychylona do przodu i nie spuszcza wzroku z lisicy, która skakała kilkanaście kroków przed zderzakiem gaza i co rusz odwracała się, by sprawdzić, czy pojazd nadal za nią podąża. Z kolei Astley manifestował typową dla arystokracji obojętność na cały świat i po prostu drzemał, choć jego głowa co rusz podskakiwała i obijała się o drzwi.

Tayne przymknął powieki. Przypomniał sobie śniadanie, na które poszedł kiedyś z Penny do miejscowej knajpki, choć w zasadzie oboje nie mieli na nie pieniędzy. Kawa była kiepska, ale ten bekon...

Nagle rozległ się przenikliwy wrzask i Michael natychmiast się rozbudził, odruchowo chwytając za broń.

To była lisica. Zwierzę stało na jednej z zasp wyprężone jak struna i węszyło, nerwowo tłukąc ogonem o boki. Potem wrzasnęło jeszcze raz, ostro i przerażająco, spojrzało na ludzi przelotnie i wniknęło między drzewa po prawej stronie drogi. Turner zatrzymał samochód, a Tayne zobaczył, jak zwierzę mknie między pniami niczym biała błyskawica, kierując się ku majaczącym w oddali skałom, przywodzącym na myśl ruiny prastarej twierdzy, a następnie znika. Instynkt podpowiedział mu, że ich wędrówka właśnie dobiegła końca. Że ostateczne starcie jest na wyciągnięcie ręki.

Zeskoczył z karabinem na śnieg. Astley pchnął drzwi i dołączył do niego, ziewając.

Cholera, on naprawdę spał, przemknęło Michaelowi przez głowę.

– Co się dzieje?! – zawołał przez otwarte drzwi Turner, oparty łokciami o kierownicę gaza. – Czy może raczej: co tym razem? King Kong? Czarnoksiężnik z Krainy Oz?

– Jesteśmy blisko – wymamrotała Penelopa, wyczołgując się z kabiny, by stanąć obok mężczyzn. – Bardzo blisko. Wyłącz silnik! – rzuciła wściekle do dziennikarza, który mruknął coś do siebie, ale posłusznie przekręcił kluczyk w stacyjce.

Otoczyła ich cisza, mroźna i pełna napięcia. Tayne odniósł przedziwne wrażenie, że czas się zatrzymał bądź... bądź wręcz nigdy w tych okolicach nie

zaistniał. Zmarzniętymi gałęziami drzew nie poruszał nawet najłżejszy podmuch wiatru, a szare chmury zastygły w bezruchu.

Wydawały się ciemniejsze niż wcześniej.

Z oddali dobiegały odgłosy prowadzonej po rosyjsku rozmowy.

– Czy to nasz ostatni przystanek na drodze do chwały? – mruknął cicho Turner.
– Byłbym, przyznam, szczerze rozczarowany, bo podjąłem już decyzję o zmianie zawodu. Jestem gotów zdetronizować Bauma, Tolkiena i Barriego jako...

Przerwało mu wściekłe poszczekiwanie lisicy, czemu odpowiedziały podniesione głosy Rosjan.

– To Hämärä! – odezwała się z podnieceniem Penelopa. – Próbuje ich osaczyć!

– Szkoda tylko, że nikt nie nauczył tej przekłetej lisicy pracy w zespole – warknął Tayne. – Ruszam w las i spróbuję sprzątnąć tyłu, ilu się da. Wy zostańcie tutaj.

– Chyba ze mnie drwiesz! – Oczy Penny błysnęły z oburzeniem.

– Miałbym przeoczyć wielki finał? – Turner wyciągnął rewolwer, który wyszarpnął jakiemuś zastrzelonemu oficerowi.

– Ja też idę – powiedział cicho Astley.

Michael westchnął ciężko, lecz poczuł, nie po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia tej dziwnej wyprawy, że w towarzystwie naprawdę jest raźniej.

– Ruszamy – rzucił.

Ale Penelopa tego nie słyszała. Już zdążyła się wślizgnąć między drzewa i zgarbiona szła ku skałom. Niespodziewanie leniwa rozmowa Sowietów zamieniła się w ostre pokrzykiwanie, które przeciął wystrzał. Potem kolejny i jeszcze jeden. Dziewczyna nie zatrzymała się, wręcz przeciwnie – przyspieszyła kroku.

Tayne bez namysłu rzucił się w ślad za żoną i po chwili wiedział już, co się dzieje. Hämärä uwijała się między drzewami, korzeniami i zaspami, to skacząc, to znów przetaczając się po śniegu, a Rosjanie, rozdrażnieni jej bezczelnością, starali się ją zastrzelić. Jak do tej pory ich kule chybiały, ale mimo to nie sprawiali wrażenia zwykłych, źle przeszkolonych czerwonoarmistów. Ich ruchy były płynne i gibkie, zauważył też, że cierpliwie celowali przed naciśnięciem spustu.

Kolejny wystrzał. Po nim następny. Gdzieś krzyczały uciekające Finki.

Hämärä wyskoczyła zza zasy, rozrzucając śnieg, co skłoniło jednego z Sowietów do naciśnięcia spustu. Zdyszanemu Michaelowi zdało się, że przez huk krwi w uszach usłyszał zwierzęce skamlenie. Przeszyło go przerażenie.

Raczej się nie pomylił, bo Penelopa zakłęła z rozpaczą, wyhamowała, przykucnęła i poderwała karabin. Głowa najbliższego żołnierza zamieniła się w miazgę, a krew zbryzgała śnieg. Drugi, stojący nieco dalej, odwrócił się,

zataczając łuk lufą mosina, ale Tayne już brał go na celownik. Wpakował mu kulę tuż poniżej mostka i szybko przypadł do ziemi, bo pozostali trzej żołnierze natychmiast odpowiedzieli ogniem.

Strzelali celnie, miażdżąc celnie. Któraś z ich kul przecesała świerkową gałąź nad głową Michaela, inna utkwiała w ziemi tuż przed leżącą Penelopą i opryskała jej twarz śniegiem, kolejna wbiła się w pień drzewa tuż za nią.

Niespodziewanie do wymiany ognia dołączyli Astley i Turner. Theodore wystrzelił raz, nawet nie mierząc, a dziennikarz, widząc to, wyszarpnął mu pistolet z ręki.

– Tracisz, młody, okazję, by zrobić coś naprawdę heroicznego – wycedził niewyraźnie, a Michael ze zdumieniem zauważył, że w kąciku ust trzyma palące się cygaro. – Co innego strzelać z dwóch rąk na wujkowej farmie, a co innego na prawdziwej wojnie! Won, sukinsyny, jakim Nix Turner! Macie nowego szeryfa w mieście!

Astley mruknął coś o beznadziejności amerykańskiej definicji heroizmu, ale jego słowa utonęły w huku wystrzałów. Amerykanin, pokrzykując dziko, pruł z obu luf. Nie trafił żadnego z przeciwników, ale przynajmniej zmusił Rosjan do ukrycia się. Penelopa i Michael wykorzystali okazję, by przepelznąć w inne miejsce, przeładować karabiny i podjąć ostrzał. Jeden ze zwiadowców poderwał się i pochylony pobiegł między skały. Przerażony Tayne dostrzegł wciśniętą w granitowy załom dziewczynę, bez wątpienia Sumu. Żołnierz wyciągnął ją z kryjówki brutalnym szarpnięciem, ewidentnie chcąc się nią zasłonić, ale Penelopa zdążyła trafić go w ramię. Czerwonoarmista wypuścił przerażoną Finkę, zatoczył się, zaciskając dłoń na przestrzelonej ręce, i chciał się cofnąć, ale wtedy Tayne przestrzelił mu pierś.

W tym samym momencie Michael poczuł tępe uderzenie w bark, a potem po jego ciele rozlała się fala płonącego bólu. Odruchowo padł na ziemię, oddychając chrapliwie, sparaliżowany cierpieniem. Na wysokości łopatk śnieżnobiałego kombinezonu rozlewała się plama krwi.

Trafili mnie, przemknęło mu przez głowę. Trafili.

Nie potrafił myśleć o niczym innym. Dopiero po chwili dotarło do niego, że Penelopa coś do niego krzyczy. Na jej ściągniętej twarzy malował się niepokój i z jakiegoś idiotycznego powodu Tayne poczuł na ten widok satysfakcję.

Następnie przypomniał sobie o pozostałych Rosjanach. Złapał karabin niezgrabnymi z bólu dłońmi i usiłował wypatrzeć ich gdzieś w zamarzniętym lesie, ale przez kilkanaście sekund nieuwagi obaj całkowicie wyparowali. Sytuacja w okamgnieniu stała się o wiele groźniejsza – wszak doświadczony łowca potrafił nie tylko doskonale się ukryć, ale i niespostrzeżenie przemieszczać

po lesie. Michael rozglądał się gorączkowo, ale ból przyćmił mu wzrok i widział jedynie białe plamy zasp.

Na jednej z nich pojawiła się Hämärä. Lisica skakała niezgrabnie, przyciskając łapkę do brzucha – jej zawziętość nie miała granic. Zatańczyła w śniegu, machnęła ogonem i uskoczyła w bok. Penelopa wystrzeliła sekundę później. Jej kula przemknęła tam, gdzie przed momentem płąsała lisica, i wbiła się ukrytemu zwiadowcy w czoło.

Piąty pojawił się kilka uderzeń serca później. Poderwał się z klęczek, jakby zapomniał, że uczestniczy w wymianie ognia na śmierć i życie. Klęczał z opuszczonym karabinem i wpatrywał się w coś za plecami Michaela, a na jego szerokim, azjatyckim obliczu malowało się bezbrzeżne przerażenie.

Zginął niemalże natychmiast, poszatkowany kulami z pistoletów Turnera i karabinu Penelopy, ale Tayne nawet na to nie patrzył. Niemal sparaliżowany przez wściekły ból, wolno odwrócił głowę w stronę, gdzie patrzył zastrzelony przed chwilą czerwonoarmista.

Za nimi unosiła się Czarna Zgroza, większa niż kiedykolwiek wcześniej, rozlewająca się po niebie niczym mroczna, nieprzenikniona meduza, falująca i wszechpotężna.

Kątem oka widział Astleya i Penelopę, którzy biegli w stronę Sumu, ale mimo to nie mógł oderwać oczu od nadciągającej czerni.

– Cały jesteś?! – zawołał ktoś tuż przy jego uchu i nagle Michael uświadomił sobie, że otacza go ramię Turnera.

Odruchowo pokiwał głową, nadal wpatrzony w nadciągającą czernią.

– Spora – wycedził Amerykanin. – Przybyła tu za nami?

– Nie wiem – wymamrotał Tayne. – Rzeczywiście ogromna. I za dnia się pokazała... A przecież one światła nie lubią!

– Musi mieć powód – stwierdził dziennikarz.

Gdzieś rozległo się uderzenie, a wraz z nim plusk wody. Odwrócili się i między skałami ujrzeli sowieckiego oficera z twarzą przeciętą pręgą. Mężczyzna wpatrywał się w stojący przed nim głaz i unosił młot do kolejnego uderzenia. Jego twarz wykrzywiała nieludzka nienawiść. Tayne zerknął w bok i ujrzał, jak po walnięciu młotem Czarna Zgroza zafalowała i się przybliżyła.

– I wszystko jasne – mruknął dziennikarz. – Nie wiem, co ten rusek robi, ale zajmij się nim, a ja wezmę na siebie to czarne bydlę, co? Serio światła nie lubi?

– Uciekaj, Turner – syknął Michael. – Potem pogadamy.

Wydawało mu się, że Amerykanin zaczyna mówić coś o honorze prawdziwego kowboja z Georgii, ale reszty nie dosłyszał. Wypełniały go złość przemieszana z determinacją, które zdusiły ból. Zerwał się, ścigany okrzykami Penelopy i Astleya, wpadł między skały i skoczył prosto na sowieckiego oficera.

Ten zdał sobie sprawę z obecności Michaela w ostatniej sekundzie. Zdołał się odwrócić i grzmotnąć go młotem w żebra, ale Tayne'owi i tak udało się go złapać i przygnieść całym ciężarem ciała do ziemi. Ból huczał i przelewał się po ciele Anglika niczym płonąca plama ropy na falach morza, dusząc wszelkie myśli poza jedną – dopaść człowieka, który polował na Penny, pojmał Sumu i najprawdopodobniej ściągnął Czarną Zgrozę.

Dopaść, zatrzymać, stłamsić, zabić.

Z furią zacisnął dłonie na szyi przeciwnika.

– Poznajesz mnie, skurwielu? – wycharczał oficerowi prosto w twarz. – Już dwa razy mi uciekleś, ale tym razem...

Urwał, bo przeciwnik, wywarkując rosyjskie przekleństwa, złapał go za nadgarstki. Tayne miał wrażenie, że jego dłonie są niczym żelazne obejmki. Oficer bez większego trudu uwolnił się od ucisku Michaela, a potem wyszczerzył z furią zęby i nieoczekiwanie grzmotnął go czołem w nos. Tayne bluzgnął krwią i padł do tyłu. Odruchowo odtoczył się na bok. Uderzenie serca później tuż obok niego świsnął młot.

Rosjanin krzyczał i parskął. Raz za razem unosił młot do ciosu, a Michael przetaczał się, wił i unikał uderzeń, z których każdy mógł mu pogruchotać kości. W końcu, gdy już mu się wydawało, że znalazł się poza zasięgiem oficera, poderwał się, ale naraz młot zahaczył o jego bark. Tayne się zatoczył. Zalała go kolejna fala bólu, która niemalże go zmoęła. Padł na skałę, odepchnął się od niej i runął na ziemię.

Otworzył oczy.

Rosjanin niknął na tle napływającej czerni, ale mimo to Tayne wyraźnie widział jego młot. Wyraźnie też widział, że ten się zawahał.

– Esmeralda? – powiedział cicho z miękkim, rosyjskim akcentem.

Michael kątem oka wychwycił jakąś kobiecą postać, która wyłoniła się pomiędzy skał z bronią w dłoni, ale nie przyjrzał się jej, bo instynkt podpowiedział mu, że drugiej takiej okazji już nie będzie. Zebrał wszystkie siły, poderwał się, zacisnął dłoń na czymś, co okazało się grubym kawałkiem lodu ze strzaskanej kałuży, i wykonał cios.

Gdy zalała go gorąca krew z rozszarpanej tchawicy Rosjanina i spojrzał w jego wytrzeszczone oczy, zrozumiał, że mimo wszystko zdołał wygrać to starcie. Patrzył, jak ten osuwa się na zbryzgany czerwienią śnieg, a potem uniósł głowę i wbił wzrok w Czarną Zgrozę, która przesłoniła już całe niebo.

Spóźniłem się, pomyślał. Wszyscy się spóźniliśmy.

Świat rozszarpała potworna eksplozja.

Michael Tayne siedział nieruchomo na śniegu i obejmował ramionami kolana. Pamiątką po ranie postrzałowej i potwornych stłuczeniach, jakich doznał, walcząc z rosyjskim oficerem, było już tylko niewyraźne ćmienie, ale mimo to bał się poruszyć. Miał obawy, że jeśli wstanie zbyt gwałtownie, jego ciało przekona się, iż nie istnieje cudowne leczenie, i na powrót eksploduje bólem. Wolał więc siedzieć bez ruchu.

I patrzeć na niewinnie, błękitne zimowe niebo.

W uszach nadal mu dzwoniło po potwornej eksplozji, a myśli, skołatane i rozbiegane, łączyły się ze sobą bardzo powoli.

Ciężarówka, którą uciekali, była wyładowana amunicją.

Czarna Zgroza nie przepada za światłem.

Turner.

Michael powoli zacisnął powieki i równie wolno je rozchylił. Jeszcze nie był gotów na sformułowanie tego wniosku, najważniejszego i najbardziej ostatecznego.

Skupił się więc na tym, co się rozgrywało przed jego oczami.

Stary Karel o twarzy pociętej świeżymi skaleczeniami wrócił zza skał, gdzie odciągnął zwłoki rosyjskiego oficera. Wytarł dłonie o ubranie, zbliżył się do Sumu, odgarnął włosy z twarzy dziewczyny i ucałował ją w czoło, a następnie przytulił ostrożnie niczym świeżo odzyskaną nadzieję. Wielkie, błękitne oczy uzdrowicielki stopniowo, z niedowierzaniem wypełniały się życiem, a gdy spojrzała na swą siostrę, roześmiała się cicho.

Hämärä, która pod ludzką postacią okazała się wyższa od siostry i bardziej energiczna, choć podobnie wiotka, odpowiedziała jej tym samym. Odruchowo pomasowała się po cudownie uleczonej ręce, a potem zajęła miejsce siostry w objęciach ojca. Starzec również ucałował ją z wielką powagą i spojrzał na stojącą obok, promiennie uśmiechniętą Penelopę. Rozłożył szeroko ramiona, a Penny padła w nie bez wahania.

Następnie, wypuściwszy dziewczynę z objęć, starzec spojrzał na Tayne'a.

We wzroku Fina kryło się dostojeństwo, jakiego Michael jeszcze nigdy nie spotkał. Nagle złapał się na tym, że się podnosi, staje na baczność i przykłada dłoń do czoła w salucie armii brytyjskiej. Starzec wpatrywał się w niego przez chwilę oczyma niebieskimi jak woda spod lodowca, po czym skinął mu lekko głową.

Był to gest, który wystarczył za wszystkie nagrody świata.

Penelopa zerknęła na męża, a w jej oczach połyskiwało coś szczególnego. Coś, czego nauczony doświadczeniami ostatnich dni Michael nie spodziewał się już nigdy ujrzeć.

Uznanie.

Następnie do trójki młodych kobiet dołączyła czwarta, starsza od nich, krępa, z osobliwie drapieżnym wyrazem twarzy. Pochyliła głowę przed sędziwym Finem, a ten położył jej dłoń na karku. Nadal bez słowa – oszołomiony Michael zorientował się, że podczas tej osobliwej ceremonii rodzinnego zjednoczenia nikt ani razu się nie odezwał – starzec podszedł do młota, podniósł go z czcią i ustawił obok głazu z wodą.

Potem wszyscy odeszli, nie oglądając się za siebie.

Tayne uświadomił sobie, że u jego boku wyrósł Theodore. Minęła dłuższa chwila, nim któryś z nich przypomniał sobie, że nadal potrafi mówić.

– Obszedłem okolicę – powiedział cicho młodzieniec. – Znalazłem wszystkie fińskie zakładniczki, które na szczęście zdołały w porę uciec, ale to tyle. Ani śladu ciała. Zaczynam myśleć, że ten pieprzony kowboj chyba naprawdę wysadził się w powietrze.

Tayne pokiwał głową. Znał się trochę na materiałach wybuchowych i wiedział, że przed eksplozją o takiej mocy ucieczki praktycznie nie było. Co prawda łudził się, że Turner rzucił w ciężarówkę granatem, ale wątpił, czy wystarczyłoby mu czasu, by odbiec na odpowiednią odległość.

– A miałem go za... – W głosie Astleya pojawiło się drzenie. – Miałem go za...

– Ważne jest to, jak go zapamiętasz – westchnął Michael i położył mu dłoń na ramieniu. – Cholera, miał ją, trzeba mu przyznać.

– Maniery. – Theodore uśmiechnął się słabo. – Maniery, Tayne.

Zamilkli i spojrzeli na niebo, którym znów zawładnęły chmury, jakby Pas Ilmarinena uznał, że czas przedstawienia dobiegł końca. Nagły podmuch wiatru poruszył drzewami. Zrobiło się chłodniej.

– Wracamy, Theo – rzekł Tayne, podnosząc z ziemi porzucony karabin. W sercu czuł osobliwe połączenie ulgi oraz rozczarowania. – Jeszcze nie wiem, jak tego dokonamy, ale pora wrócić do Anglii.

– Trudno, żeby po tym wszystkim – Astley zatoczył ręką łuk – nie udało nam się coś tak prozaicznego.

EPILOG

25 grudnia 1939 roku

Cedric de Woort zakręcił resztą whisky w ciężkiej szklance i dopił zawartość jednym haustem, po czym odstawił szkło jeszcze raz wyprostował kartkę na kolanie. Znał wypisaną na niej treść na pamięć, ale mimo to ciągle do niej wracał, jakby miał nadzieję, że gdzieś między pospiesznie wypisanymi linijkami dostrzeże coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi.

„Kochany ojciec”, przeczytał, uśmiechnął się i spojrzał na płomienie skaczące między suchymi szczapami.

Doskonale znał pismo Penelopy – staranne, czyste, z pięknie zaokrąglonymi brzuszkami liter – i wystarczyło mu rzucić okiem na nagłówek, by uświadomić sobie, że pisała w pośpiechu, zapewne zgrabiła, trzęsącą się z zimna ręką. Pokręcił głową z niedowierzaniem i czytał dalej.

Pragnę Cię powiadomić, że u mnie wszystko w porządku, o ile, rzecz jasna, wolno mi używać tych słów w samym środku przeklętej wojny. Niestety, zgodnie z moimi obawami, dotarła ona również do mojego świata, ale dzięki Michaelowi, Theo oraz ich amerykańskiemu przyjacielowi udało się w porę zażegnać zagrożenie, zanim komukolwiek stała się prawdziwa krzywda. Zadanie, z którym Ty i pan Astley senior wysłaliście mnie kiedyś do Karelii, zostało wykonane,

o czym Michael zapewne opowie ci osobiście z większą liczbą szczegółów.

Zapewne wstrząśnie Tobą fakt, drogi ojczy, że zadanie to okazało się dla mnie początkiem nowej drogi w życiu. Wyruszyłam do Finlandii, by zrealizować marzenie z czasów młodości i jednocześnie zapomnieć o własnej tragedii. To był dobry pomysł, bo nauka języka, kultury i zwyczajów mieszkających tu ludzi okazała się fascynującym zajęciem, a jednocześnie wciągnęła mnie do tego stopnia, że bez reszty wsiąknęłam w nową rzeczywistość. Nie chcę wracać do Anglii. Nie chcę wracać do miast, dymów, zatłoczonych ulic i rozmów o polityce. Kocham Cię i zawsze będę kochać, ale chcę żyć tu, w puszczy. Chcę grzać się w saunie, pływać w jeziorze, wdychać zapach ogniska, wędzić mięso, śpiewać karelskie pieśni i może wreszcie nauczyć się grać na kantele. Chcę tu zostać na zawsze.

Wiem, że sprawiłam Ci zawód, bo przecież mieliśmy spędzić razem Boże Narodzenie, ale po tym, co przeżyłam ostatnio, pragnę za wszelką cenę bronić tego, co ważne i święte. Nigdy nie wiadomo, czy za moment nie pojawi się kolejny szaleniec, któremu zamarzy się władza nad światem. Nigdy nie wiadomo też, kiedy mieszkający w puszczy ludzie będą potrzebować naszej pomocy. Ja muszę tu zostać i wiem, że mnie zrozumiesz. Wszak sprzęgłeś swoje życie z Biblioteką, a więc oddałeś się służbie światu.

O mało nie zapomniałam o jednej ciekawej sprawie. Dołączyła do nas pewna rosyjska Cyganka o imieniu Esmeralda. Była mocno związana z niejakim Muchalewem, oficerem NKWD, który wyciągnął ją z gułagu i wykorzystywał podczas prowadzenia swoich śledztw. Ów Rosjanin był gotów zrobić wszystko, by dotrzeć do fińskich świętości, ale na swoje nieszczęście natknął się na Michaela i źle się to dla niego skończyło. Esmeralda kiepsko mówi po fińsku, a nikt z moich przyjaciół nie zna na tyle rosyjskiego, by się z nią swobodnie porozumieć, ale gdy tylko poznam więcej jej sekretów, spróbuję wysłać Ci kolejny list.

Tymczasem porozmawiaj z Michaelem. Bo chyba zaprosisz go na święta, prawda?

Twoja (nadal i zawsze) Penny

Cedric westchnął i przetarł zażawione oczy, a potem wsunął list do wewnętrznej kieszeni marynarki. Kiedy szturchnął pogrzebaczem bierwiona, usłyszał dzwonek u drzwi. Wstał pospiesznie, wyszedł z gabinetu, przemierzył salon, przepelniony

zapachem pieczonego indyka z warzywami, i uśmiechnął się lekko do gosposi, pani Hilary, która rozkładała serwetki.

– Ja otworzę – rzucił, choć kobieta najwyraźniej nie usłyszała dzwonka, całkiem pochłonięta nuceniem kolęd wraz z BBC.

Na progu stał Michael Tayne i strzepywał śnieg z ramion płaszcza.

– Wejdz, chłopcze. – De Woort się uśmiechnął. – Pewnie zmarłeś, co?

– Nie – odparł Tayne z krzywym uśmiechem. – Jeśli mam być szczery, nie sądzę, bym kiedykolwiek jeszcze miał prawo powiedzieć, że zmarłem.

– Cóż, prawda – powiedział Cedric, odwieszając płaszcz gościa. – Cofam to, co powiedziałem. Rozumiem, że po ostatnich doświadczeniach łatwiej zniesiesz towarzystwo zimnokrwistego teścia.

– Alternatywą było puste mieszkanie w Battersea. – Michael poprawił marynarkę i się uśmiechnął. – Lub ewentualnie Bethlem.

– Cóż, cieszę się, że wygrywam z wariatkowem. – De Woort zachichotał.

– Głupio zabrzmiało – zreflektował się Tayne. – Przyszedłem tu, bo... cóż, bo chyba zasługuje pan na pełną opowieść o tym, co się wydarzyło w Hyrynsalmi i Raate.

– A ja mam szczerą nadzieję, że nie zapomnisz o żadnym szczególe. – Cedric objął zięcia ramieniem i poprowadził go w stronę salonu. – Ale najpierw poudawajmy normalnych ludzi i zjedźmy kolację świąteczną, drogi chłopcze. Pani Hilary, choć ma ostatnio problemy ze słuchem i koncentracją, wciąż piecze doskonałego indyka. Po deserze zaś opowiesz mi o wszystkim.

– O wszystkim, sir – obiecał Tayne. – Wesołych świąt.

– Wesołych świąt, drogi chłopcze.

*

W gabinecie Maurice'a Astleya wciąż płonął ogień w kominku. Siedzący za biurkiem gospodarz westchnął, odłożył czytany dokument i przez moment wsłuchiwał się w szmerzący cicho głos spikera radiowego.

– Spójrz tylko na nas – powiedział gorzko do Kenworthy'ego, który jak zwykle siedział w fotelu przed kominkiem. – Święta w pełni, a my siedzimy w tym przeklętym klubie i walczymy o przyszłość świata.

– Ty walczysz – przypomniał mu Kenworthy. – Ja tylko drzemię.

Astley zaśmiał się sucho. Wstał i podszedł do barku, gdzie nalał sobie whisky.

– Jesteśmy już tylko starymi gnomami, pilnującymi sterty dokumentów – powiedział, wpatrzony w płomienie.

– Stary to może ty jesteś – burknął Kenworthy. – Ja jestem prastary. Odwieczny. Choć przyznam, że jakże słuszny wiek nie przeszkadza mi cieszyć

się naszymi ostatnimi sukcesami, Maurice. Nie przestaję myśleć o tej ekspedycji do Finlandii. Sporo działali ci młodzi ludzie, nie sądzisz? Twój wnuk wyeliminował Vittensa i odzyskał chustę Boswella, córka de Woorta odnalazła Pas Ilmarinena, a Tayne zdołał go ocalić przed pieprzonym NKWD. To naprawdę dużo.

– Zgadza się. – Astley pokiwał głową. – Pierwszy sukces od dawna, co daje nadzieję na przyszłość, tym bardziej że zegar Radiczki ucichł, Frederiku.

– Ucichł – powtórzył starzec. – Chętnie bym się za to napił.

Astley nalał mu szklanekę, którą ten ujął trzęsącą się ręką.

– Spójrz tylko – powiedział Kenworthy. – Każdy ma takie święta, na jakie sobie zasłużył. My spędzamy je ze starymi papierami i jeszcze starszymi sekretami. Moja rodzina już dawno odeszła z tego świata, ale ty wciąż masz Theodore'a. Czemu nie zaprosiłeś go do siebie?

– Nie wrócił do Anglii. – Astley pokręcił głową. – Wedle raportu Tayne'a zmienił zdanie w Helsinkach i zawrócił na linię frontu. Ponoć zgłosił się na ochotnika do służby medycznej.

– Coś takiego. – Kenworthy zamoczył usta w whisky. – Ty wiesz, że tam jest tak zimno, że sanitariusze przyklejają sobie ampułki z morfiną pod pachami, by nie zamarznąły? Że trzeba sikać na karabin maszynowy, by go rozmrozić?

– Teraz już wiem, choć wcale sobie tego nie życzyłem. – Astley uśmiechnął się krzywo. – Wiesz, Theo to młody człowiek. Przypuszczam, że jego decyzja mogła mieć jakiś związek z... no wiesz.

– Tą uzdrowicielką? Sumo?

– Sumu.

– Pewnie ciężko ci będzie w to uwierzyć, ale też kiedyś byłem młody – mruknął Kenworthy. – Doskonale wiem, że motywację mężczyzn kształtują spódniczki. Lub, co w przypadku Theo bardziej prawdopodobne, barchany.

– Jesteś obrzydliwy.

– Pewnie, że jestem. Wesołych świąt.

Milczeli, słuchając dziewczęcego chóru, który śpiewał o pięciu złotych pierścieniach wręczonych piątego dnia świąt, aż w końcu Astley westchnął i odstawił szklanekę.

– Może niedługo dowiemy się więcej. Theo to dobry chłopak, na pewno coś napisze. Nie sądzę też, by zapomniał o służbie dla Biblioteki.

– A skoro już o tym mówimy – wycedził Kenworthy – dziwne, że nie wspominasz nic o naszym największym sukcesie. Po raz pierwszy udało nam się z bliska przyjrzeć Czarnej Zgrozie. No, może nie tyle nam, co temu idiocie... Zaraz, jak on się nazywał? Ma tu przyjechać na początku stycznia. Przypomnij mi.

– Turner – odparł Astley. – Nix Turner. Zdaje się, że nadal dochodzi do siebie w fińskim szpitalu wojskowym gdzieś w Turku, choć... W ogóle dziwne to wszystko, wiesz? Mimo że nie znaleźli jego ciała, Theo i Michael byli przekonani, że Amerykanin nie mógł przeżyć eksplozji ciężarówki. Tymczasem ten nie dość, że jakimś cudem przeżył, to jeszcze znalazł się w szpitalu kilkaset kilometrów od Suomussalmi i skontaktował się bezpośrednio z nami. Z nami, a nie, dla przykładu, z Michaelem.

– A co przekazał w depeszy?

– „Poznałem. Czarną. Zgrozę”.

– Bardzo mało, a jednocześnie tak wiele – oświadczył zamyślony Kenworthy.

– Dobrze będzie więc z tym Turnerem pogadać. Ciekawe, co od niego usłyszymy.

– Też jestem ciekaw. Ale teraz dość tego. – Astley westchnął. – Może skoczmy coś zjeść? Nasza restauracja powinna być jeszcze otwarta. Jestem pewien, że znajdziemy tam kilku starych gnomów takich jak my.

– Cóż, święta to święta – westchnął Kenworthy. – Chodźmy.

I wyszli.

POSŁOWIE

O powrocie do tematyki *weird war*, w którą zanurzyłem się już wiele lat temu przy okazji *Wojny runów*, marzyłem od dawna. Wiedziałem, że jeśli kiedyś owo marzenie zrealizuję, scenografią takiej powieści będzie właśnie legendarna *Talvisota* – fińska wojna obronna, zwana najczęściej wojną zimową, która od zawsze fascynowała mnie swoim dramatyzmem.

Wiedziałem jednakże, że sama fascynacja to ciut za mało, by stworzyć przekonujący obraz konfliktu, więc zostawiłem sobie ten temat na pisarską emeryturę. Uznałem bowiem, że kiedyś, w przyszłości, będę miał wystarczająco dużo czasu, by przeczytać wszystko, co trzeba, i przedstawić czytelnikom porządnie skonstruowaną historię opartą na należycie sprawdzonych faktach.

Rzeczywistość wywróciła moje plany pisarskie do góry nogami gdzieś na przełomie lutego i marca 2022 roku, kiedy to, śledząc przebieg rosyjskiej napaści na Ukrainę, uświadomiłem sobie, że doznaję swoistego *déjà vu*. Przecież już kiedyś czytałem o agresji Moskwy, która została oparta na fałszywych danych wywiadowczych, beznadziejnie przygotowana i pchnięta na słabszego, nieprzygotowanego przeciwnika w przekonaniu, iż ten z radością rozrzuci ramiona na powitanie. Przyglądając się relacjom z „powitania”, jakie armia ukraińska zgotowała najeźdźcom, doszedłem do zaskakującego wniosku, że przez ponad osiemdziesiąt lat, jakie upłynęło od zakończenia wojny zimowej, rosyjscy dowódcy nie nauczyli się niczego.

Sięgnąłem wówczas po kilka opracowań ze znakomitym *Mroźnym piekłem* Williama R. Trottera na czele i uzmysłowiłem sobie, że mój wniosek wcale nie jest mylny, a podobieństw między wojną zimową a napaścią na Ukrainę jest znacznie więcej. W tym samym czasie wyszły na jaw historie o rosyjskich zbrodniach wojennych w Buczy, Borodiance i innych miastach. Bezsilność i gniew, które, mam nadzieję, mi wybaczą, sprawiły, że zrezygnowałem z niektórych planów i rozpocząłem pracę nad powieścią, która dzieje się w trakcie wojny zimowej.

Nie ukrywam, że chciałem się po pisarsku zemścić, ale na szczęście, choć koszmar rosyjskich zbrodni nigdy nie przestanie mnie przerażać, mój gniew w końcu przygasł na tyle, by będąca już w powijakach powieść zatraciła swój rozrachunkowy charakter. Każdemu, kto zarzuci mi, że próbuję Rosjan celowo oczernić, chętnie przedstawię listę opracowań historycznych, na których się opierałem. Wyniknie z nich niechybnie, że *Pas Ilmarinena* pokazuje jedynie nieliczne przejawy głupoty, niekompetencji i braku ludzkich uczuć ze strony Sowietów.

Te same opracowania wykażą również, że dla dobra fabuły zmuszony byłem zmienić nieco niektóre fakty.

Oulu zostało zbombardowane dopiero pierwszego stycznia 1940, i to przez radzieckie lotnictwo, a nie przez Flotę Bałtycką, która nie wypuszczała się tak daleko na północ. Do stworzenia tego epizodu zainspirowały mnie opisy pojedynków radzieckich niszczycieli i krążowników z fińskimi bateriami nadbrzeżnymi.

Nie doszło również do przedstawionego w powieści nalotu radzieckiego bombowca na niewymienioną z nazwy miejscowość w środkowej Finlandii z tego względu, że nie licząc pierwszych dni agresji, kiedy to lotnictwo spod znaku czerwonej gwiazdy bombardowało Helsinki i Viipuri, pogoda uniemożliwiała jakiegokolwiek loty.

Wieś Suomussalmi została podpalona przez wycofujące się oddziały fińskie nieco później, niż to opisałem – zabudowania podpalono siódmego grudnia około godziny 18.30 i płonęły przez całą noc, ale pożar nie zagarnął wszystkiego. Sowietci ugasili ogień i zajęli ocalałe budynki, co znacznie utrudniło Finom późniejsze kontrataki.

Nie doszło także do ataku na Hyrynsalmi, choć prawdą jest to, że Sowietci nie mieli pojęcia o istniejącej tam stacji kolejowej, co pozwoliło Finom bezkarnie przerzucać w te okolice posiłki. Fikcyjny jest Zarząd Nauk Tradycyjnych, który wymyśliłem sobie jako radziecką odpowiedź na Ahnenerbe. Postać dzielnego porucznika Jaakko Yökyöpeliego jest również moim wymysłem, ale zarazem hołdem dla wielu niezwykle fińskich oficerów i żołnierzy takich jak Lauri Törni, Simo Häyhä, Matti Aarnio czy Paavo Talvela.

Hiisi to stworzenia z fińskiego folkloru, zamieszkujące święte skały i klify, przypominające trolle lub gobliny. Wybaczcie, ale nie mogło ich tu zabraknąć.

Dołożyłem wszelkich starań, by jak najlepiej oddać opisy starć wokół Suomussalmi czy na drodze do Raate, ale tak naprawdę o wiele bardziej zależy mi na tym, by zaintrygowały Was losy Michaela, Penelopy oraz londyńskiej Biblioteki. Bo żyjemy w trudnych czasach i chciałbym, by ta książka pozwoliła Wam się oderwać od rzeczywistości i zapomnieć o tym, co niewdzięczne.

Liczę, że powieść Wam się spodobała, ale jeśli jest inaczej, kupując ją, wyświadczyliście światu dobry uczynek. Część przychodu z książki przeznaczana jest bowiem na Fundację BRDA, wspierającą odbudowę ukraińskich domów zniszczonych w trakcie wojny.

Za ogromne zaangażowanie w pracę nad *Pasem Ilmarinena* serdecznie dziękuję Paulinie Stoparek, redaktorce wybitnej, a do tego należycie bezlitosnej. Pragnę również okazać wdzięczność panu Witoldowi Głowackiemu, dziennikarzowi „OKO.press” i znawcy drugiej wojny światowej, który sprawował nad powieścią opiekę merytoryczną, oraz memu serdecznemu przyjacielowi i wspomniałemu lekarzowi Zbyszkowi Chwiałkowskiemu, który wyjaśnił mi konsekwencje zażywania barbituranów.

Oddany Wam,
Marcin Mortka

Pas Ilmarinena

Copyright © by Marcin Mortka 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Paulina Stoparek

Korekta – Anna Strożek, Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta merytoryczna – Witold Głowacki

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc, Katarzyna Kotynia

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788382107906

ISBN epub: 9788382107913



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl

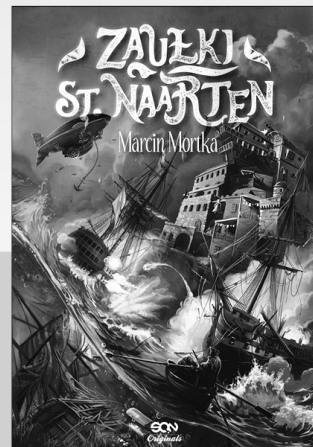
www.sqNSTORE.PL

www.labotiga.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL **la**botiga.pl